

JULIE ANNE
LONG

Piękna i szpieg

Przekład
Irena Kołodziej

*Dłta Karen, z którą tyle razy o mało nie zjechałyśmy z drogi
i tak strasznie śmiałyśmy się z czegoś, co było śmieszne tylko dla nas.*

*Na pamiątkę miliona rozmaitych drobiazgów,
które składają się na łączącą nas siostrzaną więź.*

I wcale nie wyglądam jak dynia!

Prolog

1803

Jeszcze po upływie wielu lat Anna będzie pamiętała, jaki wielki był księżyc tej nocy: pękaty, ciężki, zawieszony nisko nad horyzontem. Jego ostry blask wdzierał się przez szpary w okiennicach do sypialni, a ona rzucała się bezsennie w pościeli i przewracała z boku na bok. Za wiele było miejsca w jej łóżku... Bo odwiedził ją dziś Richard - i odjechał. A choć robił tak za każdym razem, dziś łóżko wydawało się puste jak nigdy dotąd.

Aby się uspokoić, spróbowała pomyśleć o zwykłych, codziennych sprawach. Trzyletniej zaledwie Susannie wyrzynał się ostatni ząbek, marudziła i była nieco rozpalona. Musi powiedzieć o tym Richardowi... Richard rozbawiła ją tak, że będzie się śmiała do rozpuku. Susanna uwielbiała ojca. Co za uroczę z niej maleństwo... Z byle powodu wybuchała perlistym śmiechem i już teraz była bardzo wybredna, wczoraj na przykład ugryzła ciastko, po czym oddała je Annie z powrotem. „Ułamało się, mamusiu” - powiedziała ze smutkiem. Tak jakby nie mogła zjeść czegoś, co nie było całe.

Druga córka, Sylvie, miała cztery lata, po matce ostry język i temperament, a po ojcu - inteligencję. „Tak naprawdę, wołałabym tego nie robić” - odparła wyniośle, gdy matka kazała jej pozbierać zabawki. Anna uśmiechnęła się na wspomnienie tej sceny. Tak, to dziecko... będzie kiedyś nie lada wyzwaniem.

No i ostatnia - Sabrina - z przejęciem przewracająca kartki książek i rwąca się do fortepianu, choćby paluszki miała lepkie od marmolady. Zawsze umiała odgadnąć nastrój matki. By ją pocieszyć, przynosiła jej drobne upominki: kwiatki, liście... Nadmierna uczuciowość Sabriny trochę niepokoiła Annę. Każda z jej córeczek była niezwykła: wszystkie śliczne dziewczynki odziedziczyły po niej i Richardzie to, co najlepsze. Miłość, jaką je darzyła, aż przerażała swą cudowną i straszliwą zarazem wszechogarniającą siłą. Tak samo jak jej miłość do Richarda.

No, teraz to już na pewno nie zaśnie... Myśl o Richardzie natychmiast obudziła w niej pragnienie, coraz silniejsze podczas jego częstej nieobecności. Przypomniała sobie blask jego jasnych oczu, idealne dopasowanie ich ciał... Na myśl o Richardzie nadal traciła dech w piersiach. Z zaaranżowanego dla obopólnej korzyści związku - on potrzebował kochanki, ona pieniędzy - nieoczekiwanie zrodziła się miłość, która oparła się upływowi czasu. Tu, w Gorringe, osiedlili się i założyli rodzinę. Jak głosiła miejscowa legenda, miasteczko zostało tak nazwane przez pewnego księcia, który popadł w obłąd, bezskutecznie poszukując rymu do orange. Ta opowieść przemówiła do wyobraźni Richarda i jego nadmiernie chyba rozwiniętego poczucia absurdu, a Anna znalazła w Gorringe to, o czym zawsze marzyła - spokojny dom na prowincji. Od Londynu, gdzie Richard, szanowany członek Izby Gmin, spędzał większość czasu, dzieliło Gorringe zaledwie parę godzin drogi.

O małżeństwie nie mówili. Anna nigdy na to nie czekała, ani też nie wywierała na Richarda żadnego nacisku.

Ostatnio zaczęła jednak podejrzewać, że Richard, który wyszedł cało z licznych opresji, zanadto przyzwyczyił się do niebezpieczeństwa i nie umie już bez niego żyć. Któregoś dnia, gdy dziewczynki już spały, powiedział jej przy kolacji, że przypuszcza, iż Thaddeus Morley, jeden z najbardziej wpływowych polityków w kraju, zbił fortunę na sprzedawaniu Francuzom tajnych informacji. Richard, prawdziwy patriota, zamierzał to udowodnić.

Anna widziała Morleya dwukrotnie i za każdym razem uderzyła ją jego szorstkość w obyciu. Poruszał się tak, jakby nosił w kieszeni

granat. Był nadzwyczaj szanowany; pomimo niskiego pochodzenia zaszedł wysoko. Anna wiedziała coś niecoś, jak to jest, gdy chce się zejść wysoko pomimo trudnego startu... Wiedziała, ile to kosztuje. Podejrzewała, że Morley może być bardzo niebezpiecznym człowiekiem.

- Gdyby coś się nam przydarzyło, Anno... - wymruczał wczorajszego wieczoru Richard, z ustami przy jej ustach, wyłuskując ją pospiesznie z koronek sukni.

- Óóó... Nic się nam nie przydarzy. Chyba że cudowna miłość dziś w nocy.

Parsknął cichym śmiechem i pocałował ją w szyję.

- Gdyby się nam coś przydarzyło - powtórzył - chciałbym, żeby każda z dziewczynek miała na pamiątkę twoją miniaturę. Obiecuj mi to. - Zamówił w Londynie trzy śliczne portrety Anny i zabrał je ze sobą, przyjeżdżając z tą, jakże krótką, wizytą.

- Moją? Dlaczego nie miniaturę ich przystojnego ojca?

- Twoją, kochanie. Ich pięknej matki. - Jego palce rozpięły tymczasem haftki gorsetu, a dłonie spoczęły na piersiach...

Bum, bum, bum!

Anna poderwała się gwałtownie, z sercem w gardle. Ktoś walił pięścią w drzwi frontowe na dole.

Wskoczyła z łóżka i narzuciła na siebie szlafrok. Dopiero za trzecim razem udało jej się zapalić świecę, tak drżały jej ręce. Osłaniając dłonią nikły płomyk, ruszyła do holu. Z dziecięcego pokoju dobiegło ją kwilenie przerażonej Susanny, które po chwili przeszło w zdławiony szloch.

Pokojówka, dziewczyna o oczach tak dużych i wargach tak pełnych, że mogłaby nimi obdzielić jeszcze kogoś, stała w nocnej koszuli na podeście schodów, nerwowo wykręcając splecione dłonie. Ciemne włosy okalały jej twarz i spływały dwiema smugami na piersi. Choć otrzymała doskonałe referencje, to jej nieporadność niemal dorównywała bujnej urodzie.

- Idź do Susanny. - Anna była zdumiona, że jej głos brzmi tak spokojnie. Dziewczyna drgnęła, jakby wyrwana z transu, i wśliznęła się do

dziecięcego pokoju. Po chwili dało się słyszeć, jak mówi coś półgłosem, i łkanie Snsanny złagodniało, zmieniając się w coś w rodzaju czkawki.

Ostrożnie, wymacując bosą stopą każdy stopień, Anna zdołała zejść ze schodów niemal bezszelestnie. Podeszła do drzwi, odsunęła zasuwę i otworzyła.

W progu stał mężczyzna. Przygarbiony ze zmęczenia, dyszał chrapliwie, wydychając białe kłęby pary. Szyję miał okręconą szalem, ramiona okrywał gruby, ciężki płaszcz. Za nim, na tle rozgwieżdżonego nieba, ciemniała bryła powozu; z przodu zwisały łby dwa zgonione konie.

Mężczyzna się wyprostował. W blasku księżycy Anna rozpoznała długi nos, życzliwe oczy i wąskie ironiczne wargi Jamesa Makepeace'a, przyjaciela Richarda z Londynu. Wiadomość, którą przywiózł, była wypisana na jego twarzy.

- Richard - powiedziała, uprzedzając go, jakby mogła w ten sposób uniknąć ciosu.

- Tak mi przykro, Anno. - W ochrypłym głosie Jamesa słychać było prawdziwy ból.

Uniosła podbródek. Najgłębsze rany nie boją od razu, wiedziała o tym. Najpierw przychodzi błogosławione odrętwienie.

-Jak?

- Zamordowany. - Niemal wypluł to słowo, niczym coś wstępnego. — I, Anno... - Zamilkł na chwilę, jak gdyby dając jej czas na przygotowanie. - Chcą cię za to aresztować.

Chłodem śmierci powiało od tych słów.

-Ależ to... szaleństwo. - Poprzez narastającą jak pożar falę strachu ledwie słyszała swój cichy głos.

- Wiem, Anno, wiem. - W głosie Jamesa były niecierpliwość i desperacja. - To niemożliwe. Są jednak świadkowie, którzy utrzymują, że słyszeli, jak kłóciłaś się wczoraj z Richardem w jego domu w mieście. A inni klną się, że widzieli, jak wychodziłaś z domu na krótko przedtem, zanim... zanim go odkryto. Skoro odważył się na to, jestem pewien, że pozwoli sobie na wszystko.

W tym ostatnim zdaniu była gorzka ironia.

- Morley - szepnęła Anna. - To on.

Milczenie Jamesa potwierdziło jej domysł. Po chwili wydał dziwny dźwięk, coś pośredniego między szlochem a śmiechem.

Z tyłu zachrzęściły na żwirze końskie kopyta i koła powozu. Anna drgnęła. Płomień świecy skoczył w górę. W jego świetle dostrzegła ciemne kręgi pod oczami Jamesa Makepeace'a.

Jego niski szorstki głos wytrącił ją z odrętwienia.

- Powóz, który podjechał, wynająłem dla ciebie, Anno. Musisz uciekać. Proszę... Będą cię tu szukać. Jedź gdziekolwiek, byle nie do Londynu. Zapłaciłem woźnicy wystarczająco, żeby o nic nie pytał. Nie zdradzaj mu tylko, na miłość boską, swojego nazwiska.

-Jak... jak Richard... - Urwała i pokręciła głową. Nie, nie chce wiedzieć, jak zamordowano Richarda. Chce go pamiętać żywego, nie umarłego. - A dziewczynki?...

-Ja się nimi zajmę. Zadbam o nie, dopóki... dopóki nie będziesz mogła wrócić. Przysięgam ci.

- Ale ja nie mogę... One... są takie małe...

Daremne słowa. I właściwie nie to chciała powiedzieć. Richard nie żyje... Richard nie żyje.

James Makepeace ujął jej zimną dłoń i mocno ścisnął. Czuła, że wolałby nią potrząsnąć.

-Posłuchaj mnie, Anno. Kobieta z trojgiem dzieci... będzie cię bardzo łatwo zidentyfikować. Znajdą cię, i co się wtedy stanie z dziewczynkami? Jesteś znakomitym kozłem ofiarnym; tłum rozdrze cię na strzępy. Przysięgam, że gdyby istniało inne wyjście... -Obejrzał się przez ramię i z powrotem zwrócił ku niej. Widziała, ile go to kosztuje, by zachować opanowanie.

Rzykował dla niej własne życie.

Czy lepiej zostawić dziewczynki i uciec, skoro istnieje szansa, choćby najmniejsza, że jeszcze kiedyś się z nimi połączy?

Czy też lepiej, by rosły ze świadomością, że ich matka została powieszona, bo zamordowała ojca?

Anna podjęła jedyną decyzję, jaka była możliwa w tej dramatycznej sytuacji: pośpiesznie skinęła głową.

James odetchnął z ulgą.

- Dobrze. Przysięgam ci, Anno, gdybym był w stanie ukryć was wszystkie, zrobiłbym to. Po prostu... nie ma czasu, żeby wymyślić inne wyjście.

-I tak już wiele dla nas ryzykujesz, Jamesie. Nigdy bym nie śmiała cię o to prosić... Nie wiem, jak ci się odwdzięczę.

James skłonił się w milczeniu.

-Jak... jak się dowiedziałeś?

Pokręcił gwałtownie głową.

- Lepiej, żebym ci nie mówił. I... wybac, Anno, ale muszę cię zapytać jeszcze o jedno: czy Richard wspominał ci kiedykolwiek, gdzie trzyma pewne ważne... - zawahał się, starannie dobierając słowo - ..dokumenty?

- Słucham?

- Powiedział, że znalazł dla nich doskonałą kryjówkę, miejsce, gdzie nikomu nie przyjdzie do głowy ich szukać, a zwłaszcza Morleyowi. Mówił, że to ma coś wspólnego z chrześcijańskimi cnotami. Bawiło go to. Uważał, że to ironia losu. - Usta Jamesa wykrzywił ponury grymas, który najwyraźniej był próbą uśmiechu. - Richard... Richard był sprytny.

- O tak. Richard był sprytny. - Anna poczuła, że zalewa ją fala bezsilnego, egoistycznego gniewu. Czyż kiedykolwiek miłość znaczyła dla mężczyzny więcej niż sukcesy i sława? Czy kobieta i trzy małe dziewczynki mogą konkurować z dreszczem podniecenia, jaki rodzi myśl o ujęciu politycznego zdrajcy? - Przykro mi... nic mi o tym nie mówił.

Stali, patrząc na siebie. Dotychczasowe życie zniknęło jak zdmuchnięty płomień świecy. Teraz czekało ją nowe - bez Richarda. Jakże trudno było przekroczyć dzielącą je granicę.

-Ja też go kochałem, Anno - powiedział ochryple James.

„Kochałem”. Czas przeszły.

Odstąpiła na bok, przepuszczając Jamesa w drzwiach. A potem, w mroku przedświt, zaczęła się gorączkowo zbierać do drogi.

James czekał. Anna ubrała się w żałobną czerń, na wierzch włożyła ciepły płaszcz, głowę okryła szalem. Obudziła dziewczynki, Su-

sannę, Sylvie i Sabrinę, ucałowała je i przytuliwszy mocno, wdychała przez chwilę woń ich włosów, szepcząc pospiesznie jakieś rozpaczliwe obietnice, których nie mogły rozumieć. Weisnęła każdej węzełek z rzeczami i miniaturą.

Kiedy pakowała miniatury, rzuciła na nie przelotnie okiem i nie zdołała powstrzymać łez wściekłości. A więc wiedział, niech go diabli... Wiedział, że coś się z nią może stać - albo z nim samym.

Przecież kochałaby go na wieki... Czy zdoła mu kiedykolwiek wybaczyć?

-Weź to - zwróciła się do Jamesa, wciskając mu do ręki prosty, ale subtelnej roboty diamentowy naszyjnik. - Przyda się... dla dziewczynek.

James wziął naszyjnik bez słowa. Zacisnął go w dłoni, jak gdyby przypieczętowując układ.

-Jak...-zaczęła.

- Napisz do mnie, kiedy będziesz mogła. Ale poczekaj parę miesięcy, dopóki wrzawa nie ucichnie. Jeśli tylko zdołasz, uciekaj na kontynent; wątpię, czy znajdzie się w Anglii jakiegokolwiek bezpieczne miejsce, kiedy wieść się rozejdzie. Z Bogiem.

Anna spojrzała po raz ostatni na dom, który tak niedawno jeszcze był ostoją jej szczęścia. Jej największej miłości. Jej jedynej miłości.

Zaniosła w duchu krótką modlitwę za dziewczynki. Za Richarda. I o sprawiedliwość.

James pomógł jej wsiąść do powozu. Woźnica musnął batem końskie grzbiety. Ruszyli. Anna Holt odjechała.

1

Maj 1820

Susanna Makepeace miała nową suknię, a Douglas był dziś szczególnie miły. Niczego więcej nie brakowało jej do szczęścia.

Przebywała wraz z grupą najbliższych przyjaciół w posiadłości swego ojca. Dziewczęta, siedząc na stoku wzgórza, przypominały barwne letnie kwiaty, rozsypane pośród traw; opodal młodzieńcy, nachyliwszy się, pracowicie zbierali stokrotki, aby uwić z nich wianki. Dzień był gorący, ale rzeński wietrzyk powiewał to tu, to tam, trzepocząc wstążeczkami czepków i unosząc rąbki sukienek. Douglas musnął ukradkowym spojrzeniem kolana Susanny, a ona okryła je szybko spódnicą, ściągawszy brwi z pozorną przyganą. Mrugnął do niej. Za dwa tygodnie, kiedy zostanie jej mężem, będzie miał prawo widzieć wszystko, nawet najbardziej sekretne miejsca... Na myśl o tym poczuła bicie serca.

Rozmowa była równie lekka i zmienna jak wietrzyk: znajomi, bale, przyjęcia. Ploteczki, śmiechy, żarty... Ledwie musnąwszy jakiś temat, przerzucali się na inny, by za chwilę powrócić do pierwszego. Było przecież lato albo prawie lato, a lato oznaczało beztróskę. Niedawno wrócili z balu w Londynie, wkrótce wybierali się na następny... Nie daj Boże, by tempo rozrywek miało osłabnąć.

- Ależ ten George Percy tańczy... Zauważyliście? - kpił Douglas.
- Ramiona mu się kołyszą, jakby je miał przypięte szpilkami, i tak

jakoś się śłania... o tak... - Ciało Douglasa zwiotczało, przechylił się bezwładnie niczym marionetka i padł na ziemię. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Przyzwoitka, pani Dalton, cmoknęła z dezaprobatą.

- Och, pani Dalton... Musi pani przyznać, że to trochę komiczne - przypochlebił się Douglas. Matrona, ostatnia z płatnych opiekunek Susanny, chrząknęła i obdarzyła go powściągliwym uśmiechem, po czym wróciła do swojej robótki. Na pewno wyszywała jakąś maksymę, która w założeniu miała być inspirująca, a mimo to zwykle brzmiała jak upomnienie, na przykład: „Cisi posiadają ziemię”. Susanna często miała wrażenie, że robótki pani Dalton to milcząca próba poskromienia jej. Musi się pani lepiej starać, pani Dalton, pomyślała zuchwale. To brak skromności sprawił, że Susanna Makepeace została gwiazdą sezonu. I nie z powodu potulności młodej panny Douglas Caswell, który miał w przyszłości odziedziczyć tytuł markiza, oświadczył się o jej rękę.

Amelia Henfrey, najlepsza przyjaciółka Susanny, klasnęła w dłonie, olśniona nagłym pomysłem.

- Och, jakiś ty zabawny, Douglasie! A teraz pokaż pana Erskine'a!

Susanna rzuciła Amelii ostre spojrzenie. Czy ona nie próbuje flirtować z jej narzeczonym? Amelia miała bujne złociste loki i niebieskie oczy wielkości spodków; i jedno, i drugie bywało tematem niezliczonych amatorskich wierszy w tym sezonie. Ukradkiem sprawdziła liczbę falbanek na sukni przyjaciółki. Falbanka była jedna, podczas gdy jej własna nowa suknia pyszniła się aż trzema! Susanna nieco zmiękła.

Jeśli chodzi o oczy Susanny, to o ile wiedziała, nie powstał na ich temat żaden sonet ani oda. Były orzechowe, mieniające się zielenią i złotem; Douglas wyznał kiedyś w uniesieniu podczas pieszczot, że „przyprawiają go o zawrót głowy”. Utrzymawał, że to jej oczy zahipnotyzowały go do tego stopnia, iż musiał się oświadczyć, iż naprawdę nie pozostawiła mu innego wyboru. Potrafił bardzo przekonująco mówić na ten temat, co było jedną z przyczyn, że się w nim zakochała.

Amelia, pomimo złocistych loków i przejrzystych jak źródłana woda oczu, nie zaręczyła się dotychczas z nikim. Ponieważ jednak obie były dziedziczkami arystokratycznego tytułu i fortuny, Susanna wspianałomyślnie przyznawała przyjaciółce w duchu prawo, by usidliła równie dobrą partię jak ona.

A poza tym... Amelia to dobra dziewczyna, musiała to przyznać. Nigdy nie powiedziała nikomu nic przykrego, zawsze się do wszystkich uśmiechała, nigdy nie zachowywała się krnąbrnie. Podczas gdy ona...

Nie, nie była zła. Ale nie była też chyba dobra. Czarowała, olśniewała i mówiła mądre rzeczy, a to nie wiadomo dlaczego wydawało się jej niewłaściwe. Często gnębił ją nieokreślony niepokój, wręcz trwoga, której nie były w stanie do końca ukoić piękne suknie ani nieustanna wesołość. I nierzadko cierpiała na paroksyzmy zazdrości. Zdarzało się też, że bawiła się skrycie sprostaczeniami, którymi nie podzieliłaby się z nikim, gdyż wiedziała, że nie przysporzyłyby jej popularności.

Właśnie w tej chwili przyszła jej do głowy jedna z takich rzeczy: Amelia jest nudna.

Stłumiła tę myśl. Amelia to moja najlepsza przyjaciółka, na miłość boską! Aby odwrócić uwagę i powstrzymać rodzące się w głowie herezje, sięgnęła po blok rysunkowy i zaczęła szybko szkicować. Siedziała nieco na uboczu, pośród kępy drzew na skraju parku.

- Erskine? - Douglas podrapał się w brodę. - To ten młodzieniec, który o byle co ryczy ze śmiechu na cały głos, zginając się przy tym wpół?

- Pamiętacie, jak go oszukali na balu u Pembertonów? - wtrącił leniwie Henry Clayson.

- U Pembertonów? Czy to ten bal, na którym miałam suknię z błękitnego atłasu? - Amelia szufladkowała wszystkie wydarzenia zależnie od stroju, jaki w danej chwili nosiła.

- Tak - potwierdziła Susanna bez jakiegokolwiek złej myśli; prawdę mówiąc, ona postępowała tak samo. - A ja miałam jedwabną, a do tego...

- Odnoszę dziwne wrażenie, że rozprawiamy o balowych toaletach. Czyżbym się mylił? - zauważył zgryźliwie Henry Clayson.

Susanna figlarnie rzuciła w niego stokrotką.

- W takim razie porozmawiajmy o koniach. Widziałeś moją nową klacz, Henry?

Douglas i usiadł obok niej. Był to gest właściciela, niemy przekaz wysłany ku Henry'emu: Nawet jeśli rzuca w ciebie stokrotkami, i tak jest moja. Susanna się uśmiechnęła.

- Ojciec Susanny zawsze kupuje jej wszystko nowe - powiedziała tęsknie Amelia. -A mój sprawia mi jedną jedyną suknię i powiada, że jeszcze trochę, a będę rozpuszczona jak dziadowski bicz. A mama nie potrafi go przekonać, żeby potrząsnął sakiewką.

No i proszę... Susanna poczuła znajomy ucisk w piersi: zazdrość. Dziwne to było - zazdrościć Amelii tego, że ojciec nie chce jej kupować nowych rzeczy. Chodziło po prostu o to, że... och, no więc matka Susanny dawno umarła, a James Makepeace powierzył wychowanie córki rozmaitym guwernantkom, ochmistrzyniom i żelaznym damom w stylu pani Dalton, których obowiązkiem było zapewnienie Susannie tego, co jest niezbędne młodej damie. Susanna mogła robić wszystko, co chciała. Brała lekcje śpiewu i gry na fortepianie, rysowała i malowała, i to całkiem nieźle, naturalnie uczęszczała na kursy tańca, uczyła się też szycia. I jakimś cudem nie stała się zanadto rozpuszczona ani grymaśna, głównie dlatego że prawdziwie złe zachowanie zawsze wydawało się jej niewarte zachodu.

Ale tu właśnie tkwiły korzenie jej zazdrości: choć wychowała się w pięknym domu, otoczona pięknymi przedmiotami, oddałaby większość z nich - nową klacz może nie, ale fortepian i parę futer na pewno - za to, by jej ojciec interesował się choć odrobinę tym, ile córka wydaje na stroje. Czy w ogóle co się z nią dzieje... O tak, jej zaręczyny z Douglasem bardzo go ucieszyły, tak jak ucieszyłyby każdego normalnego ojca. Ale tak rzadko bywał w domu... Często wyjeżdżał, bo zajmował się importem antyków, i Susanna miała wrażenie, że uważa ją za część umeblowania. Dbał o nią tak, jak o wielki zegar w bibliotece albo jak o swoją najlepszą strzelbę. Był równie odległy i bezosobowy jak słońce - i jak ono niezbędny do życia.

Tak więc ilekroć Amelia czy Douglas - czy ktokolwiek inny spośród znajomych - wspominali o rodzicach, Susanna wpadała w panikę. Mówili językiem, którego nie znała. Nigdy nie będzie umiała włączyć się do takiej rozmowy.

Z matką wiązało się tylko jedno mgliste wspomnienie. Obudziła się w środku nocy... wokół panował ruch, krzątania, dało się słyszeć urywane szepty... pamiętała ciemne włosy, ciemne oczy i łagodny głos jakiejś kobiety, która starała się ją uspokoić... I tylko jedna rzecz była realna: miniaturowy portret pięknej damy. Bujne loki, duże, jasne, leciutko skośne oczy, pełne usta, delikatnie zarysowane kości policzkowe... Jej własna twarz, twarz Susanny. Na odwrocie, widniał napis skreślony płynnym, równym pismem: „Dla Susanny na pamiątkę -jej matka, Anna”. Ta miniatura była jedyną podobizną matki, jaka istniała w całym domu.

Kiedy Susanna była mała, chciała trzymać ten portrecik na swoim nocnym stoliku, przy łóżku, ale ojciec wytłumaczył jej łagodnie, że lepiej będzie, jeśli schowa go w szufladzie. Susanna uznała wtedy, że śmierć matki zdruzgotała ojca tak dalece, iż wszystko, co mu ją przypominało, włącznie z córką, było dla niego nie do zniesienia.

W zeszłym tygodniu jednak zastała go w swojej sypialni z miniaturą w ręce. Wstrzymała oddech. Może w końcu porozmawiają o matce... może po troszeczkę serce ojca odtaje, staną się sobie bliżsi, a potem on się poskarży, ile musiał wydać na jej futra... Nadzieja była tak głęboka, że aż bolesna.

I w tym momencie spostrzegła, że on patrzy na odwrotną stronę portretu. Po chwili mruknął: „No oczywiście!” Nie: „O mój Boże!” ani „Och...”, co wydawałoby się stosowniejsze w przypadku kogoś o nieuleczalnie złamanym sercu, tylko: „No oczywiście”. I było w tych dwu słowach dziwne podniecenie. W gruncie rzeczy brzmiały raczej jak: „Eureka!”

James podniósł wzrok. Widziała, jak na moment zmienił się na twarzy. To była konsternacja.

- Przepraszam cię, moja droga - powiedział. I wyszedł.

Douglas pochylił się nad Susanna i wziął do ręki jej szkicownik. Słońce osmaliło mu kark na złoto i Susanna zapragnęła przeciągnąć po nim dłońią, wzdłuż linii starannie przystrzyżonych włosów. Niedługo będzie miała prawo dotykać go wszędzie, nawet w najbardziej intymnych miejscach... Ciekawe, jaką sentencję wyhaftowałyby pani Dalton, gdyby знаła to uczucie? - pomyślała i poczuła, że ucisk w piersi zelżał. Kiedy stanie się żoną markiza in spe, zazdrość i niepokój na pewno odejdą w przeszłość.

Nagle Douglas przerwał kartkowanie szkicownika i przysłoniwszy oczy ręką, zmarszczył brwi.

- Susanno... czy to przypadkiem nie ochmistrzyni tu zdążyła? I to dosyć żwawo.

Istotnie, pani Brown, tęga kobieta, która zazwyczaj poruszała się tak, jakby każdy krok wymagał starannego namysłu, teraz tak się śpieszyła, że podkasała spódnicę powyżej kolan, aby mieć swobodę ruchu.

Rozmowy stopniowo zaczęły milknąć. Zapadła cisza. Wszyscy stali jak zahipnotyzowani, tak jakby nagie kolana ochmistrzyni z miejsca zdradziły misję, z jaką przybywała.

Susanna powoli wstała. Serce biło jej szybko, nierówno.

Zanim pani Brown otworzyła usta, już wiedziała.

Kit stanął w drzwiach. Książę nie podniósł głowy. Jego pióro nadal biegło tam i z powrotem po arkuszu papieru.

- Witaj, Christopherze - powiedział nieobecny tonem. - Usiądź, proszę.

Nawet gdyby Kit nie wiedział, że fakt, iż ojciec go wzywa, oznacza kłopoty, owo „Christopherze” powiedziałoby mu to bez cienia wątpliwości. Usiadł z rezygnacją na krześle o wysokim oparciu, usytuowanym na wprost ojcowskiego biurka. Czuł się podle - wczoraj wrócił do domu bardzo, bardzo późno, a teraz było doprawdy bardzo, bardzo wcześnie... Biurko piętrzyło się przed nim niczym dziób okrętu. Rozbawiła go ta myśl. Solidny był to okręt, psiakość... Z ciemnego dębu, wypolerowany tak, że książę mógł się w nim prze-

głądać, wykonując swoje powszednie czynności: rozmyślając głęboko o sprawach istotnych. Wpływając na bieg historii, poprzez złożenie podpisu na dokumencie.

I besztając syna.

Jednak Kit nie miał zielonego pojęcia, jaki mógł być powód dzisiejszego wezwania.

- Dzień dobry, sir.

Ojciec podniósł wzrok, wyraźnie zdziwiony jego oficjalnym tonem. Odchylił się na oparcie krzesła i obracając pióro w dwu palcach niczym wrzeciono, pilnie studiował twarz syna. Za oknem toczyło się gwarne londyńskie życie: ludzie krzatali się wokół swoich spraw, pieszo, konno, na barkach, w dorożkach... Jakże często ojciec niepostrzeżenie wpływał na bieg tych spraw! Nie wprost, pośrednio - nadzorował budżet służb wywiadu i nierzadko miał ostatnie słowo, jeśli chodzi o przydział zadań agentom Korony Brytyjskiej.

- To, że twoim zdaniem przełożony jest idiotą, Christopherze - zaczął znużonym tonem ksiązę - nie oznacza, że powinieneś mu o tym mówić.

Ach tak... Teraz sobie przypominał.

- Ale ojcze, ten id...

Książę ledwie dostrzegalnie pokręcił głową i Kit urwał. Prawdę mówiąc, choć z tysiąc razy zdarzyło mu się pomyśleć, że Chisholm jest idiotą, nigdy nie wypowiedział tej myśli na głos, aż do wczoraj, jak się okazuje. Co było doprawdy cudem, jako że Kit miał skłonność mówić szczerze o swoich wrażeniach i jedynie lata wojskowej dyscypliny potrafiły utrzymać tę szczerłość w ryzach. A mówiąc całkiem otwarcie, Chisholm zasłużył sobie na ten epitet.

Kit był jednak nie mniej niż ojciec przerażony, że wysnęło mu się to słowo. To chyba przez to piwo... No dobrze, piwo i brandy. I... czy nie polało się też nieco whisky? Fragmenty wczorajszej nocy wracały do niego teraz, oderwane, ale niestety aż nazbyt wyraziste. Przypominał sobie, że rozpoczął ten wieczór w White's wraz z kilkoma kolegami, agentami jak on, wśród których znajdował się jego najlepszy przyjaciel John Carr. Naturalnie zaczęli pić, co - nie da się

ukryć - zdarzało im się coraz częściej w ciągu ostatnich pięciu lat, odkąd skończyła się wojna. Chyba się nudzili... Czuł, że przywykł do niebezpieczeństwa, ryzyka, do jasno określonego celu i konieczności obmyślania strategii, jak ten cel zrealizować. Życie bez wojny było jakieś takie... mdłe. Brakowało mu pikanterii.

W pewnym momencie pojawił się w White's jego zwierchnik, Chisholm. A potem...

Ojciec leniwie postukiwał piórem w suszkę do atramentu. Stuk, stuk, stuk... Ten dźwięk odbijał się echem w głowie Kita niczym armatnia kanonada. Kusiło go, żeby wyciągnąć rękę, wyrwać ojcu przekłete narzędzie tortur i przełamać je na pół.

- Chisholm nie jest idiotą, Christopherze.

- Oczywiście że nie, sir - zgodził się Kit.

Co za szczęście... Postukiwanie ucichło. Co za błogosławiony spokój.

- Jest osłem - sprecyzował książe.

- Przyjmuję do wiadomości tę poprawkę, ojcze. Powinienem być wcześniej zasięgnąć twojej opinii.

Teraz to ojciec najwyraźniej z trudem stłumił uśmiech. Szybko jednak się opanował i powrócił do studiowania twarzy syna. Ta obserwacja budziła dziwny niepokój. A przecież po dziesięciu latach służby dla kraju, podczas której tylekroć znajdował się w beznadziejnej, zdawało się, sytuacji, a mimo to dzięki własnym talentom i intuicji zdołał ująć całość, mało kto doprawdy potrafił zaniepokoić Kita Whitelawa, wicehrabiego Grantham i przyszłego księcia Westphall... Lepiej chyba zabrać głos.

- Zdaję sobie sprawę, sir, że to, co powiedziałem, jest niewybaczalne, ale to się zdarzyło wyjątkowo...

-Wyjątkowo? - parsknął książe. - Tak samo jak tamta historia z Millviewem?

Kit urwał. No tak, była pewna historia z Millviewem, nie można zaprzeczyć. Historia na tyle... no, mogąca budzić zastrzeżenia, że książe zagroził synowi, iż załatwi mu rządową posadę w Egipcie. Sroga to była groźba, biorąc pod uwagę upodobanie Kita do Londynu

i londyńskiego życia. A co do Millviewa, to zakwestionował wówczas jego... no, pochodzenie.

- Proszę o wybaczenie - powiedział sztywno. - Wszyscy byliśmy trochę pijani, no i... stało się. Przykro mi. Zamierzam także przeprosić Chisholma.

- Czy nie wydaje ci się, że ostatnio dość często prosisz o wybaczenie, usprawiedliwiasz się i przepraszasz?

Kit doskonale wiedział, że nie ma co odpowiadać na tego typu retoryczne pytanie. Ojciec i tak odpowie sobie sam.

- Bo mnie owszem - podjął książę. - A poza tym zyskałeś sobie reputację kobieciarza.

Doprawdy? Kit był pod wrażeniem. Zarazem jednak fakt, że w ogóle miał jakąś reputację, a co dopiero taką, budził niepokój.

- Tak? - zaczął niepewnie. - To przesada. Interesuję się zawsze tylko jedną...

- O tak, tyle że wciąż nową. A ta najnowsza jest zamężna.

- Nieprawda! - Kit udał, że jest zszokowany. Aczkolwiek udało mu się zdażyć na spotkanie z ojcem tylko dlatego, iż rzeczona zamężna hrabina obudziła go, sycząc, by natychmiast ubierał się i wychodził, zanim mąż wróci od swojej metresy.

Książę zignorował jego okrzyk. Nie wiadomo dlaczego, zaczął znowu postukiwać tym przeklętym piórem, akcentując poszczególne kwestie.

- Odznaczyłeś się w walce, Kit. - Stuk. - Ocaliłeś życie swemu przełożonemu i sam zostałeś przy tym ranny. - Stuk. - Okazałeś męstwo pod każdym względem. - Stuk.

Kit słuchał zdziwiony. Przecież wykonywał rozmaite zadania, na polu walki i poza nim, bo taka była jego rola. Żaden z tych czynów nie wydawał mu się szczególnie heroiczny.

Aha... Już wiedział, co się kryje w tej wyliczance: kiedyś tak, ale ostatnio nie jestem z ciebie zbyt dumny, Christopherze.

Nie mogąc się doczekać, kiedy ojciec wreszcie powie, o co mu, do diabła, chodzi, zaczął układać w myśli rozmaite definicje heroizmu.

- Przejdźmy do rzeczy. Choć, jak wiesz, w czasie wojny odzna-
czyłeś się na wielu polach, to zapotrzebowanie na działalność wywia-
dowczą systematycznie spada. Dziś rano poinformowano mnie, że
James Makepeace nie żyje, i nie zamierzamy wyznaczać nikogo na
jego miejsce. Dlatego zdecydowałem...

—James Makepeace nie żyje?

Nic nie rozprasza poalkoholowej mgiełki równie skutecz-
nie, co nagła i niespodziewana wiadomość. Kiedy widział się
z Makepeace'em, dosłownie w zeszłym...

I nagle wszystkie włoski na jego karku stanęły dęba.

-Jak zginął James, ojcze? - Udało mu się wymówić to spokojnie.
Miał wrażenie, że zna odpowiedź.

-Poderżnięto mu gardło. I obrabowano: kieszenie miał puste.
To hańba i przykro mi z tego powodu. Wracając do tematu... Jak
powiedziałem, mamy coraz mniej pracy dla agentów i dlatego posta-
nowiłem wysłać cię...

- Sir, myślę, że James został zamordowany, bo zbierał dowody
przeciwko Thaddeusowi Morleyowi.

Dopiero gdy te słowa padły, zdał sobie sprawę, jak nieprawdopo-
dobnie brzmią. Zwłaszcza tu, w ojcowskim biurze, w świetle dnia,
a nie w ciemnym, zadymionym wnętrzu White's, gdzie James po
raz pierwszy opowiedział mu całą historię. Nie, to szaleństwo... Wy-
raz ojcowskiej twarzy mówił to samo.

A jednak morderstwo stawiało tę opowieść w zupełnie innym
świecie.

Tydzień temu Kit zaszedł do White's. James Makepeace siedział
sam przy stoliku i wpatrywał się w kieliszek whisky, jakby się zasta-
nawiał, co się właściwie z takim kieliszkiem robi. Jego samotność nie
była niczym szczególnym; James Makepeace często przebywał sam.
Ale whisky zaskoczyła Kita. James pracował w Biurze Spraw Zagra-
nicznych; od czasu do czasu Kit współpracował z nim w sprawach
obcego wywiadu i nigdy nie widział, by James pił coś bardziej wysko-
kowego niż herbata. Tak, najbardziej charakterystyczną cechą Jamesa
było... cóż, jego najbardziej charakterystyczną cechą był brak jakich-

kolwiek cech charakterystycznych. Poza milczącą godnością, rzadkimi przebłyskami kostycznego humoru i niezawodną kompetencją, która budziła jeśli nie sympatię, to w każdym razie zaufanie. Kit wiedział, że James ma dom w Londynie i drugi na wsi i że wychowuje córkę. Na tym kończyła się jego wiedza o tym człowieku. A mimo to zawsze go lubił, częściowo, jak przypuszczał, dlatego że tak trudno było go poznać. Intrygowało go to, a od jakiegoś czasu mało co go intrygowało.

Podszedł więc do stolika Jamesa. Skoro tamten nie zamierza wypić swojej whisky, on, Kit, chętnie zrobi to za niego... Kiedy jednak usłyszał na powitanie: „Powiedz mi, Grantharn, co wiesz o chrześcijańskich cnotach?” - półżartem zrobił w tył zwrot i ruszył z powrotem, skąd przyszedł.

A wtedy James się zaśmiał.

O ile można nazwać śmiechem ten stłumiony, niewesoły dźwięk, jaki wydał. Kit, wiedziony jakąś chorobliwą ciekawością, zawrócił.

- Nie martw się, Grantharn, jestem ostatnim człowiekiem, który wygłaszałyby kazania na temat moralności - powiedział James, co samo w sobie było dosyć interesujące. Potem jednak dodał: - Chciałbym ci opowiedzieć pewną historię o chrześcijańskich cnotach... i o jakimś panu Morleyu.

James, który, podobnie jak rodzina Kita, mieszkał od wielu lat w Barnstable i wiedział coś niecoś o jego przeszłości, zdawał sobie sprawę, że Kit nie powstrzyma się od rozmowy na temat Thaddeusa Morleya, takjak pies nie powstrzymałby się od ścigania zająca.

No i opowiedział swoją historię, a Kit jej wysłuchał, raczej rozbawiony niż przejęty. A potem John Carr i jeszcze paru kompanów porwało go do swojego stolika. James nie zdążył dokończyć opowieści, Kit zdążył jednak wypić jego whisky.

Ojciec rzucił mu chmurne spojrzenie niezadowolony, że mu przerwano.

- James podejrzewał Morleya? Członka wyższej izby parlamentu? O co?

- To było w zeszłym tygodniu... James powiedział mi, że jego zdaniem Morley jest zamieszany w morderstwo Richarda Lockwooda,

które miało miejsce przed laty. Powiedział... - Kit urwał. Poalkoholowa mgiełka znów zmaciła mu jasność myślenia, a chciał dokładnie powtórzyć wypowiedź Jamesa. - Powiedział, że Lockwood zbierał dowody, jakieś dokumenty, zdaje się, iż Morley sprzedawał informacje Francuzom i dzięki temu mógł sfinansować swoją polityczną karierę. I Morley doprowadził do tego, że go zamordowano.

Ojciec przez chwilę milczał. Po czym jego twarz przybrała wyraz przesadnej cierpliwości, znany Kitowi od dzieciństwa i od dzieciństwa znienawidzony.

- Christopherze, dobrze wiesz, że ludzie możni budzą zazdrość. A Morley być może większą niż inni ze względu na skromne pochodzenie.

Kit, znieczcierpliwiony, zaczerpnął tchu.

- Sir, James powiedział mi, że Lockwood ukrył obciążające Morleya dowody w jakimś cudacznym miejscu. Takiego wyrażenia użył: „cudacznym”. W miejscu, które ma coś wspólnego z chrześcijańskimi cnotami. Ale Lockwood nie zdradził Jamesowi, co to za miejsce. A potem został zamordowany i dowody nigdy nie ujrzały światła dziennego.

Książę popatrzył na syna ciężkim wzrokiem spod groźnie zmarszczonych brwi. Kit wytrzymał to spojrzenie.

I nagle twarz księcia się rozjaśniła, tak jakby doszedł do zadowalającej konkluzji.

- Czy James był pijany, kiedy ci o tym opowiadał? A może ty byłeś pijany? - Nachylił się i patrząc badawczo na syna, pociągnął nosem. - A może jesteś pijany w tej chwili? Jadłeś dzisiaj śniadanie, Christopherze?

- Och, na litość boską, ojczy... Nie, nie jadłem śniadania. - Sama myśl o jedzeniu czy picu sprawiała, że żołądek podchodził mu do gardła. - I nigdy w życiu nie widziałem, żeby James był pijany.

- Ehm - odchrząknął książę, wyrażając w ten sposób swoją opinię o rzekomej trzeźwości Jamesa.

- A na koniec - ciągnął uparcie Kit - powiedział mi, że już wie, gdzie można znaleźć te obciążające Morleya papiery. A teraz i on nie

żyje. To już dwa trupy. Dwa morderstwa. W obu przypadkach chodzi o byłych żołnierzy i każdy z nich tropił Morleya.

- Te dwa morderstwa rozdziela siedemnaście lat, Christophe-
rzc. - Książę z irytacją plasnął rozpostartymi dłońmi o blat biurka,
a Kit poczuł świdrujący ból w głębi czaszki. Och, nie powinien był
pić tej diabelnej whisky... - Nie widzę między nimi żadnego zwią-
ku. A James żadną miarą nie był upoważniony do śledztwa w sprawie
Morleya, o ile istotnie tym właśnie się zajmował, zanim został zamor-
dowany. Co więcej - ciągnął książę - zgodnie z zeznaniami świadków
w morderstwo Lockwooda była zamieszana jego metresa, a potem
metresa zniknęła i nikt jej od tamtej pory nie widział na oczy. W Lon-
dynie wrzało przez parę miesięcy. Gazety zamieściły jej podobiznę,
przetrzęsnięto cały kraj... - Książę rozłożył szeroko ręce, demonst-
rując rozległość poszukiwań. - Ale w końcu, co było do przewidzenia,
wrzawa ucichła. To dosyć prosta, choć paskudna sprawa, a zarazem
- podsumował, powracając najwyraźniej do tematu dnia - przestroga,
iż posiadanie kochanki jest potencjalnie niebezpieczne.

Potencjalnie niebezpieczne? Kit zastanowił się przelotnie nad
tymi słowami. Istniało niebezpieczeństwo, że tej nocy hrabina zaszła
z nim...

- I pozwól, że zapytam cię, synu... Dlaczego James Makepeace
zdecydował się powierzyć swoją... hm... konfabulację właśnie to-
bie?

Jasny piorun...

Kit zdawał sobie sprawę, że nie zdoła odpowiedzieć, nie oskarża-
jąc zarazem siebie samego, toteż uparcie milczał.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, ojciec odchylił się na oparcie
krzesła i ze świstem wypuścił z płuc powietrze. Zabrzmiało to tak,
jakby jego podejrzenia się potwierdziły.

- Christopherze, parę dni temu pan Morley zapytał mnie nader
ogłędnie, czym mógł zasłużyć sobie na niechęć z twojej strony.

Była to niespodzianka. A zarazem mógł się tego spodziewać.

- Jego wrażenie jest błędne - oświadczył sztywno Kit. - Zapew-
niam cię, ojczy, że nie dałem ku temu żadnych powodów.

A jednak był pewien, że Morley doskonale wie, o co chodzi. O pewien wieczór sprzed blisko dwudziestu lat. O przyjęcie, jakie odbyło się w ojcowskim domu w Barnstable. O rywalizację między dwoma przyjaciółmi, która omal nie zakończyła się dla nich tragicznie. O pewną uroczą, lekkomyślną młodą kobietę. Wówczas to Kit po raz pierwszy stanął twarzą w twarz z Thaddeusem Morleyem.

I po raz ostatni widział się z Caroline Allston.

Zapadła cisza. Znaleźli się w martwym punkcie. Lekki wietrzyk leniwie poruszył firanką, a Kit znów poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Stłumił pragnienie, by zamknąć oczy, i z wysiłkiem patrzył nadal na ojca. Jakże podobna była ta twarz do jego własnej... Ale subtelniej sza, bardziej harmonijna. Ojciec był przystojny, tak uważali wszyscy. Co do niego zaś - z tym aroganckim, garbatym, odziedziczonym po dziadku nosem, kanciastą szczęką i niepokojąco jaskrawobłękitnymi oczyma swojej matki - to nie zdarzyło się, by ktokolwiek powiedział o nim, że jest przystojny. Raczej intrygujący. To już prędzej.

Mówiło mu to tyle kobiet. Jedne ze złością, inne - omdlewająco...

- Ojciec - spróbował raz jeszcze, gdyż rezygnacja nie leżała w jego naturze -jaki powód mógłby mieć James Makepeace, żeby mi opowiedzieć tę historię? Czy nie oznacza to...

- Christopherze - uciał krótko ojciec. - Zostaw to.

- Dlaczego? - warknął Kit. - Bo śledztwo przeciw Morleyowi byłoby dla ciebie niezręczne ze względów politycznych?

To było ryzykowne pytanie. Kit natychmiast pożałował, że je zadał. A wszystko przez te pulsujące bólem skronie... Teraz przypominał sobie, że był i szampan. Zdaje się, że hrabina nalała sobie odrobinę szampana do pępka, a on...

- To powinno mieć znaczenie również dla ciebie, synu - rzekł spokojnie książę.

Chris milczał. Tak, ojcu należała się lojalność z jego strony. I niewątpliwie był lojalny. Wiedział, że nie zdoła wyjaśnić mu do końca swoich uczuć wobec Morleya, tak jak nie zdołałby do końca wyjaśnić sprawy Caroline Allston.

- No, dosyć - powiedział cierpko ojciec. - Straciliśmy już dostatecznie dużo czasu na te głupstwa. Wróćmy do rzeczy, Christophe. Biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, postanowiłem wysłać cię do Egiptu, takjak mówiliśmy wcześniej.

Kit poczuł lód w piersi. Rozchylił wargi, by coś powiedzieć, ale nie wyszedł z nich żaden dźwięk.

Ojciec patrzył na niego z beznamiętnym zainteresowaniem, niczym naukowiec, który czeka na wynik eksperymentu.

- Postanowiłeś...- wykrztusił Kit ochryple. Reszta wydawała się zbyt straszliwa, by wypowiedzieć to na głos.

- ..wysłać cię do Egiptu? - podsunął książę uprzejmie. - Tak. Dziś. Statek odpływa za dwie godziny. Twoje kufry są już spakowane.

Kit nie był zdolny do jakiegokolwiek reakcji. Nogi i ręce miał jak z marmuru, nie potrafiły sklecić ani jednego zdania. Wpatrywał się w ojca, czekając, aż szok ustąpi, by mógł jakoś zareagować.

Książę nadal patrzył na syna. Na jego twarzy powoli pojawił się wyraz namysłu.

-Albo...

Kit uczeplił się tego „albo” niczym marynarz kawałka drewna z roztrzaskanego statku. Czekał. Usiłował się uśmiechać, takjakby to, co za chwilę powie ojciec, nie miało dla niego najmniejszego znaczenia.

- Albo możesz natychmiast udać się do Barnstable, żeby pracować nad albumem.

Uśmiech znikł.

- Nad czym?

- Nad albumem. Przyrodniczym. - Ton ojca był zwodniczo niewinny. - Podobnym do tego, nad jakim pracował zmarły niedawno Joseph Banks. Trzeba zgromadzić dokumentację na temat flory i fauny angielskiej wsi, a okolice Barnstable były dotychczas pomi-jane pod tym względem. Właśnie szukamy kogoś, kto mógłby się tym zająć, i myślę, że tym człowiekiem jesteś ty. Będziesz robił notatki, szkicował... Zamieszkasz na ten czas w Różanym Dworku.

Jak zapewne pamiętasz, twoja matka najchętniej przebywała właśnie tam, a ostatnio trochę go zaniedbywaliśmy.

Czy ojciec na pewno dobrze się czuje? Kit zwątpił w to.

- Joseph Banks był przyrodnikiem - powiedział powoli, z naciśkiem. - Ja jestem szpiegiem.

- No cóż... Zostałeś szpiegiem dopiero po tym, jak postrześliłeś przed laty przyjaciela w sporze o tamtą szaloną dziewczynę. Spakowałem cię wtedy i wysłałem do wojska...

- To był pojedynek - mruknął Kit. - Miałem raptem siedemnaście lat.

- ...ale kiedy byłeś młodszy, Christopherze, pragnąłeś zostać przyrodnikiem.

Kit nie wierzył własnym uszom.

- Tak. Przez jakieś pięć minut.

Książę jednak najwyraźniej odpłynął w sferę marzeń.

- Nie pamiętasz? Właziłeś na drzewa, podpatrywałeś wiewiórki i jelenie, przynosiłeś do domu węże, ptasie gniazda i inne tego typu okazy natury, pływałeś w stawie... Twoja matka była zachwycona. Zdaje się, że odkryłeś jakiś rzadki gatunek myszy?

- Nornicy - poprawił z irytacją Kit. - Rzadko występujący w tym regionie gatunek nornicy.

- No widzisz? Znasz się na tym doskonale - stwierdził z zadowoleniem książę, takjakby dowiódł swego.

I nagle Kit zrozumiał.

- Tak czy owak, czeka mnie zesłanie - mruknął.

Książę uśmiechnął się promiennie i diabolicznie zarazem.

- No, nareszcie zaczynasz pojmywać, o co chodzi.

- Nie możesz... nie możesz mnie skazać na zesłanie, ojcze, tylko dlatego że nazwałem kogoś idiotą!

Ojciec patrzył na niego pogodnie.

- Czy... bękartem - brnął dalej Kit.

Ojciec nadal milczał, spokojny niczym jezioro w bezchmurny letni dzień.

- Czy dlatego że... że interesują mnie kobiety! - zaryzykował Kit.

- Ależ mogę. - Ojciec beztrząsco wyraził swą odmienną opinię.
- Każda z powyższych okoliczności stanowi wystarczający powód. Uprzedzałem cię kiedyś, Christopherze. Teraz masz do wyboru: albo pojechać do Barnstable, albo do Egiptu. Zdecyduj się.

Kit zdał sobie sprawę, że ojciec jest śmiertelnie poważny. A kiedy ojciec był śmiertelnie poważny, żadne argumenty nie były w stanie podważyć jego decyzji. Właśnie dlatego przed laty, po tym nieszczęsnym pojedynku, Kit natychmiast znalazł się w akademii wojskowej... Patrzył na księcia, ale przed oczyma miał do bólu wyrazisty obraz tysiącznych przyjemności i wygod, które bezpowrotnie znikną z horyzontu, gdy jego statek opuści wybrzeże Anglii. I hrabina zdobyta z takim trudem!

A jeśli chodzi o Barnstable i Różany Dworek... cóż, Barnstable dzieliło od Londynu zaledwie parę godzin konnej jazdy. Co z tego? Równie dobrze mogło leżeć w Egipcie... bo po prostu nie był to Londyn.

-Ale przecież potrzebujesz mnie tu, na miejscu. Jestem najlepszym agentem w kraju.

Poczuł coś na kształt zadowolenia, gdy ojciec nie zakwestionował tego sądu, w oczywisty sposób niemożliwego do udowodnienia. Ale i nic ustąpił.

- Egipt albo Barnstable, Christopherze. I wiedz, że jeśli wybierzesz Barnstable, oczekuję rzetelnej pracy. Każda roślina, każde stworzenie... wszystko ma być starannie pieczołowicie udokumentowane. Masz na to miesiąc, a potem rozważymy ewentualność twej dalszej pracy w tajnych służbach Jego Królewskiej Mości. Jeśli usłyszę, że zadajesz się z kobietami, jeśli się dowiem, że zajmujesz się czymkolwiek innym niż to, co ci zostało zlecone, jeśli choć raz zobaczę cię w Londynie, jeśli ktoś mi doniesie, że widział cię w pobliżu Londynu... wówczas osobiście odstawię cię na statek. Popłyniesz do Egiptu i obejmiesz tam jakąś spokojną, mało znaczącą rządową posadę. Czy wyraziłem się jasno?

Milczenie, jakie zapadło, było niczym młotek licytatora.

Kit uznał, że skoro nie ma wyjścia, może przynajmniej zachować odrobinę godności.

- Wybieram Barnstable - oznajmił spokojnie.
 - To dobrze. Tęskniłbym za tobą, gdybyś wyjechał do Egiptu.
- I przekłęty ojciec uśmiechnął się przebiegle.
- Kit zignorował ten przejaw afektu.
- A jeśli wykonam zlecenie w zadowalający sposób przed upływem miesiąca?
 - To będziesz mógł wrócić - oświadczył ojciec. - O ile będziesz miał pewność, że istotnie wykonałeś je w sposób, który mnie zadowoli. Dziś już zwalniam cię z obowiązków, abyś mógł się przygotować do podróży. A teraz możesz odejść.
- Kit odsunął krzesło i wstał. Ostrożnie, ma się rozumieć.
- I, synu... - głos księcia był na pozór obojętny, ale Kit był pewien, że to, co usłyszy, nie będzie obojętne - nie potrzebuję ci powtarzać, że sprawę Morleya masz zostawić w spokoju, prawda?
- Cóż, ojciec dobrze go znał.
- Oczywiście że nie, sir. Myślę, że to jasne.
 - Zawsze byłeś rozumnym chłopcem, Christopherze.

Wielki złocony zegar w bibliotece niezmordowanie odmierzał sekundy. Susanna milczała, nie wierząc własnym uszom.

- Bez... bez środków do życia? - powtórzyła, na wypadek gdyby źle zrozumiała to, co powiedział prawnik ojca.

- Bez grosza - potwierdził bezlitośnie pan Dinwiddy, akcentując poszczególne sylaby. - To właśnie oznacza wyrażenie „bez środków do życia”, panno Makepeace.

Susanna w oszołomieniu powiodła wzrokiem po bibliotecznych półkach, tak jakby szukała tam jakiejś pomocy. Albo wskazówki, która pomogłaby jej zrozumieć człowieka, jakim był jej ojciec.

Poderżnięto mu gardło. Co za potworny, dramatyczny koniec... A żył tak spokojnie. Przez cały ranek Susanna przyjmowała kondo-

lencje, marząc, by mogła albo zapłakać, albo się uśmiechnąć. Ale czuła tylko głuchy smutek, który dziwnie przytępił wszystkie jej zmysły. Smutek po stracie człowieka, który zawsze był dla niej jedynie uprzejmy. I smutek, że już nigdy nie będzie mogła poznać go naprawdę.

Zdawała sobie sprawę, że nie taki smutek powinna odczuwać córka po stracie ojca, i do smutku dołączyło się poczucie winy. A także -jeśli miałyby być wobec siebie całkiem szczerza - złość. Przecież chciała go poznać! Chciała go pokochać!

A on jej na to nie pozwolił.

- Panno Makepeace? - dobiegł ją głos pana Dinwiddy'ego.

Zwróciła ku niemu głowę.

- Bez grosza? Ale... ja nie rozumiem. Jak... to znaczy...

- Sklepiarze i dostawcy od lat umożliwiali pani ojcu kupowanie wszystkiego, włącznie z pani ubraniami, na kredyt. Służba była opłacana, ale wierzyciele nie. I ja także nie otrzymam zapłaty - dodał ze smutkiem. - Cała posiadłość pani ojca, włącznie z umeblowaniem, zostanie natychmiast zabezpieczona na poczet długów. Radzę, aby opuściła pani dom możliwie jak najszybciej.

„Bez grosza” - pulsowało w głowie Susanny. Nie mogła złapać tchu. Wpatrywała się w pana Dinwiddy'ego, niemal go nie widząc, a czarna żałobna suknia - piękna, kosztowna i prawdopodobnie kupiona na kredyt - nagle zaciążyła jej, jakby była z ołowiu.

Do biblioteki wpadła mucha i zaczęła krążyć wokół lśniącej łysiny pana Dinwiddy'ego. Susanna śledziła wzrokiem jej lot, na wół zahipnotyzowana.

Pan Dinwiddy siedział nieporuszony. Nieoczekiwanie przechylił głowę, a na jego twarzy pojawił się wyraz dziwnego namysłu.

- Czy ma pani jakichś krewnych, którzy mogliby wziąć panią do siebie, panno Makepeace?

- Ja... ja nie... - wyjąkała. Tak dziwnie dzwoniło jej w uszach... Czyżby miała zemdleć? Nigdy w życiu dotąd nie zemdląca, chociaż raz czy dwa zdarzyło jej się udawać, że dostała zawrotu głowy - na balu, bo chciała się wykraść do ogrodu, żeby spędzić parę minut sam

na sam z Douglasem. A także dlatego, że Douglas czuł się wówczas taki męski.

Mucha zdecydowała się usiąść na prawym uchu pana Dinwiddy'ego. Pan Dinwiddy plasnął się dłonią po czaszce i spędził ją. Mucha powróciła do leniwego krążenia po orbicie. Prawnik odchrząknął.

- Być może, panno Makepeace, moglibyśmy dojść do jakiegoś porozumienia?

- Porozumienia? - Susanna poczuła odrobinę nadziei. „Porozumienie” brzmiało lepiej niż „bez grosza”.

- Mam w Londynie dom. Mogłaby w nim pani zamieszkać, a w zamian za to... - Urwał. - Zabawiłaby mnie pani... raz czy dwa razy na tydzień.

Susanna zmarszczyła lekko brwi. Nie rozumiała, o co mu chodzi.

Pan Dinwiddy czekał. Jego małe oczka połyskiwały zza szkieł okularów.

Wreszcie pojęła, co miał na myśli. Zerwała się na równe nogi i cofnęła gwałtownie, tak jakby nagle stanął w płomieniach.

-Jak... pan... śmie! - zdołała wykrztusić. Twarz ją paliła.

Prawnik wzruszył ramionami. Wzruszył ramionami!

Susanna zaczerpnęła tchu. Wyprostowała się na całą wysokość.

- Zapewniam pana, panie Dinwiddy, że ma się mną kto zaopiekować. Mój narzeczony jest synem markiza Graydona. Kiedy mu powiem o pańskiej... propozycji, bez wątpienia wyzwie pana na pojedynek.

- O, bez wątpienia. - W głosie pana Dinwiddy'ego było raczej znużenie niż sarkazm. Leniwie podniósł się z fotela.

- Miłego dnia, panno Makepeace. Być może zechce pani zatrzymać moją kartę wizytową. -I wyciągnął ku niej bilecik. Susanna odwróciła gwałtownie głowę i zacisnęła dłonie w pięści, tak jakby się bała, że któraś z rąk może ją zdradzić i sięgnąć po wizytówkę. - Na wypadek, gdyby pani narzeczony nie okazał się tak... szarmancki.

- Ale... ale... mama mówiła, że zrozumiesz to, Susanno.

Douglas stał przed nią, ściskając w rękach kapelusze tak mocno, że aż pobiełały mu kostki. Na jego twarzy malowała się udręka. Normalnie, gdyby Douglas miał jakieś zmartwienie, Susanna pocieszałaby go, a może nawet pogładziłaby go po policzku. Tak przecież zachowują się narzeczeni, prawda? Ale w tej chwili...

- Z drogi, panienko! Proszę nas przepuścić! - zahuczał wesoły bas. Dwóch krępych mężczyzn w butach z cholewami dźwigało fortepian, ostrożnie stąpając po śliskiej marmurowej posadzce. Susanna odstaąpiła na bok. Przez chwilę w wypolerowanej powierzchni instrumentu mignęło odbicie jej bladej jak kreda twarzy, po czym fortepian zniknął za drzwiami. Na zawsze.

Douglas tęsknie zerknął przez ramię ku drzwiom. W ciągu ostatnich paru minut zrobił to już parokrotnie.

- Douglasio... - Urwała, słysząc błagalną nutę w swoim głosie. Niedoczekanie, by miała go o coś błagać. Nigdy dotąd o nic nie błagała w całym swoim życiu.

Psiakrew... Ona dotąd nawet nie znała takiego słowa!

Ale takie słowa same się zjawiają nie wiadomo skąd, kiedy ktoś kogoś porzuca.

Jak błyskawicznie rozeszła się ta wiadomość: Susanna Makepeace jest bez grosza... Zupełnie jakby mucha krążąca wokół łysiny pana Dinwiddy'ego była szpiegiem wszystkich matek w okolicy. Matka Douglasa przystąpiła do akcji tak szybko, jakby chodziło o uratowanie syna od zarazy.

- Uwaga, panienko! Proszę podnieść nóżkę! O tak, serdeczne dzięki... - Dwóch innych mężczyzn związało dywan w salonie tak beztrosko, jakby to była gra w krykieta. Dźwignęli zrolowaną belę na ramiona i ruszyli ku drzwiom. Ciężkie frędzle dywanu musnęły kremowo-błękitną chińską wazę, zupełnie jakby ktoś musnął palcami policzek ukochanego. Waza zachybotowała się niebezpiecznie, raz, drugi... i nie przewróciła się. Susanna odetchnęła. To dobrze, że waza się nie stłukła. Będzie mogła nią cisnąć w Douglasa.

- Tak... tak będzie lepiej, Susanno. - Bez wątpienia znowu powtarzał słowa mamusi.

- Lepiej, Douglasie? Wyjaśnij mi, proszę, na czym ma polegać to lepiej? Albo może - dodała gorzko - powiedz swojej mamie, żeby przyszła i mi to wyjaśniła.

Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek dotąd mówiła coś takim gorzkim tonem.

Wpatrywali się w siebie, oboje udręczeni. Z dziedzińca dobiegały pogodne, różne okrzyki tragarzy, ładujących na wozy wszystko to, co uważała dotąd za oczywisty element swej egzystencji: dywany, świeczniki, kandelabry, książki, sofy, łóżka.

Całe jej życie.

- Nie rób tego, Douglasie - szepnęła. Jakże nienawidziła tej błagalnej nuty we własnym głosie! - Kocham cię. A ty kochasz mnie, wiem o tym.

Douglas wydał nieartykułowany cichy dźwięk i energicznie postąpił krok naprzód, wyciągając ku niej ręce w geście... prośby? Pocięchy? Pożegnania? Cokolwiek to było, najwyraźniej się rozmyślił, bo opuścił ramiona i pokręcił głową, takjakby chciał pozbyć się myśli o niej. A potem nagle się odwrócił i ruszył za fortepianem i kobiercem, wkładając po drodze kapelusz na głowę.

Nie obejrzał się ani razu.

Susanna odprowadzała go wzrokiem. W gardle czuła dławienie i ból. To na pewno jej własne rozdarte serce. Sięgnęła dłonią ku szyi, by to sprawdzić.

- Na bok, panienko! Dziękuję uprzejmie!

Po schodach zstępował mężczyzna, niosąc całe naręcze jej sukien. Jedwabnych, aksamitnych, muślinowych. Suknie wyslizgiwały mu się z objęć i Susannie wydało się nagle, że to żywe istoty, ofiary gwałtu, które usiłują wymknąć się swemu prześladowcy.

- Proszę... to... zostawić. Natychmiast.

Lodowata nuta we własnym głosie dodała jej mocy. Nie wiedziała, że w razie potrzeby ma do dyspozycji taki głos. Mężczyzna zamarł w pół kroku i wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami.

- Ale panienko, my mamy przykazane, żeby wszystko...

Susanna nachyliła się, ujęła ciężką wazę i powoli, znacząco uniosła ją ponad głowę. Mężczyzna przezornie śledził jej ruchy.

- Liczę do trzech - wyskandowała.

Wielkolud unióśł brwi i postąpił nieco naprzód. Susanna uniosła wazę jeszcze odrobinę wyżej.

- Raz... dwa...

- Susanna?

Susanna błyskawicznie odwróciła głowę. W drzwiach stała Amelia. Jej oczy były wytrzeszczone ze zdumienia.

Ze schodów dobiegł szelest. Susanna się odwróciła.

- Trzy! -I zamachnęła się.

- Dobra, dobra, po co się denerwować, panienko. - Mężczyzna poddał się i upuścił kłęb sukien na schody. Tkaniny zaszeleściły miękko i zabrzmiało to jak zbiorowe westchnienie ulgi. - Mogę przejść? -I unióśł uspokajająco dłonie.

Susanna opuściła wazę i przycisnęła ją do piersi. Mężczyzna, widząc, że opuścił ją demon, który ją przed chwilą opętał, pewnym krokiem zszedł na dół.

-A mogę zabrać to? - spytał grzecznie i -wskazał brodą na wazę.

Z westchnieniem wręczyła mu naczynie. Wziął je i wyszedł, pogwizdując - żywy obraz nieskomplikowanych uczuć.

Susanna opadła na schody i dysząc ciężko, ukryła twarz w dłoniach, przerażona i dziwnie ożywiona zarazem. Śmierć ojca najwyraźniej otworzyła puszkę Pandory, kryjącą w sobie rozmaite uczucia. Wszystkie były interesujące i wszystkie nieprzyjemne.

Przed chwilą groziła mężczyźnie, że ciśnie w niego wazą z powodu paru łaszków.

Amelia milczała. W pierwszej chwili Susanna pomyślała, że wyszła. Po chwili jednak przez szpary między palcami dostrzegła stopy przyjaciółki w błękitnych trzewiczkach z kożłęczą skórą.

- Myślisz, że to kara za pychę, Amelio? - spytała, odejmując dłonie od twarzy.

- Pychę? - Amelia patrzyła na nią, wyraźnie niespokojna. Bez-wiednie dotknęła dłonią swoich blond loków. - Byłaś pyszna, Sus-sanno?

- Tak - potwierdziła Susanna z rozmyślnym naciskiem, na wy-padek gdyby Amelia była troszkę zbyt dumna z tych swoich blond loków i błękitnych spacerowych trzewiczków z kozłej skóry. Amelia opuściła rękę i zaczęła się bawić fałdami spódnicy.

Zapadła cisza.

- Co zamierzasz? - szepnęła w końcu.

- Ja...-Susanna urwała.

W ciągu ostatnich paru dni cała służba odeszła. Dobry lokaj czy pokojówka byli w cenie i wszyscy bez większego trudu znaleźli nowe zajęcia; kolejno, jeden po drugim, żegnali się z nią mile, ale rzeczowo i bez sentymentów. Wszyscy mieli rozpocząć nowe życie w nowych miejscach. Co do niej jednak...

Cóż, potrafiła prowadzić wielkie gospodarstwo. To znaczy po-trafiła pouczać służbę, jak należy prowadzić wielkie gospodarstwo. Miała dostateczne kwalifikacje, aby zostać guwernantką, pod warun-kiem że jakiś rodzic pragnąłby uczyć swoją córkę tańca i tego, ile koronek, zgodnie z modą, należy mieć na sukni w roku 1820. Krótko mówiąc, nie miała najmniejszego pojęcia, co zamierza.

Zawsze, rzecz jasna, mogła skorzystać z propozycji pana Din-widdy'ego...

Susanna poczuła, że ogarnia ją nowa fala nienawiści.

Jeszcze parę dni temu jej życie było niczym długie słoneczne po-południe, spędzane z beztroską piosenką na ustach. A dziś... Wkrót-ce nie będzie nawet miała dachu nad głową. Dłonie zwilgotniały jej od potu; wytarła je o spódnicę. Możliwe, że to duma doprowadziła ją do upadku, ale był to ostatni kawałek drewna z roztrzaskanego statku jej dawnego życia i uchwyciła się go kurczowo. Niedoczekanie, żeby Amelia usłyszała od niej jakąś odpowiedź.

Niedoczekanie. Coraz bardziej podobało jej się to słowo.

- A Douglas...?-spytała ostrożnie Amelia.

Coś takiego było w jej tonie, że Susanna spojrzała bacznie na przyjaciółkę. I po raz pierwszy twarz Amelii Henfrey, zwykle czytelną jak otwarta księga, była... nieprzenikniona.

A więc dlatego przyszła. Wie... Chciała się tylko upewnić. Ciekawe, czy matka Douglasa wysłała liścik do matki Amelii: „Sytuacja jest dogodna, aby...”

Zanim zdążyła odpowiedzieć, ukazała się pani Dalton, ubrana w ciemny podróżny strój. Opuszczała dom jako ostatnia z personelu. Ona także znalazła inną młodą damę, której miała teraz doglądać i zadreczać swoim nieustannym milczącym osądem.

- To dla pani, panno Susanno - powiedziała energicznie, podając jej jedną ze swoich robótek. - Na pożegnanie.

Susanna rozpostarła makatkę. „Miłosierdzie zaczyna się w domu” - głosił pracowicie wyhaftowany napis.

- Dziękuję, pani Dalton - powiedziała Susanna z ironią, na jaką prezent zasługiwał.

Pani Dalton skromnie skinęła głową.

- I jeszcze to, panno Susanna. Przyszło z ranną pocztą. Od pani Frances Perriman w Barnstable. - I wyciągnęła okrytą rękawiczką dłoń, w której trzymała kopertę.

Kim mogła być pani Frances Perriman? Susanna nie miała pojęcia. Ale list rzeczywiście był zaadresowany na jej nazwisko. Susanna czuła się tak samotna, że natychmiast postanowiła, iż kimkolwiek jest Frances Perriman, od tej chwili staje się jej najlepszą przyjaciółką.

Na dnie puszki Pandory była przecież Nadzieja...

Rzuciła Amelii rozmyślnie nieodgadnione spojrzenie i złamała pieczęć na kopercie.

Droga Panno Makepeace!

Ufam, iż wybaczy mi Pani nadmierną być może śmiałość, jako że widziałyśmy się dotąd tylko raz, kiedy była Pani jeszcze dzieckiem. Jestem jednak kuzynką Pani biednego nieżyjącego ojca i doszły mnie słuchy o zmienionym położeniu, w jakim się Pani

obecnie znajduje. Chciałabym, o ile nic dysponuje Pani innymi możliwościami, zaprosić Panią pod swój dach. Załączam stosowną kwotę na opłacenie dylizansu...

Wygląda więc na to, że ma jakąś rodzinę!

- Zamieszkać u mojej ciotki w Barnstable - powiedziała triumfalnie do Amelii.

Thaddeus Morley odsunął ciężką aksamitną zasłonę i wyjrzał przez okno na plac Świętego Jakuba, wypatrując dorożki, którą miał przyjechać jego gość. Dostrzegł jedynie kilka modnie ubranych dam, spacerujących pod rękę ze swymi równie wykwintnymi towarzyszami, i pomnik Williama III w białym czepcu ptasich odchodów. Niebo jak zwykle zasnuwała brudna londyńska mgła.

Zasłonił na powrót okno i opuścił rękę. Natychmiast podbiegł kot i tryknął w nią łebkiem. Pewnie czuje krew... Wargi Thaddeusa Morleya wykrzywił drwiący uśmiech. Co za melodramat. Jeszcze chwila, a niczym lady Makbet zaczną mamrotać: „Precz, precz, przekłeta plamo...”

Poza tym... to tylko dwa trupy. Zaledwie dwa.

A jednak listy od szantażystów przychodziły ostatnio równie często jak zaproszenia na bal.

Znów się uśmiechnął. Być może dobry obiad przywróci mu spokój... Jakoś zanadto pracowała mu dziś wyobraźnia. Przecież to tylko dwa listy. Zaledwie dwa.

A jednak nawet jeden to może być o jeden za dużo.

- Kici, kici, kici! - zawołał pieścizotliwie i przesunął szeroką dłoń o krótkich palcach po jedwabistym ciele Puszka. Te ręce zdradzały, że od stanu włościańskiego dzieliło go zaledwie jedno pokolenie. Kot wygiął się w łuk i zamruczał. To przypomniało mu nagle Caroline, sprawczynię pierwszego szantażu, i nieoczekiwanie poczuł fałg zaprawionego irytacją smutku.

Pewnego wieczoru, przed laty, na przyjęciu u księcia Westphall, zabrał ją ze sobą, tak jak zabiera się różne potrzebne rzeczy, przygotowu-

jąc się do podróży. Potrafił rozpoznać w innych ludziach słabość, mrok i niezaspokojone pragnienie, i zapuszczał w tę glebę korzenie niczym drzewo w poszukiwaniu głęboko ukrytej wody. I w Caroline też to z miejsca zauważył. Był to niemal nieodłączny atrybut jej niezwykłej urody. A później... cóż, któregoś wieczoru, gdy był z Caroline, poczuł w środku dziwne drgnienie. Może to miłość, pomyślał wówczas.

Ale była to raczej niestrawność.

Caroline opuściła go przed niespełna dwoma laty. Może było to nieuniknione. Przecież nie trzymał jej na łańcuchu, a każde dzikie stworzenie może wyjść, kiedy drzwi klatki są otwarte. Uznała za właściwe wyjść z przystojnym amerykańskim kupcem pod rękę.

Może porzuciła i kupca. Najwyraźniej coś się z nim stało, inaczej nie posuwałyby się do szantażu.

Kto jak kto, ale ona powinna była zdawać sobie sprawę, że szantażowanie go to wielki błąd. Jak wytrwale, ciężko, zajadle walczył o to wszystko, co teraz ma... I równie zajadle będzie walczył, żeby to wszystko zachować.

Ale przecież Caroline nie jest zbyt mądra i rzadko kiedy wybiega myślą w przyszłość. Bez trudu zapędzija wkrótce w kozi róg.

Zadzwonił. Na schodach dały się słyszeć ciężkie kroki Boba. Każdy kolejny służący otrzymywał to samo imię - Bob. Tak było prościej, bardziej anonimowo, poza tym przypominało im to, gdzie jest ich miejsce. Ten konkretny Bob służył mu od lat i i dowiedział, że jest zarówno kompetentny, jak i dyskretny.

Wsparłszy się mocno na lasce, by zachować równowagę, Morley odwrócił się od okna. Nie mówiąc ani słowa, spojrział pytająco na Boba.

- Nie ma nic, sir. Zajrzałem, psiakrew, w każdą szparę, przetrząsałem wszystkie szuflady, obmacałem każdy mebel, pociąłem tapicerkę. Przeszukaliśmy cały dom, stajnie i budynki gospodarcze też. A wie pan przecież, że jestem zawodowcem. - Bob wypiął lekko pierś.

Określenie tego, co poczuł Morley, jako ulgi, byłoby pewną przesadą, bo od początku był pewien, że Makepeace blefuje. Szantaż jest często aktem desperacji; Makepeace tonał po uszy w długach.

I zanim zacząć sprawiać nieco większe kłopoty, został załatwiony gładko, sprawnie i bez litości.

Pink... Kolejny pionek strącony z szachownicy. Tym razem to Makepeace.

- Doskonale. - Odwrócił się z powrotem do okna. - Dziękuję ci, Bob.

Ale Bob, zamiast odejść, odchrząknął. Irytujące.

- Sir... jest jeszcze coś, o czym powinien pan wiedzieć.

Morley znów się odwrócił. Niecierpliwie wierząc końcem laski w grubym dywanie, czekał.

- Ta dziewczyna... córka Makepeace'a...

-Tak?

Nie lubił spędzać zbyt wiele czasu w obecności takich ludzi jak Bob. Tylko tyle, ile było konieczne. Znadto przypominali mu jego własne korzenie; czasami miał wrażenie, że niczym fala odpływu ciągnie go to z powrotem w głąb morza.

-Jest jak żywy obraz Anny Holt.

Ciało Morleya przeszło prąd. Zamarł w bezruchu.

- Całkiem jakbym ujrzał ducha - dodał Bob, wzdrygnąwszy się obrazowo.

-Jesteś pewien? -Jakże nienawidził tego wahania we własnym głosie.

-Jestem zawodowcem, sir. -W głosie Boba pobrzmiwała uraza.

- Mam doskonałą pamięć. A Annę Holt widywałem na tyle często, kiedy śledziłem Lock...

Morley uniósł rękę. Nie lubił, aby przypomniano mu o... cóż, myślał o nich wyłącznie jako o wcześniejszych ruchach na szachownicy. Starannie zaplanowanych i przeprowadzonych manewrach. I tyle.

- A poza tym są listy.

- Listy? - powtórzył ostro Morley. - Co masz na myśli?

- Listy do Jamesa Makepeace'a. Wszystkie zawierają tylko jedno zdanie: „Błagam o wiadomości o dziewczynkach”.

Dziewczynki... Morley zapomniał o dziewczynkach. Wiedział oczywiście o ich istnieniu, ale były takie małe, wydawały się tak nieważne w ramach ogólnego planu... Zniknęły wraz z matką. Zawsze zakładał, że są razem, Anna Holt i jej córki.

A wygląda na to, że nie są.

Jego umysł pracował błyskawicznie.

- Skąd pochodzą listy?

- Nie umiem powiedzieć, sir.

- Czy są podpisane?

- Nie, sir.

- Spaliłeś je?

- Oczywiście, sir. - Bob zdawał się urażony pytaniem. - Poszły prosto w ogień, sir.

Myśli Morleya z trudem przedzierały się poprzez kłębowisko obrazów z przeszłości.

- Gdzie ona jest teraz? Ta dziewczyna? Susanna?

- W Barnstable. Sam słyszałem, jak mówiła. Ma mieszkać u swojej ciotki. Ładniutka... O mało nie rzuciła we mnie wazą - dodał, na poły z oburzeniem, na poły z przestraczeniem. - Chciała z powrotem swoje suknie, no więc jej zostawiłem.

Dziewczyna musi być jedną z córek Anny Holt i Richarda Lockwooda. Ale jak to się stało, że żyła pod dachem Makepeace'a? Umysł Morleya, metodyczny jak zwykle, szybko dokonał przeglądu możliwych scenariuszy.

Istniały dwie możliwości. Może Makepeace blefował w swoim liście i nic nie wiedział o przeszłości Morleya i Richarda Lockwooda. Może zaadoptował dziewczynkę. Może to zwykły zbieg okoliczności. Od razu jednak odrzucił ten scenariusz. Nie wierzył w zbiegi okoliczności.

Druga możliwość była taka, że Makepeace od początku wiedział, iż dziewczynka jest córką Richarda Lockwooda, i doszedł niedawno do jakichś wniosków albo natrafił na jakiś ślad, jakieś obciążające dowody.

Ale Makepeace był agentem korony brytyjskiej. Trudno uwierzyć, by agent Korony Brytyjskiej uciekał się do szantażu, gdyby faktycznie odkrył przekonujące dowody. Choć z drugiej strony desperacja i długi mogą podkopać zdrowy rozsądek człowieka.

Czy dziewczyna jest zamężna? - spytał. - Ma jakąś inną rodzinę?

- Nie, sir. Byłem świadkiem, jak rzucił ją narzeczonej. Tam, w salonie. Nie może się ożenić z panną bez grosza przy duszy, bo jest dziedzicem tytułu. Dziewczyna przeprowadziła się do ciotki.

- Co za wstyd. - Morley poczuł dżgnięcie czegoś podobnego do współczucia. Dziwne... W miarę upływu czasu coraz rzadziej nękała go bezsenność z lęku przed utratą wszystkiego, co zdobył, ale listy Caroline, a potem Makepeace'a, na nowo sprawiły, że zaczął się budzić po nocach, zlany potem. Szantaż to nie żarty.

Całkiem możliwe, że James Makepeace przekazał dziewczynie dowody, o ile takowe rzeczywiście istnieją, a ona zdołała zatrzymać je przy sobie. Co tłumaczyłoby, być może, dlaczego w żadnym z domów Makepeace'a nic nie znaleźli. A teraz, kiedy Susanna Makepeace jest bez grosza... kto wie, może sięgnąć po ojcowskie sposoby na zdobycie jakiegoś dochodu.

Albo, jeśli zbudzi się w niej obywatelskie sumienie, przekaze dowody w ręce ludzi, którzy nie będą mieli wątpliwości, co z nimi zrobić.

Zaczął układać w głowie kolejne scenariusze, ale szybko się powstrzymał. Mógłby oczywiście skomplikować to wszystko, gdyby chciał, ale nie miał już w sobie tego talentu do obmyślania intryg, który cechował go w młodości. Był zmęczony i zamierzał raczej spędzić starość w spokoju, pielęgnując swój ogród w Sussex niż tańczyć na linie. Odkrył właśnie w sobie zamiłowanie do ogrodnictwa, podobnie jak do dużych, przestronnych domów i wytwornego umeblowania. Było to dość dziwne, -wziąwszy pod uwagę, że dawniej uważał ogrodnictwo za pewną odmianę uprawy roli. No, ale ludzie zamożni mogą sobie pozwolić na pielęgnowanie dla przyjemności delikatnych oryginalnych roślin. Uprawa róż była w pewnym sen-

sie uwieńczeniem jego kariery, ostatecznym wyrazem pozycji, jaką osiągnął w świecie.

Zdarzało się, gdy pracował w ogrodzie, że wyrwał jakiś chwast z korzeniami, a w parę tygodni później okazywało się, że chwast odrósł i zaczyna się rozkrzewiać na nowo, grożąc, że zdusi wszystko to, co on z takim oddaniem pielęgnował.

Nagle zrozumiał, że rozwiązanie jest całkiem proste. Susanna Makepeace jest chwastem. A gdyby i jej siostry miały odrosnąć i zacząć się rozkrzewiać... cóż, one też zostaną potraktowane jak chwasty.

- Co mam zrobić z Susanną Makepeace, sir? - usłyszał głos Boba.

- No cóż... Cokolwiek zrobisz, Bob, zrób tak, żeby to wyglądało na wypadek.

Bob był profesjonalistą, toteż w lot zrozumiał rozkaz. Znów wyjął dumnie pierś. Cieszyło go każde nowe wyzwanie, a pan Morley dobrze płacił, by jego własne ręce nie zostały splamione krwią.

3

W dwa dni później Susanna stanęła przed drzwiami domku Frances Perriman. Dotarłaby tu z pięć godzin temu, ale dyliżans, którym jechała, zepsuł się. Właściwie to wywrócił się z trzaskiem kołami do góry, w chwili gdy pasażerowie wygramolili się właśnie z niego, by udać się do zajazdu na posiłek.

Zmęczeni podróżni, którzy zdążyli dotąd szczerze zniecierpliwieni nawzajem swój widok, głos i zapach, wpatrywali się w przewrócony pojazd prawie niezdziwieni. Niemal perwersyjnie zadowoleni, że to szczególne narzędzie tortur uległo zniszczeniu.

Konie się spłoszyły, ale nic im się nie stało. Ustalono, że złamało się koło. Do uszu Susanny dotarły jakieś wieści na ten temat, ale zanadto była zmęczona, aby przejmować się szczegółami. A poza tym musiała przede wszystkim spróbować znaleźć jakiś inny środek

transportu, aby dostać się do Barnstable. Kogoś, kto zgodziłby się ją zawieźć z czystej uprzejmości albo w zamian za parę pantofli czy rękawiczek. Co zresztą naprawdę było jedyną walutą, jaką dysponowała.

Kiedy woźnica dyliżansu nie zgodził się wynająć koni w charakterze wierzchowców, wszyscy pasażerowie jak jeden mąż rzucili się na Boga ducha winnego wieśniaka, który zajechał właśnie, niczego nie podejrzewając, po swego bratanka. Rozpoczęły się szaleńcze licytacje. Jedni wymachiwali banknotami, inni próbowali użyć swego wdzięku, Susanna trzepotała rzęsami, usiłując omamić włościanina i zjednać sobie jego przychyłność.

Koniec końców zwyciężyła. Chłop zgodził się zboczyć nieco z drogi i zawieźć ją pod drzwi Frances Perriman, a ona raz tylko musiała zdjąć rękę wieśniaka ze swego uda. Łagodnie, ale stanowczo.

Chaos, wyczerpanie i poniżenie zdawały się być symptomami jej nowego życia.

I oto, tuż po północy, stała w progu małego domku, a pani Frances Perriman, uniósłszy świecę, wpatrywała się i wpatrywała w Susanna wzrokiem, w którym było oszołomienie i zdumienie. Zupełnie jakby jakiś wielki egzotyczny ptak zabłąkał się do jej skromnego domu.

W końcu oprzytomniała i rozwarła ramiona. Susanna postąpiła o krok i padła w jej objęcia, gdyż wszystko wskazywało, iż tak właśnie należy postąpić.

Frances była mniej więcej wzrostu Susanny, ale znacznie okrąglejsza. Miała łagodne brązowe oczy i długi nos, najwyraźniej stanowiące stempel probierczy Makepeace'ów. Była miękka i pulchna i pachniała lawendą. Susanna poczuła, że obraz ciotki rozmywa się jej przed oczami ze zmęczenia... i - na litość boską - od łez... Zdziwiona szybko otarła je dłonią i podniosła głowę, by ogarnąć spojrzeniem pogrążony w półmroku pokój. Był niewielki i nieefektywny, choć znać było pewien wysiłek, by go choć trochę upiększyć: ściany pokrywały tapety we wzór, jaki modny był ponad dziesięć lat temu, tu i ówdzie wisiało parę obrazków, na stole stał wazon z kwiatami, jeden jedyny. Susannie, kochającej piękno i luksus, ścisnęło się serce.

- Zaczynałam się już martwić, Susanno. Pan Evers wrócił w końcu do domu, kiedy po paru godzinach twój dylizans wciąż jeszcze nie dotarł do gospody.

- Mieliśmy mały wypadek, stąd opóźnienie. Przyjechałam z wieśniakiem, który zgodził się mnie *zabrać*.

- Cieszę się, że jesteś cała i zdrowa. Widać są jeszcze uprzejmi ludzie na tym świecie... Tak czy owak, witaj, moja droga. Bez wątpienia przywykłaś do lepszych warunków, niemniej mam nadzieję, że będziesz się tu czuła jak w domu. Napijesz się herbaty? A może odłożymy bliższe poznanie się do jutra?

- Nie wiem, jak mam pani dziękować, pani Perri...

- Ciociu Frances - przerwała zdecydowanie ciotka. - Nazywaj mnie ciocią Frances. I ani słowa więcej na ten temat, kochanie. Bardzo się cieszę, że zamieszkamy razem.

Susanna, znużona, uśmiechnęła się z trudem.

- Myślę, że rano, kiedy się wyśpię, będę sprawiać trochę lepsze wrażenie, ciociu Frances.

- Bo niewątpliwie musisz zawsze sprawiać dobre wrażenie - odparła ciotka i poklepała Susannę po ramieniu, by upewnić ją, że to żart. - W takim razie do łóżka.

I po paru minutach Susanna leżała już w wąskim mosiężnym łóżku, w niewielkim pokoiku na pięterku, dokąd weszła po drewnianych skrzypiących schodach, które były krańcowym przeciwieństwem marmurowych, po jakich wchodziła do sypialni od dzieciństwa. Przy łóżku stała w wazonie pojedyncza róża; jej aromat mieszała się z wonią wiekowego drewna i świeżo wypranej pościeli. Prześcieradło i powłoka były sprane ze starości, ale przez to cudownie miękkie; połatana kołdra pachniała lawendą, tak samo jak świeżo poznana ciotka Frances. W pokoju było duszno, choć Susanna nie dostrzegła kominka. Rozchyliła okno i wyjrzała na zewnątrz. Ciemnogranelne letnie niebo usiane było miliardami gwiazd. Susanna pomyślała sennie, że spędziła życie, przeskakując beztrząsco z jednej połyskującej gwiazdy na drugą; pewnie było tylko kwestią czasu, kiedy potknie

się i ześlizgnie w dzielącą je czern. To, że w końcu tak się stało, niemal przyniosło jej ulgę.

Kiedy się przebudziła i rozejrzała wokół siebie, pierwszą jej myślą było: O Boże, musiałam się zabłąkać do pomieszczeń dla służby.

I w tym momencie przypomniała sobie, gdzie jest. Usiadła gwałtownie, strącając poduszkę na ziemię.

Przez szparę w zasłonach sączyło się światło. Susanna wstała i je rozchyliła. Momentalnie zalała ją powódź zieleni i słonecznego blasku. Wieś... Wieś była dla niej dotąd przerywnikiem pomiędzy jednym towarzyskim spotkaniem a drugim, miejscem, gdzie czekało się niecierpliwie na rozpoczęcie sezonu. Traktowała ją mniej więcej tak, jak traktuje się pokój wypoczynkowy na balu: podszycić pośpiesznie naderwany rąbek spódnicy, wsunąć na miejsce rozwichrzony lok i odetchnąwszy chwilę, wracać na salę.

Teraz to niekończące się morze zieleni miała oglądać po przebudzeniu każdego ranka.

Było cicho, tylko jakiś ptak maniakalnie wyśpiewywał w kółko tę samą radosną nutę. I znowu, i znowu, i znowu.

Wydobyła z kufra suknię i wciągnęła ją przez głowę: letnią, spacerową, wykończoną trzema falbankami, w odcieniu lekkiego różu. Podarowała sobie na ten raz pantaloney; był upał, a obok nie stała żadna pokojówka, która mogłaby cmoknąć na ten widok z powątpiewaniem. Włożyła jednak pończochy, bo lubiła swoje podwiązki. Były śliczne i poprawiały nastrój.

Szybko zwinęła włosy w węzeł. Z przyzwyczajenia złapała szki-cownik i po cichutku, na palcach zesłała po schodach. Jeden stopień, trzeci od dołu, zaskrzypiał. Zza drzwi sypialni ciotki Frances dochodziło lekkie, stłumione pochrapywanie, ale poza tym dom był pogrążony w ciszy. Ani jedna dziewczyna służebna nie krzątała się wokół śniadania ani nie dźwigała drewna i węgla, by rozpałcić ogień pod kuchnią.

Jakiż ten dom był malutki... Z tymi swoimi wyblakłymi tapetami, wytartą drewnianą podłogą i prostym, pozbawionym ozdób

umeblowaniem mógłby służyć za mieszkanie ogrodnikowi. Kanapka w salonie, niegdyś szkarłatna, teraz spleźła i zszarzała, była wgnieciona pośrodku; na porysowanym stole stał niewielki wazon z kwiatami, bynajmniej nie antyk jak ten, którym zamierzała cisnąć w tamtego robotnika z londyńskiego przedmieścia.

Panika ścisnęła ją za gardło. Poczwała, że natychmiast musi wyjść na dwór, choćby po to, aby się przekonać, że świat na zewnątrz jest bardziej przestronny niż ten ciasny domek.

Pchnęła frontowe drzwi. Dopiero niedawno się rozwidniło i różę, zdobiące front domu, roztaczały pełnię swej krasy. Były najpiękniejszą rzeczą w zasięgu wzroku; ze swymi leciutko postrzępionymi płatkami i nasyconą barwą przypominały jej młode dziewczęta w sukniach balowych. Oprócz nich dookoła była tylko zieleń, zieleń, zieleń... Susanna znów poczuła leciutki ucisk w piersi. Wiedziała, że ten ucisk może przemienić się w rozpacz, więc odruchowo otworzyła szkiełko.

Parę szybkich pociągnięć pasteli i z bieli karty zaczęły się wyłaniać kwiaty róż: warstwy płatków, ich przebogate, subtelnie zróżnicowane odcienie, czerwień przechodząca na brzeżkach w purpurę, maleńkie pręciki pokryte żółtym pyłkiem w sercu rozkwitłego kwiatu...

Skończywszy, uniosła głowę. Za furką wiła się obsadzona drzewami droga. Na prawo prowadziła zapewne do Barnstable, na lewo - chyba do lasu, gdyż drzewa były tam wyższe, a zieleń bardziej zwarta.

Lekkomyślność zwyciężyła. Wprawdzie nie powinna spacerować samotnie... Pani Dalton z pewnością zmarszczyłaby z przyganą brwi, podobnie jak wszystkie jej poprzedniczki.

I to właśnie był znakomity powód, aby ruszyć przed siebie.

Konary dębów i buków spletały się wysoko w górze, tworząc rodzaj romantycznego sklepienia. Przecież nie może się w nich kryć żadne niebezpieczeństwo, prawda? Susanna z wahaniem postąpiła przed siebie, ostrożnie zrazu, potem coraz śmielej. Z każdym kolejnym krokiem mówiła sobie, że zaraz zawróci, jeszcze tylko kawałek

i już. A jednak droga ma w sobie coś takiego, że pcha człowieka naprzód, zupełnie jakby wzywał nas ktoś, zachęcająco kiwając palcem. I Susanna szła coraz dalej i dalej po drobnym miękkim piasku i suchych liściach, skruszonych przez lata na pył setkami stóp, które wędrowały tędy przed nią.

Pewnie myślała, że jeśli będzie tak szła i szła przed siebie, to może zdoła uciec przed uczuciem, że została wyrzucona poza nawias społeczeństwa. Ze jest na wygnaniu.

W pewnej chwili coś załśniło zielono pomiędzy pniami drzew, zupełnie jak błysk szmaragdu. Susanna przystanęła. Zboczyć ze ścieżki? Zaryzykowała.

Gdy podeszła nieco bliżej, zielona iskierka rozszerzyła się stopniowo w płaszczyznę stawu, lśniąca niczym witraż. Nie był wprawdzie szmaragdowy, ale i tak dosyć ładny, a mocna woń mułu i wodnej roślinności była dziwnie pociągająca. W dali, na lewo, dostrzegła skrawek czegoś, co wyglądało na drewniany pomost; na nim bledszą plamą jaśniało coś... coś... Susanna zmrużyła oczy. To chyba...

Boże święty, to wygląda jak para stóp!

Wspięta się na palce i wyciągnąwszy szyję jeszcze bardziej w lewo, wychyliła się spomiędzy drzew.

I natychmiast, zatkawszy usta ręką, by stłumić okrzyk zdumienia i strachu, przykucnęła za najbliższym pnieniem.

Stopy należały do mężczyzny.

A mówiąc dokładniej - do nagiego mężczyzny.

Susanna ostrożnie wyjrzała zza drzewa. Tylko po to, powiedziała sobie w duchu, żeby sprawdzić, czy to nie przywidzenie.

Nie, nie był zjawą. Muskularny tors, pokryty złocistą opaloną skórą, miał idealny kształt litery V; szczupłe biodra, bielsze niż reszta ciała, przechodziły w smukłe uda i kształtne łydki, pokryte bujnym jasnym owłosieniem, które połyskiwało w blasku porannego słońca. Włosy na głowie, również jasne, miał krótko przycięte, ale rysów twarzy nie sposób było rozróżnić z tej odległości. Nie miało to jednak żadnego znaczenia; cała reszta była dostatecznie wspaniała. Su-

sanna miała uczucie, że osacza ją ta męska uroda i dziwna mieszanina uczuć - szoku, zachwytu, tęsknoty - zaczęła pulsować w jej piersi niczym drugie serce.

A potem mężczyzna uniósł w górę ramiona i przeciągnął się leniwie, ukazując ciemny puch pod pachami. Dziwne, ale było to bardziej erotyczne i intymne niż jego nagość. Przecież widywała posagi i malowidła nagich mężczyzn! Ale żaden z nich nie miał pod pachami ciemnego, kędzierzawego owłosienia. Swoboda, z jaką mężczyzna obnosił swoją surową piękność, troszkę ją, prawdę mówiąc, przstraszyła. Był jak ktoś, kto zbyt lekkomyślnie nosi przy sobie groźną broń.

Otworzyła notatnik i zaczęła szybko szkicować.

Uniesione ramiona, krzywizny bicepsów i łydek. Płaszczyna piersi. Ciemna plama owłosienia między udami, zwężająca się ku górze, by przejść w wystrzępioną, coraz jaśniejszą linię na płaskim brzuchu. A pośród niego, jak w gnieździe... jego męskie walory, oczywiście. W tej chwili wyglądały zresztą całkiem niewinnie, przynajmniej z tej odległości. Naszkicowała i to, jak na rzetelnego rysownika przystało. Doprawdy, ta część ciała była dla niej tylko obiektem artystycznego zainteresowania, niczym więcej.

Z zarośli wyskoczyła wiewiórka. Przystanęła i utkwiała w niej błyszczące jak paciorki oczka. Susannie wydało się, że lśni w nich oskarżenie. Wiewiórka cmoknęła; dziewczyna zmarszczyła brwi i położyła palec na ustach.

Mężczyzna zakołysał się lekko na palcach, odbił się i dał nurka, rozbijając w setki bryzgów gładką tafłę wody.

Po chwili wyłonił się na powierzchnię, parszkając z zadowoleniem i poruszając rytmicznie, miarowo ramionami, odpłynął ku środkowi stawu. A potem przewrócił się na plecy i popłynął na wznak, pluskając beztrudnie stopami niczym rozbawiona wydra. Susanna zacisnęła kolana. Jęknęła z cicha, zachwiała się i upadła.

Z trudem wstała na równe nogi i aby uniknąć kolejnego upadku, wsparła się o pień starego dębu. Mężczyzna przepłynął staw i zawrócił, a ona skorzystała z okazji, by dokończyć w tym czasie rysunek:

szybko naszkicowała widniejące w tle drzewa i molo pod stopami nieznanego.

Dopłynąwszy z powrotem do pomostu, wynurzył się z wody i wdrapał na deski. Susanna, oczarowana, patrzyła, jak po umięśnionych plecach i pośladkach ściekają lśniące strumyki wody. Otrząsnął się niczym wielki rozradowany pies, rozsiewając wokół siebie fontannę diamentowych kropelek, odetchnął głęboko, z satysfakcją, zszedł z pomostu i zniknął pomiędzy drzewami.

Susanna stała przez chwilę bez ruchu, ze wzrokiem utkwionym w miejscu, gdzie był jeszcze przed chwilą. Czuła lekki zamęt, ale była radośnie podekscytowana. Może on tu pływa każdego ranka?

Na tę myśl przepełniła ją jakże niestosowna nadzieja.

W końcu magia chwili zaczęła powoli ustępować, a jej miejsce zajął zdrowy rozsądek. Co będzie, kiedy ciotka się obudzi i zobaczy, że jej nie ma? Wyprostowała się i stanęła oko w oko z sercem, wyrzniętym w korze dębu. Wewnątrz serca widniał napis: „Kit i Caro”. Najwyraźniej wszystko to musiało zostać wyrzeźbione wiele lat temu, bo nacięcia były już zabliznione. Susanna obwiodła palcem kształt serca. Urocze to było, a zarazem żal jej się zrobiło drzewa, tak bezlitośnie zranionego.

I w tym momencie dwie dłonie - plask, plask - wsparły się o pień po obu stronach jej twarzy.

Serce w piersi Susanny podskoczyło ciężko niczym głaz i zamarło.

Przez moment, trudny do wytrzymania, trwała cisza. I bezruch. A potem usłyszała męski głos:

- Widziałś każdy centymetr mego ciała, a ja twojego w ogóle. Uważasz, że to w porządku?

Usta mówiącego znajdowały się tuż-tuż. Leciutki oddech unosił włosy na jej głowie. Na ramionach poczuła gęsią skórę.

Och, nie... och, nie... och, nie... Serce Susanny wróciło do życia. Tłukło się teraz w jej piersi niczym dziecko walący z całej siły w pień drzewa.

Ciało stojącego za nią mężczyzny emanowało ciepłem, zupełnie jakby była wystawiona na działanie słońca. A przecież w ogóle jej nie dotykał - przywarła ciasno do pnia, żeby mieć zupełną pewność w tym względzie. To tylko sama jego woń tak ją obezwładniła: woń nagrzaną słońcem skóry z leciuteńką nutą potu i czegoś jeszcze... czegoś bujnego, pierwotnego... Jej ciało rozpoznało to od razu i sprawiło, że wyraziście jak nigdy poczuła własną kobiecość.

Nie był to dobrze jej znany aromat wykrochmalonej bielizny i mydła, jakim pachnieli jej wymuszkani na bal taneczni partnerzy. Ten zapach był kwintesencją męskości.

Notatnik, który ścisnęła dotąd kurczowo, wymknął się z osłabłej dłoni i upadł na ziemię.

Ostrożnie spojrzała w bok. Zobaczyła długie smukłe palce i umięśnione przedramię, pokryte jasnymi, srebrzyście połyskującymi włoskami. A kiedy przesunął lekko dłoń, na delikatnej skórze powyżej nadgarstka dostrzegła znamię, przypominające kształtem mewę w locie.

Spróbowała leciuteńko odwrócić głowę, żeby dojrzeć jego twarz.

- Na twoim miejscu raczej bym się nie odwracał - usłyszała. Głos miał wciąż nieco rozbawiony.

O Boże...

Kiedy w końcu zdolna była wykrztusić jakieś słowo, powiedziała coś, co przstraszyło ją samą:

- Do licha, aleś mnie zaskoczył.

Usłyszała wybuch śmiechu, w którym pobrzmiwała nuta zdziwienia. Ręce mężczyzny opadły.

Wówczas Susanna natychmiast uskoczyła w bok i obiegłszy pień, rzuciła się poprzez zarośla w kierunku ścieżki. Nie odważyła się obejrzeć za siebie.

Nieładne to było z jego strony. Był oczywiście kompletnie ubrany... Nie skradałby się przecież za młodą damą, gdyby było inaczej.

Prawdę mówiąc, nie przypominał sobie, aby w ogóle kiedykolwiek skradał się za jakąś damą; był łotrem, ale nie szaleńcem. Ale ona, kimkolwiek była, szpiegowała go. W pełni zasługiwała na tę nauczkę.

Po długiej podróży z Londynu dotarł do Barnstable zgrzana, spocony i zły. Przez całą drogę jego myśli krążyły wokół Jamesa Makepeace'a, Morleya i hrabiny. Postanowił, że zanim ruszy do domu i poderwie na nogi służbę, która będzie skrajnie zdumiona i której trzeba będzie przypomnieć, za co właściwie bierze pieniądze, zatrzyma się na chwilę nad stawem i popływa. Kąpiel okazała się zbawienna dla jego nastroju. To dziwne; nie zdawał sobie sprawy, jak wyczerpujące prowadził dotąd życie, dopóki nie plusnął do stawu i nie wynurzył się z wody z uczuciem, jakby spłukał z siebie całe lata.

Matka ochrzciła ten majątek Różanym Dworkiem. Zawsze go to bawiło, bo w niewielkiej posiadłości rosło raptem może z dziesięć krzaków róż i nawet nie mogła poszczycić się oranżerią. No, ale jednak wychował się tu, w Barnstable, i zwykłe otaczające dom tereny interesowały go o wiele mniej niż graniczące z nimi lasy, pełne światła i cieni, i rozmaitych dziko żyjących stworzeń. Były znakomitym miejscem do zabawy i wypraw, kiedy był mały, a gdy podrosł - do schadzek. I do pojedynków.

Od czasu, gdy matka zmarła parę lat temu, ojciec prawie cały czas spędzał w Londynie i z rzadka tylko odwiedzał Różany Dworek. Sam Kit bywał tu niezbyt często, odkąd przed laty musiał w pośpiechu opuścić Barnstable. W Różanym Dworku nie było nawet rządcy, jedynie paru służących, którzy mieli dbać, by dom się nie rozleciał.

Schylił się, żeby podnieść porzucony notatnik, i uśmiechnął się leciutko. Co za ironia - szpieg, którego szpiegują... Od niechcienia przerzucił kilka kartek.

Coś takiego! Ona go nie tylko szpiegowała... ona także dokumentowała swoje odkrycia.

Stłumił śmiech, widząc siebie samego z uniesionymi w górę ramionami i skromnie zwisającym penisem. Przecież, co tu dużo mówić, kapał się... Ale rysunek był doskonały. Naszkicowała z grubsza i pomost, i drzewa w tle, no i znakomicie uchwyciła jego samego: tę

chwilę odprężenia, moc emanującą z jego ciała, ślad arogancji w łuku pleców. Kreska nie zdradzała żadnego wahania czy niepewności; portret był wierny i zaskakująco profesjonalny. Pochlebiało mu to, ale zarazem poczuł się dziwnie obnażony. Nie miało to nic wspólnego z tym, że był nagi. Ona uchwyciła coś, co było jego istotą.

Powoli przekartkował szkicownik, by obejrzyć inne rysunki. Młody człowiek - ten akurat odziany - wyciągnięty na trawniku, z łagodnym, zażyłym uśmiechem na twarzy. Kit poczuł ukłucie za zdrójści. Artystka i jej model najwyraźniej dobrze się znali, pewnie byli sobie bliscy... Róże, starannie odtworzone pewną siebie ręką. Na kolejnej stronie widniał dom, narysowany z pewnej odległości; wielka posiadłość wyglądała jak gdyby znajomo. Rząd drzew. Grupka młodych dam, z. powiewającymi na wietrze wstążeczkami czepków, o miłych, czytelnych niczym otwarta księga twarzyczkach.

Były w tych szkicach jakaś naturalna, niewymuszona zręczność i talent, które nie mogły być efektem wyłącznie lekcji rysunku. Ku swemu zdumieniu Kit poczuł wzruszenie.

Ojciec miał rację: on rzeczywiście kiedyś chciał zostać przyrodnikiem. Fascynował go Joseph Banks, jego podróże z kapitanem Cookiem, odkrycia w dziedzinie flory i fauny. Nie potrafił jednak niczego narysować tak, jak to widział i czuł, i było to okropne. Miał wrażenie, że natura stawia przed nim zaporę, mówiąc: nie, ten dar nie został ci udzielony. Przywykł do tego, iż przewyższał innych ludzi we wszystkim, czegokolwiek się tknął, więc niepowodzenie w dziedzinie rysunku odbierał jako upokorzenie. Kto wie, może potrzebował wówczas podobnego doświadczenia?

Jeszcze raz przejrzał rysunki, tym razem od końca. Kim była ich autorka? Ciało miała smukłe, emanujące subtelną kobiecością, która działała mu na zmysły. Włosy w kolorze głębokiego mahoni u cudownie pachniały, choć trudno by mu było określić, czym właściwie... Chyba świeżością. Albo czystością. A może słodyczą? Ale żadne z tych słów nie oddawało istoty rzeczy. Och, jak on uwielbiał odkrywać jedyne w swoim rodzaju zapach każdej kobiety... Kark doskonale się do tego nadawał. Ale istniały i inne miejsca, równie rozkoszne...

Uśmiechnął się łobuzersko do własnych myśli. Ale uśmiech zbladł, kiedy przypomniał sobie, że przecież to nie zapachy kobiet powinien odkrywać podczas pobytu w Barnstable.

„Do licha, aleś mnie zaskoczył”. Tak powiedziała. Zupełnie jakby pokrzyżował jej jakiś plan.

Roześmiał się krótko, z zadowoleniem. To raczej on mógłby się tak wyrazić.

To zaczyna być zabawne.

Kit wprowadził konia do stajni. Wystraszył przy tym niemal na śmierć dwóch sennych, jak gdyby pogrążonych w letargu chłopców stajennych, do których należała opieka nad skromną stadniną Różanego Dworku: czterema wałachami, piękną żrebną klaczą o gigantycznym brzuchu i dumnie wyglądającym ogierem. Klacz lada dzień się ożrebi; tylko patrzeć.

Wyszedł ze stajni i obszedłszy dom dookoła, zakradł się po cichu pod kuchenne drzwi. Uchylił je i wśliznął się do środka. Kuchnia była pusta; nigdzie ani żywej duszy. Dziewczyny kuchenne musiały chyba gdzieś na zewnątrz flirtować z lokajami. Trudno było mieć im to za złe, przy takiej pogodzie i przy ciągłej nieobecności chlebobawców, niemniej będzie chyba musiał zaprowadzić tu dziś jakieś porządki.

Przez chwilę stał w milczeniu i nasłuchiwał. Tak! Od strony salonu dobiegał gwar rozmowy. Tego wielkiego, w którym wisił kolosalnych rozmiarów portret rodziny Whitelowów, z małym, naburmuszonym nieco Christopherem, wcale niezachwyconym tym, iż musi tak długo stać bez ruchu i pozować. Kit wiedział od dziecka, które deski skrzypią i gdzie leżą dywany, mogące stłumić odgłos kroków, toteż przemknął się bezszelestnie ku salonowi, przywarł do ściany i ostrożnie zajrzał do środka.

Ochmistrzyni, pani Davies, i lokaj Bullton siedzieli rozparci swobodnie na kanapkach, tyłem do niego, trzymając w rękach filiżanki z herbatą.

- Czy będzie pani obecna na jutrzejszej zabawie, droga pani Davies? - Głos Bulltona zaskakująco udatnie naśladował arystokra-

tyczny akcent. Odstawiwszy mały palec, lokaj uniósł filiżankę do ust i pociągnął łyk napoju.

- Och, kiedy nie mam pojęcia, jak się uczesać i jaką suknię włożyć. Muszę chyba powiedzieć pokojówce, żeby coś dla mnie wybrała, tak jak zawsze. Nie potrafię się zdecydować.

Roześmieli się wesoło i z brzękiem odstawili filiżanki.

- Dzień dobry - powiedział pogodnie Kit.

Lokaj i ochmistrzyni zerwali się na równe nogi, bezładnie wymachując ramionami. Kit z niejakim żalem patrzył, jak strącają filiżanki, a ich zawartość wdzięczną fontanną spływa na dywan.

Zdecydowanie warto było nie uprzedzać ich o przyjeździe.

- Wasza... Wasza Wysokość!

Ukłon, dyg, ukłon, dyg... Kłaniali się i dygali bez końca, tak jakby ukłony i dyganie mogły wymazać fakt, że przed chwilą rozpierali się na antycznych francuskich meblach jego matki.

- To ja! - oświadczył Kit. - Jak się macie, moi drodzy?

- My po prostu... to znaczy.. .właśnie... - jękali się jedno przez drugie.

- Właśnie zamierzaliście zwołać służbę, żeby przygotowała dom na moją wizytę? - odpowiedział uprzejmie.

- Prosimy o wybaczenie, sir. Gdybyśmy wiedzieli, że zamierza pan złożyć wizytę... - Bullton zadziwiająco szybko odzyskał panowanie nad sobą. Był teraz skruszony i pełen godności. Porządny człowiek, pomyślał Kit.

- Sam nie wiedziałem, moi drodzy, i przepraszam was za to. Gdybyście jednak wywietrzyli pokoje i przynieśli cokolwiek do jedzenia. .. zresztą sami znacie swoją robotę. Nie potrzebuję wam mówić.

- Tak, sir. Nie, sir. To znaczy, oczywiście, sir. - Znów popłynął potok bezładnych słów.

- Zechce pani od razu zająć się tą plamą, pani Davies - polecił uprzejmie Kit.

- T-tak, milordzie. - Ochmistrzyni opuściła wzrok na dywan, a jej twarz przybrała tragiczny wyraz. Odkąd tylko Kit pamiętał, pani

Davies traktowała dywany tak, jakby to były jej własne dzieci. Nawet najlepsza gospodyni staje się widać odrobinę mniej dbała, jeśli właściciel posiadłości jest stale nieobecny.

- A czy jutro naprawdę ma się odbyć w Barnstable jakaś zabawa?
- zwrócił się do niej.

- T-tak, milordzie.

- A gdzie, jeśli łaska?

- W miejskiej sali, sir. Wszyscy w miasteczku zostali zaproszeni.

To znaczy wszyscy oprócz służby.

- W takim razie - utkwiał w nich surowe spojrzenie, a oni najwyraźniej omal się nie skręcili ze strachu w oczekiwaniu tego, co nastąpi

- w takim razie oczekuję, że jutro wieczorem odbędzie się tu, w tym domu, zabawa dla służby. Podasz także trochę tego, czym się najchętniej trujesz, Bullton?

- Whi-whisky, sir? - wykrztusił Bullton, choć kąci jego ust zaczęły się już nieznacznie unosić w górę.

-W takim razie podasz też trochę whisky. Mam nadzieję, pani Davies, że fundusze, jakimi dysponuje pani na utrzymanie domu, okażą się wystarczające?

- O tak, sir. - Pani Davies także się odrobinę rozluźniła. I zaryzykowała pytanie: - A czy pan wybiera się jutro na zabawę w miasteczku, sir?

- Naturalnie, pani Davies - powiedział ochoczo. Ileż to lat upłynęło, odkąd był w Barnstable... Przy odrobinie szczęścia jego legenda jeszcze się umocni.

Lokaj i ochmistrzyni uśmiechnęli się tym razem całkiem szczerze, a on odpowiedział im równie szerokim uśmiechem. Mieszkańcy miasteczka będą równie zdumieni jak tych dwoje, kiedy go zobaczą. Kto wie, czy ujrzenie tego na własne oczy nie byłoby dla Bulltona i pani Davies bardziej atrakcyjne niż zabawa we własnym gronie...

-A czy długo zostanie pan tutaj, sir? - spytała ochmistrzyni.

- Co najmniej miesiąc, pani Davies. Mam tu specjalne zadanie do wykonania.

Niemal widział, jak obracają się trybiki w jej głowie, gdy myślała, jak by tu przekazać nowinę dziewczynom służebnym i lokajom. Teraz będą musieli sprawiać wrażenie, że pracują naprawdę.

- Prawie przez cały czas będę przebywał poza domem - dodał, a ona uśmiechnęła się wstydliwie. Wiedziała, że odgadł jej myśli.

- A jakże się ma pański ojciec, sir? - spytał ostrożnie Bullton.

- Ojciec nie przyjedzie, Bullton.

Bullton bez powodzenia starał się ukryć ulgę, jaką sprawiła mu ta odpowiedź.

- Miło nam pana widzieć, sir - powiedział w końcu.

- Dzięki, Bullton. - Kit omal nie parsknął śmiechem. - To by było na razie wszystko. Pani Davies, a plama?

- Och! - I jakby zmiotła ją kula, padła na klęczki, by zająć się zbrukanym dywanem. Kit zaś ruszył ku swoim pokojom, aby sprawdzić, czy pod jego nieobecność pająki nie zasnuły ich dokumentnie siecią pajęczyn.

Susanna biegła jak szalona. Zwolniła dopiero przy furtce, żeby doprowadzić się do ładu i odsapnąć. Z domku dochodził aż tu, na podwórze, jakiś smakowity zapach. Nic tak nie zaostrza apetytu, jak ucieczka przed nieznanym nagusem, którego się szpiegowało.

Z wahaniem, zakłopotana nieco, zajrzała do kuchni, która musiała również pełnić funkcję jadalni, jako że żadnej jadalni nigdzie dotąd nie dostrzegła. A przecież w jej dawnym domu kuchnia była ogromna. A znów w miejskim domu ojca w Londynie...

- Dzień dobry, Susanno. - Ciotka Frances odwróciła głowę.

- Myślałam, że może zmieniłaś decyzję i uciekłaś z powrotem do Londynu.

Czy to sugestia? Ale ciotka Frances wyglądała tak miło i tak dalece zdawała się nie zwracać uwagi na fakt, że bratanica pojawia się w kuchni, przychodząc o tak wczesnym poranku ze dworu, a nic z wnętrza domu, że Susanna się uśmiechnęła.

- Dzień dobry, pani... to jest, ciociu Frances.

- Czy wyrafinowane młode damy chadzają ostatnio na poranny spacer samotnie?

Pytanie wydawało się dość niewinne, a jednak Susanna podejrzewała, że ciotka Frances nie jest bynajmniej naiwna. Przeciwnie, raczej bystra.

-Ja... to znaczy, ogród cioci jest taki śliczny, że... - Zamierzała powiedzieć „chciałam trochę porysować”, ale ze zgrozą zdała sobie sprawę, że zgubiła szkicownik! - Że poszłam trochę pospacerować po świeżym powietrzu - dokończyła.

Ten szkicownik! Co ona bez niego zrobi? Zresztą nie tylko o to chodzi... Niemal zacisnęła z upokorzenia powieki na wspomnienie tego, co powiedziała: „Do licha, aleś mnie zaskoczył”. A jeśli on jest sąsiadem? Jeśli składa wizyty towarzyskie? Czy ona go rozpozna w ubraniu? A on, czy rozpozna ją?

Ciotka odwróciła się i spojrzała na siostrzenicę. Przypatrywała się jej przez dłuższą chwilę, tak że Susanna poczuła się niepewnie.

- Ależ ty jesteś śliczna - powiedziała w końcu z zachwytem, przechylając głowę na bok. - I ta suknia... -Wyraz oczarowania powoli zniknął z jej twarzy, ustępując miejsca zatroskaniu. Między brwiami pojawiła się zmarszczka. - Och, Susanno! -westchnęła, ściskając ją za ręce. - Bardzo się martwię, że dla takiej eleganckiej młodej damy jak ty okaże się tu zbyt nudno. Może byłam za prędką i zbyt samolubna, że cię zaprosiłam do siebie. Po prostu... poza mną James nie miał prawie żadnej rodziny, a choć wyglądało na to, że idzie mu całkiem dobrze... cóż, złe wieści rozchodzą się dużo szybciej niż dobre. Słyszałam, w jakim położeniu się znalazłaś. A poza tym... wiem coś niecoś o tym, jak to bywa w wielkim świecie. - W ostatniej frazie pobrzmiwały szorstkość i gorycz.

Susannę zaskoczyła nieco i ujęła ta otwartość.

- Ciocia wie, że byłam zaręczona i miałam wyjść za mąż - domyśliła się.

- Tak, właśnie to mam na myśli, moja droga. - Ciotka poklepała policzek Susanny. - A ponieważ przyjechałaś do mnie od razu, mam powody przypuszczać, że już nie jesteś... i tego się właśnie obawia-

łam. No cóż... mamusie przyszłych markizów bywają druzgocząco praktyczne, nieprawdaż? - W tonie ciotki znów pojawiła się cierpka nuta.

Jakież to cudowne - mieć kogoś, kto tak szczerze i tak całkowicie jest po twojej stronie! Było to dla Susanny zupełnie nowe doświadczenie.

- Tak - zdołała wykrztusić przez ściśnięte ze wzruszenia gardło.
- Praktyczne.

- Jego strata, kochanie - orzekła żywo ciotka. - To głupiec. A życie toczy się dalej. Siadajmy do śniadania. Oto świeżo upieczony chleb, kiełbaski na twoją cześć i herbata. Będiesz tak dobra i zajmiesz się zastawą dla nas obu?

Susanna z ulgą przyjęła zmianę tematu, ale poczuła się zdezorientowana. Rozejrzała się wokół oszołomiona. Wyglądało na to, że ciotka naprawdę sama gotuje... Nie było też nikogo, kto nakryłby do stołu, czy...

- Są w szafce, kochanie - powiedziała łagodnie ciotka Frances.

- Ach tak - mruknęła Susanna. Otworzyła z wahaniem drzwiczki i ujrzała, że „zastawa” to były dokładnie cztery talerze. Zwykłe, fajansowe, w kolorze kości słoniowej.

Poczuła, że zalewa ją fala palącego wstydu. Ileż to razy była świadkiem, jak sięgał do szafki ktoś ze służby?

W jednej chwili te cztery talerze stały się w jej oczach namacalnym dowodem utraty jakiegokolwiek towarzyskiej pozycji. I czekające ją życie zważyło się na nią, takjak twardy grunt wyskakuje na spotkanie komuś, kto spada w przepaść.

Drżącymi rękami wzięła dwa talerze i postawiła je na stole. Miała nadzieję, że ciotka złoży jej rumieniec na karb pogody. Było coraz bardziej upalnie.

-Jeszcze raz dziękuję cioci, że zechciała przyjąć mnie pod swój dach - oświadczyła.

- Cieszę się, że jesteś ze mną, Susanno. - Ton ciotki był stanowczy. - I proszę cię, ani słowa więcej na ten temat. Dziś wieczorem jest w miasteczku zabawa, a ja, muszę przyznać, dzięki tobie stałam

się doprawdy znaną osobistością. W sąsiedztwie pojawiła się nowa twarz! Wszyscy o tobie mówią i wprost umierają z ciekawości, żeby choć rzucić na ciebie okiem. Więc jeśli tylko masz ochotę, idź na tę zabawę, kochanie.

Pocieszyło to nieco Susannę. Nie miała nic przeciw temu, żeby rzucano na nią okiem. Być obiektem zainteresowania i podziwu to, prawdę mówiąc, jedna z tych rzeczy, które wychodziły jej najlepiej. A zabawa... no cóż, ruch, taniec, muzyka zawsze budziła z uspienia tego niepokornego ducha, który istniał gdzieś na obrzeżach jej świadomości. Może choć na chwilę zdoła zapomnieć o tym wszystkim - o stracie, upokorzeniu, smutku.

Chwileczkę.

- Czy oni... czy oni wiedzą, jak to się stało, że przyjechałam, aby z tobą zamieszkać, ciociu Frances?

Innymi słowy: czy wiedzą, że porzucił ją narzeczony? Czy wiedzą, że jest bez grosza? Susanna dobrze wiedziała, co to znaczy, gdy ludzie o kimś mówią. Ona sama jeszcze nie tak dawno temu była jedną z tego grona... Na przykład George Percy był niedawno obiektem ich drwin. Jakże się wyśmiewali z tego, jak tańczy! Pomyślała, że przydałby się jej choć jeden wieczór... albo i parę... albo, kto wie, może i rok lub dwa... aby mogła się oswoić ze swoją nową pozycją towarzyską, zanim wyda się na łaskę i niełaskę miejscowej opinii. Zdawała sobie sprawę, jak smakowitym kąskiem jest dla plotkarzy. Będą sobie na niej używać.

Piwnie oczy ciotki Frances patrzyły na nią bystro. Było w nich zrozumienie i współczucie.

-Wiedzą, że umarł twój ojciec i że przeprowadziłaś się do mnie. A jeśli słyszeli oprócz tego coś więcej, to z pewnością nie ode mnie. Myślę jednak, Susanno, że ważniejsze jest inne pytanie: jak dalece się tym przejmujesz?

Lekki wietrzyk poruszył firanką. Przez otwarte okno napłynęła subtelna woń róż i przemieszała się z aromatem świeżo upieczonego chleba, a zwykłą drewnianą podłogę, proste, wyszorowane do białości szafki i kuchenny piec zalał potok słonecznego blasku. I Susannie

wydało się w tej chwili, że każda rzecz może być piękna, o ile tylko zobaczymy ją we właściwym świetle.

Dumnie uniosła podbródek.

- W ogóle się tym nie przejmuję, ciociu.

I w tej słonecznej bez troskiej chwili była to niemal prawda.

4

Kit zapomniał już, jak nędzna jest wiejska posiadłość Granthamów. Latem dom znakomicie akumulował ciepło, zimą - chłód, a gdy zapadła noc i człowiek udawał się do pokoju, miał wrażenie, że zszedł ze statku zacumowanego w którymś z portów w Indiach Wschodnich. No, ale Kit nauczył się nie przejmować tym, gdzie i jak śpi; w wojsku śpi się, kiedy się może, i je tak samo, ceniąc każdy okruch żywności. Zrzucił z siebie ubranie i cisnął je na krzesło; pistolet położył na stole przy łóżku. Odkroił plaster sera z leżącego na talerzu trójkąta i zjadł go, po czym położył obok pistoletu również i nóż. Lubił mieć pod ręką różne rodzaje broni, tak by w razie potrzeby było z czego wybierać.

Jedyną wykwinną rzeczą, jaką przywiózł ze sobą z Londynu, była pościel. Chłodna, delikatna, w noc taką jak dzisiejsza była niczym morska bryza. Odwinął wierzchnie prześcieradło i wśliznął się do łóżka.

Zanim jednak zgasił lampę, pod wpływem impulsu sięgnął raz jeszcze po szkicownik i spróbował odczytać z rysunków historię życia ich autorki. Najwyraźniej było to życie miłe, spokojne i wytworne; kolejne stroniczki przedstawiały piękne posiadłości i równie uroczych przyjaciół artystki. A potem ni stąd, ni zowąd, niczym nieoczekiwany wykrzyknik - goły wicehrabia!

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, odłożył szkicownik, zgasił lampę i przymknął oczy.

Kiedy je znów otworzył, w pokoju nadal było ciemno; najwyraźniej nie spał zbyt długo. A jednak panująca wokół cisza miała inną jakość, zupełnie jakby pojawił się w niej nowy element.

Zaalarmowany, wstrzymując dech, popatrzył na pokój spod w półprzymkniętych powiek.

I dojrzał obok biurka wysoką ciemną sylwetkę.

Błyskawicznym ruchem chwycił nóż, zerwał się z łóżka i od tyłu ścisnął ramieniem gardło intruza, niczym żelazną klamrą.

- Jeden twój ruch i po tobie - mruknął.

Męska dłoń wpiła się w ramię Kita. Przez chwilę dwaj mężczyźni stali spleceni węzłem napiętych mięśni, dysząc chrapliwie.

- Puść, Grantham - wykrztusił w końcu intruz.

Kit odrobinę rozluźnił chwyt.

- John?

Cisza.

- K-kit? - zdołał w końcu wydusić z siebie John Carr.

- Ta-ak - potwierdził Kit, niemal nie wierząc własnym zmysłom.

Znów cisza.

- Czy ty jesteś goły? - W głosie Johna pobrzmiwała nuta zgrozy.

Kit prychnął, odepchnął Johna, złapał spodnie z krzesła i dwoma szybkimi pchnięciami wbił w nie nogi, po czym zapalił stojącą obok łóżka lampę. Jej przyćmione światło ujawniło najlepszego przyjaciela Kita, stojącego pośrodku pokoju i pocierającego z ponurą miną obołą szycę.

- John Carr! A mnie się zdawało, że czuję odór kozła.

Przyjaciel wydał krótki, ochryple śmiech. Cóż, zaciśnięcie krtani potężnie umięśnionym przedramieniem może istotnie spowodować chwilową chrypkę.

- Chryste, Kit... Piratem jesteś, czy co? Z tym cholernym sztyltem, czy co to jest... Jeden twój ruch i po tobie - przedrzeźnił go.

- To nóż do sera, John. I jest gorąco. Mężczyzna może spać nagi we własnym pokoju. - Najwyraźniej nigdzie dziś nie wolno być nagim w Barnstable. - Jak się tu dostałeś?

- Okno w pokoju dziecięcym jest odrobinę niedomknięte, a przecież znasz to drzewo, które rośnie tuż obok...

- Ach tak. - Kit skinął ze zrozumieniem głową. Tak, znał to drzewo. Bardzo pożyteczne drzewo... Ileż to razy, kiedy był chłopcem, mógł dzięki niemu wydostać się przez okno i tą samą drogą wrócić, kiedy rzekomo miał spać albo kiedy odbywał karę za jakieś dziecięce wykroczenie! I John też przebywał tę trasę wiele razy. Nieraz ich na tym przyłapano i dostawali lanie, rzecz jasna, bo ojciec Kita prawie zawsze zdołał go zdystansować o krok.

Przez chwilę trwała cisza.

- John, dlaczego, do diabła... - Kit zrobił gest ręką, obrazujący absurdalność tego pytania.

John, w długich butach, ciemnych spodniach i ciemnym surducie z lekkiej wełny - pewnie chodziło o to, żeby być niewidocznym w ciemności i na tle drzewa - odsunął krzesło i usiadł na nim okrakiem, oparciem do przodu.

- Nie miało cię tu być.

Kit nie zaszczycił go odpowiedzią, więc John spróbował jeszcze raz.

- Jestem na służbie, Kit.

- Jesteś na służbie. W moim pokoju. W Barnstable.

- Tak.

Kit popatrzył przenikliwie na przyjaciela. John zawsze był przy stojny: wysoki, muskularny, ciemnowłosy i ciemnooki. Jego rysy zdołały osiągnąć tę magiczną równowagę pomiędzy szostkością a wyrafinowaniem, która sprawiała, że nie było damskiego serca, które nie zatrzepotałoby na ten widok.

A jednak to nieruchome spojrzenie błękitnych oczu Kita sprawiało, że większość ludzi już po chwili zaczynała się jąkać z wrażenia.

John wytrzymał jego spojrzenie bez drgnienia powiek.

Nagłe przecucie zjeżyło włoski na karku Kita.

- Lepiej mi powiedz.

John opuścił na moment głowę, ważąc decyzję. Kiedy po chwili uniósł ją na powrót, twarz miał starannie wypraną z jakiegokolwiek

wyrazu. Kit poczuł złość. Nigdy dotąd nie stosowali zawodowych chwytów wobec siebie.

- Powiem ci tyle, ile mogę.

- Czy jestem śledzony? - Kit z niedowierzaniem usłyszał we własnym głosie nutkę napięcia. - Czy mój ojciec o tym wie?

- Dlaczego miałyby wiedzieć? Bo jest wszechmocny? - Cień rywalizacji zadźwięczał w tych słowach. Ojciec Johna, baron, zajmował się głównie pielęgnacją ogrodu; to nie on był jednym z najmożliwszych i najbardziej wpływowych parów Anglii.

- Z pewnością by chciał, żebyśmy go za takiego uważali - powiedział Kit lekko.

John rozbrojony wyszczerzył zęby w uśmiechu.

-W porządku, powiem ci, dlaczego tu jestem, Kit, ale muszę cię prosić, żebyś tego nikomu nie powtarzał. Ojcu też. Dostałbym surową naganą. Albo jeszcze gorzej.

Kit pokiwał niecierpliwie głową.

- Mów.

- Chodzi o Morleya.

Kit zamarł na moment. Dziwne, ale nie zaskoczyło go to wyznaczenie. A potem podszedł do biurka, wziął do ręki dwa kieliszki i zdmuchnąwszy z nich kurz, co wywołało parsknięcie śmiechu u przyjaciela, napełnił je brandy. Popchnął jeden w stronę Johna.

- Mów dalej.

- Przechwyciliśmy list do Thaddeusa Morleya. Jakaś kobieta pisze, że jeśli nie wyśle jej pieniędzy, „powie wszystko, co wie, o wszystkim, co zrobił”. Innymi słowy, szantażuje go. Musimy ją znaleźć, bo niewykluczone że może udowodnić, iż Morley sprzedawał informacje Francuzom. Ale jak dotąd wyprzedza nas o krok.

- Kto to są ci „my”, John? I co to ma, u diabła, wspólnego ze mną? Jeśli nie liczyć mojego, by tak rzec, zainteresowania osobą Morleya.

John ujął kieliszek brandy odrobinę zbyt niedbale.

- Nie mogę ci powiedzieć, kto to są „my”. Ale mogę powiedzieć, kim jest ta kobieta. To Caroline Allston.

Nie, nie doznał wstrząsu. Upłynęło tyle lat... Ale nie mógłby też powiedzieć, że nie wywarło to na nim żadnego wrażenia. John niemal bezwiednie uniósł dłoń i potarł ramię tam, gdzie miał na ciele bliznę w kształcie kółka. To Kit postrzelił go, kiedy liczyli sobie obaj po siedemnaście lat.

Pamiętka po Caroline.

- No, ale nadal nie wiem, co to ma wspólnego ze mną, John?

Mężczyzna znów pociągnął łyk brandy. Kiedy przemówił, jego głos brzmiał dziwnie.

- Napisała też do ciebie, Kit.

Kit poczuł, jak tężeją mu mięśnie brzucha. Był zdumiony.

- Ach tak.

- Na twój adres w Londynie - ciągnął John. - Przechwyciłem ten list. Prosi cię w nim o... - John urwał i odchrząknął, po czym podjął głosem dziwnie schrypłym: - O pomoc. Pisze, że ma kłopoty, i liczy, że uda się jej do ciebie przyjechać. Myślę, że ten list miał cię przygotować na jej... wizytę.

O pomoc... Caroline potrzebna jest jego pomoc.

- Kiedy został wysłany ten list?

- Tydzień temu.

- I przyjechałeś tu, do Różanego Dworku, bo...

- W twoim miejskim domu się nie pojawiła. A Różany Dworek idealnie nadaje się na miejsce spotkania, jak również na kryjówkę...

- John pociągnął łyk i odstawił kieliszek. - To znaczy, gdybyś był skłonny ją ukryć.

Przelotny wietrzyk zatrzepotał płomieniem lampy. Trunek w kieliszkach zalśnił bursztynowo, ale ich twarze na moment pograżyły się w cieniu.

- Nie miałem o tej kobiecie żadnych wiadomości od prawie dwudziestu lat - powiedział w końcu Kit, siląc się na beztronski ton.

- I prawie w ogóle o niej nie myślałem. Ale ty powinieneś mnie po prostu spytać, a nie myszkować po mojej sypialni. Czy po moim domu w mieście, skoro już o tym mowa.

- Rozkazy, Kit.

- Czyje? - spytał szybko. Daremne pytanie, zapewne, ale warto spróbować.

John pokręcił głową.

- Wiesz, że nie mogę ci powiedzieć. No i nie wiedziałem, że ty... to jest, nikt mi nie powiedział, że tu będziesz. Całkiem możliwe, że ona przyjedzie tu bez uprzedzenia, skoro nie zastała cię w Londynie.

- Niewykluczone - powiedział Kit tonem, który sugerował, że jest to całkowicie wykluczone.

John nie skomentował tego ani słowem. W milczeniu, od niechcienia rozglądał się po pokoju. Pewnie znał go równie dobrze jak własny. Kit zastanawiał się przez chwilę, czy powiedzieć mu o Jamesie. Trochę go bolało, że nie został dopuszczony do śledztwa w sprawie Morleya. Dziwne było także, że nie wiedział o śledztwie jego ojciec. No i, Boże święty... dostawał szału na myśl, że John może nakryć Morleya, zanim on będzie miał szansę to zrobić! Jego gorsza część, ta skłonna do rywalizacji, doznawała pokusy, aby przemilczeć sprawę Jamesa.

No, ale to był John, jego najlepszy przyjaciel od czasów dzieciństwa, niemal brat. A poza tym Kit był patriotą. Jeśli Morley istotnie sprzedawał informacje Francuzom...

- John... jest coś, o czym powinienem ci powiedzieć. Słyszałeś, że zamordowano Jamesa Makepeace'a?

John chmurnie skinął głową.

- Parę tygodni temu James opowiedział mi dość niesamowitą historię. Muszę przyznać, że potraktowałem ją wtedy poważnie tylko częściowo. A jej... powiedzmy, bohaterem jest właśnie Morley.

John uniósł brwi.

- Mów.

- Pamiętasz polityka nazwiskiem Richard Lockwood? Zamordowano go kilkanaście lat temu.

-Zdaje się, że to było wtedy, kiedy my dwaj... - John zawahał się, jako że zawsze był o wiele większym dyplomata niż Kit - zostaliśmy wysłani do akademii wojskowej.

- Masz na myśli wtedy, kiedy cię postrzeliłem - rzucił Kit z wyzywającą, łobuzerską otwartością.

- Kiedy chybiłeś - odparował, jak było do przewidzenia, John.

Kiedy zaczęli, mogli ciągnąć podobny pojedynek na słowa bez końca.

I tak Kit opowiedział Johnowi całą historię: o Lockwoodzie, Morleyu, o chrześcijańskich cnotach i o jakoby „cudacznym” miejscu, w którym zostały ukryte dokumenty, mające stanowić niepodważalny dowód winy Morleya.

John w zamyśleniu zabębnił palcami w blat stołu.

- Jesteś pewien, że James nie był pijany, kiedy ci o tym wszystkim opowiadał?

- A widziałeś chociaż raz, żeby James był pijany?

- A ty nie byłeś pijany, kiedy ci o tym opowiadał?

- Dlaczego wszyscy uważają, że miałbym być wtedy pijany?

- spytał Kit z irytacją.

John uśmiechnął się, nie rozchylając warg.

- Bo często bywasz. Ale jak myślisz, dlaczego James ci o tym powiedział? Pod wpływem chwilowego odruchu czy zaplanował to z góry?

- Trudno powiedzieć. Może domyślał się, że jest w niebezpieczeństwie. Może sądził, że gdyby się coś z nim stało, wówczas kto jak kto, ale ja raczej nie odłożę sprawy ad acta.

Trzeba oddać Johnowi sprawiedliwość, że nie parsknął na to lekceważąco.

- Wierzysz mu, Kit?

- Nie był obłąkany, jeśli o to pytasz.

- Jak sądzisz, czy Caroline wie coś na temat morderstwa Lockwooda? W liście... w liście użyła wyrażenia „wszystko, cośmy zrobili”.

- Właśnie dlatego opowiedziałem ci o Jamesie. Może ta historia nie ma sensu, ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że w jakiś sposób wiąże się z Caroline i Morleyem. Przypuszczam jednak, że ustalenie, czy tak jest w istocie, należy do ciebie.

John się uśmiechnął. Dobrze wiedział, jak martwi Kita, że to nie on zajmuje się wyjaśnieniem tej zagadki.

- Co byś zrobił, Kit, gdyby James nie został zamordowany?

-Wydusiłbym z niego więcej informacji, rzecz jasna. Powiedz mi, dlaczego zaczęliście śledzić Morleya? - spytał szybko.

- Doskonałe posunięcie. Ale wiesz, że nie mogę ci tego powiedzieć.

Kit zaklął soczyście pod nosem. John się roześmiał.

-Ale pomogłeś nam, naprawdę. Warto było włączyć po drzewie przez okno. A ja zaczynam już być odrobinę za stary na takie harce.

Kit się skrzywił. Brandy rozgrzewała mu żołądek, ale w głowie niemile brzęczał jakiś ostrzegawczy sygnał.

- Za Jamesa - powiedział, unosząc kieliszek.

- Za Jamesa.

Wypili. Na chwilę każdy z nich pogрузzył się we własnych myślach.

- Kit... - zaczął ostrożnie John. Kit zatrzymał na nim wyczekujące spojrzenie. - Pamiętaj, że jeśli Caroline pomagała Morleyowi sprzedawać informacje Francuzom... to i ona jest zdrajczynią. A teraz... próbuje cię odszukać.

Ale Kit sam już to zrozumiał: jeśli dojdzie do publicznej wiadomości, że syn księcia Westphall zadaje się ze zdrajczynią, wybuchnie polityczny skandal. Życie paru osób zostanie zrujnowane. Jego własne na przykład. A już zwłaszcza życie ojca.

Bez wątpienia parę osób bardzo się z tego ucieszy.

A może ktoś celowo zastawił tę pułapkę na mnie lub ojca, aby doprowadzić nas do upadku? - przemknęło mu przez myśl.

Odchylił się niedbale na oparcie krzesła. Długoletnia praktyka sprawiła, że bez trudu udało mu się zachować obojętną twarz. Założył ręce za głowę i przeciągnął się leniwie, nonszalancko. Podejrzewał, iż John doskonale wie, że to gra, gdyż sam w podobnych okolicznościach zachowałby się identycznie.

Po czym, zamiast ciągnąć dotychczasowy wątek, wziął karafkę i napełnił oba kieliszki, potem podał jeden z nich przyjacielowi.

- To gdzie w końcu wylądowałeś, kiedyśmy się rozstali wczoraj wieczorem? U lady Barrington?

Zadowolony uśmiech Johna mówił sam za siebie.

- Ściśle biorąc, w jej łóżku.

- Moje gratulacje - powiedział szczerze Kit i znowu unieśli kieliszki. Jego przyjaciel już od jakiegoś czasu starał się o względy tej damy.

John wlał zawartość kieliszka do gardła i brodą wskazał Kitowi, by napełnił go jeszcze raz.

- A co ty tu robisz, Kit? - spytał, tak jakby dopiero teraz przyszła mu do głowy ta myśl. - Nie miałem pojęcia, że wyjechałeś z miasta.

- Pomyślałem sobie, że popracuję trochę nad moim albumem.

- Nad czym?

To było zabawne - rzucać to słowo i obserwować skutki.

- Pomyślałem, że dobrze by było odpocząć od miejskiego zgiełku i zająć się dokumentacją flory i fauny okolic Barnstable.

John zaniemówił. Cóż za satysfakcja.

- Przyroda jest niesłychanie ekscytująca, John - ciągnął Kit, nadając głosowi odcień filozoficznej zadumy. - Cała ta miłość, śmierć, przemoc, rywalizacja.

John wreszcie ocknął się ze zdumienia. Na jego twarzy pojawił się wyraz troski.

- Ale... przecież jesteś szpiegiem. No i... nie potrafisz żyć bez Londynu. To znaczy, miałem na myśli... bez hrabiny.

Kit wybuchnął gromkim śmiechem i plasnął rozwartymi dłońmi w błat stołu. John się nachmurzył.

- Powiedz mi prawdę.

- W porządku. Prawda jest taka, że to ojciec mnie tu wysłał, że bym popracował nad albumem. Pod groźbą wyekspediowania do Egiptu, jeśli nie zrobię tego w ciągu miesiąca.

- A więc przebywasz na wygnaniu - rzekł, nie owijając w bawełnę, John.

- Można tak to określić. W pewnym sensie.

- H m .

- Hm? - powtórzył Kit, urażony. - Co chcesz przez to powiedzieć, do diabła?

- No cóż... wyglądało na to, że jesteś ostatnio trochę... dziwny, Kit.

- Dziwny? Co to znaczy?

- Za dużo pijesz - rzekł John, a jego ton zdawał się sugerować, że to dopiero początek listy. Było to nad wyraz irytujące. - W każdym razie więcej niż kiedykolwiek. Jesteś skłonny do kłótni... bardziej niż zwykle. Łatwo wpadasz w złość. Spędzasz mnóstwo czasu na zalecaniu się do zameżnych hrabin, co w moich oczach wygląda na wyszukany sposób, żeby się wykręcić od małżeństwa.

- Wykręcić się od małżeństwa? - Tylko John Carr mógł coś takiego powiedzieć. - A ty?

- Ja czekam.

- Na co?

John uśmiechnął się enigmatycznie. Kit przez dłuższą chwilę wpatrywał się w niego ze złością. John ze stoickim spokojem wytrzymał to spojrzenie.

- Chyba faktycznie jestem odrobinę... znudzony - mruknął w końcu Kit.

- Wszyscy jesteśmy odrobinę znudzeni. Ale tylko jeden z nas nazwał Chisholma idiotą, i tym kimś jesteś ty.

Kit w milczeniu przyjął to do wiadomości. Jak na człowieka, który zawsze chlubił się opanowaniem i zdolnością do samokontroli, niewiele było ostatnio tych cech w jego zachowaniu, jego niespokojny umysł łaknął wyzwania, jego niespokojne ciało łaknęło działania. Celu. Odetchnął głęboko, zirytowany i zmieszany. Innymi słowy: nie był szczęśliwy.

John popatrzy! w sufit.

- Myślę, że hrabina czuje się trochę... osamotniona, skoro wyjechałaś.

Kit zaklął ze śmiechem.

- Tylko spróbuj - rzekł ostrzegawczo.

W gruncie rzeczy jednak nie przejął się za bardzo. Owszem, John był przystojny, ale obaj dobrze wiedzieli, że we wszystkim innym

Kit jest - i zawsze był - o włos lepszy od przyjaciela. Lepiej strzelał, szybciej biegał, sprawniej jeździł konno, bardziej stylowo pływał... I skuteczniej rzucał czar na kobiety. Wyłącznie mocą swego szczególnego, niepowtarzalnego, upartego „ja”. A może dlatego, że starał się odrobinę bardziej usilnie?

Nie... Po prostu we wszystkim poza urodą jestem lepszy niż John, powiedział sobie. Wrócił mu humor.

Napięcie opadło. Przez chwilę siedzieli w przyjaznym nieskrępowanym milczeniu.

- Możesz na mnie polegać, John - odezwał się w końcu Kit.
- Nie powiem mojemu ojcu ani słowa o tym, czego się od ciebie dowiedziałem. Ani komukolwiek innemu.

- Wiem - odparł po chwili John. W jego tonie - to dziwne - po-brzmiewała leciutka nuta smutku. - Gdybyś miał jakieś wiadomości od Caroline...

- Od razu ci o tym powiem, John. A teraz, skoro twój kieliszek jest pusty... może byś tak sobie poszedł?

- Wyrzucasz mnie? - John Carr udał niedowierzanie.

- Spać mi się chce. Nie zapomnij odwiedzić matki, skoro już jesteś w Barnstable, bo inaczej powiem jej, że byłeś w sąsiedztwie i nie pofatygowałeś się, żeby do niej wstąpić. A teraz zamknij drzwi z tamtej strony.

- Łajdak - mruknął ponuro John. Kit się roześmiał.

Kiedy John wyszedł, Kit usiadł i nalał sobie kolejny kieliszek brandy, po czym przypomniał sobie, co mówił John, i wlał trunek z powrotem do karafki. Podszedł do okna i zapatrzył się w ciemność. Jak tu cicho... Ale to złudzenie. Wiedział, że wkrótce dotrze do niego cała ta wrzawa, która jest dziełem natury: śpiew ptaków, cmokanie wiewiórek, jednostajne rzępolenie świerszczy. Dźwięki będą napływać przez otwarte okno, niemal równie intensywne jak w Londynie. Na swój własny sposób. Jak parno... Pierś miał lepką od potu. Bezwiednie przesunął dłonią po karku, gdzie ściekała mu kropelka wilgoci.

A potem przykucnął obok łóżka i wyciągnął spod niego pudełko, stojące tam od czasów, gdy był chłopcem. Podniósł wieczko i zaczął grzebać pośród pamiątek przeszłości. Odłamki skał, kości, pióra, książki, jego pierwszy pistolet... I wreszcie znalazł. List.

„Przepraszam” - taka była jego treść. Ale rozpoznałby to pismo zawsze i wszędzie. Wymieniał z nią sekretne liściki przez całe dwa gorączkowe lata; zostawiali je sobie w spróchniałym pniu drzewa, tuż obok polany, gdzie później mierzył z pistoletu do swego najlepszego przyjaciela. Caroline zawsze robiła okropne błędy ortograficzne... Ale „przepraszam” napisała poprawnie.

Świetnie pamiętał moment pojedynku... Blednące, tuż przed świtem, niebo, ptasi trybunał na ogołoconych z liści gałęziach. Biały obłok oddechu Johna, gdy wymawiał tamte słowa: „Ona nie jest tego warta, Kit”. Była to zarazem obrona i obelga.

Ale przecież była tego warta. Przynajmniej z perspektywy siedemnastolatka. To ona pierwsza zachęciła Kita, aby dotknął jej nagiej piersi, i czasem mu się wydawało, że to najważniejsze wydarzenie w całym jego życiu.

Tak więc Kit, który zawsze strzelał lepiej, postrzelił Johna w ramię, a ich ojcowie natychmiast spakowali synów i wysłali do akademii wojskowej, gdzie zarówno ich przyjaźń, jak i ramię Johna prędko wróciły do zdrowia. Bo ustąpiło podniecenie, które zawsze wywoływała obecność Caroline.

List został wysłany z miasteczka Gorringe jakieś siedemnaście lat temu, wkrótce po jego pojedynku z Johnem. Z miasteczka, któremu - zgodnie z legendą - nadał tę nazwę pewien książę, poeta amator, który podobno oszalał, na próżno szukając rymu do *orange*.

A teraz Caroline była w kłopotach, co prawda to nic nowego, bo Caroline zawsze miała jakieś kłopoty. Można powiedzieć, że sama się o nie starała. Wszyscy w Barnstable ją znali i wszyscy potępiali.

Albo jej pragnęli.

A ona pewnego wieczoru zniknęła. Tego wieczoru, gdy poznała Thaddeusa Morleya. Na przyjęciu zorganizowanym przez ojca Kita.

Dlaczego przechowywał ten liścik? Chyba dlatego, że stanowił dowód jego zwycięstwa nad Caroline. O tyle, o ile Caroline w ogóle można było pokonać. Bez wątpienia John by go znalazł, gdyby Kit, nie spał dziś w tym pokoju.

Krótko mówiąc, John spokojnie mógł wejść w posiadanie tego, co stanowiło własność Kita. Ale Kit także miał coś, co należało do Johna.

To również była pamiątka po Caroline.

Odkąd tylko Caroline pamiętała, zawsze czegoś pragnęła. Jak swędzące miejsce, którego nie sposób dosięgnąć, jak słowo, które ma się na końcu języka, ale nie sposób je sobie przypomnieć, nieokreślone pragnienie tliło się w niej niemal od kołyski, i każda decyzja, jaką kiedykolwiek podjęła, miała na celu jego zaspokojenie.

W rezultacie o jej życiu można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że było nudne.

Na przykład nie miała najmniejszych wątpiwości, że Thaddeus Morley usiłuje ją zabić. I że jest to rezultatem pewnej... cóż, być może nie całkiem trafnej decyzji, jaką niedawno podjęła. Potrzebowała pieniędzy, a Thaddeus miał ich mnóstwo, z czego znaczną część zawdzięczał przecież jej pomocy. No więc wystosowała do niego miły, sentymentalny liścik, sugerujący, że powinien się nimi z nią podzielić. Bo jak nie, to...

A krótko potem ktoś próbował ją zasztyletować. Ledwie zdołała ująć z życiem.

Przeniosła się do innego miasta. Pieniądze stopniały.

I znowu ktoś próbował ją zasztyletować. Dzięki Bogu, miała dobry wzrok i refleks. Od tej pory nieustannie przenosiła się z jednej miejscowości do drugiej.

No cóż... Powinna była wiedzieć, że Thaddeus nigdy nie robi niczego połowicznie.

Czekając na zamówioną herbatę, obserwowała poprzez siateczkę woalki mrowiący się w zajeździe tłum. Była ubrana od stóp do głowy w czerń, jak przystało rzekomej wdowie, ale woalka tylko potęgowała

jej tajemniczość, wiedziała o tym. Odsłaniała wyłącznie usta. Czerwone, zachęcające.

A później, w desperacji, napisała także do Kita Whitelawa. Wyznała, że jest w kłopotach, i uprzedziła, że wkrótce do niego przyjedzie. Ale nie miała ani grosza i nie była w stanie dotrzeć do Londynu. Tak więc, być może, nigdy się nie dowie, czy Kit wyrósł na mężczyznę, jakim obiecał się stać, kiedy miał siedemnaście lat.

Gdy ona miała osiemnaście, wznieciła płomień rywalizacji pomiędzy Kitem a jego najlepszym przyjacielem. Wkrótce buzowała radośnie niczym jesienne ognisko, a ona grzała się w jego ciepłe. Łagodził nieco to wiecznie obecne w niej pragnienie. Tak samo robił ojciec, gdy co wieczór siadał przed kominkiem i kładł na stołku swoją okaleczoną podczas wojny nogę, by złagodzić ból. Wyglądało na to, że pomaga. Cowieczorna butelka lub dwie też najwyraźniej pomagały, tak samo jak przyłożenie córce twardą ręką, gdzie popadnie. Nauczyła się uchylać i unikać ciosów.

I tak już zostało. Przez całe życie uchylała się i unikała skutków własnych decyzji i odruchów, i nauczyło ją to, że nie musi się nad niczym zbyt długo zastanawiać ani przejmować, gdyż jest to doprawdy niewygodne i niemiłe.

A teraz... teraz wyglądało na to, że nie może zaprzestać nieustannego przeprowadzania się z miasta do miasta.

Kiedy była młodsza, wpatrywała się czasem we własne odbicie w lustrze i rozmyślała. Co za ponury, okrutny żart: nieskazitelnie gładka biała cera, naturalnie czerwone wargi, ciemne oczy, wielkie niczym jeziora, które mogły być zarówno zdradliwie głębokie, jak i niewinnie płytkie; aby się o tym przekonać, trzeba było podjąć ryzyko wejścia i pobrodzenia w nich. Do tego bujne fale jedwabistych ciemnych włosów. Co za pożytek z takiej twarzy, skoro ojciec był pijakiem, który wyprzedawał całe ich mienie; skoro nie miała ani jednej przyzwoitej sukni; skoro była uwięziona w Barnstable niczym w pułapce, oszalała z nudy, nieustannie pamiętająca o swojej społecznej i towarzyskiej degrengoladzie? O, to pewne, że nie zamierzała wyjść za mąż za syna jakiegoś włościanina czy młynarza, ale równie

pewne było, że nigdy nie będzie jej dane poślubić syna szlachcica, a cóż dopiero księcia.

A jednak aż się palili, by z nią romansować. Wystarczyła drobna zachęta. Co do Kita, to trzeba było zachęcać go znacznie dłużej, bo miał niezwykle silne poczucie tego, co wypada, a co nie. Ale w końcu i on się jej nie oparł.

Jednak zapał Kita był niebezpieczny. Kiedy była z nim, miała uczucie, że coś w niej taje - i to bolało. Bolało... Tak jakby musiała przedzierać się do niego poprzez lodowiec. Przystojny John Carr również obdarzał ją swymi względami, ale on nie był ani w połowie tak niebezpieczny jak Kit. Trochę dlatego, że jego ojciec był zaledwie baronem. Ale głównie dlatego, że bliskość z nim nigdy nie była czymś więcej niż tylko bliskością fizyczną.

Ale z Kitem tak. O, tak... Bo Kit także był człowiekiem, który nie robił niczego połowicznie.

No i pewnego wieczoru, na przyjęciu, jakie organizował co roku książę Westphall, żeby zademonstrować miejscowym swoją wielkość, pojawił się Thaddeus Morley. Starszy od niej o dwadzieścia lat, emanujący spokojną, budzącą dreszcz mocą, sprawił, że podjęła jedną ze swoich impulsywnych decyzji: oddała swój los w jego ręce. I przez jakiś czas życie stało się ekscytujące i ciekawe. Pasowali do siebie.

- Dziękuję - powiedziała do oberżysty, który podał jej filiżankę herbaty, i znów rozejrzała się dyskretnie po sali.

Mężczyźni zawsze patrzyli na nią albo ze strachem, albo z pożądaniem. Czasem w ich spojrzeniach było i jedno, i drugie. Ci, którzy usiłowali ją zabić, nie patrzyli w ogóle. Cała ta historia - to, że stała się łowną zwierzyną - nie była zbyt przyjemna, ale zarazem świadomość niebezpieczeństwa i potrzeba ciągłej czujności pozwalały zapomnieć o tym, tłącym się w niej, wiecznie niezaspokojonym pragnieniu.

No, ale teraz była bez pieniędzy, gdyż resztę tego, co miała, wydała na te wdowie szary - kostium, kryjący jej tożsamość - i niewielki pistolet. A pieniądze były jej pilnie potrzebne, skoro pomyśl z szantażem się nie udał. Thaddy kochał ją kiedyś, przynajmniej na

tyle, na ile w ogóle był w stanie kochać kogokolwiek oprócz kota, ale powinna była wiedzieć, że nie pozwoli, aby coś tak niepraktycznego jak miłość stanęło na drodze jego ambicjom. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, w jaki sposób stał się tym, kim był obecnie. Zapłacił za to krwią. Własną i swoich ofiar.

Caroline często pragnęła czegoś tylko dlatego, że mieli to inni. Na przykład tamten przystojny młodzieniec o bujnej czuprynie, przy stoliku w kącie sali... Jadł kolację w towarzystwie kobiety, która najwyraźniej musiała być jego żoną, a także jej matki. Zerknął na nią już parokrotnie, a ostatnim razem zatrzymał spojrzenie nieco dłużej. Żona była niepozorną blondynką, bladą niczym budyń, i nieustannie poruszała ustami, paplając niezmiernie, gdy tymczasem jej mąż-błędził oczyma po sali... i wypatrywał ją, Caroline.

Zamarł. Tak jak zawsze oni wszyscy. Pozwoliła, by przez moment sycił oczy jej widokiem, po czym opuściła wzrok na filiżankę z herbatą.

Pewnie nudził się z żoną. Ale ożenił się z nią, bo bez wątpienia miała odpowiednią pozycję towarzyską, no i oboje zapewne lubili wygodne dostatnie życie. Może nawet ją kochał, a w każdym razie tolerował.

Caroline zdecydowała, że ma na niego ochotę.

A ponieważ rozpaczliwie potrzebowała pieniędzy, może zdoła złapać dwie sroki za ogon.

Szczęście jej sprzyjało. Młody mężczyzna wstał i ruszył niespiesznie w kierunku baru. Gdy mijał jej stolik, wstała od niechcienia, rzekomo przypadkiem.

- Drugi pokój na prawo. Za pięć minut. Pięć funtów - mruknęła.

Zanim ruszyła w kierunku schodów, złowiła kątem oka jego spojrzenie. Były w nim szok i żądza. Lęk i fascynacja. Na przemian. I już wiedziała, że wkrótce będzie miała dość pieniędzy, aby znów ruszyć w drogę. Tylko to się liczyło.

5

Komitet dekoracyjny najwyraźniej potraktował swoje zadanie niezwykle serio, ale nawet cała galaktyka świec i całe łąki kwiatów nie były w stanie ukryć faktu, że sala w Barnstąbłe to nie Almack's. Wzdłuż jednej ściany ciągnął się bufet, zastawiony kanapkami i ratafią; orkiestra, złożona z fortepianu i smyczków, schroniła się w kącie. Ciekawe, czy potrafią zagrać walca, pomyślała Susanna. Nie żeby miała tańczyć, rzecz jasna. Była w żałobie, a poza tym nie sądziła, aby znalazł się tu ktoś, z kim miałyby ochotę zatańczyć.

Popatrzyła na salę doświadczonego okiem - i przez chwilę poczuła się kompletnie zdezorientowana. Suknie, wachlarze, pantofelki, surduty - wszystko to było modne jakieś pięć lat temu, tuż po Waterloo! W swojej pięknie skrojonej, najświeższej mody sukni, choć żałobnie ciemnej, czuła się tak, jakby spadła z innej planety. W tej chwili większość obywateli Barnstąbłe zajęta była wykonywaniem kolejnych figur kadryla, ale pozostali najwyraźniej doznawali bolesnego skurczu szyi na skutek uporczywego udawania, że w ogóle nie patrzą w jej stronę. Zwłaszcza młodzi mężczyźni, rzecz jasna... Tak więc, stojąc u boku ciotki Frances, uśmiechnęła się miłym, ciepłym, zachęcającym uśmiechem, który zapoczątkował tyle przyjaźni w jej poprzednim życiu.

Dziwne... Przysięgłaby, że wszyscy obecni w sali cofnęli się O krok. O mały, ledwie dostrzegalny kroczek.

Ciotka Frances uściśnieła krzepiąco jej dłoń.

— Zbliży się pani Talbot - szepnęła. - Nie spodoba ci się. - I uśmiechnęła się pogodnie do kobiety w czerwonej tureckiej szacie i takimż turbanie, która zdążyła w ich kierunku.

Kiedy wymieniono dygi i powitania, pani Talbot zniżyła konfidencjonalnie głos.

- Słyszałam z bardzo wiarygodnego źródła, że jest tu dziś wicehrabia Grantham. On ma złą sławę, panno Makepeace. Przed laty zniknął z Barnstąbłe w podejrzanych okolicznościach. Zajmował

się podobno przemytem, pomnażając swoją fortunę... Nie wiem, kto go mógł zaprosić. Ale cóż, pochodzi z tutejszej arystokracji, więc oczywiście jest wszędzie mile widziany. Zdaje się, że tańczy z moją córką! Moja córka jest bardzo ładna, wie pani... - Powiodła po Susannie oskarżycielskim i zaniepokojonym zarazem spojrzaniem, od czubka głowy aż do pięt, po czym szybkim ruchem, niczym wojownik nakładający zbroję, otworzyła wachlarz. - Miło mi było panią poznać, panno Makepeace - powiedziała, przy czym udało się jej nadać głosowi takie brzmienie, jakby jej uczucia były całkiem odmienne. I pożeglowała z powrotem, z chwiejącym się niebezpiecznie na czubku głowy turbanem.

- Tylko ona jest taka - szepnęła ciotka tonem usprawiedliwienia. - Aż się trzęsie, żeby wydać córkę za męża, i obawiam się, że zaczynają jej puszczać nerwy. Zapewniam cię, że wicehrabia... ach, popatrz, oto Meredith i Bess Carstairs. - Obie, Susanna i ciotka, uśmiechnęły się do siostr Carstairs, dwu ładnych brunetek o idealnie niemal okrągłych buziach i niezwykle regularnych rysach. Wyglądały jak dwie róże namalowane na chińskiej porcelanie.

- Niech pani uważa na wicehrabiego Grantham, panno Makepeace - powiedziała jedna z nich, Bess, teatralnie zniżając głos. - Jest tu dzisiaj. Kiedyś, w przeszłości, wywołał skandal tak straszny, że nikt nie śmie mówić o tym na głos. Słyszałam, że jest ścigany za przemyt.

- Naprawdę? - Susanna rozpromieniła się, rada, że dopuszczono ją do plotek.

Siostry Carstairs cofnęły się leciutko. Można by pomyśleć, że zaświeciła im latarnią prosto w oczy... Na ich standardowo ładnych twarzyczkach w jednej chwili pojawiła się ostrożność, tak jakby zaczęły podejrzewać, że Susanna to przybysz z obcej planety, który w ludzkim przebraniu zdołał się wprosić na wiejską zabawę.

Wypowiedziawszy jeszcze parę uprzejmych, ale odrobinę chłodniejszych zdań, przeprosiły grzecznie i oddaliły się, by poszukać partnerów do kolejnego tańca. Tym razem miał to być szkocki taniec.

Susanna, zdumiona, odprowadzała je wzrokiem.

- Daj im trochę czasu, żeby cię poznały, Susanno. - Ciotka poklepała uspokajająco jej dłoń. - Nie są przyzwyczajone do twojej... światowości. Jestem pewna, że kiedyś zostaniecie serdecznymi przyjaciółkami.

Susanna nie była tego tak pewna. Patrzyła, jak uśmiechnięte pary ustawiają się w dwa szeregi, i choć ich stroje były żałośnie niemodne, zazdrościła im swobody, jaka między nimi panowała. Muzykanci zaczęli grać żwawo, choć odrobinę nieskładnie, tancerze skłonili się partnerkom, partnerki dygnęły, pary zbliżyły się do siebie, by za moment znów się rozdzielić...

I właśnie wtedy go zobaczyła.

Stał na przeciwnym krańcu sali z założonymi do tyłu rękami. Oczy miał lekko zmrużone, tak jakby chciał jeszcze bardziej zogniskować spojrzenie na celu: na niej. Z nikim nie rozmawiał w tej chwili, może dlatego, że należał do ludzi, których sama fizyczna obecność wymusza pełen szacunek, może nawet odrobinę nerwowy dystans. Pięknie skrojone ubranie przylegało do jego sylwetki, dodatkowo wzbudził jej uznanie fakt, iż było uszyte zgodnie z aktualną modą. Trudno było powiedzieć z tej odległości, czy był przystojny, choć wysoki z pewnością tak.

Skandalizujący wicehrabia... Susanna poczuła dreszczyk podniecenia.

Tancerze znowu zbliżyli się do siebie; skandalizujący wicehrabia zniknął z pola jej widzenia. Kiedy znowu się rozdzielili, okazało się, że nie zmienił postawy nawet o włos. Można było odnieść wrażenie, że przyszedł na tę zabawę specjalnie po to, żeby stać i się w nią wpatrywać.

Zaraz, zaraz... Czy przypadkiem...

O, nie. O, nie. O, nie.

Kit spostrzegł ją od razu, gdy tylko weszła na salę w towarzystwie Frances Perriman. Zbyt dobrze była ubrana jak na kogoś miejscowego, a w żałobnej czerni wyglądała nader korzystnie: jej twarz jaśniała

w blasku świec niczym perła w ciemnej oprawie. Postawa zdradzała znakomite maniery, wyrafinowanie, a także wiarę w siebie i własny czar. Ale nie tylko - był w niej jakby niepokój... aha, postukiwała nogą, to o to chodzi. No no... Ciekawe, dlaczego zdecydowała się przyjść na zabawę, skoro była w żałobie? Czyżby ludzie w Barnstable stali się bardziej wyrozumiali, odkąd wyjechał?

Mało prawdopodobne.

Patrzył, jak rozmawia z dwiema ładniutkimi siostrami Carstairs, od których wprost biła niechęć. No, to przecież jasne... Nawet w tej wroniej czerni przyćmiewała je uroda, a dodatkowo zapewne biła po oczach jej londyńska ogłada - tu, na wsi.

Ach, a oto i Evers! Właściciel młyna w Barnstable i źródło lokalnych plotek. Próbował przemknąć się cichcem obok niego, zupełnie jak kot obok drzemiącego podwórzowego psa - do dzbana z ponczem, bez wątpienia. Sądząc po kolorze jego nosa, przypominającym wiśnię, nie była to pierwsza wyprawa do dzbana z ponczem dziś wieczorem.

-Evers! - zawołał Kit. Stłumił śmiech, gdy Evers, niemal ze skruczą, natychmiast zatrzymał się i zgiął w ukłonie. Reputacja Kita, poważnie nadszarpnięta w rezultacie wypadków, które rozegrały się siedemnaście lat temu, najwyraźniej nie poprawiła się; przeciwnie, zyskał sobie opinię prawdziwego pożeracza niewieścich serc. Prawdę mówiąc, niewiele się tym przejmował. Było to nawet do pewnego stopnia wygodne, gdyż pozwalało na mały kamuflaż, a on nie miał nic przeciw temu, aby się maskować.

-Witam, panie Grantham. Przyjechał pan?

Kit patrzył na niego przyjaźnie, nie mówiąc jednak ani słowa.

- No jasne, że pan przyjechał - wymamrotał Evers. - Skoro pan tu jest...

-Jestem, Evers! - potwierdził Kit. Tak, to nie w porządku z jego strony, ale nie zamierzał nikomu dziś niczego ułatwiać. Nie, był w nastroju. - No i jakże ci idzie? Jak tam żona? Jak młyn? Wszystko w porządku?

- W porządku, w porządku, nic mogę narzekać...

Najwyraźniej liczył, że na tym zakończy się wymiana zdań. Co, biorąc pod uwagę nastrój Kita, stanowiło gwarancję, że stanie się wprost przeciwnie.

- A jak tam dziś poncz? Dobry?

Evers wyraźnie się ożywił.

- Świetny, panie Grantham. Sam mógłby pan spróbować, zanim ja... zanim wszystko wypiją.

-W takim razie spróbuję - zgodził się Kit, obejmując go ramieniem. -A może mógłbyś, Evers, oświecić mnie w pewnej sprawie?

Eversowi wyraźnie to pochlebiło.

- Postaram się, sir.

- Kim jest ta młoda kobieta obok pani Perriman?

Evers się rozjaśnił. Kit wiedział, że w ciągu godziny nie będzie na sali ani jednej osoby, która by nie wiedziała, że zadał to pytanie. Nie miał zresztą nic przeciw temu. To tylko dodatkowo umocni jego legendę tu, w Barnstable.

- To panna Susanna Makepeace, panie Grantham.

Kit mógłby przysiąc, że czas zatrzymał się na moment. Wszystkie włoski na jego rękach stanęły dęba.

-Podobno umarł jej ojciec... James Makepeace, nie wiem, czy przypomina pan sobie, on pochodził z Barnstable... no i teraz przeprowadziła się na wieś, do ciotki - ciągnął Evers. - Panna z Londynu w każdym calu, nie? Wszystkie chłopaki są pod wrażeniem. Gapią się na nią bez przerwy jak gawrony, ale żaden nie odważy się podejść i poprosić, żeby go jej przedstawił.

A zatem to nazbyt śmiałe dziewczę ze szkicownikiem było córką Jamesa... A przecież w ogóle nie przypominała go z wyglądu; musiała odziedziczyć urodę po matce. Było mu niemal przykro, że widzi ją tu, na zapadłej prowincji. Barnstable to nie było miejsce dla istoty tak pełnej życia.

Mimo to skłonny był wierzyć, że to los sprawił, iż zarówno on, jak i Susanna Makepeace zostali zesłani do Barnstable. Gdyż był teraz pewien, iż zna przynajmniej jeden powód, dla którego James Makepeace zdecydował się opowiedzieć mu swoją historię.

Ale jakikolwiek byłby powód, nie zamierzał tej sprawy - jak zwięźle określił to ojciec - zostawić.

- Dziękuję, Evers - rzucił z roztargnieniem. - Bardzo mi pomogłeś.

Czar Susanny najwyraźniej był dla obywateli Barnstable tym, czym bywa świeżo wypolerowana szyba dla niczego niepodejrzewającego ptaka: odbijali się od niego. Podchodzili, prosili, by ich przedstawić, i odchodzili z powrotem. W oczach mieli strach.

- Daj im trochę czasu - uspokajała ją ciotka Frances. - Od dawna nie było w Barnstable równie interesującej istoty, więc muszą udawać, iż w ogóle ich nie obchodzisz.

Susanna uśmiechnęła się blado. Ciekawe, jak długo ciotka Frances zamierza pozostać na zabawie, pomyślała. Odkąd umarł ojciec, była w nieustannym ruchu, poszturchiwana to w tę, to w tamtą stronę przez bieg wypadków, zbyt dumna, by przyznać się nawet przed sobą, że ugina się pod ich ciężarem. Teraz przypomniała sobie nieoczekiwanie tamtą połataną kołdrę na łóżku. A jakby tak wpełznąć pod nią, zamknąć oczy i nie ruszać się przez cały dzień... dwa dni, tydzień...

Skończył się kolejny taniec. Panny i kawalerowie rozproszyli się po sali w poszukiwaniu nowych partnerów. Susanna spojrzała na przeciwległy jej kraniec z nadzieją i lękiem zarazem. Skandalizujący wicehrabia już na nią nie patrzył. Nie było go.

Poczuła ulgę, ale uldze towarzyszyło dziwnie dojmujące rozczarowanie. Może nie zdoła już nigdy odzyskać swego szkicownika. No, ale nie będzie też musiała przeżyć raz jeszcze upokorzenia. „Do licha, aleś mnie zaskoczył...” Boże!

W tym momencie rozbrzmiały pierwsze tony kolejnego tańca. Zaraz... czyżby to był walc?

Susanna uległa pokusie, by zamknąć na chwilę oczy i wyobrazić sobie, że jej życie w ogóle się nie zmieniło. Ze znajduje się nie w prowincjonalnej małomiasteczkowej sali, lecz w Almack's, że wszyscy poszukują, a nie unikają jej towarzystwa... A kiedy znów je otworzyła, białął przed nią gors męskiej koszuli.

Powolutku uniosła głowę.

I serce skoczyło jej do gardła.

- Dobry wieczór, pani Perriman. - Skandalizujący wicehrabia zgiął w ukłonie swą smukłą sylwetkę. - Właśnie zapłaciłem tym okropnym muzykantom, żeby spróbowali zagrać walca tak, abym mógł zatańczyć z pani bratanicą. Czy nie ma pani nic przeciw temu?

O Boże... Jaki piękny miał głos. Subtelny, głęboki, budzący zaufanie. Głos londyńczyka.

I ten sam głos poruszał wczoraj swym tchnieniem włoski na jej karku.

Ciotka Frances oniemiała ze zdumienia.

Susanne zlodowaciały z wrażenia dłonie. Stojący tuż przed nią mężczyzna był tak imponująco wysoki. Tak imponująco... męski. Po chwili lodowate zimno ustąpiło miejsca gorącu. Żar objął najpierw jej kark, a potem rozlał się po szyi i twarzy. Dwa sprzeczne pragnienia zaczęły w niej toczyć rozpaczliwą walkę.

Odrzucić się na pięcie i umknąć co sił - oto jakie było jedno z nich.

- Dziękujemy za propozycję, lordzie Grantham, ale panna Makepeace jest w żałobie. - Ciotka Frances zdołała wreszcie odzyskać mowę i wypowiedziała te słowa bardzo wytwornym uprzejmym tonem.

Oczy wicehrabiego, gdy spojrzał na Susann - bardzo, wręcz nierozsądnie błękitne - zalsniły irytującym i zdecydowanie niedzenteleńskim rozbawieniem.

- Ale pani z pewnością bardzo by chciała zatańczyć, nieprawdaż, panno Makepeace?

O Boże... To właśnie było owo drugie pragnienie!

Później, znacznie później przyznała sama przed sobą, że tak naprawdę pragnienie miała wówczas tylko jedno. Właśnie to.

-Wybacz mi, proszę, ciociu Frances. Przepraszam. Tak mi przykro, naprawdę...

Wicehrabia, szczerząc zęby w uśmiechu, szybko podał jej ramię i pociągnął, wciąż jeszcze mamrocząc jakieś beznadziejne i bezsensowne słowa przeprosin, na parkiet.

Znajomym gestem, wielokrotnie powtarzanym w swoim czasie, uniosła ramiona i podała mu dłoń. Jakże miło było znów go powtórzyć, nawet jeśli zarazem zakręciło się jej lekko w głowie z wrażenia. A gdy on ujmował jej dłoń, rękaw surduta odsunął się nieco - i pomiędzy rąbkiem rękawiczki i mankietem ujrzała zamię: mewę w locie.

Potknęła się.

Wicehrabia złożył drugą dłoń na jej talii, akurat w porę, by ją podtrzymać, i ruszyli.

- Tak, to ja, panno Makepeace. Kiedyśmy się ostatnim razem widzieli, powiedziała pani, zdaje się... zaraz, jak to było?... aha: „Do licha, aleś mnie zaskoczył”. Po czym umknęła pani przez leśne poszycie chyżo niczym sarna. Czy w wieczorowym stroju wyglądam inaczej? Przypuszczam, że tak. - Popatrzył na nią z niewybaczalnym wręcz rozbawieniem.

Susanna zaniemówiła. Słowa uwięzły jej w krtani.

- Jak... jak pan śmie... jest pan...

- Szkice mojej osoby są całkiem niezłe, nawiasem mówiąc - ciągnął. - Niezbyt pochlebne dla mnie pod pewnym względem, ale prawdziwe. A ja zawsze byłem gorącym zwolennikiem prawdy.

- Ja... - wykrztusiła. Twarz z wrażenia miała purpurową niczym turban pani Talbot.

- Gdyby interesowało panią moje zdanie, panno Makepeace, to uważam, że ma pani dwa wyjścia: albo udawać, że jest pani oburzona, i zrobić mi scenę, i wiem, że tak właśnie pani uczyni, albo roześmiać się, na co, jestem przekonany, w gruncie rzeczy ma pani ochotę. Tak czy owak, będzie pani głównym tematem rozmów na dzisiejszej zabawie i poczciwcy z Barnstable nadal niespecjalnie będą panią lubili, tak jak dotąd.

-Jakim prawem... - zaczęła znowu pełnym zniewagi tonem, gdyż oczywiście wiedziała, że powinna się poczuć znieważona.

Jej partner wytrzeszczył oczy z rzekomego przestרחu. A, co tam...

- Tak, chyba rzeczywiście niezbyt mnie tu lubią - przyznała, autentycznie zdziwiona. - A przecież zwykle jestem przez ludzi lubiana.

Wybuchnął śmiechem. I, oczywiście, wszyscy jak na komendę zwrócili głowy w ich kierunku - i tak już pozostali, zahipnotyzowani widokiem Susanny Makepeace w żałobnej czerni, wirującej w walcu z wicehrabią, bohaterem skandalu.

- Naprawdę?

- Kiedy to łatwe - wyznała. - A w każdym razie było łatwe do tej pory. - Ta rozmowa szybko wymknęła się spod jej kontroli i było to zarówno przerażające, jak i ekscytujące.

- Tak, z pewnością. Ale może nie musi pani aż tak o to zabiegać?

- Ależ ja wcale o to nie zabiegałam - zaprzeczyła zdziwiona.

- Nie? - Zabrzmiało to tak, jakby jej nie uwierzył. - Cóż, w takim razie może nie lubią pani, bo jest pani od nich wszystkich ładniejsza.

No, nareszcie... Rozpoznała tak dobrze jej znany ton flirtu. Uśmiechnęła się leciutko.

- A w każdym razie od większości z nich - uściślił, powiódłszy wzrokiem po sali, tak jakby chciał się upewnić co do prawdziwości tego stwierdzenia.

Uśmiech Susanny zgasł.

- No i ma pani w sobie pewne wyrafinowanie - dodał z namysłem.

Kąciki ust Susanny znów uniosły się ostrożnie.

- Odrobinę wyrafinowania - powiedział zdecydowanie, jak gdyby korygując siebie samego, i rzucił na nią okiem. - Dlaczego patrzy pani na mnie z takim gniewem?

Co za precyzja, niech go diabli... We flircie nie chodzi o precyzję i prawdę, na litość boską! Każde dziecko o tym wie!

Nie wyglądało na to, by jej milczenie go zmartwiło.

- Pani rysunki są doskonałe, panno Makepeace. Ma pani talent.

- Tak? - Jak to, a jej uśmiech? Jej oczy?

- Tak - potwierdził. - Realistyczne, wierne, a zarazem niepowtarzalne i jakoś dziwnie... - Spojrzał na chwilę w górę, poszukując w myśli właściwego słowa, i na powrót opuścił wzrok na nią - ... Namiętne.

Ostatnie słowo to był zaledwie cichy pomruk, a towarzyszyły mu wesołe ogniki w źrenicach. Susanna nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Przyglądała mu się więc ostrożnie, jako że twarz była jedyną częścią jego ciała, której nie mogła wiernie odtworzyć. Rysy miał może trochę zbyt wyraziste, by można go było uznać za klasycznie przystojnego: twarz odrobinę za długą i kanciastą, jak oszlifowany diament, nos leciutko garbaty. Jasne brwi, jasne rzęsy... i to zbijające z tropu spojrzenie błękitnych oczu. A pośród wszystkich tych kantów i niedoróbek - usta, prawdziwe dzieło sztuki: pełne, zmysłowe, pięknie wykrojone, niezaprzeczalnie męskie.

No i cała reszta jego ciała, rzecz jasna, też była piękna.

Wręcz obezwładniająco.

O Boże... Na samo wspomnienie znów zapłonęły jej policzki. Czują to.

- Chciałbym złożyć pani pewną propozycję, panno Makepeace.

Gwałtownie zwróciła ku niemu głowę. Oczy miała szeroko rozwarte ze zdumienia i szoku. Bo też w związku z ostatnią myślą to, co powiedział, zabrzmiało doprawdy szokująco.

- Słucham pana, sir?

- Mam na myśli propozycję pracy. Proszę nie robić sobie aż takich nadziei. - I znów zaśmiał się cicho.

No nie... Ten człowiek był doprawdy nie do...

- Pracy? - Zabrzmiało to tak, jakby właśnie znalazła włos w zupie.

- Tak. Jestem z powołania przyrodnikiem i niedawno zamówiono u mnie album... studium flory i fauny tego regionu. Potrzebna mi jest pomoc utalentowanego rysownika. Dobrze zapłacę. Na Boga... powinna pani zobaczyć własną twarz. Niech pani lepiej szybko zmieni jej wyraz, bo ludzie gotowi pomyśleć, że panią ciężko obraziłem.

Upokorzenie tak splątało myśli Susanny, że nie była w stanie wyrazić ich za pomocą słów. Chciał, żeby dla niego pracowała... Tak jak służąca, guwernantka, kucharka...

- Jak pani myśli, panno Makepeace, czy pani ciotce łatwo przychodzi utrzymanie jeszcze jednej osoby pod swoim dachem? Nie jest zbyt zamożna. A pomimo to nie wygląda pani na niedożywną.

Równie dobrze mógł jej wymierzyć kopniaka.

Pomyślała o połatanej kołdrze, pod którą spędziła ostatnią noc, o zblakłych pokryciach mebli, o zapadłej tapicerce, o skromnym śniadaniu, o braku służącej, która rozpaliby ogień pod kuchnią...

Pałacy wstyd rozlał się w jej wnętrzu. Odwróciła twarz od przenikliwych, błękitnych oczu wicehrabiego i przełknęła z wysiłkiem ślinę.

Przez chwilę na szczęście milczał.

- Proszę mi wybaczyć moją gruboskórność, panno Makepeace - powiedział w końcu, a ona miała wrażenie, że łagodny, pojednawczy ton tego głosu spowija ją niczym obłok. - Nie mam doświadczenia, jeśli chodzi o nadwrażliwe młode damy i nie umiem z nimi właściwie rozmawiać.

Susanna ostrożnie zwróciła na powrót oczy ku niemu, mrużąc je leciutko, niepewna, czy rzeczywiście pragnie, by uważano ją za istotę nadwrażliwą. Jemu się to chyba podobało, bo znowu patrzył na nią z błyskiem w oczach. Co za błękit... Niczym w środku płomienia, zupełnie jakby rozświetlał te oczy jakiś wewnętrzny piec. Aż ją kusiło, żeby przybliżyć dłoń i sprawdzić, czy nie promieniuje od nich żar.

Musiał chyba uznać, że mu wybaczyła, bo podjął rozmowę na nowo.

- Talent to trochę jak... jak pieniądze złożone w banku. Powinno się je wydawać z rozwagą, rzecz jasna, ale nie wydawać w ogóle to po prostu niemądre. Ja potrzebuję pani pomocy; pani ciotka, jestem tego pewien, z radością powita przypływ gotówki. Możemy być dla siebie nawzajem użyteczni. No, co pani na to?

- Ale... pracować? - powtórzyła słabo.

-Więc może woli pani rozejrzeć się za innym zajęciem, panno Makepeace?

Znowu.

- Nie - powiedziała porywczo.

- Nie? W porządku. W takim razie porozmawiam z pani ciotką, upewnię ją, iż gwarantuję pani bezpieczeństwo, że zadbam o względy stosowności, *et cetera, et cetera*.

-Ale... - zaczęła i dała spokój. -Jak się pan nazywa? - spytała zamiast tego.-Jakie są pańskie nazwisko i tytuł?

-Christopher Whitelaw, wicehrabia Grantham. Dla pani Kit panno Makepeace.

I uśmiechnął się, a ten uśmiech przypomniał Susannie, że wicehrabia Grantham zbił majątek na przemyśle i że jest ścigany za uprawianie morskiego piractwa. Kto wie, może nawet miał romans z królową... Bo to był ten właśnie rodzaj uśmiechu: nieznaczny, powściągliwy, niepokojąco intymny. Jego właściciel znał się na rzeczy... Susanna poczuła się nagle onieśmielona. W jednej chwili dotarła do niej z całą wyrazistością jego cielesność, to, jak twarde mięśnie kryją się pod rękawami koszuli i nogawkami spodni. Douglas w porównaniu z nim wydawał się jakby niedokończony, niczym młode, niewyrośnięte jeszcze drzewo.

Chociaż, rzecz jasna, nigdy nie miała okazji zobaczyć, co kryje się pod ubraniem Douglasa.

- Moja ciotka...-I zająknęła się.

- Nie ma w tym nic tak szokującego, jak się pani wydaje. Pani ciotka zna mnie od czasów, gdy biegałem w krótkich spodenkach, i wątpię, żebym ją tak naprawdę zaskoczył. Jest twardsza, niż pani myśli.

Mimo woli uśmiechnęła się na myśl o nim biegającym w krótkich spodenkach.

- A czy... czy w takim razie znał pan mojego ojca? On też pochodził z tej okolicy.

- Miał trochę więcej lat niż ja, więc nie spędzaliśmy razem zbyt wiele czasu, gdy byłem jeszcze podrostkiem w Barnstable - wyjaśnił.

- Ale poznałem go lepiej w Londynie. W swoim czasie obaj byliśmy żołnierzami, a poza tym mieliśmy wspólnego znajomego, pana Morleya. Być może miała pani okazję go poznać?

- Nie, sir. Obawiam się, że nie... A czy pan także zajmuje się importem i eksportem towarów?

- Istotnie, pewne interesy prowadziliśmy wspólnie. Właśnie dla tego miałem okazję poznać pani ojca.

Niewiele brakowało, by powiedziała na głos: „Ja też pragnęłam go poznać”. Milczała jednak i patrząc na rząd guziczków na śnieżnobiałym gorszi wicehrabiego, myślała o zagadce, jaką był James Makepeace. Zawsze milczący, zawsze uprzejmy, zawsze odległy. I ten gwałtowny koniec... Który stał się zarazem - w pewnym sensie - końcem i jej egzystencji, równie gwałtownym.

Nagle zaciążyły jej własne stopy. Wirowanie w walcu stawało się coraz trudniejsze.

Podniosła wzrok. Wicehrabia patrzył na nią, a jego bystre spojrzenie miało w sobie tym razem pewną miękkość.

- Pani ojciec był dobrym człowiekiem, panno Makepeace. Przykro mi, że odszedł - powiedział głosem tak łagodnym, że to niemal bolało.

- Dziękuję. - Poczwała w oczach piekące łzy żalu. - Okropnie tańczę, prawda?

- Nie najlepiej - przyznał wicehrabia, co nieco ją pocieszyło choć właściwie powinno dobić.

-Zamierzam przy pierwszej okazji spać się na jego cześć. Na umór - dodał po chwili.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, choć istotnie zabrzmiała to jak hołd.

Taniec się skończył. Susanna była pewna, że muzykanci z ulgą otarli czoła. Wicehrabia puścił jej rękę.

-A zatem ustalone? Od tej chwili jest pani moją pracownicą, tak?

-Ja...

Ale ujrzał już tylko jego plecy, gdy odchodził. Pytanie miało bo wiem charakter czysto retoryczny. Było oczywiste, że od początku nie miał wątpliwości, iż osiągnie to, na czym mu zależało.

6

Co zrobił? - Morley utkwiał w Bobie uprzejme spojrzenie.

Bob się wzdygnął. Wiedział z doświadczenia, że Morley bynajmniej nie jest w miłym nastroju, kiedy miło wygląda.

- Przewrócił się, sir.

- Przewrócił się... - powtórzył w zadumie Morley. Przyklęknął, aby pogłaskać Puszka, który właśnie przydreptał i ocierał się pyszczkiem o jego nogi, tak jakby upłynęło nie wiedzieć ile czasu, odkąd pan go pieścił. A upłynęło raptem pięć minut.

Wziął kota na ręce.

- Na podwórku w zajeździe - tłumaczył pospiesznie Bob. - Wie pan, wymieniłem zawleczkę osi na krótszą i zawsze to działało jak złoto. Gdyby się tak powóz przewrócił na drodze, zaraz za West Crumley, ależ byśmy mieli piękny wypadek... - zawiesił tęsknie głos. - Przecież raptem w zeszłym roku dylizans pocztowy, jadący do... zaraz, gdzie to on jechał...?

Na widok lodowatej grzeczności na twarzy chlebowadcy umilkł.

- Jestem zawodowcem, proszę pana - mruknął obronnym tonem. - Tylko pora źle wypadła, diabli nadali...

- Nie jesteś jedynym zawodowcem w swoim... fachu, Bob.

Bob milczał. Przystąpił tylko z nogi na nogę, tak jakby usiłował je oderwać od czegoś lepkiego.

Morley westchnął.

- Ona przebywa teraz na wsi. Z pewnością jest mnóstwo okoliczności, w jakich może tam człowieka spotkać... powiedzmy, zła przygoda. Ja sam mogę wymyślić co najmniej tuzin. Ale to tobie płacę za myślenie, Bob.

- Dopilnuję tego, sir.

Wicehrabia okazał się skuteczny w działaniu: porozmawiał z ciotką i w tajemniczy sposób zdołał jej wytłumaczyć, że potrzebna mu jest pomoc Susanny jako rysowniczkii, nie wspominając zarazem

ani słowem, w jakich okolicznościach miał możliwość zapoznać się z jej artystycznym talentem. Oznaczało to, że i on ma pewien talent - dyplomatyczny. No i teraz mieli się spotkać o ósmej rano. Upiornie wczesna to była pora, ale Susanna słyszała już kiedyś, że ludzie mieszkający na stałe na wsi („na stałe” zabrzmiało w jej uszach raczej jak wyrok) wstają o pierwszym brzasku.

Tak więc wstała o brzasku i ona. Przetarła oczy, opłukała twarz zimną wodą, zdołała posmarować masłem kromkę chleba na śniadanie, a na zakończenie przyrządziła sobie filiżankę mocnej herbaty (znakomita herbata to był najwyraźniej jedyny zbytek, na jaki pozwalała sobie ciotka). Wieczorem ciotka Frances była też na tyle uprzejma, że przygotowała dla niej koszyk z prowiantem na wypadek, gdyby wicehrabia nie zadbał o jej drugie śniadanie. Koszyk stał na półce, w korytarzyku wiodącym na ganek. Susanna przewiesiła go sobie przez ramię i otworzyła drzwi. I nagle znalazła się pośród rozświetlonej słońcem, wypełnionej śpiewem ptaków, wszechogarniającej zieleni.

Gdyby ciotka Frances zdawała sobie sprawę, że wyjście do pracy to dla Susanny kataklizm, nie powiedziałyby pewnie na ten temat ani słowa. W rzeczywistości wydawała się tak uradowana, że Susanna przez chwilę podejrzewała, iż ciotka specjalnie ukartowała całą tę historię z jej przyjazdem do Barnstable, bo potrzebowała kogoś, kto zarabiałby na dom. Gdyż faktycznie napomknęła coś o tym, że teraz, kiedy będą miały trochę więcej pieniędzy, częściej pozwolą sobie na kiełbaski na śniadanie, wołowinę na obiad...

Nie, to nedorzecznosc. Skądżeby ciotka Frances mogła wiedzieć, że jej bratanica ma jakieś zdolności, które mogą stanowić źródło dochodu?

Ładny strój zawsze był dla Susanny tym, czym zbroja dla wojownika, toteż tego ranka ubrała się ze szczególną starannością. Odłożyła na bok czarną suknię, jako że innej żałobnej nie miała i nie chciała jej zniszczyć, i wybrała bladorożową, muślinową, wykończoną o ton bledszą lamówką i ozdobioną dwiema falbankami. Pasowała zarówno do pogody, jak i do jej cery. Pełne podziwu

spojrzenie wicehrabiego z pewnością sprawi, że łatwiej jej będzie wytrzymać ten dzień.

Czekał na nią u wylotu ścieżki prowadzącej w kierunku stawu. Miał na sobie znoszone nieco, wygodne bryczesy, długie buty z cholewami i rozpiętą pod szyją białą koszulę. Na jego twarzy malowało się niecierpliwe wyczekiwanie. Czyli, jeśli o niego chodzi, w ogóle się nie przejął kwestią ubrania... A mimo to wyglądał tak, że miało się wrażenie, iż starannie o nie zadbał. Ten mężczyzna sam przydawał elegancji swoim strojom, a nie onejemu.

- Dzień dobry, panno Makepeace - zaczął dość przyjemnym tonem. Urwał i obrzucił ją szybkim spojrzeniem, od kapturka aż po czubki butów. - Pani suknia... - zaczął i urwał, tak jakby zbrakło mu słów. A potem nie wiadomo dlaczego między brwiami pojawiła mu się zmarszczka, dowód rozbawienia. - Do twarzy pani w niej - zakończył.

Susanna uznała, że może potraktować to jak komplement. Skłoniła lekko głowę i spojrzała na niego spod rzęs. Nie zdarzyło się dotąd, by jakakolwiek istota płci męskiej nie została tym spojrzeniem rozbrojona.

- Dziękuję, sir - wionęła głosem tak cichym, jakby upuściła bastywową chusteczkę.

Bruzda rozbawienia między jego brwiami pogłębiła się i zmieniła w bruzdę oszołomienia, zupełnie jakby Susanna pochodziła z jakiegoś egzotycznego kraju i jej maniery były mu kompletnie obce.

- To nie był komplement, panno Makepeace. To była obserwacja. Albo, jeśli pani woli, prezentacja tego, co będziemy dziś robić: obserwować. A teraz proszę mi pokazać buty.

Brrr... Rozczarowanie i irytacja walczyły w niej o pierwszeństwo. Wysunęła naprzód stopę. Traktuje ją jak dziecko, do licha... Albo konia! Ale nic nie mogła na to poradzić: on miał ten właśnie głos. Głos, który mówił, iż jego właściciel z góry przyjmuje za pewnik, że nikt mu się nie sprzeciwi.

Wicehrabia przyjrzał się krytycznie jej brązowym trzewiczkom z koźlącej skóry, przyozdobionym z wierzchu rozetką.

- Nie są to co prawda długie buty, ale wystarczające do tego, żeby wałęsać się po lesie. Dobry wybór.

Dobry wybór? Czy on naprawdę myślał, że ona wybierze się do lasu w balowych pantofelkach?

-Jest pan pewien, lordzie Grantham? Może powinien pan przyjrzeć się dokładniej rozetce i upewnić się, że odpowiada pańskim oczekiwaniom?

I znów wysunawszy stopę, popatrzyła mu wyzywająco w oczy.

Wygięte w uśmiechu usta wicehrabiego były dowodem, że jej sarkazm z jakiejś przyczyny zyskał jego aprobatę.

-Choć dokładniejsze oględziny pani... rozetki, panno Makepeace, byłyby niewątpliwie miłym zajęciem - uśmiech pogłębił się i stał się tak intymny, jak wczoraj - to na razie zrezygnuję z tej przyjemności. Myślę też, że uda nam się dziś uniknąć brodzenia w wodzie. Ze względu na rozetkę.

Susanna czuła, że ma w głowie kompletną pustkę. Wpatrywała się w niego tępo. Jednak przez jej zmacony umysł przebiła się pewna niemiła myśl.

-W wodzie? - spytała słabo, o wiele słabiej, niżby chciała. Czy on naprawdę miał zamiar ciągać ją po bagnach?

Wicehrabia znowu zaśmiał się cicho.

- To może weźmiemy się do roboty? - I odwróciwszy się błyskawicznie, ruszył przed siebie długim sprężystym krokiem, tak że Susanna musiała drobić pospiesznie, by za nim nadążyć. - I proszę uważać na węże - rzucił przez ramię.

-Wę...

I w tym momencie giętki, lśniący gad przemknął w poprzek ścieżki i zniknął w trawie. Susanna zagryzła wargę, tłumiąc okrzyk przerażenia.

- Spokojnie, panno Makepeace. To tylko mały zaskroniec. Zaskronce, w przeciwieństwie do innych, nie są jadowite.

Choć widziała tylko jego plecy, przysięgłaby, że się uśmiecha.

Kto wie, czy nie jest tak, że swoją niechęć do pomysłu z albumem przerzucam na pannę Makepeace... No i bardzo dobrze. Przyjemniej było zbijać ją z tropu; trochę tak, jakby się potraçało od niechcienia to ten klawisz fortepianu, to inny, tylko po to, aby usłyszeć, jaki wyda dźwięk. Wiedział z doświadczenia, że zaskakiwanie ludzi to najprostszą drogą do tego, aby poznać ich prawdziwą naturę, gdyż w takiej sytuacji reaguje się szczerze.

Musiał przyznać, że -jak dotąd - dźwięki, jakie z niej wydobył, nie były tak całkiem nudne.

Trochę to było niegrzeczne z jego strony - poprosić ją wtedy do walca. No, ale widział przecież, że aż się do tego trzęsie, choć patrzył na nią z przeciwległego końca sali... A poza tym był wczoraj wieczorem w nastroju jeszcze bardziej swawolnym niż zwykle. I bardziej niż zwykle cynicznym. Ileż to razy widział śmierć na polu walki! Cały ten żałobny rytuał - czarny strój, powaga, odmawianie sobie drobnych przyjemności - wydał mu się raptem bez sensu. Życie bywa takie krótkie, a może być, chwilami przynajmniej, tak wspaśniałe... Zawirować w walcu - o ileż to zdrowsze niż pograżać się w smutku i udręce! Czy nie lepiej uczcić pamięć tych, którzy zmarli, żyjąc pełnią życia?

A Susanna Makepeace, kto wie... może się nawet okazać całkiem interesująca. Jeśli się ją odrobinę zachęci...

Była ładna. Nie tak zwyczajnie, jak na przykład siostry Carstairs. Ten typ urody ma to do siebie, że wędnie z wiekiem. A panna Makepeace... hm. Miała takie niezwykle, mieniające się różnymi kolorami oczy. A że on, jako szpieg, lubił drażyć i analizować sprawy, kusiło go, żeby spojrzeć w nie w świetle dnia i ustalić, co to za kolory. No i te usta... Pełne, gładkie, delikatne. Różowe jak wnętrze muszli.

Najłżejszy odcień różu, jaki można sobie wyobrazić.

Te usta budziły niepokój i niecierpliwość. A przecież Susanna Makepeace, choć nie zawahała się narysować go nagiego, w sprawach natury intymnej była bez wątpienia naiwna jak niemowlę. A poza tym flirt z nią oznaczałby cyniczne wykorzystanie jej socjalnego statusu... prawdę mówiąc, jego braku.

W wyobraźni Kita zamajaczył obraz ruchomych egipskich piasków. Przyspieszył kroku. Im wcześniej skleci ten album, tym szybciej znajdzie się z powrotem w Londynie... i powróci do doświadczonych ust i wprawnych ramion hrabiny.

W tym momencie tuż przed nim przemknął po ziemi jakiś klinowaty, trójkątny cień. Kit uniósł głowę w poszukiwaniu jego źródła.

Wysoko w górze, na nieskazitelnym błękitcie nieba, krążyła pustułka. Spojrzał w dół i obrzucił szybkim spojrzeniem pnie drzew. No tak... Co młodsze miały u podstawy jasny pierścień: obgryzioną korę. Krążąca pustułka plus obgryziona kora zwykle równa się nornice. Nornice zjadają korę; pustułki zjadają nornice. Jakże rozumnie i dorzecznie zostało to zorganizowane. No, ale cała przyroda jest właśnie taka.

Kit z niedowierzaniem poczuł, że to odkrycie i perspektywa dalszego drażenia tej sprawy obudziła w nim coś na kształt podniecenia. Niewielkiego co prawda - ziewnęło dopiero i przeciągnęło się - ale jednak.

Gdyby nie był pewien, iż jest to wykluczone, przysięgłby, że nornice stanowią przedmiot jego fascynacji.

Susanna czuła się jak we śnie. Nie wiedziała tylko, czy to sen przyjemny, czy koszmar. Przywykła do komfortu, pięknej muzyki, towarzystwa miłych, adorujących ją mężczyzn... A oto kłęzczała na trawie, obok niewielkiego zagłębienia w ziemi, a przystojny wicehrabia, który - zgodnie z wszelkimi prawami przyrody - powinien był podziwiać ją, zdawał się bez reszty pochłonięty czymś, co wyglądało na mysie gniazdo.

Zmarszczywszy w skupieniu brwi, ściskając w palcach ołówek, coś tam zawzięcie skrobał w notesie.

Słońce przypiekało. Susanna miała wrażenie, że głowa rośnie jej pod czepkiem niczym bochen chleba. Żałowała teraz, że włożyła suknię w kolorze bladego rózu; była pewna, że ciemniej na niej plamy potu.

Ostrożnie spojrzała na małe stworzonka. Myszy były właściwie równie odrażające jak węże. W każdym razie kiedyś tak myślała.

Gdyby dawniej natknęła się na jakąś mysz w obecności Douglasa, z pewnością pisnęłaby z przerażenia. Ale te tutaj, chyba z szóstka, były niewiele większe od paznokcia! Bezbronne maleństwa... i, choć dziwne było pomyśleć o nich w ten sposób, na swój sposób urocze. Spały zbite w ciasną gromdkę. Susanna poczuła się jak intruz. Czy nie powinni zabrać się stąd, zamiast wtrącać się w ich mysie życie?

- To nornice - szepnął Kit. - Nornice o długich ogonkach. — Zabrzmiało to tak, jakby dzielił się z nią jakąś tajemniczą a cudowną nowiną.

Susanna popatrzyła na niego pobłaźliwie.

- Słyszałam, że zbił pan majątek na przemyście - odszepnęła, gdyż ten temat wydawał się jej znacznie ciekawszy i bardziej naglący niż nornice.

- Tak? - mruknął, nie przerywając notowania.

Oczekiwała pełnego urazy gwałtownego zaprzeczenia. Sądziła, że zaskoczy go i wytrąci z równowagi; jemu już parę razy udało się ją zaskoczyć... W takim razie, kto wie, może i był przemytnikiem? Może jest nadal? Może właśnie w ten sposób ciotka Frances zdołała zdobyć tę znakomitą herbatę?

- Słyszałam też, że jest pan ścigany za piractwo - spróbowała raz jeszcze.

Przerwał notowanie, tylko po to jednak, by spojrzeć w dal z na poły zadowolonym, na poły zamyślonym uśmiechem. Zupełnie jakby wyobrażał sobie, jak to by było być piratem, albo jakby przywoływał jakieś miłe wspomnienia związane ze swym pirackim rzemiosłem.

Po chwili milczenia znów pochylił głowę nad notesem. Kiedy go lił się dziś rano, opuścił parę włosków; lśniły złociście na jego twardo zarysowanej szczęce. Był bez kapelusza. Bez wątpienia do wieczora twarz będzie miał o wiele ciemniejszą niż reszta ciała.

- A słyszała pani historię o palarniach opium? - spytał szeptem.

- Nie! - Susanna drgnęła, wyrwana ze swych niestosownych myśli. A więc znowu zdołał ją zaskoczyć.

Wicehrabia sprawiał wrażenie lekko rozczarowanego.

- Byłem pewien, że ta historia się przyjmie.

Susanna otworzyła w zdumieniu usta. I natychmiast, uświadomiwszy to sobie, zamknęła je z powrotem.

- Dlaczego ludzie... dlaczego pan...

Zaśmiał się z cicha.

- Proszę rysować nornice, panno Makepeace. Zapomniała pani, że dla mnie pracuje?

Istotnie, zapomniała. Poczwała, jak rumieniec oblewa jej już i tak rozgrzane słońcem policzki. Jak właściwie powinna się zachowywać wynajęta artystka? Jak guwernantka? Jak kucharka? Na pewno wskazany jest szacunek dla chlebobdawcy; jakiegokolwiek pytania, a już broń Boże flirt - wykluczone.

Pochyliła głowę i zabrała się do roboty. I bardzo prędko pogрузыła się w niej bez reszty. Jaka to dziwna, nieporównywalna z niczym przyjemność - rysować... Skłębione ciała, pokryte najdelikatniejszym futerkiem. Miniaturowe łapki i noski. No i te ogonki, rzecz jasna. Obowiązkowo! Były to przecież bądź co bądź niezwykle rzadkie, ogoniaste nornice.

Jeszcze parę ostatnich muśnięć ołówkiem - i podniosła oczy. Z zaskoczeniem stwierdziła, że on wpatruje się jak zahipnotyzowany w jej ręce. Brwi miał ściągnięte ze skupienia.

W tym momencie znowu, niczym latający talerz, przemknął nad nimi cień. I zniknął.

- Pustułka. Szuka pożywienia - mruknął wicehrabia.

Susanna miała ochotę rzucić się na ziemię i osłonić gniazdko własnym ciałem.

Wicehrabia oderwał oczy od rysunku i z namysłem spojrział jej w twarz. Susannie przez jeden ulotny moment zakręciło się w głowie. On chyba zamierza powiedzieć jej jakiś komplement - pochwalić czepek albo przynajmniej rysunek... Uśmiechnęła się leciutko na wypadek, gdyby potrzebował odrobinę zachęty.

- Nie wygląda na to, żeby specjalnie cierpiała pani po stracie ojca, panno Makepeace - zauważył.

Susanna zakrzuszyła się z wrażenia.

Jednak oczy wicehrabiego patrzyły na nią szczerze, otwarcie, tak jakby to, co przed chwilą powiedział, było całkiem na miejscu. Bo istotnie, nie krył się w jego słowach choćby cień oskarżenia; po prostu chciał wiedzieć, więc zapytał.

Może powinna z oburzeniem zaprzeczyć. Bo przecież to nie całkiem tak... A jednak ta jego bezpośredniość była dziwnie wyzwalająca. Tak, chciała odpowiedzieć na to pytanie. Chciała znać odpowiedź, tak samo jak on.

- Owszem, cierpię - powiedziała chłodnym tonem, gdyż uznała, że mimo wszystko on zasługuje na chłód. Głos jeszcze odrobinę drżał jej z wrażenia. - Ale nie byliśmy sobie z ojcem zbyt bliscy, lordzie Grantham.

Przez chwilę milczał.

- Proszę mi mówić Kit - zaproponował z lekkim uśmiechem.

Susanna zmarszczyła brwi. Uśmiech wicehrabiego się pogłębił. Nie spuszczać z niej oczu, czekał. Najwyraźniej liczył, że powie coś więcej.

Istotnie, nie mogła się oprzeć.

- Rzadko go widywałam, bo zwykle wyjeżdżał w interesach. Bardzo pragnęłam poznać go bliżej, ale zawsze był dla mnie niemal kimś obcym. Nigdy nie przestanę tego żałować. Tak więc, owszem, boleję po jego stracie. Ale nie tak, jak prawdopodobnie bolałabym, gdyby łączyła nas cieplejsza relacja. I zapewne nie tak, jak byłoby właściwe w pańskich oczach.

Kropla potu zaczęła ściekać jej powolutku po szyi ku rowkowi między piersiami. Wicehrabia milczał. Coś zmieniło się w wyrazie jego twarzy, ale trudno było określić co.

A potem skinął krótko głową, tak jakby uznał odpowiedź za prawidłową.

Susanna poczuła się dotknięta. Zarówno jego reakcją, w której było coś z protekcjonalności, jak i własną - gdyż aprobata wicehrabiego sprawiła jej przyjemność.

- Pani ojca trudno było poznać bliżej. - Łagodny ton jego głosu ją zaskoczył. - Co do mnie, to lubiłem go, ale myślę, że mało kogo do-

puszczał do swego wewnętrznego świata. Tak więc był obcy nie tylko dla pani, panno Makepeace. Prawdę mówiąc, trudno mi zrozumieć, jak to możliwe, że w ogóle miał jakąś córkę.

No, coś takiego...

- Chce pan powiedzieć, że on miał jakiś wewnętrzny świat? Mój ojciec?

- Przecież każdy z nas go ma. -W głosie wicehrabiego pobrzmiwało zdziwienie.

Susanna rozejrzała się wokół. Siedzieli w kucki pośrodku niewielkiej polanki, siedliska nornic. Nie było stąd widać żadnych domów i stawu też nie. Zaskoczyło ją, że są tu tak całkowicie sam na sam, a pomimo to do głowy jej nie przyszło, by troskać się o niestosowność. Zanadto przejęta była pracą... Boże mój, co by na to powiedziała pani Dalton?

-A pani matka, panno Makepeace? Co się z nią stało?

Susannie kręciło się w głowie. I dlatego, że pytania były nieoczekiwane, i dlatego, że jej odpowiedzi były nieoczekiwanie szczere.

- Moja matka umarła, kiedy byłam małeńka. Jedyne co pamiętam...

Urwała. Nigdy dotąd nie mówiła nikomu o tamtej nocy. Trochę dlatego, że pamiętała ją jak przez mgłę, takjakby to była scena ze snu, a nie z realnego życia; strzegła tego wspomnienia zazdrośnie, mając wrażenie, że opowiadanie o nim innym ludziom sprawi, że wytrze się i zblaknie jeszcze bardziej. A trochę również z powodu dumy: nie chciała, aby ktokolwiek jej współczuł, że jej wspomnienia o matce są tak skąpe i liche.

Kat zachowywał się swobodnie i naturalnie. Nie drażył, nie nalegał, nie współczuł jej. Zupełnie jakby to była zwykła towarzyska rozmowa i nic, co powie, nie jest w stanie go zaskoczyć.

I właśnie dlatego poczuła, że może się przed nim otworzyć.

Wzięła głęboki oddech. Dziwne, serce biło jej mocno. Odwróciła się i nie patrząc na niego, zaczęła:

-Jedyne co pamiętam... to, że się przebudziłam w nocy. W ciemności. Wokół była krzątanina, jakieś szepty... ktoś płakał...

Nade mną schylała się jakaś kobieta. Miała długie czarne włosy... łaskotały mnie w twarz. - Parsknęła krótkim śmiechem, zażenowana, i przesunęła wierzchem dłoni po policzku. - Oczy też miała ciemne. A głos... - Odchrząknęła. - Głos miała cichy i łagodny.

Odważyła się rzucić okiem na wicehrabiego. Patrzył przed siebie z nieobecny wyrazem twarzy, tak jakby starał się wyobrazić sobie to wszystko.

- Czy ta kobieta o ciemnych włosach to była pani matka?

- To dziwne, ale... - Susanna się zawahała. - Nie jestem tego pewna. Mam jej miniaturę i wygląda na niej zupełnie inaczej. Jest podobna do mnie. To znaczy, ja jestem podobna do niej.

- A jak miała na imię pani matka?

- Anna.

- Anna - powtórzył w zamyśleniu. - I podobna do Susanny... A może pokazałaby mi pani któregoś dnia tę miniaturę?

Zaskoczyło to Susannę. Czy on z nią w ten sposób flirtuje? Całkiem możliwe, biorąc pod uwagę, że nie zastosował dotąd żadnego ze znanych jej sposobów flirtowania.

- Może - powiedziała ostrożnie.

Wicehrabia skrzywił się leciutko. A potem nieoczekiwanie znów pochylił głowę nad gniazdem nornic.

No tak... Skończył z jednym okazem przyrody i zabrał się do badania następnego, pomyślała złośliwie. Dla niej ta rozmowa nie była jeszcze zakończona.

- Czy... czy mój ojciec kiedykolwiek rozmawiał z panem o niej? O mojej matce? - Starła się, aby zabrzmiało to swobodnie, a jednak wychwyciła we własnym głosie nutkę tęsknoty.

Wicehrabia podniósł głowę i popatrzył na nią z zaskoczeniem.

- Nie. A z panią nigdy o niej nie rozmawiał? - spytał łagodnie.

Susanna milczała przez chwilę. A potem odrzuciła kokieteryjnie głowę, tak jakby ta sprawa nie miała dla niej najmniejszego znaczenia.

- Wygląda na to, że mój ojciec nigdy z nikim o niczym nic rozmawiał, lordzie Grantham.

Wicehrabia nie podjął jej tonu.

- I nikt inny nie mówił pani nigdy o matce?

Lekkość okazała się trudna do udźwignięcia.

- Nie.

Jakie to dziwne... Ona się tego wstydziła. Ale duma nie pozwoliła jej odwrócić wzroku.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę z trudnym do odgadnięcia wyrazem twarzy. A potem odetchnął głęboko i opuściwszy głowę, namyślał się krótko. Gdy znowu ją podniósł, oczy mu lśniły.

- Myślę, że następnym razem pójdziemy do Białego Dębu, pan-
no Makepeace, bo parę dni temu zlekceważyła go pani, aby zająć się
szkicowaniem innego, równie wspaniałego okazu przyrody.

Susanna drgnęła i załała się rumieńcem. Miała ochotę go ude-
rzyć. A pomimo to poczuła, że wraca jej równowaga. Dziwne... Czy
on przypadkiem nie prowokował jej właśnie w tym celu?

- Czy mogę popatrzeć na pani dzieło? - spytał, śmiejąc się po
cichu z jej rumieńca.

W milczeniu podała mu szkicownik.

Wicehrabia przyglądał się rysunkowi. Przez dłuższy czas jego
twarz nie wyrażała absolutnie nic, co samo w sobie zdawało się na-
der wymowne. A potem, powoli, zaczęła się stawać coraz surowsza.
Rzekłbyś, mur narasta, kryjąc inne, łagodniejsze uczucia. By w końcu,
niczym słońce przez chmury, przebił się przezeń podziw grani-
czący z nabożeństwem.

- Jak pani to robi? - spytał szorstko, gwałtownie. Zabrzmiało to
jak oskarżenie.

- To? - powtórzyła bezradnie. Chyba wypadła na głupią, ale nie
miała pojęcia, o czym on mówi.

- Jak pani potrafi uchwycić je tak dokładnie... tak trafnie? Oddać
całą ich... norniczność? - Uderzył wierzchem dłoni w rysunek i po-
patrzył jej przenikliwie w oczy, takjakby nie wiadomo ile zależało od
tego, co odpowie.

- Ja... - Zawahała się. - Właściwie nigdy się nad tym nie zastana-
wiałam - wyznała niemal ze wstydem. Nie chciała go rozczarować,
bo najwyraźniej uważał to za ważne. - To tak jakby.

Czekał. Zastanowiła się więc. Nie wiedziała, jak to robi - jak chwytą istotę tego, co rysuje. Wiedziała jednak, że zawsze sięgała po szkicownik, ilekroć chciała coś utrwalić albo od czegoś uciec - czy chodziło o jakąś myśl lub impuls, który pragnęła stłumić, czy o zrozumienie czegoś, czego nie pojmowała, czy... Może więc chodzi o to, że... Ale to przecież brzmi tak głupio!

- To trochę tak, jakbym na chwilę przestawała być sobą i czuła się tak, jakbym była nornicą. Albo różą. Albo...

Niewiele brakowało, a powiedziałyby: albo panem.

Nie, nie sądziła, by potrafiła naprawdę poczuć się nim. Ale kiedy wspominała jego obraz wtedy, na pomoście... w glorii nagości, w geście odprężenia wyciągającego ramiona ku niebu... wówczas było tak, jakby przyjemność, jakiej doznawał w tej chwili, stawała się jej przyjemnością. I jakby każda drobina tej rozkoszy, tego niedbałego rozluźnienia, tej męskiej urody przenikała do jej rysunku.

- Nie - powiedział nagle. Cicho, ale stanowczo. Tak jakby sam w tej chwili na to wpadł.

- Nie?

Susanna poczuła się zmiażdżona. Przecież starała się rzetelnie odpowiedzieć...

- Nie, nie sądzę, aby choć na chwilę traciła pani swoje „ja”, kiedy pani rysuje, panno Makepeace. Myślę, że właśnie wtedy jest pani w pełni sobą. - Uniósł jedną brew i kącik ust, tak jakby prowokował ją do zakwestionowania tego wniosku.

I przez cały czas nie spuszczał z niej oczu. Gęste rzęsy ciemniały odrobinę na samych koniuszkach; widziała to teraz. A z kącików oczu promieniście rozchodziły się wachlarzyki zmarszczek, widoczne zwłaszcza, kiedy się uśmiechał. Koło ust miał maleńką bliznę; bujne bokobrody lśniły złotem w zagłębieniach wysoko sklepionych policzków. Ta twarz zdawała się idealnie wprost nadawać dla mężczyzny - kombinacja ostrych kantów i nieoczekiwanej, zaskakującej miękkości. Kusiło ją, żeby przeciągnąć palcem po jej stromiznach i uskokach, tak jak przeciąga się palcem po mapie, aby sprawdzić szlak i ustalić, dokąd prowadzi.

- Ach tak - mruknęła. No, nie... Ona, która zawsze z taką swobodą potrafiła paplać o wszystkim i niczym, zdobyła się tylko na wątle: „Ach tak”.

Z tym mężczyzną chyba nie sposób było prowadzić błahych rozmówek.

Od pierwszej chwili, gdy się spotkali, zasypywał ją pytaniami niczym lawiną lśniących, ostro oszlifowanych diamentów, zaskakiwał i prowokował. Ale w tej chwili przerwa trwała na tyle długo, że dostrzegła coś, czego dotąd nie widziała: on ją wypytywał i prowokował właśnie po to, żeby ją osłepić. Żeby nie mogła zajrzeć w głąb jego duszy. Nie sposób obserwować rozmówcę, kiedy się jest zmuszonym do nieustannych uników i czujności.

O, nie, lordzie Grantham. Pomylił się pan... Poczuła, że to tylko zaostrzyło jej ciekawość i determinację. Cóż to takiego, co on tak usilnie stara się ukryć... czy ochronić?

Opuściła wzrok na jego uśmiechnięte lekko usta, takjakby w nich właśnie chciała znaleźć wyjaśnienie. A może dlatego, że usta stanowiły najłagodniejszy rys jego twarzy. Z pewnością łatwiej było patrzeć na nie niż w te jego badawcze oczy... Patrzyła być może odrobinę dłużej, niż powinna. Była przecież kobietą, bądź co bądź. A on miał takie wspaniałe usta.

Uśmiech powoli zniknął.

Ostrożnie powróciła wzrokiem do jego oczu. I miała wrażenie, że uderzył w nią piorun.

Błękit pociemniał i zmienił się niemal w czerni. Wicehrabia miał w twarzy budzące dreszcz napięcie. Ześliznął się wzrokiem ku jej ustom, zawisł na nich... Susanna poczuła rozkoszny prąd w całym ciele.

I w tym momencie twarz mu się zmieniła: stała się twarda i drapieżna. Zmrużył oczy i zerwał się na równe nogi tak szybko, że ledwie zdążyła uskoczyć.

Ktoś ich podglądał.

Odczuł to niby powiew wiatru. Nawet teraz, po tylu latach nieobecności w tym krajobrazie, bezbłędnie wyczuwał wszystko, co

było w nim obce. I dlatego, gdy instynkt kazał mu odwrócić wzrok od ust Susanny Makepeace... obiecujących ust...

Wówczas na skraju lasu dostrzegł mężczyźnę.

Który, gdy Kit zerwał się na nogi, momentalnie rzucił się do ucieczki. I zniknął.

Kit poczuł się jak spętany. Mógłby puścić się w pogoń za intruzem, bo przecież biegał jak jeleni, no i znał ten teren lepiej niż ktokolwiek inny. Kto wie, czyby drania nie złapał.

Ale na myśl, że miałby pozostawić Susannę Makepeace samą, poczuł się niezręcznie.

Wycelował pistolet, który chwilę wcześniej odruchowo, jednym gestem, wyrwał zza cholewy buta, i rozejrzał się błyskawicznie. Nic szczególnego nie dostrzegł. Drzewa, trawa, kwiaty, wiewiórki. To wszystko.

Owszem, teoretycznie mógł to być kłusownik. Ale przecież wszyscy w okolicy wiedzieli już, że lord wrócił do swej posiadłości. Wątpliwe, by nawet najbardziej desperacki kłusownik ryzykował jakąkolwiek akcją w biały dzień... Chyba że byłby głupi. Ale tamten człowiek nie miał strzelby - dostrzegłby w jego ręce długi, ciemny kształt. No dobrze, obejrzy teren później, sprawdzi, czy nie ma jakichś odcisków na wilgotnej ziemi, sidaeł czy innych śladów obecności intruza.

Jeśli ktoś ośmiela się włóczyć po jego ziemi jak gdyby nigdy nic... O, wówczas mu nie umknie.

Pomyślał przelotnie, że może to John Carr, ale wykluczył tę możliwość. A potem przyszedł mu na myśl ojciec. Może istotnie ojciec obserwuje go ukradkiem? Cóż, to wydawało się znacznie bardziej prawdopodobne.

Do diaska... A on, rzecz jasna, stoi i patrzy w oczy kobiecie!

Odwrócił się ku Susannie. Wciąż siedziała na ziemi, odchylona nieco w tył, wspierając się na dłoniach. Brwi miała lekko zmarszczone. Nie wyglądała na tak wystraszoną, jak mogłaby być, biorąc pod uwagę, że zerwał się jak opętany i wyciągnął zza cholewy pistolet.

- Nie wiedziałam, że przyrodnicy noszą przy sobie broń. Czy zamierzał pan pojedynkować się z nornicami?

Powiedziała to z tak chłodną ironią, że on sam nie potrafiłby zrobić tego lepiej. Przez ułamek sekundy nie wiedział, co powiedzieć, a nie zdarzało się to niemal nigdy. Punkt dla panny Makepeace.

- To nie jest pistolet, który służy do pojedynku - powiedział i zdał sobie sprawę, o włos za późno, jak marna to obrona.

- Ach tak.

- Zdawało mi się, że widzę kłusownika - wyjaśnił chłodno.

- Nigdy nie widziałam, żeby ktoś chował pistolet za cholewą, kiedy idzie obserwować nornice.

- Tak? - spytał niedbale. I przypomniawszy sobie o manierach, wyciągnął rękę, by pomóc jej wstać. Ujęła ją skwapliwie nagą dłonią, gdyż zdjęła rękawiczki, zabierając się do rysowania. Co za miękka rączka... Poczuł pokusę, aby potrzymać ją dłużej i pozwolić wyobraźni, by podsunęła mu obraz reszty jej ciała, równie delikatnego... Przecież przed chwilą.

A niech to licho. Chyba dobrze się stało, że zobaczył wówczas tego człowieka.

Zły na siebie samego, na ojca, na pannę Makepeace i na cały świat, puścił gwałtownie jej dłoń. Susanna Makepeace nie była żadną uwodzicielką, a on nie był naiwnym chłopcem. Był po prostu znużonym, spragnionym wrażeń szpiegiem.

- Tak - odparła zdecydowanie. - Nie widziałam.

Nikt by się nie spodziewał tak twardego kręgosłupa w tym stworzeniu, obleczonym w blad różowy muślin. Ciekawe, czy zdaje sobie sprawę, jak mało brakowało, aby ją pocałował.

-A skąd może pani wiedzieć, co noszą przy sobie przyrodnicy, panno Makepeace? Nie przypominam sobie, żebym wcześniej widział w pani szkicowniku jakieś nornice. Za to gołego wicehrabiego owszem.

Tak jak się spodziewał, momentalnie zrobiła się czerwona jak piwonია, i tak jak oczekiwał, zamilkła. Jak to by było dobrze, gdyby zdołał spojrzeć na nią okiem szpiega, a nie mężczyzny.

Gdyż nic tylko w najmniejszym stopniu nie przypominała Jamesa Makepeace'a. Jeśli wierzyć temu, co mówiła, również matka, do której zapewne była podobna, stanowiła dla niej tajemnicę.

A on jej wierzył. Słyszał ból w jej głosie. Tam, gdzie powinni byli być rodzice, ziała pustka... Tak, czuł się troszkę winny, że tak ją wypytuje, ale pragnienie, by dotrzeć do prawdy, było silniejsze. Zbyt dziwnie wyglądało to wszystko: te zabójstwa, ten podglądacz, tajemnica życia Jamesa Makepeace'a...

- Może - rzucił niedbale - powinna pani spytać ciotkę, czy jej zdaniem odziedziczyła pani talent malarski po ojcu, czy po matce.

Spytać otwarcie Frances Perriman o Jamesa Makepeace'a raczej nie będzie mógł, choć aż się do tego palił. Może natomiast delikatnie nakłonić jej bratanicę, by zrobiła to za niego.

Susanna wciąż płonęła rumieńcem, z czym bardzo jej było do twarzy. Zamknęła szkiecownik.

- Tak, to ciekawe - odparła. Uprzejmie i chłodno.

Pomyślał, że woli, kiedy jest złośliwa, dumna czy zarumieniona ze wstydu. Wszystko, byle nie chłodna uprzejmość.

- Czy jeździ pani konno, panno Makepeace? - spytał nieoczekiwanie dla siebie samego.

- Tak, całkiem nieźle - odparła. I po chwili dodała, jak gdyby przypomniawszy sobie, że tak należy, z uniesionym wysoko niczym bojowy sztandar podbródkiem: - Dziękuję.

Tak, to już lepiej.

-W takim razie spotkajmy się, proszę, jutro rano koło moich stajen. Pojedziemy szukać konwalii.

Panna Makepeace rozjaśniła się nieznacznie. I dziwne - choć był to taki drobiazg, przyjemnie mu było, że sprawił jej przyjemność.

Choć dzień był upalny, po zapadnięciu zmroku znacznie się ochłodziło. Susanna patrzyła, jak ciotka zręcznie i umiejętnie rozpala ogień w kominku, nie okazując przy tym śladu zażenowania. Niczym pokojówka. .. Susanna przypomniała sobie, jak przez całe lata budził ją znajomy dźwięk: brzęk pogrzebacza, którym pokojówka przegarniała wygasłe węgle na ruszcie, by rozpalić ogień na nowo. Przewracała się wtedy na bok, by ujrzeć, jak biały czepek dziewczyny podryguje na jej głowie, gdy ta krzątała się energicznie przy palenisku. A potem czekała, owinięta kołdrą po szyję, aż pokój się ogrzeje, i dopiero wtedy wychodziła ze swego ciepłutkiego kokonu. Tak było zawsze, gdziekolwiek się znajdowała - we własnym domu czy cudzym, gdy składała komuś wizytę.

Ciotka, wciąż na klęczkach, nachyliła się, by poprawić kłody drewna. Susanna wyciągnęła rękę i dotknęła jej pleców. Znów poczuła falę wstydu, coraz bardziej znajomą. Za to, że ciotka nie ma pokojówki, która mogłaby rozpalić ogień dla nich obu - i za to, że sama nie ma najmniejszego pojęcia o czymś tak prostym jak rozpalanie ognia.

Czuła się... bezużyteczna. To było kolejne nowe doświadczenie: nigdy dotąd nie przyszło jej do głowy, że powinna się do czegoś przydać.

- Ja... - zająknęła się - ja to zrobię. Ja... zajmę się ogniem.

Ciotka odwróciła się zaskoczona.

- Już rozpalone, moja droga. Ale możesz rozpalić jutro, jeśli cię to uszczęśliwi.

Ależ ta ciotka jest złośliwa...

- Niebotycznie - odparła. I roześmiały się. Napięcie zelzało.

- Może powinniśmy podzielić się pracą. Ja zajmę się domowym budżetem...

To jest coś takiego jak budżet?

- .. a ty rozpalaniem kominka. Z pewnością twoje plecy lepiej się do tego nadają, Susanno.

Ciotka chyba się z nią droczyła, ale... Czy naprawdę jej plecy lepiej się do tego nadają? Jakie plecy by miała, gdyby paliła w komin-ku co rano i co wieczór, prała, gotowała? Szerokie niczym koński grzbiet? Jakie by miała ręce? Zawsze tak dbała o swoje dłonie, pielęgnowała je, żeby były białe i gładkie, a paznokcie czyste, różowe i ślicznie zaokrąglone. A jednak... Chyba rzeczywiście człowiek ma ręce po to, by robić z nich użytek. By podnosić, dźwigać, budować. Dziergać na drutach. Trzymać broń, prowadzić pług.

Obok kominka, przy fotelu, stał koszyk z robótką: kłębek włóczki i druty, z których zwieszał się kawałek wydzierganego już szalika. O tak, ciotka Frances bezustannie używała swoich rąk. Susanna spoj-rzała ukradkiem na własne. No, przynajmniej potrafi nimi rysować... Dzięki temu w domu będzie trochę więcej kiełbasek i wołowiny.

Przed nimi otwierała się przepaść długiego wieczoru. Przecież nie położą się chyba spać natychmiast po kolacji? A może? Ciekawe, co robią dziś wieczorem siostry Carstairs i pozostali mieszkańcy Barnstable... Nikt ich nie odwiedził od czasu tamtej zabawy, nie otrzymały też żadnego zaproszenia, by to one złożyły wizytę.

- Nie będą się zawsze trzymać z daleka, moja droga - rzekła ciotka. - Przecież od lat nie było w Barnstable kogoś równie interesującego jak ty.

No dobrze. Ale zanim zaczną ich odwiedzać, co można robić z podstarzałą ciotką, zanim się człowiek położy do łóżka?

Może mogłaby wyhaftować makatkę. Haftowała całkiem nie-źle. Co by mogło być na niej napisane? Może na przykład: „Nudzę się”. Albo: „Ratunku!” Ubawiła ją ta myśl, ale był to czarny humor. Mogłaby w ten sposób stworzyć całą galerię, oprawić w ramy swoje dzieła - artystyczny wyraz jej frustracji - i rozwiesić je na ścianach. Przykryłoby się przynajmniej w ten sposób te wyblakłe tapety.

Patrzyła, jak ciotka Frances krząta się po niewielkim pokoju, zapalając lampy. Ich ciepły blask zdawał się nieść pociechę. Nawet te wytarte meble wyglądały w przyćmionym świetle bardziej korzystnie.

Douglas zawsze podziwiał jej włosy, lśniące w świetle komin-ki!...

Nie, ta myśl prowadzi donikąd.

A jednak nie sposób było usunąć z pamięci obraz Douglasa, nie powracać do niego myślą. Tak jak nie sposób się powstrzymać od dotykania językiem miejsca, w którym jeszcze niedawno był ząb. Ale dziwne... Po chwili miejsce Douglasa zajął w jej wyobraźni inny mężczyzna, bardziej wyrazisty i skomplikowany. I choć to Douglas ją zdradził, Susanna poczuła się w pewnej mierze zdrączynią.

- No, moja droga, teraz mamy i widno, i ciepło - rzekła z zadowoleniem ciotka, sadwiąc się na kanapce. - Umiesz szyć? A może wolisz poczytać mi na głos, a ja tymczasem skończę szalik?

- A jakie książki ciocia czytuje, ciociu Frances?

- Och, powieści, kochanie. Wyłącznie powieści. Wszystkie, ale najchętniej te niesamowite.

- Naprawdę? - Susanna zawsze była zanadto zajęta życiem towarzyskim albo odsypianiem jego skutków, aby czytać, ale powieści niesamowite - o, to brzmiało intrygująco. - A co to za powieści?

- O duchach, o rozmaitych dziwnych zjawiskach, o niewyjaśnionych tajemnicach... I przeważnie wszystko to się dzieje podczas ciemnych, burzliwych nocy. Wspaniałe są, naprawdę. Ach, no i jestem też wielbicielek panny Austen, rzecz jasna. Ona pisze i zajmująco, i tak romantycznie... Miłość nieszczęśliwa i szczęśliwa, utracona i odnaleziona, rozstania, zdrady, powroty... A potem wszyscy żyją długo i szczęśliwie. - Ostatnie zdanie wypowiedziała z naciskiem i rzuciła Susannie znaczące spojrzenie.

Ciotka Frances nie była szczególnie subtelną.

Dziwnie było pomyśleć o niej jako o istocie romantycznej. Ta przysadzista dama o długiej twarzy i wesołym spojrzeniu...

- Czy była ciocia kiedykolwiek zamężna? - spytała ostrożnie. Miała nadzieję, że nie jest to kwestia drażliwa. Może ciotka zna nieszczęśliwą miłość z własnego doświadczenia i dlatego tak trafnie odgadła jej, Susanny, położenie?

- Czy byłam zamężna? - Ciotka Frances klepnęła się ze śmiechem w udo. - O nieba, gdybyś widziała to współczucie na swojej twarzy, Susanno... Oczywiście, że byłam zamężna. I to jeszcze jak...

Trzech mężów przeżyłam, moja droga. Ostatniego pochowałam jakiś rok temu. Z jednej strony, nawet wygodnie mi samej w tym niewielkim domku, ale z drugiej strony, jak przyjdą zimowe wieczory... cóż, nie ukrywam, czuję się trochę samotna. Pewnie mogłabym znaleźć kolejnego męża, ale przyznam się, że powieści panny Austen zaspokajają na razie moją potrzebę romansu. A ty, mam nadzieję, zaspokoisz moją potrzebę towarzystwa.

Mrugnęła do Susanny i sięgnęła po druty.

- Wolisz szyć i rozmawiać ze mną, czy poczytać mi na głos?

- A może i jedno, i drugie? Trochę porozmawiamy, trochę poczytamy.

- Mamy przed sobą wiele wieczorów, kiedy będziemy mogły robić i jedno, i drugie, Susanno. Myślę, że na dziś dobrze ci zrobi, jeśli zajmiesz umysł jakąś opowieścią i odwrócisz uwagę od własnych spraw.

Susanna miała wrażenie, że tych wiele wieczorów, jakie mają przed sobą, to nadciągająca wroga armia. Ale z drugiej strony, ciotka mówiła o możliwości znalezienia męża w taki sposób, jakby można go było kupić u modystki! Rozmowa o tych wszystkich mężach zajmie im przynajmniej parę wieczorów.

- No dobrze. A którą powieść ciocia lubi najbardziej?

- H m... weźmy może na początek *Dumę i uprzedzenie*, dobrze? Jeśli pan Darcy nie sprawi, że zapomnisz o tym nieszczęsnym durniu, który cię zostawił, to zjem własną robótkę, moja droga.

Panna Austen, zdaniem ciotki, była zajmująca i romantyczna. Dlaczego nagle przypomniał jej się wicehrabia? Może istotnie był zajmujący. Irytujący - o, to z pewnością. Ale romantyczny? Zdecydowanie nie tak jak Douglas, uosobienie czaru i wystudiowanego wdzięku, stale gotów do obsypywania jej komplementami. Chociaż... spojrzenie wicehrabiego było bardziej intymne, a nawet w jakiś sposób bardziej cielesne niż ten jeden jedyny pocałunek, jaki zdarzyło jej się wymienić z Douglasem. Tak, on też był romantyczny, ale inaczej.

No i było jeszcze to serce, wycięte w korze drzewa...

Z pewnym wahaniem sięgnęła po książkę, otworzyła ją i przeczytała po cichu pierwsze zdanie: „Ogólnie znana to prawda, że samotny mężczyzna, który jest właścicielem wielkiego majątku, koniecznie potrzebuje żony”.

Susanna zamrugała. Te słowa wręcz ociekały ironią.

Trudno było się z nimi nie zgodzić.

Przeczytała więc zdanie na głos, a potem następne i następne. Druty ciotki migały i pobrzękiwały cichutko, a sama ciotka Frances to chichotała, to podrygiwała kolanami, kiedy coś szczególnie przypadło jej do gustu. A gdy trafiło się jakieś cięte, pełne ironii zdanie, wręcz tupała nogami z zachwytu. Susanna widziała to kątem oka.

I zanim się spostrzegła, przeczytała chyba z tuzin stron, lampa się niemal wypaliła - i wieczór minął.

Szczerze mówiąc, nie odniosła wrażenia, by minął nudno.

Ale miała przed sobą jeszcze tyle, tyle innych...

Kiedy zjawiła się w umówionym miejscu, dwaj nieśmiali chłopcy stajenni, po młodzieńczemu wysocy, chudzi i niezgrabni, spojrzeli na nią ukradkiem spod daszków czapek, po czym szybko odwrócili się, starając się najwyraźniej sprawiać wrażenie, że są niezwykle zajęci nakładaniem koniom siana widłami. Wicehrabia, w samej tylko koszuli, odwrócił się, ujrzał ją... i powoli powiódł spojrzeniem po jej zielonym stroju do konnej jazdy oraz kapeluszu z piórem. Zaczynając od kapelusza.

Ojej, wielkie rzeczy... Wiedziała, że się troszkę spóźniła, ale amazonka, którą w końcu wybrała, wydobywała i podkreślała zieleń jej oczu, tłumiąc tę odrobinę błękitu i złota, jaka towarzyszyła zieleni. No i wiedziała też, że pióro przy kapeluszu nieco się zdefasonowało, kiedy powóz się przewrócił wraz z jej kufrem, ale wciąż wyglądała dosyć zawadiacko. No a już tego, że koszyk z prowiantem przewieszony przez ramię stanowił bardzo twarzowe uzupełnienie jej stroju, była absolutnie pewna.

Dlaczego więc, do diabła, ten mężczyzna patrzy na nią z takim rozbawieniem?

Odwrócił się.

- Mieliśmy do wyboru cztery wałachy i ogiera, panno Makepeace. Osiodłałem więc dla pani dobrego wałacha. Bo klacz, obawiam się, lada dzień się ożrebi. - Obwiodł palcem gwiazdkę na końskim czole, i zarówno w tym geście, jak i w głosie była szorstka czułość, która sprawiła, że Susannie zaparło dech.

- Jest piękna. - Ściągnęła rękawiczkę, aby pogłaskać aksamitne chrapy zwierzęcia. Jej własna klacz przepadła, tak jak i cała posiadłość.

Chwała Najwyższemu, że zagroziła wtedy tamtemu człowiekowi wazą... Inaczej przepadłyby i stroje do konnej jazdy.

Wygląda na to, że wieczór spędzony na lekturze Jane Austen potęguje jej wrodzoną skłonność do ironii.

-Jedziemy - rzekł wicehrabia i ujawszy dłońmi jej but, podsadził ją na siwego wałacha tak łatwo, jakby ważyła nie więcej niż pióro przy jej kapeluszu. Susanna poczuła, że zalewa ją fala radości. O tak, będzie rozkoszować się tą przejażdżką, nawet jeśli miała ona związek z pracą. A jeździ przecież znakomicie! Wicehrabia obrzucił szybkim spojrzeniem jej sylwetkę i widać uznał, że trzyma się w siodle jak należy, gdyż odwrócił się, wskoczył jednym rzutem ciała na swego wierzchowca i trąciwszy go kolanem w bok, pojechał wolnym truchtem ku bramie. Susanna poprawiła koszyk na ramieniu i cmoknęła na konia, by podążyć za swym chlebobdawcą.

Wałach jednak, zamiast ruszyć truchtem, wykonał parę dziwnych podskoków, po czym rzucił ostro głową i zatrzymał się tak gwałtownie, że o mały włos nie wyrzuciło jej z siodła. Susanna poleciała do przodu; ściskając z całej siły wodze w garści, a siodło kolanami. I w ten sposób zdołała utrzymać się na końskim grzbiecie.

Czuła się upokorzona. Przypadkowy obserwator mógłby pomyśleć, że nigdy wcześniej nie dosiadała konia! Mruknęła coś uspokajająco do wierzchowca i poklepała go lekko po szyi, i choć nadal dziko strzygł uszami i rzucał na boki zadem, samą tylko siłą swego czaru zdołała skłonić go do czegoś na kształt truchtu.

Całkiem jakby niewidzialna lina ciągnęła go do tyłu!

Co się stało temu biednemu stworzeniu?

Wicehrabia obejrzał się przez ramię. Gdy zobaczył jej purpurową z wysiłku twarz - choć, prawdę mówiąc, chyba zawsze była purpurowa, ilekroć on znajdował się obok - błysnął oczami i uniósł pytająco brwi. Susanna uśmiechnęła się swobodnie, zwycięsko. Wałach zatańczył pod nią niczym pijak wytaczający się z pubu i po raz drugi omal nie zrzucił jej z siodła.

Wicehrabia jednym ruchem zeskoczył z konia, w paru krokach znalazł się obok niej i wziął jej wałacha za uzdę. O Boże, ależ ten człowiek jest szybki...

- Proszę zejść, panno Makepeace.

Susanna poczuła ostre ukłucie zawodu. Cała czerwona, przerzuciła nogę przez łęk siodła, a on wziął ją pod pachy i postawił na ziemi tak sprawnie i bez śladu skrępowania, jakby miał do czynienia ze stosem talerzy, po które sięgnął na półkę.

- Lordzie Grantham, zapewniam pana, że...

Wicehrabia uniósł rękę. Twarz miał nieobecna. Sprawiał wrażenie tak napiętego jak gotowy do strzału pistolet.

Wałach za to był teraz znacznie spokojniejszy. Nadal strzygł uszami; raz jeszcze potoczył okiem ku Susannie, po czym lekkim klusem dołączył do wierzchowca Kita. Jego bieg był teraz nienaganny, tak jakby nie mógł się doczekać, aby się jej wreszcie pozbyć. Tak jakby była jakimś wilkiem, czy co?

Kit, zdumiony, popatrzył na Susannę. Uniesiony podbródek, policzki zarumienione z zażenowania, twarzowa amazonka... o tak, lubił kolor zielony... pióro w kapeluszu, przewieszony przez ramię koszyk... zaraz, zaraz...

Przysiągłby, że wieczko koszyka odrobinę się uniosło.

Przecież nie pił wczoraj wieczorem. Wyspał się też jak należy. Nie było doprawdy nic, co mogłoby wywołać u niego halucynacje!

I znowu: wieczko... uniosło się. Całkiem jakby coś żywego było w środku... i usiłowało się wydostać. Koszyk był luźno związany skórzanym rzemieniem.

- Proszę postawić koszyk na ziemi, Susanno - powiedział spokojnie.

- Ale przecież mieliśmy...

- Proszę postawić koszyk na ziemi. Ostrożnie. Ale natychmiast. Jego twarz miała taki wyraz, że Susanna zbladła. Zrobiła, co kazał. Zauważyła, że ręce jej się trzęsą.

-A teraz proszę podejść do mnie. Szybko.

Z wahaniem postąpiła o krok, najwyraźniej wystraszona jego surowym tonem i spojrzeniem. Kit niecierpliwie wyciągnął ramię i przyciągnął ją do siebie. Trzeba przyznać, że nawet nie jęknęła.

-Co...

- Cśśś - przerwał jej gwałtownie. Wciąż obejmował ją ciasno ramieniem.

Nigdzie w zasięgu ręki nie było żadnego kija. Kit zaklął pod nosem. Mógłby się przydać w tej sytuacji... Ale, na Boga, to mogła być wiewiórka albo mysz, albo inne równie niewinne i nieszkodliwe stworzenie. Czy on wtedy nie wyjdzie na głupca?

Wieczko kosza znowu lekko podskoczyło.

Kit nigdy nie był skłonny traktować czegokolwiek jako z góry niewinne czy nieszkodliwe. To się rzadko zdarzało, przynajmniej w jego świecie.

Jednym błyskawicznym ruchem wyciągnął nogę i kopnął koszyk na bok.

A z koszyka wyskoczyła żmija niemal tak gruba jak ramię Susanny.

Kit porwał dziewczynę na ręce. Żmija przemknęła obok nich. Susanna skryła twarz na jego piersi.

Na szczęście gad, równie wystraszony, zniknął pospiesznie w trawie i więcej się nie pokazał.

-Już wszystko dobrze - szepnął Kit.

Susanna przez chwilę milczała, oddychała tylko prędko. Czuł w ramionach jej ciepłe, gibkie ciało. Otaczała ją leciutka woń lawendy... ijeszcze inna, jej własna. Ta, którą poczuł na jej karku tamtego dnia, kiedy go podglądała.

- To był wąż - powiedziała nieco drżącym głosem. Stłumionym, gdyż nadal kryła twarz na jego piersi.

- Tak - potwierdził cicho. Jej oddech trafił w rozchylenie kieszki międzyjednym a drugim guzikiem. Czuł na skórze jego niemal hipnotyczny rytm: wdech... i wydech. Wdech... i wydech. Wdech...

Postawił ją na ziemi tak szybko, że się zachwiała.

- A więc zabrała pani ze sobą obiekt przyrodniczy, żeby mieć co rysować, panno Makepeace - oznajmił gwałtownie, aby ukryć fakt, że i on czuł się trochę wytracony z równowagi.

Ku jego zdziwieniu, zdołała się lekko uśmiechnąć.

No tak, zaskoczenie... Znowu się okazało, że to dobry sposób, aby poznać człowieka.

Przyjrzał się jej ostrożnie. Oczy lśniły jej odrobinę bardziej niż zwykle, a twarz miała nieco bladą, ale nie słała się ani nie piszczała z przerażenia. A przecież na widok takiej żmii niejednen mężczyzna by wrzasnął.

- A czy ten był jadowity? - spytała trochę niepewnym głosem.

-Tak - potwierdził łagodnie. - Był. Nie bardzo, ale... tak, był jadowity. I właśnie on spłoszył pani konia. - Oba konie spokojnie szczypały trawę o parę kroków od nich. - Czy nie wystawiła pani koszyka na dwór, Susanno, albo nie otwierała go, zanim wyszła dziś pani z domu? Czy nie pozostawiała go pani bez opieki?

- Nie, nigdy. Ciocia Frances zapakowała mi wieczorem do koszyka drugie śniadanie i postawiła, takjak poprzedniego wieczoru, na półce na ganku. Może żmija zdołała się jakoś do niego wśliznąć?

-Możliwe... - Akurat, pomyślał. - Ale... cóż, żmije są bardzo płochliwe. One... -Wspomnienia z lat chłopięcych wypełniły mu wyobraźnię, a wiedział, że jeśli coś przestaje być tajemnicze, przestaje zarazem być groźne. - Czy mogę pani o nich opowiedzieć?

Susanna powoli skinęła głową.

- No więc ta wyglądała na samicę. Miała jaśniejszy kolor niż samiec. Była prawie zielona. - Zbyt zielona, pomyślał. Żmije w okolicach Barnstable zwykle nie miały tak intensywnej barwy.

- Była piękna - przyznała Susanna. - Taka lśniąca... i miała taki śliczny wzór.

- Prawda? - zgodził się z entuzjazmem. -I była też spora, jak na żmiję.

-T-tak?

-Tak! A widziała pani, jak błyskawicznie zniknęła w trawie? Właśnie po to mają ten wzór: żeby nie rzucały się w oczy. Kiedy byłem chłopcem, doszedłem do sporej wprawy w ich wypatrywaniu - dodał z dumą. - A żmije nie lubią ludzi całkiem tak samo, jak ludzie nie lubią żmij. I właśnie dlatego to takie dziwne, że wśliznęła się do pani do domu... A wie pani, że żmije właśnie o tej porze roku mają młode? A ukąszenie żmij owszem, jest bolesne, ale w większości wypadków bynajmniej nie śmiertelne. No, chyba że jest się już wcześniej bardzo osłabionym, albo że się jest psem. A że pani nie dotyczy ani jedno, ani...

Urwał, bo zdał sobie sprawę, że Susanna go obserwuje. Z przechyloną głową, z leciutkim uśmiechem na ustach. Z jego doświadczenia wynikało, że kobiety tak właśnie się zachowują, kiedy mają zamiar powiedzieć coś, co zbije człowieka z tropu.

- Lubi pan to, prawda? Żmije, nornice i w ogóle... - Zatoczyła ręką, wskazując otaczający ich świat zieleni. - Obserwować je, zdobywać wiedzę na ich temat.

Wytrzeszczył na nią oczy. Nie, chciał odwarknąć. Czy ona zwarowała? To przecież wygnanie!

Tyle że on bardzo lubił nazywać rzeczy po imieniu.

Odwrócił się gwałtownie, podszedł do koni i wziął do ręki wodze. Wierzchowiec Susanny, spokojny teraz jak baranek, podszedł bez oporu. W milczeniu podprowadził konie do niej.

- Czy w tym albumie mają być także żmije? - spytała.

Diabeł go podkusił, aby powiedzieć „tak”.

- No, jeśli ma to być porządny album, to nieźle by było mieć w nim chociaż jedną.

Nastąpiła wymowna pauza.

- Spróbuję narysować żmiję z pamięci - zaproponowała Susanna.

- A może będziemy mieli szczęście i spotkamy jeszcze jedną?

Zmarszczyła brwi. Kit się roześmiał. Susanna zrobiła zabawną minę.

- Jak mus, to mus - powiedziała z dramatycznym westchnieniem. - Bądź co bądź, zaopatruje nas pan, mnie i ciotkę Frances, w kiełbaski... Ale wygląda na to, że ostatnio sprzyja mi szczęście.

- Ostatnio? - powtórzył Kit. Jeszcze raz trącił koszyk nogą. Skoro nic więcej ze środka nie wyszło, podniósł go i dokładnie sprawdził zawartość. Nie, wszystko w porządku - tylko drugie śniadanie i szkicownik. Podał koszyk Susannie, a ona ujęła go nader ostrożnie. - Czy coś jeszcze się wydarzyło, panno Makepeace?

- No cóż... zamordowano mojego ojca. To chyba dość istotne „coś”, nieprawdaż? A potem... - Urwała, a Kit miał nieodparte wrażenie, że ona coś przemilcza. - A potem dyliżans przewrócił się na podwórzu w zajeździe...

Kit zmarszczył brwi.

- Dyliżans przewrócił się na podwórzu w zajeździe?

- Kiedy jechałam do Barnstable. Podobno coś tam się zrobiło z kołem... Zanadto byłam zmęczona, żeby się tym interesować.

Kit poczuł dziwny dreszcz. Dreszcz przecucia. Dyliżanse zwykle nie przewracają się tak po prostu! Podobnie jak żmije nie wpełzają zwykle do koszyka. Żeby spaść koło, zawleczka osi musiałyby się bardzo obluźować, albo musiałyby się złamać oś. A o tej porze roku drogi nie były na tyle wyboiste, żeby oś miała się złamać... chyba że została uszkodzona już wcześniej.

Och, do diabła... A może on po prostu we wszystkim się już dopatruje oznak łajdactwa? Taka jest cena - a może nagroda - za to, że jest się szpiegiem w służbie Korony Brytyjskiej. Ale żmija w koszyku ze śniadaniem? Przewrócony dyliżans? Podglądający mężczyzna? Wczoraj, kiedy sprawdzał miejsce, w którym go zobaczył, znalazł tylko dwie złamane gałązki i ślad buta w wilgotnym zeszłorocznym listowiu. To wszystko.

Znowu dreszcz przebiegł mu po plecach. Instykt nigdy dotąd go nie zawodził. To właśnie instykt sprawił, że wyszedł obronną

ręką z tyłu skrajnie niebezpiecznych sytuacji. No dobrze... instynkt plus wyjątkowa biegłość w posługiwaniu się bronią.

Ale od zesłania do Egiptu dzieli go zaledwie trzydzieści dni - i ten album.

Do diabła! Pójście za głosem instynktu może się skończyć właśnie tym: zesłaniem. Muszą wykonać tę robotę! Zirytowany zaczerpnął głęboko tchu i ze świstem wypuścił powietrze z płuc.

- No o cóż... powiadają, że nieszczęścia chodzą trójkami, panno Makepeace, więc myślę, że na tym będzie koniec.

- Naprawdę tak powiadają?

- No więc, ja tak powiadam.

- Bo nie jestem pewna, czy śmierć ojca i utratę domu liczyć za jeden przypadek, czy za dwa.

Co on, na litość boską, ma na to odpowiedzieć?

- W takim razie piątkami. Nieszczęścia chodzą piątkami.

Dziwne, ale ta nedorzecznosc sprawiła, że się uśmiechnęła. A choć był to oporny, krzywy nieco uśmiech, nie wiadomo dlaczego sprawił mu wielką radość.

I w ten właśnie sposób ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że nawet lubi Susannę Makepeace. Troszkę go to zbiło z tropu: nie pamiętał już, kiedy ostatnio zdarzyło mu się lubić jakąś kobietę. Przez całe lata patrzył na nie wyłącznie jak na... wyzwanie. Kobieta to była konieczność, ukojenie, rozrywka. A nie coś, co po prostu sprawia radość, tak jak... powiedzmy, jak słoneczny letni dzień. Kiedy wieje łagodny wietrzyk i ma się pod ręką coś chłodnego do picia.

- Czy będzie pani w stanie dziś rysować? - spytał, czując się dziwnie niezręcznie ze świadomością, że dobrze mu w jej towarzystwie.

- Och, wielkie rzeczy... To przecież tylko żmija.

Doskonale udało jej się zagrać tę nonszalancję. Uśmiechnęli się do siebie nawzajem, oboje zadowoleni z brawury Susanny. Po czym znów podstawił jej dłonie pod stopę i pomógł dosiąść wałacha. Konwale, powiedział sobie. Konwale i nic więcej.

8

Morley trzymał Puszkę na rękach i pieścił miękkie futerko na jego brzuszku. Złociste, przymrużone oczy kota spoglądały na Boba sennie, pogardliwie.

- Kiedy powiedziałem: zrób tak, żeby to wyglądało na wypadek, miałem na myśli wypadek o trwałych skutkach, Bob. A nie że przez jakiś czas dziewczyna poczuje się trochę gorzej.

Dwa dni czekał na wiadomość, że Susanna Makepeace zeszła z tego świata. A teraz - coś takiego?

- Ale to była naprawdę wielka żmija, proszę pana...

- O tak, byłaby znakomita, gdyby potrafiła wystraszyć dziewczynę na śmierć. Równie dobrze mógłbyś powiedzieć „to było naprawdę wielkie jabłko, proszę pana”, biorąc pod uwagę realne zagrożenie ze strony żmii.

Ton pryncypała był lodowato ironiczny. Bob zamrugął oczami.

- Jajestem z Londynu, sir. Tu się urodziłem i wychowałem. Skąd mam wiedzieć, jak jest na wsi? A znaleźć przekłętą gada wcale nie było łatwo... - mruknął pod nosem. Tak naprawdę zmuszony był go kupić od jakiejś dziwnej staruszki - podobno czarownicy, jak o niej szeptali co poniektórzy - która handlowała wszystkim, co pełza. Bob był niezwykle dumny, że udało mu się znaleźć węża, że wpadł na pomysł z koszykiem, że zakradł się o świcie do tamtego domu... Z całego swego planu. Z wypadku dylizansu też był dumny. Wszystko to wymagało precyzji, zręczności, zachowania tajemnicy. Wiedzy i doświadczenia, które nabywa się wyłącznie poprzez lata praktyki.

Diabelnie trudna to sprawa - zorganizować coś, co będzie wyglądało na wypadek.

- A Caroline? - spytał Morley.

- Nie mogę być wszędzie naraz, sir.

Bob robił się zuchwały. No, ale nie był przecież przyzwyczajony do porażek... Być może za tę zapłacili obaj.

- Caroline Allston nie jest niewidzialna, Bob.

- Tak, ale jest mądra, sir.

- Nie, Bob. - Z trudem powściągane zniecierpliwienie sprawiało, że słowa Morleya miały ciężar ołowiu. - Caroline nie jest mądra.

Piękna, przebiegła, nieprzewidywalna jak zwierzę. O, tak. Ale mądra - nie. Jego Caroline.

Jego Caroline... Dziwne, ale tak właśnie zwykł kiedyś o niej myśleć. I nadal tak o niej myślał, choć próbowali ją teraz z Bobem upolować.

Nastała długa cisza. Morley wydobyl z kieszonki zegarek i sprawdził godzinę. Bob przestępował nerwowo z nogi na nogę.

- Sir, wie pan przecież, że jestem zaw...

- W takim razie załatw to wreszcie, Bob.

Morley odwrócił się i postawił Puszka na podłodze. Kot przeciągnął się i poruszył ogonem niezadowolony, że przestał być ośrodkiem uwagi.

Morley zdał sobie sprawę, że Bob nie ruszył się z miejsca, choć wypowiedź pryncypała oznaczała w istocie odprawę.

- Tak? - syknął niecierpliwie.

- Czy to musi być wypadek, proszę pana?

- Straciłeś zaufanie do swoich umiejętności, Bob?

Bob patrzył na niego bez wyrazu.

- Nie potrafisz tego zrobić? - przetłumaczył Morley, z trudem powstrzymując się od sarkazmu.

- Chodzi o to, że ona nigdy nie jest sama, sir. Wciąż jest przy niej ten nie w ciemny bity jegomość.

To było coś nowego.

-A któż to jest ten Jegomość", Bob?

- Nie jestem pewien, sir. Wygląda na to, że włóczy się po okolicy i... - Bob zmarszczył brwi - i rysują. - Jego ton nie pozostawiał wątpliwości, co myśli o dziwacznych zajęciach ziemianstwa. - Wygląda jak wieśniak - uściślił. - W każdym razie tak się ubiera.

- Bob. Po prostu idź i to załatw. Tak jak to ty potrafisz: umiejętnie, zręcznie, profesjonalnie. I spróbuj ustalić, kim jest ten jegomość, jeśli łąska. To może być ważne.

- Naprawdę, sir? To nie musi być wypadek? - Bob się rozjaśnił, a oczy mu zalśniły. Już miał w głowie nowy plan. - Bo widzi pan, jak wypadków jest za wiele...

- To przestają wyglądać na wypadki. Wiem. Zrób tak, jak twoim zdaniem będzie najlepiej, Bob. I proszę, powiadom mnie dopiero wtedy, kiedy będziesz miał do zakomunikowania sukces... albo jakąś nową ważną wiadomość.

Bob stuknął obcasami. Teraz, kiedy wachlarz możliwości się rozszerzył, odzyskał wiarę w siebie.

- Może pan na mnie liczyć, sir. Jestem zawodowcem.

Już ponad tydzień włóczyli się konno po łąkach i przedzierali pieszo przez leśne zarośla. W szkicowniku Susanny przybyły kolejne rysunki: Białego Dębu, wiewiórek, paru odmian paproci. Kit wiedział jednak, że tutejsze lasy pełne są także rozmaitych leczniczych ziół i że opisanie ich wymaga sporo czasu.

A tymczasem ojciec powiedział: miesiąc. I że wszystko ma być zrobione rzetelnie. Tak jakby Kit kiedykolwiek robił cokolwiek inaczej niż rzetelnie... Każdy kolejny szkic sprawiał, że widmo Egiptu nieco bladło.

Wyprowadził ze stajni osiodłane wałachy.

- Dziś jedziemy szukać ciemiemika-oznajmił.

Ożywienie Susanny wyraźnie zmalało o parę stopni. Kit wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Proszę się nie obawiać, panno Makepeace. Ciemiernik na pewno nie wpełźnie do pani koszyka. To ziele. Lecznicze, a niektórzy twierdzą, że również trujące. Rośnie dziko w tych stronach. Używa się go na przeczyszczenie i do okadzania bydła. No i... do rzucania uroku.

A skoro mowa o rzucaniu uroku... Znowu miała na głowie ten zielony kapelus, przy którym jej oczy jarzyły się niemal hipnotycznym blaskiem. Wiedział już teraz, że tak naprawdę są orzechowe. Samo w sobie nie było to niczym szczególnym ani magicznym, ale nic na to nie mógł poradzić, że fascynowało go, iż te oczy potrafią zmieniać kolor stosownie do tła.

Ujął dłońmi but Susanny i podsadził ją. Włożyła nogę w strzemię, ulokowała się w siodle i wzięła do ręki wodze.

- Być może powinniśmy rzucić urok na...

Wałach pod nią zakwiczął i stanął dęba. Susanna wydała zduszony okrzyk i z całej siły ścisnęła wodze w garści. Koń opadł ciężko na ziemię, wierzgnął dwukrotnie - i jak szalony popędził na złamanie karku przed siebie.

Do pioruna!

Kit błyskawicznie znalazł się w siodle i ruszył wściekłym galopem. Wałach Susanny najwyraźniej zamierzał się jej pozbyć i instynktownie wybrał rozwiązanie najprostsze: pędził prosto ku konarom drzew.

Kapelusz sfrunął dziewczynie z głowy i niby zielony dysk przeciął przestrzeń. Ona sama przechyliła się przez lęk i przywarła do końskiego karku, usiłując zachować równowagę - i właśnie dlatego była na straconej pozycji. Widział, że się zsuwa, i serce skoczyło mu do gardła. Przeklęte damskie siodła!

Ścisnął konia kolanami jeszcze mocniej - i po paru chwilach szaleńczego pędu zrównał się wreszcie z wałachem Susanny.

I ku swemu przerażeniu ujrzał, że siodło pod nią się chwieje, tak jakby miało poluzowany popręg. Rozpaczliwie ścisnęła konia za szyję. Wodze stały się w tej sytuacji niemal bezużyteczne.

Prędeży! Prędeży! Świsnął swego nieszczęsnego wierzchowca szpicrutą, i jeszcze, i jeszcze! Czemu, do diaska, nie pofrunie! I wreszcie wyprzedził dziewczynę - i momentalnie osadził swego konia w miejscu. Wierzchowiec wspiął się i zarżał, Kit błyskawicznie zeskoczył i rzucił się ku Susannie, która właśnie w tej chwili runęła w dół. Kit porwał ją w ramiona i padli na ziemię. Siodło zsunęło się po końskim brzuchu.

Ale gwałtowna zmiana obciążenia i upadek ich dwojga to było za wiele dla wałacha Susanny: nie utrzymał się na nogach. Kit zdążył odrzucić dziewczynę na bok - i koń zwał się całym ciężarem na niego.

Ramię przeszył oślepiający ból.

Pociemniało mu w oczach. Stracił dech.

A potem - co za szczęście - koń, usiłując podnieść się z powrotem na nogi, przesunął się nieco i uwolnił przygniecione ramię.

Kit leżał na ziemi i rzeził, bezskutecznie walcząc o odzyskanie oddechu. No, wreszcie... Z ogromnym trudem spróbował unieść tors.

Boli!

- Susanno - wykrztusił, zwracając ku niej głowę. Przed oczami zatańczyła mu chmura czarnych plamek. Ale widział ją przez nie, całą i zdrową, na tle niepokalanego, jaśniejącego błękitu. Twarz miała białą jak kreda; dyszała ciężko, z wysiłkiem, a jej ramiona unosiły się przy tym i opadały, w górę i w dół.

Duma i męskość nie pozwoliły mu leżeć, gdy do niego podeszła. Wysiłkiem woli, pokonując ból, podniósł się na nogi.

Chyba nie zemdleje? Postąpił o krok - i poczuł mdłości.

No tak... Jak nie zemdleje, to zwymiotuje.

Jednak ból to nie była dla niego pierwszozna. Przymknął oczy i zaczął głęboko oddychać. Wdech... wydech...

- Kit... - Była tuż obok. - Niech się pan nie rusza, na Boga. Czy...

No, przynajmniej zwróciła się do niego po imieniu...

- Dobrze się pani czuje? - wycharczał. Otworzył oczy; wciąż wiorowały przed nimi ciemne plamy.

- Czy ja się dobrze czuję? - wykrztusiła dziwnie piskliwie. - Przecież to na pana upadł koń!

Skrzywił się.

- Nie cały koń. - Głos miał już lepszy. - Tylko kawałek. Noga i pierś. Głos się pani popsuł - dodał bez sensu. - Jakoś tak... skrzeczy.

- Ale czy... - Znowu skrzeczenie. Urwała i odchrząknęła. - Jest pan ranny. Na pewno. - Odruchowo wyciągnęła ku niemu rękę.

- Ostrożnie z ramieniem - usłyszał własny spokojny głos. - Lepiej go nie dotykać.

Wciąż, niczym stado maleńkich ptaszków, fruwały mu przed oczyma czarne plamki. Własny głos słyszał jak gdyby z oddali. Nie, nie ma zamiaru zemdleć.

- Pańska twarz...

- Jest taka sama jak przedtem, zanim upadł na mnie koń, panno Makepeace.

- Proszę nie kpić - ucięła. - Widzę, że pan cierpi. Proszę głęboko oddychać... Czy pan sobie czegoś nie złamał?

Kit poruszył palcami, potem uniósł lekko łokieć. Bolało jak diabli, ale fakt, że ręka funkcjonowała jak należy, to był dobry znak. Jutrzejszy dzień będzie jednak niezbyt przyjemny...

- Chyba jest tylko zwichnięta i stłuczona. I... żebra też sobie chyba trochę potłukłem. Ale mam szczęście, psiakrew... Nie leżał na mnie zbyt długo.

- Szczęście? - powtórzyła Susanna z niedowierzaniem. - Powiedziałabym raczej, że przejął pan ode mnie mój rodzaj szczęścia. - Przyjrzała mu się uważnie, a on widział, jak troska powleka jej twarz. - Kit... czy jest pan pewien.

Musiał być doprawdy blady jak śmierć. Wręcz czuł, jak blednie. W środku miał dziwną pustkę.

- To po prostu... fizyczny szok. Reakcja ciała. Musiałem uderzyć się w łokieć dokładnie tam, gdzie trzeba. Albo gdzie nie trzeba. Zdarza się.

- Proszę oddychać - powiedziała łagodnie. - Podtrzymam pana w razie potrzeby, skoro upiera się pan przy staniu.

Zaśmiał się słabo. Ale rada była sensowna i jakoś miło mu było, że ona to mówi. Zrobił więc, co kazała: głęboki wdech, wydech... wdech, wydech... Za każdym razem wraz z powietrzem wydychał ból. Zimny pot okrył mu czoło i plecy, ale czarne plamki przed oczyma zniknęły. Nadzieja, że nie zemdleje na jej oczach, wzrosła, ale czuł, że dobrze by było się położyć. No i, gdy tylko znajdzie się w domu, napije się odrobinę. Do diabła, przecież będzie musiał nościć rękę na temblaku, i to w najlepszym razie...

Co, na litość boską, opętało to łagodne stworzenie, że usiłowało zabić jeźdźca? Przecież chyba nie kolejna żmija?

Ciekawość przemogła ból. Ostrożnie przyciskając stłuczone ramię do boku, podszedł powoli do wałacha. Koń wciąż miał trochę dziki wzrok, a gdy Kit się zbliżył, rzucił głową, ale nie próbował uciekać. Najwyraźniej lepiej się czuł bez Susanny w siodle. Był sobą.

- No, no - powiedział Kit uspokajająco i zdrową ręką delikatnie poklepał koński łeb. - Co ci się stało, malutki? Rzucimy okiem, pozwolisz?

Susanna również szybko podeszła i leciutko pogłaskała bok wierzchowca.

- Biedne zwierzę. Myślę, że chodziło o siodło. Skoro tylko usiadłam, natychmiast próbował mnie z niego wyrzucić. A później i samo siodło... miałam wrażenie, jakby się poluzowało. Staralam się w nim utrzymać i udawało mi się przez jakiś czas, a potem pan... - Urwała. - Dziękuję - powiedziała po prostu. - Uratował mi pan...

Kit nonszalancko, heroicznie wzruszył ramionami. Zabolało, ale umilkła. Spróbował zdrową ręką ściągnąć z konia zwisające luźno siodło. Nie szło mu; Susanna szybko chwyciła za drugi koniec i wspólnymi siłami złożyli je na ziemi. Kit kopnął siodło czubkiem buta. Nic. Powoli, pomny, że drżą mu nogi, ukląkł. Susanna patrzyła. Kit włożył rękę pod spód siodła i powolutku przeciągnął po nim dłoń, badając każdy centymetr powierzchni.

Wtem się zatrzymał. Coś ukłuło go w palec.

Była to niewielka gałązka o tak ostrym końcu, że wyglądało, jakby ktoś z rozmysłem ją zaostrzył. Tkwiła pod spodem siodła. Ciężar jeźdźca mógł sprawić, że wbijała się zwierzęciu w zad. Nie na tyle głęboko, by je poważnie zranić, wystarczająco jednak, by zadać mu ostry ból. I w rezultacie nawet zabić jeźdźca, o ile koń będzie się starał go pozbyć.

Może to po prostu zbieg okoliczności. Ileż rozmaitych drobiazgów może się niechcący znaleźć w stajni... Może siodło zostało rzucone na ziemię i utkwiła w nim jakaś przypadkowa gałązka? A może...

- Mamy winowajcę - powiedział lekko i pokazał gałązkę. Nie wyrzucił jej jednak, lecz schował do kieszeni.

Z wielkim trudem przychodziło mu skupić myśli; rozpraszał je ból. Wziął kolejny głęboki oddech. Och, jak by się napił!

Sprawdził popręg. Był przerwany w miejscu tak słabo widocznym, że normalnie trudno byłoby zauważyć pęknięcie podczas mocowania siodła. Może powinien nakrzyczeć na stajennych, ale nie była to wyłącznie ich wina. Przeciągnął rzemień między palcami. Skóra z upływem lat faktycznie trochę wyschła i popękała.

Na tyle, aby się całkiem przerwać?

Susanna używała tego siodła już ponad tydzień...

Przyjrzał się uważnie brzegom przerwanego rzemienia. Były właściwie trochę... zbyt równe.

Chłód objął mu wnętrzności. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że był tu w robocie nóż.

Podglądający mężczyzna...

Wypadek powozu... zmija...

Gałązka, popręg...

A to było damskie siodło. Boczne. Mężczyzna by na nim nie usiadł.

Wyłącznie kobieta.

Spojrzał na Susannę, która wciąż obserwowała go spokojnie. Za nią, na ziemi, powiewało lekko na wietrze żałośnie zmięte zielone pióro. Włosy, cokolwiek potargane od szaleńczego pędu, spływały jej na ramiona, okalając twarz. Nigdy dotąd nie widział, by miała rozpuszczone włosy. Piękne... Pasma mieniły się rozmaitymi odcieniami: mahoni, orzecha, piasku...

Nagle wydała mu się niezwykle krucha. Bezbronna. Jak mało brakowało, by została dziś ciężko ranna! Och, jakże mało...

Nierozumna wściekłość ponownie zatamowała mu dech.

Jak powiedzieć kobiecie, która dopiero co straciła wszystko, co miała, że najprawdopodobniej ktoś usiłuje ją zabić?

Nie, nie powie. Dopiero kiedy będzie pewien.

Wąłach Susanny, łeb w łeb z jęgo wierzchowcem, węszył w poszukiwaniu trawy. Wodze obu koni wlokły się luźno po ziemi. Biedne konisko Susanny najwyraźniej miało się znacznie lepiej niż

on sam... Dobrze, że zapewniłem mu miękkie lądowanie, pomyślał z ironią.

- Nie jest pan teraz w wojsku. Nie musi pan cierpieć, jeśli pan nie chce. Jest pewien drobiazg, który może pomóc: laudanum.

Susanna próbowała żartować, ale on nie zwracał na to uwagi. Myślał o czymś innym. Trzeba zacząć od sprawdzenia wszystkich siodeł i rozmowy ze stajennymi, postanowił.

- Tak - powiedział nieobecny głosem. - Albo whisky.

Nie był pewien, co się okaże trudniejsze: wracać do stajni piechotą czy konno. Uznał więc, że to bez znaczenia - tak czy owak, będzie bolało jak diabli.

- Jeszcze raz dziękuję, że uratował mi pan życie - powiedziała z powagą.

Nie wiadomo dlaczego, to podziękowanie sprawiło, że się uśmiechnął.

- Tyle przynajmniej mogę zrobić dla pracownicy, którą cenię, panno Makepeace. Na pewno jest pani cała i zdrowa?

- To na pana upadł koń - podkreśliła z naciskiem. - Nie na mnie. Odepchnął mnie pan na bok.

Chciał się uśmiechnąć, ale nie potrafił. To przecież mogła być ona...

Ta myśl sprawiła, że milczał.

Wziął do ręki końskie wodze; Susanna także. Postanowił, że pójdzie powoli na piechotę. Kątem oka znowu dostrzegł leżący na ziemi kapelusz. Taki odcień zieleni nie istniał w naturze. Słyszał, że mówi się o nim „zielen wierzbową”; podobno była ostatnio modna w Londynie. Z pewnością żadna prawdziwa wierzba nie miała liści tej barwy, ale to właśnie ów kolor sprawiał, że oczy Susanny lśniły na jego tle tą hipnotyczną zielenią. I dlatego gotów był przymknąć oko na nieściskość.

- Pani kapelusz - powiedział.

- Ojej... - Susanna podeszła i podniosła kapelusz, popatrzyła troską na nieodwracalnie zniszczone pióro. - Lubiłam go - szepnęła.

- Ja też - wyrwało mu się, zanim zdążył pomyśleć.

Susanna uniosła brwi zaskoczona.

- Czy to komplement, milordzie?

- Stwierdzenie faktu, panno Makepeace - poprawił ją pośpiesznie.

Nie wiadomo dlaczego ta odpowiedź sprawiła, że uśmiechnęła się do niego lekko, radośnie, tak jakby był jej ulubionym uczniem. Prymusem. I dziwne - przez tę jedną krótką chwilę nic a nic go nie bolało.

9

Pettishaw, członek Izby Gmin o niezbyt długim jeszcze stażu, perorował i perorował o potrzebie reformy parlamentarnej. Twarze siedzących wyrażały rozmaite odmiany uwagi; niektórzy z parlamentarzystów kiwali nawet głowami. Czyżby tak dalece zgadzali się z mównicą? A może walczyli ze snem? Morley pomyślał, że dobrą stroną Izby Gmin jest to, iż koniec końców ktoś może wstać i bez owijania w bawełnę, a nawet w skrajnie niegrzeczny sposób, zamknąć Pettishawowi usta. Mówca miał zaledwie parę okazji, aby zaprezentować swe oratorskie talenty, a skoro wyszło na jaw, że ich nie posiada, szczerze i otwarcie zniechęcano go do kontynuowania przemówienia, a nawet do przemawiania w ogóle. W Izbie Gmin nikt się z nikim nie cackał.

Jeśli chodzi o Morleya, to obdarzony był głosem miłym i głębokim. Było w tym głosie dostatecznie dużo ciepła i modulacji, by podtrzymać uwagę słuchacza. Miał też dar elokwencji; nie popadał przy tym w nadto kwiecisty czy przesadnie dramatyczny styl. Innymi słowami, nigdy się nie zdarzyło, by ktoś - grzecznie czy niegrzecznie - poprosił go, aby zamilkł. Jego polityczny talent porównywano wręcz do talentu Charlesa Foksa - tyle że on, Morley, miał lepszą prezencję. No i nie był, jak Fox, hazardzistą i kobieciarzem. Barwne to obyczaje, ale niekoniecznie szlachetne.

Dokuczał mu ból nogi. To się często zdarzało podczas sesji, gdyż w salach parlamentu najwyraźniej panowała wilgoć. Przykre... Z drugiej strony, był jednak zadowolony, gdyż ból przypominał mu, jak to się stało, że zaszedł aż tutaj. Cieszyły go też blizny, jakie miał na nodze - rozległe, pomarszczone, brzydkie. Kobiety często sądziły, że te blizny i fakt, iż utykał, to skutki odniesionych na wojnie ran, a on nie wyprowadzał ich z błędu. Zresztą w pewnym sensie istotnie były to rany wojenne. O, tak.

I wystarczyły, by uwiódł dzięki nim niejedną kobietę.

A jednak Caroline powiedział prawdę. Dlaczego - nie wiedział.

Te blizny stanowiły kolejne użyteczne narzędzie. O wszystkim przywykł myśleć w kategoriach tego, na ile może się okazać przydatne.

Jak na przykład Bob. Kręci się teraz po Barnstable, kończąc zadanie, jakie mu powierzył, gdy on, Morley, może tymczasem zasiadać w Izbie Gmin, pośród przemawiających ze swadą polityków, i cieszyć się nienaganną reputacją, jaką wypracował sobie przez lata.

Jego ojciec był rolnikiem. Chłopem, mówiąc ściślej. Miał liczną rodzinę, która wegetowała, z trudem wiążąc koniec z końcem na spłachetku ziemi niewiele większym niż zszyte razem cztery chustki do nosa. Tak się przynajmniej Morleyowi z perspektywy lat wydawało. A potem wkroczył przemysł i przedzalnicy, wytwórcy guzików oraz biedni farmerzy, tacy jak ojciec, utracili źródło zarobku na rzecz maszyn, które pracowały szybciej, choć niekoniecznie lepiej, oraz właściciele ziemskich, którzy na spłachetkach ziemi wielkości chustki do nosa zbudowali fabryki. Wówczas ojciec zabrał żonę i dzieci i ruszył w poszukiwaniu pracy do Londynu.

Niestety, każdy, kto stracił wówczas środki do życia - a była ich armia - ruszał w poszukiwaniu pracy do Londynu albo innego z przemysłowych miast. W rezultacie pracy nie było. Rodzina Morleyów osiadła w St. Giles i tam głodowała - a Thaddeus właśnie w tym miejscu zawarł tyle ciekawych i pożytecznych znajomości.

A potem przyszedł pożar.

Zginęła w nim cała rodzina Morleya - ojciec, matka, siostry i bracia. Niezbadanym wyrokiem losu ocalał tylko on. Był ciężko ranny,

skóra na nodze niemal się zwęgliła, ale zamożny właściciel czynszowego domu, być może dręczony wyrzutami sumienia - kamienica to była jedna wielka ruina - wziął Thaddeusa pod opiekę. A może chciał sobie kupić drogę do nieba? Tak czy owak, zajął się nim, a potem, odkrywszy, że chłopak jest bystry, posłał go do Eton.

Po jakimś czasie jednak znudziła mu się dobroczyńność i zapomniał o swym podopiecznym. Thaddeus znalazł się na ulicy.

Ale na krótko.

Miał bowiem spryt, inteligencję i osobisty czar. Był przystojny. To, że utykał, budziło ludzkie współczucie i sympatię. A nade wszystko w głębi jego duszy płonął nieustający gniew, który napędzał ambicję. Nie miał zbyt wielu skrupułów; życie w St. Giles każdego potrafi nauczyć, że moralne skrupuły to zbytek. Dlatego traktował je selektywnie. Dzięki paru dawnym znajomościom włączył się na krótko w przemytniczą sieć, umiejętnie zainwestował zarobione pieniądze - i otworzył sobie drogę do studiów w Oksfordzie.

A gdy ukończył Oksford, zadowolić go mogło już tylko miejsce w parlamencie. Gdzie spróbuje przeforsować ustawy, biorące pod opiekę ludzi wydziedziczonych, takich jak jego rodzina.

A także... cóż, przy okazji troszkę się zemści.

Ale dostać się do parlamentu, to tak jakby wspinać się po pionowej skale za pomocą samych tylko gołych rąk. Aby go wybrano do Izby Gmin, potrzebował pieniędzy na kampanię. Wydawało mu się, że znalazł potrzebne wsparcie, gdy przed laty, podczas zimowych wakacji, książe Westphall zaprosił go na przyjęcie. Niestety, ze znanych sobie tylko powodów książe nie okazał się skłonny do sfinansowania kampanii Morleya. A jednak... Na tamtym przyjęciu spotkał Caroline Allston. I w ten sposób, patrząc z perspektywy lat, to księciu Westphall zawdzięczał całą swą polityczną karierę.

Pamiętał chwilę, gdy po raz pierwszy ujrzał Caroline Allston. Był zdumiony, że w mieście takiej jak Barnstable można spotkać taką kobietę... I od razu wiedział, że to istota, która, jak i on, usiłuje wspinać się po skale za pomocą samych tylko rąk. Jej uroda marno-

wała się na prowincji, a on, Morley, doskonale wiedział, jak można ją spożytkować.

Pamiętał też intensywnie błękitne oczy syna księcia, Kita White-lawa, przewiercające go tamtego wieczoru na wskroś. Choć chłopak liczył sobie zaledwie siedemnaście lat, jego spojrzenie miało zaskakującą moc. Gdy patrzył na Morleya i Caroline, w jego oczach płonęły ból i tęsknota. Niegłupi młodzieniec. Wiedział.

Nogą nieoczekiwanie szarpnął ostry ból. Morley położył na niej dłoń, tak jakby chciał ukoić niespokojne zwierzę. Niegdyś zdarzało się, że Caroline, zaledwie rzuciwszy okiem na jego twarz, wiedziała, że ból się nasila. I masując delikatnie chorą nogę, a zarazem paplając pogodnie o jakichś błahostkach, potrafiła oddalić cierpienie.

Pettishaw wciąż przemawiał. Morley rozejrzał się po sali; Groves, parlamentarzysta z Leeds, uchwycił jego spojrzenie i znacząco wznosił oczy do góry. Morley przesłał towarzyszowi niedoli leciutki, porozumiewawczy uśmiech.

Jego układ z Caroline był z początku prosty: ona ogrzewała jego łożę na tysiąc niezwykłych, wciąż nowych sposobów, on ją utrzymywał. Była młoda, wdzięczna mu, a poza tym ją podniecał; oboje doceniali wartość tego związku.

Ale Morley patrzył na wszystko wyłącznie pod kątem użyteczności lub jej braku. Uczucia - wobec ludzi w każdym razie, koty to była inna sprawa - wypaliły się w nim w tamtym pożarze.

Kiedy więc dostrzegł, jak działa Caroline na innych mężczyzn, jego niezmordowany umysł zaczął pracować. Na kolacji w prywatnym domu przedstawił ją z rozmysłem pewnemu kapitanowi marynarki, który, jak to z mężczyznami bywa, po miłosnym akcie stawał się dość rozmowny. Rozmowny, a gdy sobie podpiał, to i nader bez troski, a zatem nad wyraz użyteczny.

Wkrótce potem Caroline obdarowała Morleya paroma cennymi informacjami. Liczba, rodzaje i nazwy okrętów. Liczba i rodzaje dział, jakie były na nich zainstalowane. Miejsce i sposób stacjonowania. Nazwiska oficerów, którzy nimi dowodzili, oraz innych członków załogi. Strzępy informacji właściwie, plus jakiś dokument c/y dwa,

które Caroline wykradła kapitanowi, gdy spał. Ale mogły się okazać użyteczne i wartościowe - dla odpowiednich osób.

Dla Francuzów.

I właśnie dzięki sprzedaży tych informacji zdołał sfinansować swoją kampanię. Dzięki nim został wybrany. Dzięki nim zyskał materialny dobrobyt. I dzięki nim siedział tu dziś, ogólnie szanowany członek parlamentu, znany z uporczywej walki o prawa dzieci i robotników, z nienagannyh ubrań i z nieostentacyjnego, umiarkowanego stylu życia. Od tamtej pory był bez skazy.

Prawie.

Rozejrzał się po sali. Z pewnością tych wszystkich mężczyzn bardziej niż jego prześladują duchy przeszłości. Z pewnością na ich rękach jest więcej krwi. Przecież podczas wojny celowali z karabinów i dział do żywych i prawdziwych ludzi z zamiarem, by zabić ich jak najwięcej, prawda?

A jego ręce mogły pozostać nieskazitelnie czyste, gdyby pewien zanadto ciekawski członek parlamentu, Richard Lockwood, nie poznał przypadkiem w okolicznościach towarzyskich tegoż właśnie kapitana marynarki. Albo gdyby kapitan nie opowiedział mu z naiwnym entuzjazmem o swoich schadzках z pewną piękną kobietą, którą przedstawił mu Thaddeus Morley. Podobno rozmawiali o kochankach i kapitan bardzo pragnął się popisać, jako że Lockwood miał taką wspaniałą kochankę, Annę Holt, która właśnie wprowadziła się do jego domu w miasteczku Gorringe i poszukiwała w związku z tym służących.

- Lockwood strasznie rozpytywał o tę dziewczynę i o ciebie - powiedział mu potem jowialnie kapitan. - Kto wie, może rozgląda się za nową kochanką... Ale ale, a co się stało z dziewczyną? - spytał z nadzieją w głosie.

- Znalazła sobie bogatszego protektora - skłamał Morley. Wówczas Caroline jeszcze go nie porzuciła; od jej odejścia z przystojnym Amerykaninem dzieliły ich całe dwa lata. Ale trzymał ją na razie w ukryciu, tak aby móc znowu wykorzystać dziewczynę jako narzędzie, gdy przyjdzie właściwa pora.

Lockwood chyba nie zdawał sobie sprawy, jak silny jest instynkt samozachowawczy Morleya i jak dobrze zna się on na pewnych sprawach.

Ustalenie, o co naprawdę chodzi Lockwoodowi, i położenie temu kresu, okazało się doprawdy dziecinnie łatwe. Nie robił tego dla przyjemności, o nie. Trzeba było to zrobić, a więc potraktował tę sprawę jak każde inne zadanie: zaplanował i wykonał. Pewnie, sprawnie, niezawodnie. Z upływem lat zaczął już nawet popadać na myśl o tym w samozadowoleniu.

I wtedy przyszedł list od Makepeace'a.

Cóż, jeśli jego kariera polityczna miała rozpocząć się od morderstwa i morderstwem zakończyć, to nic na to nie mógł poradzić. Widywał się ostatnio z Bobem częściej, niżby chciał, niemniej wyczekiwał jego kolejnej wizyty z większym, niżby chciał, niepokojem.

Zanim Kit odprowadził Susanę i wrócił do siebie, czuł się tak, jakby... no cóż, czuł się dokładnie tak, jakby upadł na niego koń. Ból szarpał wszystkimi końcówkami nerwów; trudno było powiedzieć, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy.

Bullton najego widok stanął jak wryty.

- Sir? - Cała jego twarz milcząco wyrażała niezadane pytanie.

- Koń na mnie upadł, Bullton.

- Ach tak. Whisky, sir?

Porządny człowiek.

- Gdybyś mógł uszczknąć nieco ze swoich zapasów, Bullton.

-Doktora?

- Chyba nie. Ale dam ci znać w razie czego. Pomożesz mi wejść po schodach?

- Naturalnie, sir.

- Przynieś mi też pióro i kartkę, jeśli łaska.

- Będzie pan pisał testament, sir?

- Doceniam twoje poczucie humoru, Bullton, i możesz być pewien, że w duchu śmieję się do rozpuku. Śmiać się na zewnątrz raczej w tej chwili nie mogę. Nie, chcę napisać... ważny list.

Wiedział już, jak go sformułować, aby nie wzbudzić podejrzeń, gdyby wpadł w jakieś niepowołane ręce. W szczególności w ręce ojca.

- Doskonale, sir. Papier i pióro.

Do spótki zawlekli obolałe ciało Kita na górę, do spótki wyłuskali go z koszuli i zawiesili chorą rękę na temblaku. Ból od razu się zmniejszył, gdy mięśnie i ścięgna nie musiały już pracować. Kieliszek whisky dokonał reszty; Bullton też sobie nie żałował, jako że Kit nie cierpiał pić w pojedynkę. Potem Kit ostrożnie obmacał własne żebra i wziął na próbę parę głębokich oddechów. Nie, żebra były całe, co do tego nie miał wątpliwości. Z doświadczenia wiedział, że złamane zebro boli tak dotkliwie, iż pomyłka była wykluczona. Skoro mógł się poruszać, nie tłumiąc przy tym okrzyku bólu, oznaczało to, że jest tylko mocno potłuczony.

- Jak twoje zdolności pisarskie, Bullton?

- W porządku, sir.

- W porządku w sensie „znakomicie” czy w sensie „jako tako”?

- Kit czuł się już trochę podchmielony i nie było to nieprzyjemne.

- To pierwsze, sir. O ile nie ma pan nic przeciw temu, że tak otwarcie o tym mówię.

- Absolutnie, Bullton. Podziwiam i szanuję ludzi, którzy nie kryją swoich talentów. W takim razie napiszesz dla mnie list... a tymczasem napijmy się jeszcze trochę, dobrze?

Kiedy butelka była pusta, list brzmiał następująco:

Szanowny Panie!

Piszę w imieniu mojej sąsiadki, która podróżowała Pańskim dyliżansem, aby odwiedzić mieszkającą w Barnstable ciotkę. Podobno ekwipaż „przewrócił się” na podwórzu zajazdu, skutkiem czego sąsiadka zmuszona była jechać dalej z lubieżnym, molestującym ją wieśniakiem, jej ulubiony kapelusz (bardzo piękny, zielony) został nieodwracalnie zniszczony, a ona sama doznała kolosalnego psychicznego wstrząsu. Kusi mnie, aby użyć moich wpływów - a są one znaczne - w celu wyegzekwowania od Pana odszkodowania za poniesione przez nią szkody oraz zniechęcenia innych pasażerów do korzystania z Pańskiej linii, niemniej mogę zrezygnować z tych

poczyznań, o ile otrzymam od Pana szczegółowe i przekonujące wyjaśnienie, jaka była przyczyna wypadku, oraz przyrzeczenie, że to się więcej nie powtórzy. Zapewniam, że informacja, jakiej zechce mi Pan udzielić, pozostanie informacją poufną.

Będę wdzięczny za szybką odpowiedź.

Christopher Whitelaw, wicehrabia Grantham

- To okropne z tym kapeluszem, sir... - Bullton czknał. Jego twarz wyrażała głęboki smutek. Zaczęli już drugą butelkę i osiągnęli stan, w którym wszystko wydaje się albo cudowne, albo tragiczne-, ewentualnie i jedno, i drugie zarazem.

- O tak, Bullton, o tak... - W głosie Kita pobrzmiwała rozpacz. - Piękny to był kapelusz. Z piórem... A jej oczy były przy nim takie zielone...

- Ładny jest kolor zielony - przytaknął z pełnym zrozumieniem Bullton.

- Zwłaszcza gdy chodzi o oczy - ciągnął tęsknie Kit. - Ale ja właściwie wolę orzechowy. Orzechowy to połączenie zielonego z niebieskim i odrobiną złota - wyjaśnił na wypadek, gdyby Bullton nie wiedział.

- Naprawdę, sir? Naprawdę woli pan orzechowy? - Bullton najwyraźniej przejął się tematem.

- O, tak. Orzechowy jest piękny - powiedział Kit z rozmarzeniem.

- A ja szalenie lubię oczy brązowe - wyznał Bullton.

- Czy przypadkiem pani Davies nie ma brązowych oczu?

- Właśnie. Brązowe jak u spaniela... - Tym razem to Bullton mówił tęsknym rozmarzonym tonem.

Kitowi wydało się to bardzo zabawne, więc się roześmiał. Okazało się jednak, że to błąd - whisky nie do końca znieczuliła ból żeber. Jęknął, ale to także zabolęło.

- No, dosyć na dziś. Pora odpocząć, sir - powiedział zdecydowanie Bullton. - I żadnego włóczenia się jutro po lesie.

- Strasznie jesteś srogi, Bullton... Ale masz słuszość, trudno zaprzeczyć. Ściągniesz mi buty, mój stary?

Bullton złapał za but i zaczął ciągnąć. Ciągnął i ciągnął, wreszcie, niczym wystrzelony z armaty, poleciał do tyłu i padł na podłogę z butem w rękach. Kitowi wydało się to szalenie zabawne i ponownie się roześmiał, zapomniawszy, co było przed chwilą, i w rezultacie ponownie jęknął z bólu.

- O Jezu... Przestań mnie wreszcie rozśmieszać, Bullton, do prawdy.

- Postaram się, sir, ale został jeszcze jeden but do ściągnięcia.

I złapał za drugi but, a Kit znowu wybuchnął śmiechem i znowu jęknął, po czym roześmieszło go, że tak jęczy, i znowu się roześmiał, co sprawiło, że nie mógł uniknąć kolejnego jęku. W końcu opadł z sił.

- Dzięki, Bullton. Dobrej nocy... Niech ci się przyśnią oczy spaniela - mruknął.

- Dobrej nocy, sir. A panu niech się przyśnią orzechowe.

10

Tego wieczoru czytała na głos ciotka Frances. Susanna usadowiła się w fotelu koło kominka ze szkicownikiem w ręce i słuchając, rysowała od niechcenia. Ciotka miała zwyczaj ślinić palec, kiedy zamierała przewrócić stronicę, i z początku irytowało to nieco Susannę. Z czasem jednak to delikatne młaśnięcie, odmierzające ich wieczory równie regularnie jak tykanie zegarka, zaczęło na nią działać uspokajająco. Obie z ciotką pograżyły się po uszy w opowieści o dumnej Elizabeth Bennett. Susanna całym sercem przeżywała wraz z bohaterką jej uczuciowe zawody, jej nadzieje, cały ten słodki i idiotyczny zarazem czar miłości.

Za jej plecami trzaskał ogień, który sama rozpałiła, ułożywszy przedtem własnoręcznie trzaski na podpałkę, a potem grubsze polana. Była z tego niezwykle dumna.

Wicehrabia szybko wracał do siebie po urazach, jakich doznał w tamtym wypadku. Nosił wprawdzie jeszcze rękę na temblaku

i krzywił się lekko, gdy nieopatrznie wykonał jakiś gwałtowniejszy ruch, ale poza tym nic nie wskazywało, by miał ponieść jakiegokolwiek trwałe szkody na ciele lub umyśle. Przez ostatnich kilka dni jak zwykle włączyli się po lesie, pieszo rzecz jasna, i w notatniku Susanny przybyły kolejna odmiana paproci oraz parę drzew, ale nie przybyło nic nowego w magazynie jej pamięci, jeśli chodzi o wiedzę na temat przeszłości wicehrabiego. Ale mówił, owszem: o wiewiórkach, ptakach, drzewach, paprociach... Mówił z entuzjazmem, respektem i jakimś coraz wyraźniejszym zachwytem, tak jakby odkrywał na nowo coś, o czym wiedział już wcześniej. Zараźliwa była ta radość i przenikała również do jej rysunków.

„Z Gardinerami pozostawali zawsze w nader bliskich stosunkach. Oboje, i Darcy, i Elizabeth szczerze ich kochali; oboje też żywili najgłębszą wdzięczność dla tych ludzi, którzy przywiózłszy ją do Derbyshire, pomogli im się połączyć”.

Ciotka Frances westchnęła z zachwytem.

- Szkoda, że to już koniec. Jakie to okropne: przeczytać ostatnie zdanie, kiedy książka jest taka śliczna, nieprawdaz?

Susanna drgnęła. Prawdę mówiąc, w ogóle nie dotarło do niej ostatnie zdanie.

- Trzeba przyznać, że wszystkie wątki zostały nader zgrabnie powiązane - odparła dyplomatycznie. Zajrzy do książki później, w tajemnicy przed ciotką.

Rzuciła okiem na swój blok rysunkowy i zaskoczona odkryła, dlaczego nie słyszała ostatniego zdania: w górnym rogu stronicy widniała twarz wicehrabiego. Na jej rysunku był lekko rozbawiony, ale w oczach kryła się odrobina nostalgii, a usta, te pięknie wykrojone pełne usta, uśmiechały się leciutko, jak gdyby z wahaniem. Powiodła kciukiem po tej twarzy, delikatnie obwiodła paznokciem linię ust...

I, nieco zmieszana, przewróciła szybko stronę. Na kolejnych widniały znacznie bezpieczniejsze wyglądające paprocie i drzewa.

- A jak tam twoje wyprawy z wicehrabią, Susanno?

Ciekawe, czy to przypadkowa zbieżność, że ciotka od rozmowy na temat szczęśliwych zakończeń tak szybko przeszła do wicehrabiego.

- Och, doskonale, ciociu. Jest dżentelmenem pod każdym względem. - Starła się, aby nie było słyhać rozczarowania w jej głosie.

- Oj, wątpię - odparła ciotka wyraźnie ubawiona. - Z pewnością jest dżentelmenem pod pewnym tylko względem. Ale wiem, że nie tknie cię palcem, Susanno, bez względu na to, co ewentualnie powiedzą na ten temat niektórzy sąsiedzi. Ojciec doskonale go wychował.

Dziwne, ale niezłomne przekonanie ciotki w tej kwestii sprawiło Susannie niejaki zawód.

- A czy on w przeszłości naprawdę wywołał jakiś skandal, ciociu? - spytała z wahaniem. Nie była pewna, czy rzeczywiście chce wiedzieć, bo spodziewała się, że będzie to i przyjemność, i udręka zarazem.

- No cóż... coś tam było, kiedy nie wyrósł jeszcze ze szczenięcego wieku. Pamiętam, że ojciec wysłał go do wojska dość nieoczekiwanie, z dnia na dzień. Czy do akademii wojskowej... Jednego dnia jeszcze tu był, a drugiego: fiu! Nie ma! Była też chyba jakaś dziewczyna, o ile sobie przypominam, ale nie pamiętam, jak się nazywała.

Już, już miała odpowiedzieć: Caro, ale ku swemu zaskoczeniu powstrzymała się. Dziwne, ale miała wrażenie, że to by była... tak jakby zdrada. Wobec niego.

- Upłynęło mnóstwo czasu i to wszystko nie ma już żadnego znaczenia, nieprawdaż? - ciągnęła ciotka. - Służył ojczyźnie, a więc moim zdaniem odpokutował w ten sposób wszystko, cokolwiek tam miał na sumieniu. Ale wiesz, jak to bywa z plotkami... Jak się ludzie czegoś uczepią, to nie popuszczają, i z komara robi się wół. Wicehrabia to był porządny chłopak, nawet jeśli trochę figlował. A teraz jest porządnym mężczyzną, daję głowę. Widać to po jego oczach - powiedziała z przekonaniem, wskazując na własne, brązowe. - I choć tak rzadko bywa w Barnstable, nigdy nie omieszka mnie odwiedzić, ilekroć przyjeżdża. A dla mnie to niezawodna oznaka, że jest dżentelmenem.

Susanna też tak uważała. Ciepło jej się zrobiło koło serca na myśl o Kicie, który siedzi z ciotką Frances w tym oto saloniku, trzymając w ręce filiżankę herbaty i rozmawia... o czym?

O niesamowitych historiach?

- On uważa, że mam artystyczny talent - powiedziała Susanna trochę wstydliwie. Nigdy dotąd nie rozmawiała z nikim o swoich rzekomych uzdolnieniach.

- Naprawdę? - Ciotka była wyraźnie zadowolona. - Ze masz artystyczny talent? A nie po prostu rysujesz, jak każda inna młoda dama?

- Tak twierdzi wicehrabia. Jak ciocia myśli, czy mogłam odziedziczyć talent po ojcu? - Przypomniała sobie, że Kit zaproponował, aby spytała o to ciotkę. Wyglądało, że mu na tym z jakiegoś powodu zależy.

- No o cóż... mogło tak być, Susanno. Bóg świadkiem, że w rodzinie Makepeace'ów nikt nie miał nawet odrobiny artystycznych uzdolnień.

Susanna zmarszczyła brwi. To zdanie było bez sensu.

-Ale... zarazem myśli ciocia, że mogłam odziedziczyć talent po ojcu? - spytała z obawą. Może ciotka zaczyna tracić rozum i trzeba będzie pomyśleć o znalezieniu sobie innego dachu nad głową?

- No... tak, kochanie. - Ciotka również sprawiała wrażenie nieco zatroskanej. - Tak właśnie powiedziałam.

Patrzyły na siebie wyczekująco, obie niepewne.

Druty ciotki Frances zwolniły tempo.

Zapała niezręczna cisza.

A przecież zaczęło się od całkiem niewinnej rozmowy.

-James - zaryzykowała ostrożnie Susanna. - Mój ojciec. Czy to po nim mogłam odziedziczyć talent? To miała ciocia na myśli?

Druty ciotki się zatrzymały.

-O mój Boże...

Ciotka wyprostowała się i podsunęła okulary na nosie. Susanna odchyliła się na oparcie fotela i czekała. Ciotka nie sprawiała wrażenia obłąkanej; przeciwnie, wyglądało na to, że myśli nadzwyczaj jasno i przytomnie. Niepokojąco przytomnie.

- Ciociu Frances? Czy ciocia dobrze...

- Boże święty... Susanno, przecież musisz chyba o tym wiedzieć?

- O czym?

- Ze James nie był twoim rodzonym ojcem, kochanie.

Tym razem to Susanna znieruchomiała jak głaz.

- Słucham?

- Powiedziałam, że James nie był twoim...

- Słyszałam - przerwała gwałtownie Susanna. - Przepraszam...

To znaczy, że... - Pokręciła głową. - Znaczy, że co...? Że jak...?

- Och, moje biedactwo... - Ciotka, najwyraźniej mocno strapiona, przycisnęła pięści do policzków. - Przykro mi, że cię wystraszyłam. Nie miałam pojęcia, że o tym nie wiesz.

Susanna siedziała nieporuszona. Nie była w stanie myśleć. James nie był moim ojcem... James nie był moim ojcem... Tylko te słowa tłuły jej się po głowie.

- Ale przecież... ten cały prawnik, czy kim on tam jest, musiał ci o tym przynajmniej wspomnieć, Susanno? Kiedy odczytywał ci testament? - Ciotka Frances, zmarszczywszy z troską brwi, zajrzała dziewczynie w twarz. - Wygląda na to, że nie - odpowiedziała sama sobie, widząc jej zdumioną minę.

- Ale jak... dlaczego... to znaczy, co... - Żadne pytanie nie zdawało się właściwe ani trafne w tej chwili i Susanna zrezygnowała z jakichkolwiek pytań.

Na szczęście ciotka Frances zdołała opanować się na tyle, by mówić składnie i do rzeczy.

- Powiem ci, co wiem, kochanie, ale słyszałam to od kogoś innego z rodziny, więc będzie to opowieść z trzeciej ręki. Prawie dwadzieścia lat temu James pojechał do miasteczka Gorringe. I podobno wrócił stamtąd z maleńką dziewczynką. Dziecko mogło pochodzić z Gorringe, ale nikt tego nie wie na pewno.

- I to ja byłam tą dziewczynką?

- Prawdopodobnie. W rodzinie snuto domysły, że może James miał kochankę, która umarła, i że to ich wspólne dziecko, co, prawdę mówiąc, niesłychanie ucieszyło jego matkę. Bo, widzisz... James niespecjalnie interesował się kobietami. Słyszałam, że wolał starożytnie wazy, antyki i w ogóle dzieła sztuki.

- Tak - powiedziała cicho Susanna. Pamiętała te wszystkie wazy, dywany i antyczne meble... Pamiętała, jak przybywały do domu, i jak je potem z niego wynoszono. - Przepadał za nimi. Ale... dlaczego? Po prostu nie rozumiem.

- Przykro mi, kochanie, ale powiedziałam ci wszystko, co wiem na ten temat. I naprawdę nie znam nikogo, kto mógłby ci powiedzieć więcej. James zawsze był tajemnicą dla reszty rodziny. Wyglądało, że mu to odpowiada. Wolał trzymać wszystkich na dystans.

- A... a moja matka? Mam jej miniaturę i jestem do niej bardzo podobna. Naprawdę! Czy oni... czy nigdy... czy oni nie byli małżeństwem? Czy on nigdy nie był żonaty?

- Żonaty? Wielkie nieba! Nie sędzę, kochanie. To znaczy, nie można tego wykluczyć, ale w każdym razie nikt nic o tym nie wie, nawet jeśli był. No, ale może twoja matka była zamężna z kimś innym - dodała z wahaniem. Nie chciała zaszokować Susanny jeszcze bardziej, sugerując, że jej matka była kobietą upadłą.

- Z kimś, kto był moim ojcem?

- Bez wątpienia, kochanie - pospieszyła z zapewnieniem ciotka.

- Może zostałaś osierocona? I James wziął cię pod opiekę.

- W takim razie... - Susanna poczuła, że jej świat znowu się wali.

- W takim razie... ciocia... nie jest naprawdę moją ciocią, tak czy nie?

I utkwiła spojrzenie w podołku.

Nastała cisza.

Po chwili Susanna usłyszała, że ciotka poklepuje dłonią kanapę, przyzywając ją do siebie.

- Chodź no tu, kochanie.

Podniosła wzrok, usiłując zachować stoicki wyraz twarzy. Wstała, podeszła do ciotki i usiadła, podwijając nogi pod siebie.

Wówczas ciotka zachęcającym gestem głowy wskazała swe pulchne ramię. Susanna wahała się przez moment, po czym ostrożnie wsparła się o nie policzkiem. Była już dorosłą kobietą, ale nigdy dotąd nie zaznała podobnej pociechy. Nie wiedziała, jak to jest - złożyć głowę na ramieniu innej kobiety. Dziwne... Z tego fizycznego

kontaktu płynęła tak szczególna otucha, że Susannie znowu łzy napłynęły do oczu.

Ciotka Frances położyła na jej czole chłodną, szorstką dłoń.

- No, już dobrze... Przykro mi, że cię tak wystraszyłam na zakończenie tego miłego wieczoru, kochanie. Ale czy mimo wszystko nic lepiej, że w końcu o tym wiesz?

- Chyba tak... To wiele wyjaśnia, ciociu. W domu nigdy nie było żadnych portretów mojej matki. Myślałam, że może... może śmierć matki była dla niego zbyt wielkim ciosem i wolał, aby nic mu jej nie przypominało. Romantyczne złudzenie, wiem...

Ciotka Frances skinęła głową. Tak, to istotnie było romantyczne złudzenie.

-A on... - Susanna przełknęła gulę w gardle. - Cóż, nigdy tak naprawdę o mnie nie dbał. O tak, był bardzo miły - dodała pośpiesznie. - Ale... nie takjak ojciec. Rzadko bywał w domu i nie wyglądało na to, aby pragnął mojego towarzystwa.

Czuła, że brzmi to żałośnie, i nie cierpiała własnego tonu. Nigdy dotąd nie pozwalała sobie na podobne rozrzewnienie... Oznaczało to zrezygnowanie na chwilę ze swej dumy i przyznanie, że miła jest jej ta ręka, gładząca ją po głowie. Tylko ten jeden raz, powiedziała sobie. Potem znowu się pozbiera i opancerzy.

- O, jestem pewna, że się o ciebie troszczył - powiedziała z przekonaniem ciotka Frances.

- Naprawdę ciocia tak myśli?

- Przecież dbał o ciebie przez te wszystkie lata, prawda? I dołożył starań, żeby ci niczego nie brakowało.

Z wyjątkiem ojca i matki, pomyślała z bolesną szczerością Susanna.

- Tak - przyznała na głos. Bo istotnie, nie mogła temu zaprzeczyć. Miała jednak wrażenie, że to, co ją spotyka, jest jakby nierealne. Dotąd wydawało się jej, że straciła wszystko oprócz własnego ja; wiedziała, że choć zaważyło się całe jej życie, nadal jest Susanną Makepacc, córką Jamesa.

A teraz się okazało, że straciła również i to.

- Ciekawe, dlaczego James nigdy ci o tym nie powiedział - zastanawiała się na głos ciotka.

- Może myślał, że nie jest to zbyt ważne? - Choć nie do pomyslenia było, aby ktoś sądził, że rodzina jest nieistotna. Rodzina była jedyną rzeczą, której jej zawsze brakowało - i jak się okazało, jedyną rzeczą, której istotnie nie miała. Może zamierzał jej o tym powiedzieć któregoś dnia? Nikt nie spodziewa się przecież, że niedługo poderzną mu gardło... - Może uważał, że utrzymanie tego w tajemnicy zapewni mi korzystny mariaż?

- Albo może miał coś do ukrycia - uzupełniła cierpko ciotka.

Susanna zastanowiła się nad tym. Jej ojciec? Miły, uprzejmy, wyprany z jakichkolwiek gwałtowniejszych emocji niczym arytmetyczna cyfra?

A potem przypomniawszy jej się żmija, ukryta w tak niewinnie wyglądającym piknikowym koszyku. Któż może wiedzieć, co naprawdę tkwi w drugim człowieku?

Zaraz, zaraz... Susanna poczuła, że coś w niej drgnęło. Nadzieja? Cokolwiek to było, ożyło - i zaczęło rozkwitać.

Zawsze uważała, że oprócz ojca nie ma żadnych krewnych - ani matki, ani braci, ani siostr, ani kuzynek czy kuzynów.

A teraz jej krewnym mógł być dosłownie każdy! Mogła mieć z tuzin członków rodziny - i mogła nie mieć żadnego. Jej życie, jej przyszłość, przed chwilą jeszcze zamknięte w ścianach tego maleńkiego domu, wydały jej się nagle rozległe niczym świat i jak on pełne nieograniczonych możliwości. Nie wiedziała, jak rozpocząć poszukiwania, ale wyobrażnia już pracowała. Mogła być nieprawą córką księcia. Mogła być... chłopką. Mogła być...

- Może mimo wszystko mam jakąś rodzinę? - powiedziała na głos.

- Masz ją we mnie, Susanno. Można być przecież ciotką duchową, prawda?

Dziewczyna milczała, zbyt wzruszona i przytłoczona lawiną wrażeń, by mówić. Niczym sobie przecież nie zasłużyła na tyle życzliwości i ciepła ze strony ciotki Frances. Nie próbowała się jej

przy pochlebić, nie olśniła jej pieniędzmi ani towarzyską pozycją. Wystarczyło, że istnieje. Ciotka zaakceptowała ją bezwarunkowo.

-Dziękuję, ciociu Frances. - Tyle tylko zdołała wykrztusić. Po cichu poprzysięgła sobie, że zrobi wszystko, by sprostac tej akceptacji, by jej nie zawieść. - Można być też duchową bratanicą, prawda?

Ciotka Frances zachichotała. Ramiona zatrzęsły się jej ze śmiechu.

Ale może na tym właśnie polega akceptacja? Nie trzeba na nią zasługiwać, nie trzeba się o nią starać. Susanna poczuła, że przez całe dotychczasowe życie starała się za bardzo, bez względu na to, o co szło.

Może właśnie dlatego, że nie miała rodziny, tak bardzo pragnęła, aby ją wszyscy lubili?

„Może nie musi pani aż tak się starać”... Tak powiedział Kit. Widział to w niej od samego początku - tę potrzebę, aby olśniewać otoczenie. I obywatele Barnstable też ją prawdopodobnie dostrzegali.

- No cóż, kochanie... Panny Bennet też przeszły swoje, prawda? A przecież wszystko skończyło się dobrze. Nawet dla tej niesfornej dzierlatki, Lydii.

- To prawda, ciociu. - Susanna uśmiechnęła się leciutko. Niewątpliwie panna Jane Austen wiedziała, jak zakończyć powieść.

Kiedy nazajutrz rano Susanna stawiała się pod stajnią, wicehrabia głąaskał żrebną klacz i mruzczał coś do niej uspokajająco.

Klacz rzuciła gwałtownie głową i zadarła ją w górę. A potem wydała głuchy jęk, tak podobny do ludzkiego, że Susannie dech zaparło z wrażenia.

Kit odwrócił się i ją zobaczył. Twarz miał szarą z powściąganego gniewu. Susanna odruchowo cofnęła się o krok.

- Proszę wracać do domu - warknął krótko i zwrócił się z powrotem do klaczy.

Susanna miała uczucie, że uderzył ją pięścią w żołądek. Uniosła dłoń do piersi.

- Coś nie tak jest z kłaczą... widzę to... proszę mi powiedzieć, o co chodzi? - Ledwie zdołała wydobyć z siebie te słowa. Musiała zebrać całą odwagę, by mówić do jego pleców, które były niczym mur.

Klacz znowu jęknęła z bólu i zadarła głowę, ukazując białka oczu. Po czym osunęła się na Kita, a on z całej siły popchnął ją w tył, starając się utrzymać kobyłę na nogach. Mruczał coś przy tym uspokajająco, choć jego twarz wyrażała wszystko, tylko nie spokój.

wreszcie spojrzął znowu na Susannę.

- Żrebi się, ale do tej pory powinna już była urodzić, a to znaczy, że źrebię jest nieprawidłowo ułożone. Strasznie cierpi. A chłopcy stajenni, którzy powinni się nią zajmować... - Urwał. - Nigdzie ich nie ma.

Wypowiedział te ostatnie słowa takim tonem, że Susannie włoski na karku stanęły dęba. Gniew Kita był tak straszny, że dławił ją w gardle. Miała wrażenie, że liście na drzewach w promieniu paru kilometrów szernieją i zwiną się od tego gniewu. Chłopców stajennych czeka marny los... Z pewnością potopi ich, powiesi i poćwiartuje, kiedy wróca. O ile odważą się wrócić.

- Co się z nią stanie?

- Umrze. I źrebię też. Będzie się męczyć, zanim umrze, chyba że ją zastrzelę. - Rzucił te słowa na pozór niedbale, ale były twarde jak skała.

-Ale... czy nic się nie da zrobić? — Czuła się taka bezradna... Boże, ostatnimi czasy tak często czuła się bezradna! Chora była od tego.

Nogi pod kłaczą zaczęły się uginać; Kit znowu wsparł ją własnym ciałem. Wyglądało na to, że za wszelką cenę chce ją utrzymać w pozycji stojącej. A potem znowu odwrócił się ku Susannie - i najwyraźniej zobaczył w jej twarzy coś, co sprawiło, że maska gniewu opadła.

-Wszystko przez... przez to moje ramię... Nie mogę trzymać klaczy i obrócić źrebięcia jedną ręką. Może zmiażdżyć albo mnie, albo źrebię. Muszę ją podpierać.

W tym momencie Susanna zrozumiała: to własna bezradność tak mu dokucza.

- Pomogę. Proszę mi pozwolić. Ja to zrobię. - Słowa wyskoczyły z niej instynktownie i bezwiednie. Sama była zdumiona, że je słyszy.

Kit parsknął krótko, pogardliwie.

- Wsadzi pani klaczy rękę pod ogon i obróci źrebię? Bo właśnie to trzeba zrobić, panno Makepeace. I nawet wtedy możemy jej nie uratować.

Jego gniew był zaraźliwy. Ona też poczuła furję. Jednym ruchem podciągnęła rękaw amazonki i spojrzała na niego z wściekłością.

- Proszę powiedzieć, co mam robić.

Znowu się od niej odwrócił.

- Proszę... mi... powiedzieć... co... mam... robić... - powtórzyła wściekle, robiąc przerwy po każdym słowie.

Zwrócił ku niej głowę, jak uderzony rękawiczką w twarz. Chwilę później maska znów opadła i wyjrzała zza niej twarz Kita, takiego, jakiego znała.

- Proszę wyciągnąć ramię - polecił.

Zrobiła to szybko, jako że zawsze reagowała odruchowo na jego polecenia. Kit nabrał z wiadra garść lanoliny, energicznie roztarł po ręce Susanny, powyżej łokcia, i zbliżył jej ramię do uniesionego ogona klaczy.

- Musi pani włożyć jej rękę do środka. Ja ją będę podtrzymywał i mówił pani, co robić. Może wierzgać. Będę się starał panią chronić, ale proszę uważać. - Mówił krótko, zdecydowanie, jak ktoś, kto przywykł, że rozkazuje, a inni go słuchają.

Powoli, z wahaniem wsunęła rękę w ciemny otwór. Zwierzę przestąpiło z nogi na nogę, a ona poczuła, jak mięśnie zaciskają się wokół jej ramienia. Gdzieś nad nią Kit mruczał do klaczy jakieś uspokajające słowa. Zwierzę znowu rzuciło głową, poruszyło zadem i wydało na poły jęk, na poły rzenie. Kit napał na klacz całym ciałem, starając się utrzymać ją na nogach.

Po chwili wszystko wokół Susanny jak gdyby zbladło i oddaliło się: i jęki klaczy, i widok stajen. Jej świat to było teraz wilgotne, gorące wnętrze zwierzęcia i spokojny głos Kita. Z uwagą, w napięciu

manewrowała palcami, starając się przekazać, co wyczuwa. Wstrzymała dech.

- Pyszczek - sapnęła. - Czuję pyszczek. - Tak, palce się nie myliły: nozdrze, ucho, warga.

Żrebię skubnęło ją w palec.

- Ojej! - Susanna wydała ni to śmiech, ni to okrzyk przestrochu.
- Próbuje mnie ugryźć!

- To znaczy, że żyje - dobiegł ją głos Kita, spokojny, niemal pozbawiony emocji. - Czy czuje pani nogi?

Susanna powiodła ręką po głowie maleństwa, i dalej... Tak, były. Malutkie, twarde, guzowate.

- Tak. Czuję nóżkę... tuż obok głowy.

- Proszę ostrożnie sprawdzić, czy to przednia noga, czy tylna? Czy staw powyżej kostki to kolano, czy pęcina?

Sprawdziła. Nie, ten gruzeł to było kolano, nie pęcina.

- Przednia.

- Dobrze. Doskonale. Teraz musimy je odwrócić głową do nas i nóżkami też. Takie jest normalne ułożenie źrebięcia w łonie matki. Proszę objąć dłonią głowę, jeśli pani może, i... odwrócić ją ku sobie.

- Czy to ją będzie bolało? - Co za głupie pytanie. Wszystko teraz kobyłę boli. Susanna pokręciła głową, jak gdyby wymazywała to pytanie, i Kit nie odpowiedział.

Tak jak kazał, powiodła dłonią po głowie źrebaka, poczuła dotyk malutkich ostrych rzęs, krótkiej szorstkiej grzywy. Ostrożnie napała, próbując odwrócić głowę ku sobie.

Żrebię ani drgnęło.

- Mocniej - dobiegł z góry głos Kita, nieco napięty. - Na pewno go pani nie uszkodzi.

Susanna zaczerpnęła tchu, zamknęła oczy, przeżegnała się w duchu i napała dłonią, najmocniej jak mogła.

- Kit, on... ona... ojej, ono się odwraca...

-W porządku. - Głos Kita był równie pewny jak ręka na jej plecach. - Teraz klacz będzie parła, poczuje to pani; i wtedy, mam nadzieję, zobaczymy przednie nogi źrebięcia.

Susanna czekała... i nagle brzuch klaczy się naprężył. Parła.

Pokazało się maleńkie kopytko. Potem drugie... i wyłoniły się nóżki, aż do kolan.

Kolejny skurcz. Co za cud... Wyłoniła się mordka!

-Kit...

Kit przestał nad sobą panować.

-Fantastycznie! Cudownie! Udało się pani, Susanno, tak, tak właśnie było trzeba! Teraz musimy złapać za nogi i pociągnąć... powiem pani kiedy...

Susanna powoli wyciągnęła rękę i ostrożnie chwyciła małe kopytko. Kiedy klacz znowu zaczęła przec, pociągnęli wraz z Kitem. Jeszcze, jeszcze... kolejny skurcz...

I całe źrebiątko wpadło jej nagle w ramiona, wilgotne i ciepłe, wierzgające, dyszące, żywe! Susanna zachwiała się, cofnęła i wraz ze swym brzemieniem padła na słomę.

- O Boże, Susanno! - zawołał entuzjastycznie Kit.

Dopiero teraz oprzytomniała. Do jej uszu dotarł szelest słomy, do nozdrzy - ostra woń krwi i końskiego potu. Poczowała, że z wysiłku bołą ją ręka, bark i plecy. Wilgotne kosmyki włosów przykleiły jej się do twarzy, wilgotna od potu amazonka oblepiała ciało. Ostrożnie wypuściła źrebiątko z objęć. Gramoląc się, spróbowało wstać, upadło, spróbowało raz jeszcze i wreszcie sukces: stanęło na własnych czterech, chwiejnych jeszcze i drżących nóżkach. Klacz zwróciła ku niemu głowę i obwąchała, witając swoje maleństwo na tym świecie.

Susanna też podniosła się z niejakim wysiłkiem, gdy Kit podał jej ramię. I pod nią ugiwały się nogi.

Kit ukląkł i szybko obmacał źrebię. Jeszcze parę razy potknęło się i dźwignęło z powrotem do pozycji stojącej. Dopiero się uczyło, że świat jest twardy, płaski i rozległy, a nie ciasny, ciepły i wilgotny, jak dotąd.

- To kobyłka... śliczna, zdrowa - orzekł Kit i podniósłszy się także, spojrzał z uśmiechem na Susannę.

Dziewczyna otarła rękawem twarz. Czuła się lekka w środku, oszołomiona i niewypowiedzianie szczęśliwa. Tak jakby w końcu

zaspokoila na chwilę apetyt, o którego istnieniu nie miała dotąd pojęcia.

I w tym momencie dobiegły ich głosy. Głosy, śmiech i przekleństwa. Szuranie po ścieżce niezbyt pewnych nóg.

Wracali chłopcy stajenni.

Kiedy zobaczyli Kita, zamarli. Znieruchomieli niczym posagi, tak jakby chlebobawca był złym czarodziejem, który zaklął ich w kamień.

Kit przyglądał im się przez jakiś czas z przerażająco obojętną twarzą. Susanna czuła, że nawet w niej zamarło serce.

- Wiedzieliście, że klacz lada dzień ma się ożrebić, prawda? - spytał Kit niemal uprzejmie.

Chłopakom oczy wyszły na wierzch ze strachu. Milczeli. Jeden szybko rzucił okiem w bok, na źrebiątko.

- Proszę o odpowiedź.

Susanna ośmieliła się spojrzeć na Kita. Jak to możliwe, by w tych zwykłych paru słowach można było zawrzeć taką groźbę?

- T-t-tak, sir - zdołał wykrztusić jeden z nich, odważniejszy.

Znowu nastała cisza, przerywana tylko szelestem słomy pod kopytkami źrebięcia. Klacz machnęła raz i drugi ogonem, opędzając się przed muchami.

- Mogła zdechnąć - oświadczył Kit spokojnie, niemal w zadumie. - I ona, i jej źrebię. Była sama. A waszym obowiązkiem było dbać o konie, prawda?

Susanna była pewna, że chłopcy mają miny skazańców na moment przed egzekucją. Milczeli. Najwyraźniej skamieniały im również struny głosowe.

- Precz — powiedział w końcu Kit, cicho i pogardliwie. -I żebym was tu więcej nie widział.

Odwrócili się i rzucili biegiem do ucieczki.

Susanna słyszała, jak z tyłu, za nią, klacz obwąchuje córeczkę. Obejrzała się. Mała kobyłka miała gwiazdkę na czole, taką samą jak matka. Machała miniaturowym ogonkiem i dreptała nieporadnie, ucząc się dopiero wszystkiego, co trzeba, o zachowaniu równowagi, oddychaniu i ssaniu matczynego sutka.

Kit w milczeniu spoglądał jeszcze przez chwilę za chłopcami, po czym zwrócił spojrzenie na klacz i źrebię. On patrzył na nie, a Susanna patrzyła na niego.

- Będę musiał mieć je na oku jeszcze przez parę dni. - Kit w zamysleniu przeciągnął ręką po ciemnym od potu boku klaczy. - Ale myślę, że wszystko będzie dobrze. - W jego głosie słychać było ulgę. I ciepło.

Odwrócił się do niej. W twarzy miał jakby... wahanie. Tak jakby czuł się troszkę niezręcznie.

Z pewnością nie zdarza mu się to zbyt często...

- Była pani bardzo dzielna, Susanno.

Coś nieznanego zamigotało mu w oczach. Susanna miała wrażenie, że jej serce przenika fala ciepła, a zarazem poczuła się dziwnie obnażona.

- Ale ja wcale się nie starałam być dzielna.

Kit uśmiechnął się leciutko.

-I właśnie na tym polega pani dzielność. -Wciąż trudno było odczytać wyraz jego twarzy. Tak jakby powlekał ją mrok. Uznałaby to za nieśmiałość, gdyby nie wiedziała, że to niemożliwe. Upokorzenie? Nie, to nie to... Ale w oczach bez wątpienia migotały ciepłe isierki. - Będzie pani jutro trochę obolała - powiedział i jak gdyby bezwiednie uściśnął ją za ramię.

Susanna przymrużyła z wrażenia oczy. Ten uścisk zdawał się bardziej intymny niż pocałunek... Ale z drugiej strony, czy jest coś bardziej intymnego niż włożyć rękę w końskie łono?

Ramię Kita nieoczekiwanie opadło. Susanna otworzyła oczy.

Przez chwilę stali w milczeniu i tylko patrzyli na siebie nawzajem. Susannę owładnął dziwny spokój. Cudowne, jakby ze snu, uczucie spełnienia.

Kit odchrząknął.

- Cóż, myślę, że na dziś musimy zrezygnować z wyprawy, panno Makepeace. Chciałbym przez jakiś czas mieć na nie oko. - Gestem podbródka wskazał matkę i córkę. - A pani amazonka, obawiam się, jest nie do uratowania.

Susanna spojrzała po sobie. Tak, istotnie.

- Nie szkodzi. Mam w domu inne.

Nie wiadomo dlaczego, uśmiechnął się na te słowa i pokiwał lekko głową.

Susanna otarła lepkie dłonie o już i tak zniszczoną spódnicę i ponownie spojrzała na malutką klaczkę. Jeszcze przed chwilą zamknięta w łonie matki, teraz, przypięta do jej sutka, łączywie pochłaniała swój pierwszy posiłek. Susanna uśmiechnęła się, rozrzewniona. Musi je narysować. Może jutro?

- Jak ją pan nazwie? — spytała.

- Może Susanna? - rzucił. W oczach zamigotał mu szelmowski uśmiech.

Susanna przechyliła głowę, udając, że się namyśla.

- Znakomite - orzekła w końcu. - Znakomite imię dla tak uroczego stworzenia.

I obróciwszy się wdzięcznie na pięcie, ruszyła ścieżką przed siebie, do domu. Na odchodnym rzuciła mu przez ramię łobuzerskie spojrzenie spod rzęs.

Szła, delektując się wspomnieniem wyrazu jego twarzy w tej ostatniej chwili. Tym razem nie było to rozbawienie. Ani obojętność. Ani zniecierpliwienie.

To było coś zupełnie innego.

Susanna poczuła, że rodzi się w niej dziwna słodka nadzieja.

Sen tej nocy nie należał do zwyczajnych. Susanna zapadła w czarną studnię bez dna. Obudziła się, jak to już weszło jej w zwyczaj, o świcie, gdy tylko zaśpiewał pierwszy ptak. Czuła się wypoczęta jak nigdy. Nie znała dotąd takiego uczucia.

Znów zapowiadał się piękny dzień. Co za pogoda... Susanna podniosła się z łóżka, nie pojmując, dlaczego ramiona i plecy ma takie

obolałe i sztywne. I nagle ją olśniło: zrzebiątko! Susanna... Uśmiechnęła się. Nawet jeśli nie miała żadnych krewnych, była teraz na świecie malutka klaczka, ochrzczona jej imieniem. To już coś!

Dzisiaj włoży... dzisiaj włoży suknię żółtą, tę muślinową, lśniącą jakjaskier. Kolor żółty uwydatnia złoto w jej oczach; robią się niemal bursztynowe. Wiedziała, że wicehrabia to zauważy. Och, nie, nigdy by nie powiedział na głos czegoś równie błahego... Ale i tak wiedziała - zauważy.

Spodobał mu się jej kapelusz. Zielony. Bóg jeden wie, jakie inne spostrzeżenia kryły się w jego głowie... To jedno mu się wymknęło. Kiedy upadł na niego koń.

Serce podskoczyło jej w piersi - ostro, dziwnie, rozkosznie.

Włożyła suknię, Z trudem przyszło jej dociągnąć sznurówki, tak sztywne miała ramiona, ale w końcu się udało. Włożyła do kieszeni fartucha miniaturę matki. Może pokaże ją dziś Kitowi? Pytał o nią przecież... Jakoś jej zależało, żeby zobaczył ten portrecik.

Już miała schodzić, gdy z dołu dobiegł ją głos ciotki:

- Susanno... Mam dla ciebie niespodziankę!

O, nie! Chciała tylko wypić herbatę i zjeść grzanekę, a być może także coś solidniejszego, bo przecież dzięki pieniądzom wicehrabiego mogły sobie teraz pozwolić na kiełbaski. Ale na samą myśl o koszyku z prowiantem wzdrygnęła się nerwowo. A po rewelacjach na temat ojca, jakie usłyszała przed paroma dniami...

Żadnych niespodzianek więcej, ciciu. Proszę!

Zwolniła kroku. Na półpiętrze, za zakrętem schodów, przystanęła. Serce skoczyło jej do gardła.

Douglas.

Jak to dobrze, że ma na sobie tę żółtą, jaskrawą suknię...

- Witaj, Susanno. - Twarz Douglasa zajaśniała radością na jej widok. - Wyglądasz... - Umilkł i powiódł po niej wygodniałym wzrokiem. - Wspaniale - dokończył.

W pierwszej chwili zaniemówiła. Serce biło jej niczym werbel.

- Dziękuję, Douglasie - przemówiła w końcu. - Ty też wyglądasz... przyjemnie.

O, tak... Wyglądał doskonale. Nigdy nie zapomniała, jaki jest przystojny - z tymi ciemnymi włosami, subtelnymi rysami twarzy, szarymi oczyma, które znała równie dobrze jak własne... Ale czy to możliwe, że nie widzieli się najwyżej dwa tygodnie?

Tylko jedna przyczyna mogła sprawić, że się tu pojawił. Ta myśl spowodowała, że zamarła z wrażenia.

Ciotka Frances stała obok Douglasa ze splecionymi na wysokości talii dłońmi i spoglądała to na niego, to na nią. Z ciekawością i zachwytem.

Patrzyli na siebie jeszcze przez chwilę. Wreszcie Susanna uznała, że chyba powinna zejść tych parę stopni na dół. Miło było go zobaczyć, chociaż, z drugiej strony, uznała to za odrobinę... irytujące. To jakby... powiedzmy, znaleźć czajnik w wannie. On nie był stąd. Raził w tym małym niepokąznym wnętrzu.

- Nie chce herbaty - powiedziała znacząco ciotka. - Chce pójść na spacer.

Co oznaczało: chce znaleźć się z tobą sam na sam. I to pilnie.

Susanna raczej nie miała wątpliwości, w jakim celu przybył Douglas.

W ostatnich dniach stale towarzyszyło jej wrażenie, że usiłuje osiągnąć czegoś, co leży wysoko na półce, tak wysoko, że tego nie widzi i nawet nie wie dobrze, co to jest. Wie jednak - przeczuwa - że gdyby tego czegoś dosięgła, mogłoby się okazać niezwykle cenne.

Gdyby Douglas zabrał ją z Barnstable, nie musiałyby się więcej wspinać na palce. Na tę myśl - dziwne - poczuła nie tylko ulgę, ale i smutek zarazem.

- Zostaw surdut w domu, Douglasie - powiedziała cicho. - Cio-cia nie będzie miała nic przeciw temu, a już teraz robi się bardzo ciepło. Przejdźmy się.

Ciotka Frances wzięła od niego surdut i oczy jej się rozszerzyły, gdy zobaczyła, z jak wykwintnej tkaniny został uszyty. Susanna stłumiła uśmiech. A potem ciotka mrugnęła porozumiewawczo. Douglas, dzięki Bogu, tego nie widział albo litościwie udawał, że nie widzi.

Wyszli. Minęli grządkę róż, furtkę i ruszyli ścieżką w kierunku lasu. Cisza, jaka między nimi zapadła, była tak niezręczna, że aż śmieszna. Upłynęło trochę czasu, odkąd razem spacerowali, a poza tym zwykle trzymała go wówczas pod rękę. Teraz szli obok siebie, a choć dzieliło ich zaledwie kilka centymetrów, wydawało się, że są to kilometry.

Douglas odchrząknął.

- A więc tu teraz mieszkasz, Susanno?

- Nie. Mieszkam w stodole.

-W stodole?... - I spojrzawszy na nią, zrozumiał. - Cha, cha, cha! - zaśmiał się nerwowo. - Przepraszam. Chyba moje pytanie zabrzmiało trochę niedelikatnie.

-Ja też przepraszam. Nie powinnam robić sobie kpiniek.

Jakże niezręczni byli wobec siebie nawzajem... Zbyt nerwowi, zbyt uprzejmi. Susanna zaczęła podejrzewać, że zapomniała już, na czym polega czysto towarzyska uprzejmość, obowiązująca wśród wyższych sfer.

-I jak ci się żyje w Barnstable, Susanno? - spróbował raz jeszcze Douglas. Nadzwyczaj grzecznie.

Pomyślała chwilę, zanim odpowiedziała.

- Ciekawie. - Jej ton był równie grzeczny, jak jego.

- Naprawdę? - Douglas najwyraźniej nie był co do tego przekonany. Przez chwilę milczeli. Uszu Susanny dobiegały znajome już teraz i swojskie dźwięki: szmer liści, szelest gałązek, gdy przebiegały po nich wiewiórki czy ptaki przefruwały z konara na konar.

I nagle Douglas się zatrzymał i zwrócił ku niej. Susanna aż podskoczyła.

- Och, dosyć tych uprzejmości, kochana Susanno. Strasznie za tobą tęsknię.

- Tak? - spytała z lekką zadyszką. Serce biło jej mocno.

- Tak - zapewnił ją żarliwie. - Nic nie jest takie jak dawniej... Nie potrafię się śmiać tak jak kiedyś. Żadna nie tańczy tak jak ty. I żadna - chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie - żadna nie patrzy na mnie tak jak ty... tymi swoimi oczami...

Ściszył głos i zamilkł. A potem opuścił wzrok na jej usta.

Zamierzał ją pocałować.

A ona zamierzała mu na to pozwolić.

Kiedy musnął jej wargi swoimi, był to taki sam pocałunek, jaki pamiętała z przeszłości: leciutki, niemal niewinny, a jednak intrygujący właśnie przez to „niemal”. Była w nim zapowiedź, ślad zaledwie czegoś więcej.

A potem się zmienił. Stał się tym, co zapowiadał - czymś więcej.

Język Douglasa dotknął jej górnej wargi. On sam przygarnął ją ciaśniej. Pod wykwintną, cienką tkaniną jego spodni coś się poruszyło. Trudno się było pomylić... Jego męskość.

Hm... Douglas chyba sobie za bardzo pozwala.

Rozchyliła lekko usta, trochę z ciekawości, a trochę dlatego, że tak było chyba... cóż, tak było uprzejmie wobec niego. Ale nie zatraciła się bynajmniej w tym pocałunku; możliwe, że on myślał o niej bez przerwy, odkąd ją porzucił, ale jej głowę zdążyły przez ten czas wypełnić całkiem inne sprawy. Wicehrabia, nornice, źrebie. Sztuka, talent, dzielność. Wszystko to oddaliło ją od Douglasa i musiałyby zniweczyć ten dystans, aby mogła czuć się swobodnie, gdy ją całował... a cóż dopiero przyciskał do swego twardniejącego członka!

Zmieszana odwróciła gwałtownie głowę i zaśmiała się niepewnie.

Douglas odetchnął głęboko, starając się opanować. Nie usprawiedliwiał się jednak, nie cofnął też rąk, choć lekko odepchnęła go łokciem.

- Susanno... chyba się domyślasz, dlaczego przyjechałem.

- Może się i domyślam, ale chciałabym to usłyszeć od ciebie - powiedziała z uśmiechem, aby się trochę podroczyć.

- No więc - podjął z zapałem - pomyślałem sobie, że kupię dla ciebie dom w Londynie...

A więc to prawda... Susanna znowu poczuła i ulgę, i smutek zarazem. Jakie to dziwne - powrócić do dawnego życia... Jakie to dziwne, że Barnstable stanie się tylko snem.

- Masz na myśli dom dla nas, prawda? - Uśmiechnęła się do Douglasa.

Douglas odpowiedział jej uśmiechem nieco pobłażliwym. Uniósł do ust dłoń Susanny, potem drugą, i wypuścił je z rąk.

- No cóż... od czasu do czasu zostanę u ciebie. Ale, rzecz jasna, większość czasu będę musiał spędzać z żoną.

Susanna utkwiała w nim zaskoczone, nierozumiejące spojrzenie.

A po chwili zaczęła się domyślać. Poczuła, że drętwieją jej ręce i nogi.

- „Ale”? Powiedziałaś: „ale większość czasu będę musiał spędzać z żoną”? - powtórzyła, śmiejąc się nerwowo. Z naciskiem na pierwsze słowo.

- No, tak, naturalnie - ciągnął Douglas pojednawczo. - Z Amelią. Amelią Henfrey. Za miesiąc się pobieramy, więc będę musiał mieszkać z nią, to oczywiste. Ale wiesz przecież, Susanno, że wolałbym być z tobą... i naprawdę będę z tobą najczęściej, jak się da.

Uśmiechnął się do niej zwycięsko i nachylił się, by znów ją pocałować.

Susanna gwałtownie odwróciła głowę.

I choć ogłuszał ją nagły szum krwi w uszach, a serce ścisnął ostry ból, zdołała wydobyć z siebie głos i wypowiedzieć składne, dorzeczone zdanie:

- Żeby nie było wątpliwości, Douglasie: prosisz mnie, żebym została twoją metresą, tak?

Douglas pochylił głowę zmieszany.

- No, tak, oczywiście. Wiesz przecież, że nie mogę poślubić panny bez gro...

Dłoń Susanny wylądowała na jego twarzy.

Stali w milczeniu naprzeciw siebie. Susanna ze zgrozą patrzyła, jak na policzku Douglasa pojawia się czerwony ślad jej palców. Spojrzała na własną dłoń, czerwoną i piekącą. Miała wrażenie, że należy do kogoś innego, nie do niej.

Cisza stała się nie do zniesienia. Przerwał ją Douglas.

- Susanno - powiedział cicho. - Posłuchaj, proszę...

Susanna nie była w stanie się powstrzymać. Słowa wypłynęły z niej niczym lawa.

- Za kogo ty się masz, Douglasie? Czy ty wiesz, co ja przeszłam? Moja ręka była potąd - wyciągnęła gwałtownie ramię i uderzyła kancem dłoni powyżej łokcia - w łonie klaczy, zaledwie wczoraj...

- W ło... łonie klaczy? - Douglas cofnął się odruchowo o krok.

- Tak, w łonie klaczy, moje ty niewiniątko - powtórzyła z ogniem. - Byłam w niebezpieczeństwie, straciłam wszystko, co miałam. .. możesz sobie choćby wyobrazić, jak się wtedy człowiek czuje? Ale zachowałam moje ja. Jestem silna. Mam z czego czerpać moc. Mam talent. I wygląda na to... - zaczerpnęła tchu i z pewną dumą dokończyła: - że mam także temperament. Chyba jestem bardziej mężczyzną, niż kiedykolwiek byłeś ty.

-Susanno...

- Odejdź, Douglasie. Natychmiast. Nie chcę cię więcej widzieć.

-Ale...

O Boże... Później gardziła sobą za to, ale w tej chwili mimo woli błysnęła jej nadzieja. Przeklęta, nędzna nadzieja. Och, człowiek jest przywiązany do życia bardziej niż karaluch...

- Ale co, Douglasie?

Powiedz coś, co naprawi to wszystko, kołatało jej w głowie. Spraw, żeby wszystko było znowu jak dawniej.

- Ale... mój surdut...

I chyba było to najlepsze, co mógł w tej chwili powiedzieć, gdyż nigdy nie był tak żałosny i godny pogardy. A pogarda ukołła nieco jej dumę, urażoną tak dalece, iż bała się, że ją zadusi.

A mimo to, gdy patrzyła z pogardą w te szare, kochane niegdyś oczy, teraz przepełnione prawdziwym bólem, wiedziała, że nic już nie będzie takie jak dawniej. I że to ona wszystko popsuka. Nieodwołalnie.

- Niech ci żona kupi nowy, Douglasie. Pozdrów ode mnie Amelię.

Słyszała, że istnieje coś takiego jak ślepa furia, ale aż do tej chwili nie była przekonana, czy to prawda. Ze zgrozą zakryła twarz dłońmi. Oto jaka pozostanie w pamięci Douglasa: czerwona, wściekła, wrzeszcząca niczym handlarka rybami.

Schyliła się, podniosła kamyk i cisnęła nim z całej siły.

A chwilę później dały się słyszeć głuchy odgłos uderzenia i oburzone: „ojej!”

Susanna zacisnęła powieki. Boże... No nie!

Kiedy otworzyła oczy, stał przed nią Kit Whitelaw, ze zmarszczonymi chmurnie brwiami, i rozcierał sobie pierś.

Do czego to doszło... Ciskam w mężczyzn kamieniami! Ścisnęła dłońmi policzki.

- Tak mi przykro... czy ja... czy pan...

Urwała, bo na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Rzut ma pani całkiem niezły, musi pani tylko popracować nad celnością, panno Makepeace. Nie trafiła pani. Jeszcze jedna próba?
- Podniósł pocisk z ziemi i wyciągnął ku niej zachęcająco.

Susanna gwałtownie odwróciła się na pięcie i jak burza ruszyła w stronę domu. W chwilę później usłyszała za sobą pospieszne kroki.

- Zanim zrobi pani krzywdę sobie albo komuś innemu, może najpierw powie mi pani, co się stało.

Odwróciła się ku niemu.

- Skoro musi pan wiedzieć, to mój narzeczony... Douglas...

Twarcz Kita, dotąd pełna drwiny, w jednej chwili stała się nieprzenikniona.

- Kłótnia kochanków, panno Makepeace?

- Nie jesteśmy kochankami. I nie pokłóciliśmy się. Wszystko skończyło się jakiś czas temu. Prawdę mówiąc, on nie jest już moim narzeczonym. Kiedy umarł mój ojciec, Douglas natychmiast mnie porzucił, bo mamusia mu kazała. Bo przecież przyszły markiz nie może poślubić panny bez grosza. A dziś przyjechał, aby mnie powiadomić, że żeni się z moją najlepszą przyjaciółką, a mnie prosi, abym została jego metresą.

Wyglądało na to, że ta litania sprawiła, iż wicehrabia, zwykle tak wygadany, zaniemówił. Susanna poczuła przewrotną satysfakcję: a więc sprawy naprawdę wyglądały tak źle, jak sądziła.

Kit zdawał się namyślać przez jakiś czas.

- Zamierza pani płakać? - spytał.

- Skąd - odparła szybko, tak jakby sam pomysł był obelgą.

Przyglądał się jej uważnie, zmarszczywszy leciutko brwi. Sięgnął do kieszeni, wyjął chusteczkę i wyciągnął ją ku Susannie.

Natychmiast wybuchnęła płaczem.

- Wcale się tym... nie... nie przejmuję - wykrztusiła poprzez łyż. Macając na oślep ręką, natrafiła na ścięty pień i usiadła.

- Oczywiście że nie - powiedział spokojnie. Usiadł obok niej i wyciągnął przed siebie długie kończyny.

- Jestem tylko... wściekła.

- Każdy by był.

- Po prostu... tyle się wydarzyło ostatnio, wie pan.

- Sporo - przyznał.

- Co za nikczemny... co za nikczemny drań!

- Skończony łajdak. - Kit schylił się i podniósł z ziemi gałązkę.

- Czy mam go wyzwać na pojedynek? - spytał od niechcienia, obracając gałązkę w palcach.

Łkanie Susanny momentalnie ustało. Powoli zwróciła na niego zdumione oczy.

- Z-z-zrobiłby pan to dla mnie?

Kit nadal obracał w palcach gałązkę, to w tę stronę, to w tamtą.

- Może bym go tylko zadrasnął.

Susanna parsknęła krótkim śmiechem, na poły zaskoczona, na poły z goryczą. Otarła zewnętrzną stroną dłoni mokre policzki.

- Potrafiłby pan to zrobić? To znaczy... nie zabić, tylko lekko ranić? Czy to jest... no, trudne?

Na moment odwrócił wzrok.

- Tak - powiedział po chwili. Lekki, trochę smutny uśmiech błąkał się na jego wargach. - Potrafiłbym.

Odwrócił się z powrotem ku Susannie. Przyglądała mu się z namysłem, jak gdyby rozważając różne możliwości.

- Nie - zdecydowała. - On nie jest wart, żeby przez niego narażał się pan na niebezpieczeństwo.

Uśmiechnął się.

- Pani troska o moje bezpieczeństwo bardzo mi pochlebia, panno Makepeace. Dlaczego jednak pani sądzi, że mogłoby mi cokolwiek zagrażać z jego strony?

Susanna się odwróciła. Rozpostarła chusteczkę, potem zwinęła ją na powrót w dłoni i zaczęła wodzić paznokciem po wyhaftowanych na niej inicjałach: CW. Głęboki, drżący oddech wstrząsnął jej piersią, ale był to już tylko nikły ślad tego, że przed chwilą tak rozpaczliwie szlochała.

- A skąd pan wie, że nic panu nie grozi z mojej strony? - spytała nagle, rzucając mu ukośne spojrzenie spod rzęs.

No, no... Brawo, panno Makepeace! Kit przyklasnął jej w duchu, pełen podziwu. Nie jest z nią tak źle, skoro wciąż jest w stanie flirtować.

- O, bez wątpienia mi grozi - zapewnił ją. - Skoro tak znakomicie rzuca pani kamieniami.

Uśmiechnęła się leciutko. A potem pociągnęła nosem i spokojnie, z godnością osuszyła oczy chusteczką. Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu obok siebie. Słoneczne promienie przenikały przez gęstwinę liści; w słupach światła widać było wirujące drobiny kurzu.

Gdzieś w górze zacamokowała wiewiórka. Można by przysiąc, że wygraża im maleńką piastką, zirytowana ich obecnością.

- Spoliczkowałam go - wyznała nagle niemal szeptem, na poły z przerażeniem, na poły ze wstydem.

- Mocno? - spytał spokojnie.

- Obawiam się, że tak.

- To dobrze. W ten sposób nie pozostawiła mu pani żadnych wątpliwości, co pani czuje w związku z jego... propozycją.

- Tak - przyznała ze smutkiem. - Żadnych.

Znowu zamilkła, a on to uszanował. Dziwne, że po wybuchu łez przychodzi zwykle taki spokój...

Susanna rozpostarła na kolanach przemoczoną chusteczkę i wygładziła ją starannie, takjakby była obrusem, na którym ma za chwilę stanąć zastawa.

- Czy był pan kiedyś zakochany? - spytała nieoczekiwanie.

O mało się nie roześmiał. Kobiety lubią zadawać takie pytania... Już, już miał odpowiedzieć lekceważąco i nonszalancko. Ale gdy zwrócił ku niej głowę, ujrzał jej rozgorączkowane od płaczu, pokryte czerwonymi plamami policzki i lśniące jeszcze resztką łez oczy. Ach tak... Próbuje ustalić, czy on coś wie o miłosnych zawodach.

Odetchnął głęboko. Skoro tak, to dobrze. Powie jej.

- Byłem.

Oczy miała okrągłe z wrażenia. ... I szybko odwróciła głowę, tak jakby trudno jej było patrzeć na niego w ten sposób zbyt długo.

- Czy kocha pani Douglasa? - Sam był zdziwiony, że ją o to pyta, ale nieoczekiwanie poczuł, że spytać musi. Prowokował i drażnił tę kobietę już tyle dni, usiłując ją poznać - trochę, prawdę mówiąc, dla rozrywki. I z zaskoczeniem, a także odrobiną dyskomfortu odkrył, że jest w niej więcej, niż się spodziewał.

Ale nigdy dotąd nie zainteresowało go na serio, co kryje się w jej sercu.

- Tak - odparła. - To znaczy... kochałam. Albo raczej myślałam, że kocham. Co właściwie na jedno wychodzi, nieprawdaż?

Milczał. Co za odważne wyznanie.

- Być może - zgodził się w końcu.

Pomyślał o tym nieszczęsnym młodym bufonie, który przed chwilą dostał od niej w twarz. Nadęty chłystek uważał, że rozwiąże własny problem, jeśli będzie trzymał Susannę w Londynie jak papugę w klatce i jak papugę odwiedzał od czasu do czasu -ją, taką radosną, towarzyską, dzielną, pełną pasji! Zapewne sama nie do końca zdawała sobie sprawę, jaka jest wyjątkowa i niepowtarzalna.

Chyba się zdenerwował, bo gałązka, którą kręcił w palcach, nagle pękła.

Upuścił ją, szukając w myśli słów, które mogłyby Susannę pocieszyć. Niestety, nie był zbyt biegły w prawieniu dyplomatycznych banałów. Mógł jedynie powiedzieć to, co myśli i czuje.

-Wiem, że w tej chwili jest pani trudno, Susanno - zaczął z wahaniem. - Proszę jednak spróbować... proszę spróbować nie myśleć o nim źle, jeśli tylko pani zdoła. Młodzi mężczyźni często są na łasce i niełasce rodziców, powinności towarzyskich... Pewnie myślał, że tak będzie lepiej dla was obojga. I... cóż, niewykluczone że do końca życia będzie żałował, iż panią stracił.

Podniosła głowę i patrzyła na niego uważnie, tak jakby studiowała mapę. A on zatracił się na chwilę w jej oczach, tak uroczo wielobarwnych. Niczym staw skąpany w świetle poranka, mieniły się zielenią i złotem, a orzechowe rzęsy, wilgotne jeszcze od łez, otaczały je niby gęste zarośla. Z trudem się powstrzymywał, aby nie przeciągnąć po nich palcem, nie spróbować wargami ich słonego smaku, nie ochłodzić wierzchem dłoni zarumienionych policzków. Jakie to dziwne... Nie dotykać jej zaczynało się wydawać bardziej nienaturalne aniżeli dotykać.

Na tę myśl poczuł ostre szarpnięcie gdzieś w środku. A potem, powoli, wypełniło go dziwne uczucie - bolesne i słodkie zarazem... i tak dobrze znane z przeszłości.

O tak... Kto wie, czy ona nie ma racji. Istotnie, może być trochę niebezpieczna.

- Kto to jest Caro? - spytała nagle.

Do licha! Nie wiedząc, co powiedzieć, patrzył na nią przymrużonymi oczyma. Uśmiechnęła się, najwyraźniej rozbawiona jego reakcją i zadowolona, że zasadzka się udała.

-Wie pan, co jest w tym wszystkim najgorsze? - Urwała. Odetchnęła głęboko. - Kiedy Douglas pojawił się dziś rano, pomyślałam: a więc jednak kogoś mam. Wróciło moje dawne życie. Będę miała rodzinę. Czy wie pan, że jedyne, co mi pozostało z dawnego życia, to ubrania? I to tylko dlatego, że chciałam cisnąć wazą w człowieka, który je wynosił. Przestraszył się.

- Są piękne - zapewnił.

Uśmiechnęła się i pokręciła głową, prawie tak samo, jak on to robił, gdy stawiała się co rano do pracy pięknie ubrana, elegancka, wytworna.

- Tak - potwierdziła zgodnie z prawdą. - Niemniej, kiedy Douglas się dziś pojawił, pomyślałam sobie... cóż, oświadczy się, i w końcu będę miała prawdziwą rodzinę. Bo parę dni temu ciotka mi powiedziała, że mój ojciec... nie był moim prawdziwym ojcem.

- James nie był pani ojcem? - spytał szybko, z takim napięciem w głosie, które ją nieco zaskoczyło.

- Nie. Spytałam niedawno ciotkę, po kim mam talent... tak jak pan proponował. I ciotka... cóż, ciotka Frances wie tyle, że któregoś dnia mój ojciec wyjechał, po czym wrócił z maleńką dziewczynką. To byłam ja. Nigdy nikomu tej sprawy nie wyjaśnił. I nigdy, o ile mi wiadomo, nie był żonaty. Więc, jak pan widzi, nie mam pojęcia, kim właściwie jestem. A teraz - Susanna wydała dźwięk, który mógłby być śmiechem, gdyby nie to, że śmiech rzadko bywa tak ironiczny i bolesny - teraz nie mam nikogo.

Kit poczuł, że jeżą mu się włoski na rękach. Właściwie z góry wiedział, jaka będzie odpowiedź na jego następne pytanie.

- Susanno... a skąd panią przywiózł ojciec? Zna pani nazwę tej miejscowości?

- Gorringe. Nazwał ją tak podobno pewien książę, który.

- ...szukał rymu do *orange*.

Susanna spojrzała na niego zaskoczona.

On zaskoczony nie był.

Podniósł głowę ku koronie dębu nad ich głowami. Te liście były jak elementy układanki: tworzyły zwarte sklepienie, a jednak przez szczeliny przebijały promienie słońca. Tak, to trafna metafora... Bo i on miał gotowy zbiór rozmaitych faktów i zbiegów okoliczności, a jednak nie potrafił ich połączyć: między nimi ziały szczeliny. Obok niego siedziała dziewczyna, która po raz drugi straciła wszystko, co miała. James nie był jej ojcem - i został zamordowany wkrótce po tym, jak powiedział mu o Morleyu. A teraz wyglądało na to, że ktoś usiłuje zabić również Susannę, a co najmniej ciężko ją wystraszyć.

A Caroline napisała do niego z Gorringe. Niedługo po swoim zniknięciu, bez wątpienia z Thaddeusem Morleyem.

- Mam ze sobą miniaturę matki - odezwała się nieśmiało Susanna. - Chciał ją pan zobaczyć. Pomyślałam, że dziś ją panu pokażę.

I otworzyła dłoń.

Piękna kobieta... Kopia Susanny, a w każdym razie bardzo do niej podobna.

Aby podjąć decyzję, musiał odwrócić wzrok. Najlepiej znowu spojrzeć w górę, na koronę drzewa.

Zwariować można... Czuł, że odpowiedź jest tuż-tuż, niemal w zasięgu wzroku, a jednak kiedy zwracał głowę, by ją zobaczyć, znikła z pola widzenia.

Może naprawdę wariuję? Może moje podejrzenia co do Morleya są bezzasadne? Może to, co mi podpowiada instynkt, to żaden instynkt, tylko złudzenia umysłu, zbyt długo poddanego paranoicznym wymogom szpiegowskiej dyscypliny?

No tak. Przesadzam?

Widmo Egiptu wisiało mu nad głową jak miecz Damoklesa. Ale kiedy znowu spojrział na Susannę Makepeace, wiedział, że nie ma wyboru.

-Zapomnijmy dziś o rysowaniu, Susanno. Jedziemy natychmiast do Gorringe.

12

Jechali do Gorringe dwie godziny niezwykle wyboistą drogą. Kit podejrzewał, że broni ona miasto przed wizytami gości równie skutecznie jak fosa. Konno dotarliby znacznie szybciej, ale Kit nie był pewien, czy jego ręka i żebra wytrzymają taką jazdę, a poza tym powóz stanowił jednak pewne zabezpieczenie. Na koniach, i on, i Susanna, stanowiliby łatwy cel, a Kit był już teraz przekonany, że ktoś za wszelką cenę usiłuje wyrządzić jej krzywdę. Uzbroidł się:

w cholewie buta miał pistolet, w wewnętrznej kieszeni surduta drugi, a oprócz tego nóż w pochwie. A nade wszystko ufał we własne siły. Choć dopiero niedawno zdjął temblak z ramienia, -wierzył, że razie potrzeby pokona niemal każdego - a może i dwóch, a nawet trzech naraz.

W końcu przejechali niewielki kamienny mostek, przerzucony nad potokiem, i ich oczom ukazało się Gorringe.

Widok był zaskakująco przyjemny. Wzdłuż brukowanej kocimi łbami drogi, niczym plotkujące kumoszki, tłoczyły się jeden przy drugim niewielkie bielone domki. Koła powozu mile turkotały po bruku; ze skrzynek w oknach wprost kipiały festony barwnych letnich kwiatów. Przy głównej ulicy ukazało się kolejno parę sklepów: księgarnia, karczma, mleczarnia... Fatalna droga dojazdowa - choć to paradoks - przynosiła miasteczku same korzyści: sprawiało wrażenie oazy odosobnienia i przytulności.

- Czy jest tu coś, co wydaje się pani znajome? - spytał Kit. Susanna siedziała wyprostowana, spięta, kurczowo ścisnąc poręcz.

- Chciałabym móc powiedzieć „tak” - odparła z wahaniem. - Ślicznie tu, prawda? Człowiek ma wrażenie, że mógłby tu być szczęśliwy.

Uderzył go cień nostalgii w jej głosie. Jeśli chodzi o niego, to zawsze wiedział, że pochodzi ze starego rodu, że ma ciotki, wujów, kuzynki i kuzynów rozsianych po całej Anglii. Wielu jego przodków oddawało się rozpuście i swawoli, ale większość stanowili White-lawowie szlachetni i zasłużeni, pośród których zdarzali się nawet prawdziwi bohaterowie. Miał dwie siostry, kochane i irytujące zarazem, i one też go darzyły równie sprzecznymi uczuciami. Miał także ojca i przebogaty skarbiec wspomnień o zmarłej matce. Susanna nie wiedziała, czy ma jakąś rodzinę.

Złowił okiem jakiś jaskrawy błysk. Kościół... W samym środku miasteczka górowała ponad dachami kościelna wieża. Surowa średniowieczna budowla pobłyskiwała szybkami witrażowych okien. Trochę to było dziwne, jako że przed laty większość witraży zlikwidowano, gdy Kościół anglikański dążył do wymazania jakichkolwiek

śladów po papieżstwie. Dlatego wizerunki Matki Boskiej i świętych stanowiły rzadkość. Może oszczędzono te okna, bo temat witraży był religijnie neutralny?

- Myślę, że powinniśmy zacząć od kościoła. Jeśli się pani tutaj urodziła, w księgach parafialnych powinien być stosowny zapis.

Nie odpowiedziała. W milczeniu, zaborczym gestem ścisnęła w dłoni portrecik matki; na jej twarzy widniało pełne skrywanego napięcia wyczekiwanie. Kit też milczał. Wiedział, że dziewczyna za- nadto jest zdenerwowana, by mogła przyjąć w tej chwili nawet słowa otuchy.

Ruszyli ścieżką wiodącą pośród nagrobków, jakimi usiany był kościelny dziedziniec, zarówno dawnych, jak i całkiem nowych. Susanna rzuciła na nie przelotnie okiem i szybko odwróciła wzrok. Pod którymś z nich mogła spoczywać jej matka czy jej prawdziwy ojciec...

Kit w skrytości ducha uwielbiał kościoły. Wszli.

W półmroku lśniły dwa rzędy ławek z ciemnego drewna, wypolerowanych do połysku tysiącami pośladek, jakie wierciły się na nich przez wieki. Witrażowe okna słały na posadzkę kolorowe cienie: czerwone, niebieskie, żółte. Miał słuszość: rzeczywiście były obojętne, jeśli chodzi o tematykę. Każde z sześciu okien - trzy po jednej, trzy po drugiej stronie nawy - zdobiły na obrzeżach girlandy róż i lili; w poprzek każdego biegł napis, wytrawiony w szkłe wymyślną gotyką czcionką: „Wiara, nadzieja, miłosierdzie”.

- Witam państwa - dobiegł ich od strony ołtarza uprzejmy i ostrożny zarazem głos. - Czy mogę państwu w czymś pomóc?

Powłócząc nogami, zbliżał się do nich pastor. Głowę miał małą, a szyję mięsistą i jakby pozbawioną kości, co upodobało go do zółwia. Gdy znalazł się obok nich, zaczął powolutku unosić głowę, tak jakby dźwigał ją w górę jakiś wewnętrzny mechanizm. W końcu jego wzrok spoczął na twarzy Kita.

- Dzień dobry, milordzie - powiedział przyjemnym głosem. - Bo jest pan milordem, nieprawdaż, synu? A ja jestem pastorem Gorringe. Nazywam się Sumner.

Pastor najwyraźniej osiągnął już to stadium swojej drogi życiowej, w którym człowiek nie przejmuje się specjalnie tym, co mówi, bez względu na to, do kogo mówi. Kitowi, przeciwnie, daleko było do tego stanu.

- Przyjechaliśmy zwiedzić to piękne miasteczko, panie Sumner. Właśnie zwróciłem uwagę na kościelne okna. Są wspaniałe.

- Prawda? Nie są oryginalne, jak zapewne się pan domyśla. Ufundował je jakiś czas temu pewien... hojny darczyńca, wraz z grobowcem za kościołem. Przypuszczam, że chciał być tam w przyszłości 'pochowany, ale Bóg, jak to się często zdarza, miał względem niego inne plany. Czym jeszcze mogę państwu służyć?

Kit odnotował, że słowa „hojny darczyńca" pastor wymawiał ze szczególnym ciepłem.

- Bylibyśmy wdzięczni, gdyby pomógł nam pan znaleźć odpowiedzi na pewne pytania. Ja również bywam od czasu do czasu hojnym darczyńcą. Może nawet, kto wie, zapragnę w przyszłości zafundować tu sobie grobowiec.

- Zrobię, co będę mógł, milordzie.

Susanna w milczeniu wyciągnęła rękę z miniaturą.

- Czy zna pan tę kobietę? - spytał Kit.

Wielebny Sumner zawahał się przez moment, po czym ostrożnie wziął portrecik do ręki i zaczął się weń wpatrywać. Długo to trwało, niezwykle długo. Prawdopodobnie wertował pokłady wspomnień, nagromadzone w głowie przez dziesięciolecia.

- W moim wieku wszystko się już zaczyna mieszać - powiedział po odnie. - Czasy, miejsca, ludzie... -I odpłynął spojrzeniem ku oknu. Nastąpiła długa chwila ciszy. Wiedziony przeczuciem Kit nachylił się lekko i dyskretnie pociągnął nosem. Nie było wątpliwości - do biadu pastor wypił nieco wina.

Susanna rzuciła niecierpliwie głową, ale Kit powstrzymał ją wzrokiem.

- Tak, rozumiem. Wszystko się miesza.

- Tak... - Pastor oprzytomniał. - Ale pani, młoda damo, jest niezwykle podobna do mamusi. Jak dwie krople wody.

Susanna rozjaśniła się gwałtownie, niby witraż, na który padł słoneczny promień. Kit znowu poczuł ten leciutki, a miły ucisk w piersi.

- Znał pan moją matkę? - spytała osłabłym z nadziei głosem.

- Śliczna była, śliczna, doprawdy... - mówił sennie pastor. - W tej świątyni chrzciała córkę... Ale nie widywaliśmy pani mamusi w kościele zbyt często, niestety, i nie mogę sobie przypomnieć jej nazwiska. Upłynęło tyle lat... choć czasami się wydaje, że to wszystko działo się zaledwie wczoraj. No, ale oczywiście to nie było wczoraj, bynajmniej... Wystarczy spojrzeć na panią, młoda damo; dorosła panna. - I powiódł po nich promiennym wzrokiem.

Ze względu na parafian Kit miał nadzieję, że to wikary odprawia nabożeństwa, nie proboszcz. O ile był tu jakiś wikary.

- Anna - podsunęła Susanna, podekscytowana. - Miała na imię Anna.

Wielebny Sumner zmarszczył brwi.

- Nie. Wykluczone.

- Ale... - Susanna rzuciła szybkie spojrzenie w stronę Kita. Pokręcił lekko głową, więc postanowiła się nie spierać o imię. - Ale ja pan pamięta? Jaka była?

- Śliczna była, śliczna... - Pastor zdawał się zdziwiony, że mówi to po raz drugi.

- Jeszcze jedno pytanie, sir - wkroczył szybko Kit. - Czy nie przypomina pan sobie przypadkiem kobiety nazwiskiem Caroline Allston?

Czuł na sobie oczy Susanny, palące jak pochodnie.

- Caroline Allston... Caroline Allston... - zastanawiał się na głos wielebny Sumner. - Nie, nie mogę powiedzieć, abym ją sobie przypominał. Czy była ładna? - spytał z nadzieją.

- Bardzo. - Bo tak też było, czyż nie? A poza tym to uroda sprawiała, że ktoś zapisał się lub nie w pamięci pastora. - Ciemne włosy, ciemne oczy, gładka cera... Trudna do zapomnienia, jeśli się ją choć raz widziało. Miała chyba około osiemnastu lat, kiedy po raz pierwszy pojawiła się w Gorringe.

- W takim razie musiała być śliczna, sir. Ale nie pamiętam nikogo o tym nazwisku. Panna Allston... Nie, nie. Ale może zechcą państwo zajrzeć do kościelnych ksiąg. Nie wyglądacie na takich, co by je mieli ukraść.

A to dopiero komplement...

Poprowadził swoich gości do pomieszczenia z tyłu kościoła, mieszczącego księgi parafialne. Były ich tu całe półki. Śluby, chrzty, urodzenia, zgony - wszystko, cokolwiek od wieków zdarzyło się w Gorringe, zostało w nich skrupulatnie odnotowane.

- Zostawiam państwa samych. Zechciejcie, proszę, powiadomić mnie przed wyjściem, tak abym mógł zamknąć drzwi.

- Czy zna pani swoją datę urodzenia, Susanno? Ile ma pani lat? - Kit wodził palcem po grzbietach ksiąg, szukając stosownego rocznika.

Susanna milczała. Wciąż miała w głowie słowa, które padły parę minut temu, i wciąż na nowo, obsesyjnie odtwarzała je w pamięci. W końcu nie mogła tego znieść.

- „Czy była ładna?” - spytała, naśladując piskliwy głos pastora.
- „Bardzo” - odpowiedziała barytonem Kita.

Parsknął śmiechem.

Bo też doprawdy mówił o niej takim tonem... Wprost się rozpływał! Caroline Allston. Caro. Tak, to musiała być ona. Ciekawe, czy to imię - Caro - wyryte jest w sercu wicehrabiego równie trwale, jak w korze dębu.

- Mam dwadzieścia lat. A przynajmniej tak mi się wydaje - odparła chłodno na jego wcześniejsze pytanie. Choć sama nie potrafiła by powiedzieć, co ją uprawnia do tak lodowatego tonu.

- A kiedy obchodzi pani urodziny? - spytał jak gdyby nigdy nic.

- Dwunastego sierpnia.

- O, to niedługo - zauważył pogodnie.

Ach tak... Próbuje odwrócić jej uwagę. A Susanna rzeczywiście uwielbiała urodziny. Choć te nadchodzące mogą się okazać nie tak udane jak ostatnie. Miała wtedy tak wspaniałe przyjęcie, dostała w prezencie klacz...

Wtem coś jej przyszło do głowy. Zapomniała o daremnym żalu.

-A jeśli ja nie mam na imię Susanna? - spytała ze zgrozą. -Jeśli mój ojciec... to znaczy James Makepeace... zmienił mi imię? Może mam na imię Myrtle albo Agnes, albo...

-Albo Alexandra czy Katarina - podsunął. - Czy coś innego, równie egzotycznego i wspaniałego.

Susanna poczuła, że kręci jej się w głowie.

- Mogę być kimkolwiek - mruknęła na poły do siebie. - Kimkolwiek. ..

Czuła się dziwnie bezkształtna, niezakorzeniona. Miała wrażenie, że rozpułynie się w powietrzu jak obłok pary, jeśli nie znajdzie jakiegoś strzępu informacji o sobie, który posłuży jako balast. Swego prawdziwego imienia, imienia matki, daty urodzenia...

- Czy zamierza pani zemdleć?

Patrzył na nią uważnie, raczej z ciekawością niż z troską. Tak jakby była zagadką, którą należało rozszyfrować, czymś w rodzaju ogo-niastej nornicy. Musiała jednak przyznać, że dzięki temu poczuła się nieco lepiej. Przy takim podejściu każda niespodzianka, każdy triumf czy porażka stawały się tylko elementem interesującej układanki - i to ją otrzeźwiło.

- Nie.

Jeszcze przez chwilę przyglądał się jej z powagą, oceniając, czy mówi prawdę. A potem się uśmiechnął, a ona poczuła, że ten uśmiech mógłby stanowić dla niej balast już na zawsze. Był ciepły jak promień słońca i jak on dodawał otuchy.

Któregoś dnia pewnie zdoła się nie zarumienić, kiedy on się do niej uśmiechnie. Ale to jeszcze nie był ten dzień.

Wrócili do pracy i przez chwilę w milczeniu wertowali księgi, wodząc palcem wzdłuż kolumn nazwisk. Niestety, chyba z połowa mieszkańek miasteczka miała na imię Anna i wszystkie wydawały się nad miarę płodne. Ale żadna nie powiła dziecka pici żeńskiej imieniem Susanna.

- Że też tyle imion jest na świecie - sarknęła Susanna. - Mary... Całkiem niczego imię. Martha... też zupełnie do rzeczy.

- Myrtle - rzucił nieobecny tonem Kit znad swojej księgi.

- No właśnie - podchwyciła Susanna. - Można by pomyśleć, że ktoś nas podsłuchiwał...

Pismo zblakło z upływem lat, a przez niewielkie okna wpadało skąpe światło. Trzeba było wyteżać wzrok. Dziesiątki, setki nazwisk. .. A każde nazwisko to życie, sprowadzone do krótkiej notatki: narodziny, ślub, narodziny, narodziny, zgon... A jednak, choć powinna była skupić się wyłącznie na tym zajęciu, myśli Susanny biegle podwójnym torem.

W końcu nie mogła wytrzymać.

- „Trudna do zapomnienia, jeśli się ją choć raz widziało” - powiedziała, udając niski, dystyngowany głos Kita.

Kit spojrzął na nią znad księgi.

- Czy coś panią trapi, panno Makepeace? - spytał niewinnie.

Och, jakże nie cierpiała tego tonu.

- Kto to jest Caro? I dlaczego pan o nią spytał?

Z powrotem zwrócił spojrzenie na rozwartą księgę.

- Pyta pani tak, jakby się spodziewała, że odpowiem. - Głos miał nieobecny i odrobinę rozbawiony. Oddalał jej pytanie.

I to dopiero ją rozwścieczyło.

- Pan wie o mnie wszystko...

- Poprawka: oboje nie wiemy o pani nic.

- Dobrze pan wie, co mam na myśli! Taki jest pan tajemniczy, bo... bo się pan po prostu boi. Ukrywa pan to, co ważne.

Powoli zwrócił ku niej głowę.

Susanna miała ochotę krzyknąć: wycofuję to pytanie! Przestraszyła się jego wzroku. Tym razem to on był na nią wściekły... A jednak napięcie w jego twarzy zdradzało, że go zarazem w jakiś sposób zraniła. A nawet, być może... zdeprymowała. Tak jakby niechcący dotknęła w nim miejsca, którego nie potrafił obronić, i dlatego mógł odpowiedzieć jedynie milczeniem.

Nie odwróciła wzroku. Nie mogła. I on też nie odwrócił.

Drgnęła, kiedy w końcu przemówił. Ale powiedział coś zupełnie innego, niż oczekiwała.

- Sierpień 1799. Anna Smith urodziła dziecię płci żeńskiej, któremu na chrzcie nadano imiona Susanna Faith.

Serce jej stanęło.

- Jak to? Gdzie...? To ja... istnieję?

Zapomniawszy o strachu, rzuciła się ku niemu. Zwrócił ku niej rozwartą księgę, by sama mogła przeczytać.

- A kto jest moim ojcem?

Chwilę milczał.

- Ojciec nie został wymieniony - powiedział ogłędnie.

Zirytowała ją ta ogłędność, jak również to, co sugerowała: jesteś nieślubnym dzieckiem, Susanno.

- Może mój ojciec zginął na wojnie? - wyrzuciła z siebie urażona.

Chyba nikt nigdy nie wypowiedział tego zdania z taką nadzieją... Kit spojrział na nią, zdumiony.

- Susanna Smith... Susanna Smith... - powtórzyła. - Brzmi nieźle, nie sądzi pan? Ciekawe, kim był mój ojciec?

- Kimś, kto chciał, żeby go uważano za Smitha - powiedział sucho Kit. - Brzmi to raczej jak pseudonim. Przejdźmy do zgonów.

- Ale przecież dopiero co odkryliśmy, że istnieję! Ze się naprawdę urodziłam! Czy nie mogę podelektować się tym przez chwilę?

- A zdąży pani wówczas do domu na kolację? Wątpię. Nie chcę, żeby ciotka się o panią martwiła. Zgony.

W dwadzieścia minut później mieli pewność, że w Gorringe nie pożegnał się z tym światem żaden Smith, a przynajmniej nic takiego nie zostało odnotowane w kościelnych księgach.

Susannie kręciło się w głowie od nadmiaru możliwości. Świeżo odkryte nazwisko było jak pędzel, za którego pomocą mogła namalować na nowo całe swoje życie.

- A może... może moi rodzice nadal żyją? Może James Makepeace mnie porwał, a oni nie byli w stanie zapłacić okupu, i...

- I Makepeace postanowił panią zatrzymać, bo zawsze marzył o córce, która miałaby nader kosztowny gust, a pani rodzice się poddali, bo nie zdołaliby zarobić na pani suknie? - podsunął. - Po kolei,

panno Makepeace. Wiemy, że tu się pani urodziła. Wygląda na to, że pani rodzice ani się tu nie pobrali, ani tu nie zmarli, aczkolwiek możemy się przespacerować po cmentarzu, jeśli ma pani ochotę. Niemniej nie widzę przeszkód, abyśmy przeszli do następnego zadania. Musimy poszukać w miasteczku kogoś, kto pamiętałby Annę Smith, Wiem, od czego zacząć.

Gospodę zbudowano z grubych drewnianych bali, pociemniałych przez wieki. Przepełniała ją woń starego drewna, tytoniowego dymu i jadła; nad toporną szachownicą pochylało się dwóch mężczyzn, przesuając wygładzone przez lata używania figury. Wyglądało na to, że w gospodzie bywają również kobiety. Kit podejrzewał, że podają tu całkiem niezłe posiłki. Było południe, toteż przy stolikach pochylało się nad talerzami parę osób; na talerzach dymiły gorące ziemniaki i kiełbasa, a obok w kuflach pieniło się piwo. Kiedy weszli, parę głów podniosło się na ich widok, ale bez oznak wrogości.

Kit poprowadził Susannę prosto ku barowi.

- Dzień dobry panu.

- Dzień dobry i panu, sir - odparł wesoło oberżysta, muskularny mężczyzna o rzednących nieco włosach. - Nazywam się Lester. Czym mogę państwu służyć? Obiadkiem? Mamy doskonałe piwo. Moja warzelnia słynie na całą okolicę.

- Witam, panie Lester. Nazywam się White. Ciekaw jestem, czy znał pan może tę oto kobietę? Mieszkała w Gorringe przez parę lat, około roku tysiąc osiemset drugiego. O ile wiemy, nazywała się Anna Smith.

I wyciągnął ku niemu miniaturę. Oberżysta wpatrywał się w nią przez chwilę, mrużąc oczy, tak jak to robią ci, co niedługo będą potrzebowali okularów, aby móc w ogóle cokolwiek przeczytać.

- Anna Smith... Anna Smith... Frank! - huknął zniecka. Kit się skrzywił, Susanna podskoczyła lekko. - Frank trochę niedosłyszysz - usprawiedliwił się przed nimi oberżysta.

Znad szachownicy podniósł głowę mężczyzna. Powoli zwrócił ją w ich kierunku.

- Znałeś kiedy jaką Annę Smith? - spytał donośnie oberżysta.
- Podobno tu mieszkała... kiedy, sir? Koło tysiąc osiemset drugiego?

- Czy to czasem nie ta, co to ją brat odwiedzał od czasu do czasu? Elegancki jegomość... A pamiętasz, Bunton, jakiego miał konia?

- zwrócił się do swego towarzysza.

- Miałbym nie pamiętać! - ożywił się Bunton. - Mało kiedy się takie widzi. A przyjeżdżał tym nowomodnym wehikułem...

- Takim otwartym powozem, nie? Jakże... wolantem?

Och, ci mężczyźni... Kit był rozbawiony, choć sam również zaliczał się do mężczyzn. Nie pamiętają nazwiska ani kobiety, ani mężczyzny, ale całe lat pamiętają konia i pojazd, jakim tamci jeździli.

- Przypominam ją sobie, panie... trudno zapomnieć taką twarz. Ale widziałem ją raptem parę razy. Wygląda na to, że mało wychodziła z domu. Mieszkała na skraju miasteczka. Tak sobie myślę, kto by jeszcze mógł coś o niej wiedzieć... O, mam! Wie pan kto? - Urwał i zerknął na Susanne, po czym spojrzął znacząco na Kita. Kit pojął: mężczyzna waha się mówić w obecności damy. No, no... intrygujące. Kiwnął lekko głową: mów.

- Nazywa się Daisy Jones - powiedział Frank, zniżając konspiracyjnie głos.

Coś takiego... Kit był pod wrażeniem.

- Ta Daisy Jones? - spytał, akcentując słówko „ta”.

Mężczyzna z zapałem pokiwał głową.

- Mieszkała tu, w Gorringe, zanim... zrobiła się sławna.

- Kim, na Boga, jest ta Daisy Jones? - zawołała zniecierpliwiona Susanna.

Frank zignorował jej pytanie.

- Jak słyszałem o niej ostatni raz, to mieszkała w Londynie.

- Zgadza się. Nadal tam mieszka - potwierdził Kit. Wymienili z Frankiem znaczące uśmiechy i mężczyzna na powrót pochylił się nad szachownicą.

- Kim jest Daisy Jones? - powtórzyła z rosnącą irytacją Susanna. Kit udał, że nie słyszy.

- A czy nie znał pan przypadkiem kobiety nazwiskiem Caroline Ailston? - zwrócił się do właściciela gospody. - Podobno pojawiła się tu jakieś piętnaście lat temu. Bardzo ładna, ciemnowłosa, ciemnonooka...

- „Trudna do zapomnienia, jeśli się ją choć raz widziało” - prze-rwała szorstko Susanna.

Oberżysta rzucił Kitowi współczujące spojrzenie, które mówiło: och, te kobiety.

- Chyba nie, panie. Przykro mi, ale nie. Frank! - huknął ponownie. Frank jeszcze raz powoli zwrócił ku nim głowę.

- Znałeś jakąś Caroline Ailston?

- Była bardzo ładna - podpowiedziała Frankowi Susanna.

Frank zastanawiał się przez chwilę.

- Chyba nie, panie. Ale był tu przedwczoraj inny gość, co o nią pytał.

Kit był niemal pewien, że zna odpowiedź, niemniej postanowił zapytać.

- A zna pan nazwisko tego gościa?

- Nie znam, panie. Niczego był, nie można powiedzieć. Dorodny, nieszpetyny. Może się podobać.

Odpowiedział mu zbiorowy wybuch śmiechu.

- Może się podobać! - ryczeli mężczyźni, waląc z uciechy dłońmi w białe stołów.

- Przecie tylko mówię - mruknął urażony Frank.

John Carr, to jasne. On też wpadł na trop Lockwooda, prowadzący do Gorringe.

- Dzięki, sir. Bardzo nam pan pomógł. - Kit wyciągnął ku oberżyście parę monet. Ten pomachał odmownie ręką.

- Nie trzeba, panie, nie trzeba. Ale przyjmę tę zapłatę, jeśli zechce pan razem z żoną zjeść u mnie obiad.

Z żoną! Kit, zmieszany, cofnął dłoń. Susanna uśmiechnęła się promiennie. Jego dyskomfort wyraźnie sprawił jej przyjemność.

- Daj panu pieniądze, kochanie.

Stuk... Stuk... Z niejaką rewerencją postawiono przed nimi dwa talerze z ziemniakami i kiełbasą oraz dwa kufle piwa. Susanna przyrzekała się potrawie i ostrożnie, badawczo dziobnęła kiełbasę widelcem. Nigdy dotąd nie jadła w gospodzie; kuflem piwa też jej nigdy wcześniej nie poczęstowano. Zajrzała: wyglądało dosyć przyjemnie, ciemnozłote, z jedwabistą białą czapą piany.

Kit patrzył na jej poczynania.

- Kiełbasę i ziemniaki wkłada się do ust - wyjaśnił. - Wskazane jest pokroić ją przedtem na kawałki. - I wbrew temu, co polecał, wbił widelec w kiełbasę i z chrzęstem odgryzł solidny kawałek.

Susanna znowu dziobnęła swoją niezdecydowanie.

- Nie jest pani głodna, panno Makepeace? - spytał, przeknąwszy.

- Chodzi o to... - Nie mogła jeść, dopóki się nie dowie. - Kto to jest Daisy Jones? Musi mi pan powiedzieć. Skoro znała moją matkę...

- No i kto to jest Caro... Ale nie miała odwagi spytać o to raz jeszcze.

Kit pociągnął solidny łyk piwa, jakby chciał dodać sobie animuszu, i odchylił się na oparcie krzesła. Przez chwilę przyglądał się jej z leciutkim rozbawieniem. W ciszy, jaka zaległa, słysząc było tylko postukiwanie pionków na szachownicy.

- Daisy Jones... - Niemal widziała, jak wicehrabia przerzuciła w głowie możliwe określenia w poszukiwaniu najwłaściwszego.

- Daisy Jones jest tancerką operową - powiedział wreszcie, usiłując powstrzymać uśmiech.

Susanna zmrużyła oczy.

- To nieprawda. Jest kimś znacznie gorszym, tak? Mogę powiedzieć kim.

- Albo kimś znacznie lepszym. Zależy, jak na to patrzeć: oczyma mężczyzny czy księdza. - I zaśmiał się z cicha.

- To wcale nie jest śmieszne! Jeśli moja matka przyjaźniła się z tancerką... - Urwała i popatrzyła na niego podejrzliwie. - A pan przyjaźni się z tancerkami?

- Trudno się nie przyjaźnić z tancerkami. One są doprawdy bardzo przyjazne.

O mało się nie roześmiała. Przyszło jej jednak na myśl, co on może robić z operowymi tancerkami - i owaładnęły nią dwa uczucia równocześnie.

Zazdrość, że inna kobieta może go swobodnie, bez skrępowania dotykać.

I perwersyjne pragnienie, aby stać się choć na moment operową tancerką, tak by i ona mogła go dotykać równie swobodnie.

O Boże... Teraz była niemal pewna: jej matka musiała być tancerką. Bo tylko córka tancerki mogła mieć podobne myśli. To po matce odziedziczyła tę swoją pasję, te wszystkie nagłe impulsy...

- A jeśli moja matka była... tancerką operową? - wyszeptała.

Kit przerwał żucie kiełbasy.

- Hm... a czy miałoby to dla pani jakieś znaczenie? Nadal chce pani poznać prawdę o swojej matce?

Susanna pomyślała przez chwilę.

- Tak, to by miało znaczenie. Czyż może być inaczej? Ale oczywiście chcę poznać prawdę.

- No to dobrze. Proszę się brać do jedzenia - powiedział i wrócił do pochłaniania własnej porcji.

Przez chwilę przyglądała się mu, zafascynowana. Jadł z apetytem, sprawnie i szybko, a jednak nie było w tym nic z żarłoczności czy niechlujstwa. Jadł tak, jakby miał to być jego ostatni posiłek w życiu.

- Byłby pan zszokowany? - spytała.

- Gdyby zabrała się pani do jedzenia? O, tak.

- Gdyby moja matka okazała się tancerką.

- Wręcz przeciwnie. Byłbym zachwycony. - Podniósł na nią oczy znad talerza i uśmiechnął się, widząc wyraz jej twarzy. - Ale mnie mało co jest w stanie zgorszyć, panno Makepeace.

- Z wyjątkiem słówka „żona” - skontrowała.

Kit przerwał żucie i popatrzył na nią intensywnie błękitnymi oczyma. Trudno było określić wyraz jego twarzy, ale z pewnością nie było w niej ciepła. Był... namysł. Tak jakby się zastanawiał, czy mają przebić widelcem, czy nie.

Miała ochotę krzyknąć: to twoja wina! Bo przecież wciąż ją prowokował i drażnił, i dzięki temu sam w niej wzbudzał kontrowersyjne myśli. A potem te myśli wyskakiwały w najmniej oczekiwanej chwili.

Ale skoro szło mu to tak łatwo, najwyraźniej tych kontrowersyjnych myśli miała w głowie o wiele za dużo.

Bez wątpienia dlatego, że jej matka była operową tancerką.

- Czy będzie pani piła piwo? - spytał w końcu.

- Odrobinę - powiedziała niedbałe. Uniosła kufel, pociągnęła łyk i zakaszła. Z oczu pociekły jej łzy.

Otarła je z godnością i przesunęła kufel w jego stronę. Uśmiechnęła się. A potem przecięła kiełbasę na pół i położyła jeden z kawałków najego talerzu. Wyraźnie się ucieszył, całkiem jakby dostał gwiazdkowy prezent. Nie wiadomo dlaczego, ucieszyło to również ją.

Upłynęło już sporo czasu, odkąd Kit zajmował się czymś tak zwyczajnym i pospolitym, jak przechadzka z ładną dziewczyną w pogodny letni dzień.

- Proszę mnie wziąć pod rękę - polecił.

- Ależ Wasza Wysokość...-zadrwiła.

Zmarszczył brwi. Susanna zamilkła i tak jak kazał, wsunęła mu dłoń w zgięcie ramienia. Kit poczuł się trochę śmieszny, a zarazem dziwnie z siebie zadowolony. Męska duma... Ale wydawało się to takie miłe i na miejscu - obiad w gospodzie z ładną dziewczyną, a potem przechadzka. Tłum gęstniał: zbliżali się do rozstawionych wzdłuż ulicy straganów. Ludzie przepychali się, by obejrzeć wyłożone na nich barwne wstążki, paciorki, zabawki i słodycze. Jakże miło byłoby mieć teraz trochę czasu i powłóczyć się po miasteczku, pogapić... Wieki całe minęły, odkąd spacerował sobie ot tak, niespiesznie, bez celu - i wieki minęły, odkąd miał na to ochotę.

Byli już blisko oczekującego ich powozu, kiedy dostrzegł nadchodzącego z naprzeciwka mężczyznę. Szedł powoli, jak wszyscy, z pochyloną nieco głową, i popatrywał to tu, to tam, jakby zastanawiał się, co kupić.

Kiedy znalazł się obok nich, zerknął spod ronda kapelusza i szybko sięgnął za pazuchę.

Świat zawęził się do błysku stali w jego ręce.

Kit jednym rzutem ciała znalazł się przed Susanną i błyskawicznie wyciągnął ramię, by powstrzymać cios. Ostrze wbiło mu się w biceps, a on z całej siły kopnął łotra w kolano. Napastnik padł, ale zdążył uderzyć raz jeszcze. Kit zrobił gwałtowny unik i padł.

Gdy po ułamku sekundy podniósł oczy, napastnik wmieszał się już w tłum i krążył w nim zręcznie, szybko, oddalając się niepostrzeżenie. Może jedna czy dwie głowy zwróciły się w jego kierunku, to wszystko. Innymi słowy, nie była to dla niego pierwszozna. Był zawodowcem.

Kit szybko wstał, objął Susannę i zamknął w uścisku tak ciasnym, że bicie jej serca czuł niemal jak własne. Była blada, ale nie w szoku; jej policzki zaczęły nabierać koloru.

- Dobrze się pani czuje? - spytał cicho.

Jeśli o niego chodzi, to bynajmniej nie czuł się dobrze; ręka już teraz bolała jak diabli. Ta sama co przedtem, szlag by to... Był pewien, że to nic poważnego: miał na sobie surdut i tkanina rękawa osłabiła siłę ciosu. Niemniej ranę należało opatrzyć.

Jakaś para zatrzymała na nich zatroskane spojrzenie.

- Trochę za dużo piwa wypił - szepnęła Susanna do kobiety. Tamta uśmiechnęła się ze zrozumieniem i dyskretnie odwróciła twzrok.

- Pan krwawi - powiedziała Susanna do Kita leciutko oskarżycielskim tonem.

- To tylko...

- Pan krwawi - powtórzyła zdenerwowana, bliska płaczu. - Idziemy do gospody. Trzeba panu opatrzyć rękę.

Uśmiechnął się lekko.

- Tak jest, panie komendancie.

- Niech pan przestanie drwić! Ze wszystkiego pan drwi. Mógł Pana zabić... Przeze mnie, tak czy nie? Wiem, że to przeze mnie!

Głos jej się załamał. Odwróciła głowę, nie chcąc, aby zobaczył jej łzy i spróbowała wyswobodzić się z uścisku. Puścił ją.

- Tak - powiedział spokojnie. - Istotnie mogło tak być.

- Mógł pana zabić - powtórzyła cicho i uniosła dłoń. Przez chwilę, przez jedną niezwykłą chwilę wydawało mu się, że zamierza dotknąć jego twarzy. Chyba musiał wyglądać na spłoszonego, bo ręka Susanny opadła. Zaciśnęła pięści, opuściła głowę i odetchnęła głęboko, próbując się uspokoić. Kit przyglądał się jej z podziwem.

- Raz jeszcze dziękuję za uratowanie mi życia - powiedziała z powagą.

Nie mógł się powstrzymać: uśmiechnął się, choć ból w przekłętym ramieniu sprawiał, że było to nieco trudniejsze niż zwykle.

- Nie ma za co, panno Makepeace, czy jak tam się pani w rzeczywistości nazywa. Cała przyjemność po mojej stronie. Polecam się. Bogaty w wydarzenia ma pani dzień, nieprawdaż?

Uśmiechnęła się nieco powściągliwie.

- Pan nie jest przyrodnikiem.

-Jestem - zaprzeczył zaskoczony.

-Ale nie tylko.

- Byłem żołnierzem - zgodził się,

- Ale nie tylko.

Nigdy dotąd jej nie skłamał. I choć z powodu zadania, jakie miał do wykonania, mógł bez trudu wymyślić jakąś barwną historyjkę, nie wiadomo czemu wydało mu się ważne, aby nie skłamać i tym razem. Ani tym, ani żadnym innym.

- To prawda - przyznał.

Popatrzyła na niego w milczeniu. Chyba się domyślała, że nie może powiedzieć wszystkiego. Sprawiała już wrażenie w pełni opanowanej.

Kto wie, czy nie zanadto zdążyła przywyknąć do niebezpieczeństwa...

Na tę myśl owładnęła nim furia.

- Wypadek powozu... żmija... koń... a teraz to... - W głosie Susanny pobrzmiwał lęk. - Dlaczego ktoś próbuje mnie zabić?

Znowu się uśmiechnął, choć z trudem. Wściekłość i ból nie sprzyjały uśmiechowi.

- Też się nad tym zastanawiałem. Musi być pani nadzwyczaj ważna, Susanno, skoro ktoś usiłuje panią zabić - spróbował zażartować.

- Nie ma dwóch zdań.

I naprawdę wyglądała na nieco rozbawioną.

Kit popatrzył na nią i znowu dziwnie drgnęło mu serce. Przez moment zbrakło mu tchu i nie miało to nic wspólnego z tym, że dopiero co zaatakował go nożownik. Susanna stała przed nim żywa, zdrowa, oddychała, uśmiechała się... Kitowi zakręciło się w głowie.

To pewnie z upływu krwi.

Znów miał przed sobą wszystkie elementy układanki, ale nie potrafił złożyć ich w całość. Kto wie, czy bardziej niebezpieczne nie okazałyby się teraz przerwanie poszukiwań niż ich kontynuowanie...

Do diabła z ojcem i Egiptem! Ktoś próbował zamordować Susanę Makepeace. Teraz już był pewien, że to nie zbieg okoliczności, iż taki sam los spotkał wcześniej Jamesa Makepeace'a. A siedemnaście lat wcześniej - Richarda Lockwooda.

- Nie wiem, kto usiłuje panią zabić, Susanno. Ale kiedy się już tego dowiem, pożałuje, że kiedykolwiek próbował.

- Tak szybko z powrotem, panie White?

Zanim Kit zdołał odpowiedzieć, uprzedziła go Susanna.

- Czy nie znalazłaby się u pana miska wody i osobny pokój? Na jakąś godzinę. Bardzo przepraszamy za kłopot.

Przejmując inicjatywę, czuła się odrobinę mniej bezradna. Ktoś usiłował ją zabić, odkąd jej noga postąpiła w tym hrabstwie, a ten oto mężczyzna od jakiegoś czasu nic innego nie robił, tylko w kółko ratował jej życie, teraz jednak mogła mu się odwdziżyć.

- Na jakąś godzinę, tak? - Oberżysta mrugnął do Kita porozumiewawczo. Kit także mrugnął i uśmiechnął się znacząco, starając się tak ustawić, aby nie było widać przeciętego rękawa. Susanna poczuła, że policzki jej zapłonęły, co prawdopodobnie tym bardziej utwierdziło oberżystę w przekonaniu, jakim mianowicie czynnościami

zamierzają się oddawać. A, co tam... Dumnie uniosła głowę. Oberżysta zaprowadził ich do pokoju i mrugnawszy raz jeszcze, zostawił samych.

Kit skwapliwie ściągnął surdut i koszulę i odwrócił głowę, by popatrzeć na swoje ramię.

Widziała go już wcześniej rozebranego, ale znajdował się wówczas dość daleko. Z odległości kilku kroków był uderzająco urodziwy. Ani grama zbędnego ciała; plecy, pierś i barki pokrywały twarde mięśnie, obciążone tą gładką bladą skórą. Z bliska widać było znaczącą blizny: długą białą linię na ramieniu, pomarszczoną na brzegach, i nieregularne, okrągłe zgrubienie na plecach. Pamiątka po wojnie, bez wątpienia... Pierś pokrywały rozległe sińce, zaczynające już zielenieć - ślad po tym, jak przewrócił się na niego koń. A na przedramieniu i wzdłuż bicepsu - czerwona, krwawa linia. Ślad najnowszy.

Ostry to musiał być nóż, skoro tak gładko przeciął tkaninę surduta, koszuli i wreszcie skórę... O ileż łatwiej przebiłby jej ciało!

Nawet jeśli wicehrabia był szybki jak błyskawica, zręczny, sprawny i elokwentny, to ta czerwona linia świadczyła, że jest istotą ludzką, tak samo kruchą i przemijającą jak każda inna. Osłonił ją własnym ciałem, przejął na siebie cios noża, który miał ugodzić w nią... Ale w jego żyłach płynęła taka sama jak u innych krew i równie łatwo było ją wytoczyć z żył.

No, prawie. Widziała to błyskawiczne kopnięcie, zwód, unik... Nie potrafiła sobie wyobrazić w tej roli, powiedzmy, Douglasa. I gdyby była wówczas na przechadzce z kimś, kto jest tylko przyrodnikiem, z pewnością by już nie żyła.

Zwrócił na nią spojrzenie, zaskoczony i odrobinę skrępowany, tak jakby teraz dopiero zdał sobie sprawę, że ona tu jest wraz z nim.

- Krew - powiedział na poły ostrzegawczo, na poły tonem usprawiedliwienia. - Przepraszam... nie sądziłem, że...

- Pańska krew - zauważyła przez ściśnięte gardło.

Przyglądał się jej przez chwilę, zmarszczywszy lekko brwi, tak jakby znowu się zastanawiał, czy nie zemdleje. A potem sięgnął po miskę z wodą i wziął w zęby rąbek koszuli.

- No, ale bądź co bądź - odezwał się, oddzierając kawał tkaniny - zdążyła się już pani przyzwyczać do oglądania mnie bez ubrania, nieprawdaż, panno Makepeace?

Co za przewrotny złośliwiec.

- Trudno się przyzwyczać od jednego razu - odparowała.

Otworzył usta, najwyraźniej po to, by, jak to on, kontynuować słowną szermierkę, ale zrezygnował. Jego spojrzenie stało się ostrożne. I to właśnie uprzytomniło Susannie, że są sami w pokoju, że jedno z nich jest do połowy rozebrane i że dokładnie to samo przyszło właśnie do głowy i jemu.

- Proszę dać mi tę miskę - powiedziała lekko. - Ja to zrobię. Łatwiej mi będzie przemyć ranę niż panu.

Spojrzał na nią niepewnie. Równie niepewnie sama się czuła.

- To krew - ostrzegł.

- Parę dni temu włożyłam tę rękę w łono klaczy. - Uniosła ramię.

Najwyraźniej spodobało mu się to porównanie. Oczy mu zajaśniały.

- Mam nadzieję, że mój przypadek będzie łatwiejszy.

- Chyba tak. Przecież tym razem chodzi o rękę.

Kit parsknął krótkim śmiechem i usiadł na łóżku. Susanna podeszła bliżej i znowu owionął ją jego zapach: woń mydła do golenia, piwa... i czegoś jeszcze, niezwykłego, a rozkosznego. Tak pachniał tylko on. To było jak opium - biorąc pod uwagę, jaki kierunek przybierały jej myśli.

Stop, nakazała sobie. Wzięła do ręki jedną ze szmatek i przez jakiś czas słychać było tylko plusk, gdy zanurzała ją w wodzie, i ciurkanie spływających do miednicy kropel. Woda zabarwiła się na różowo. Kit stał nieruchomo, posłuszny jak mały chłopczyk, z oczyma utkwionymi w przeciwległą ścianę. Nawet się nie skrzywił. Być może ból był nieznaczny w porównaniu z tym, co musiał wycierpieć przy innych okazjach. Tych, po których pozostały mu blizny.

Szmatka poruszała się coraz wolniej. Dlaczego wszystko, co on robi - mruga, wdycha powietrze, wydycha je - wydaje się

o wiele bardziej znaczące niż w przypadku każdej innej ludzkiej istoty?

Po jakimś czasie zdała sobie sprawę, że w ogóle zaprzestała przemowy rany. Stała i patrzyła na przypominający paproć zarost na jego brzuchu, rozprzestrzeniający się ku żebram. Żebra wznosiły się i opadały... wznosiły i opadały... coraz szybciej, w miarę jak nabierał tempa jego oddech.

Zwrócił ku niej głowę i powoli unióśł wzrok.

To... było pożądanie. Nie miało to nic wspólnego z niemal cnotliwym pocałunkiem, jaki złożył dziś na jej ustach inny mężczyzna. To było coś, co sprawiało, że zmysły stawały się tyranem. Ze wydawało się absurdem stać obok niego i nie powieść wargami po jego ramieniu, nie przeciągnąć palcem po zaroście, który pokrywał jego pierś i schodził w dół, niżej i niżej... Coś, co sprawiało, że stali oto oboje milczący i dziwnie wystraszeni, że wszelka myśl zdawała się bez sensu, choćby była nie wiem jak frywolna.

W tej chwili nie miało dla niej żadnego znaczenia, czy on miał wcześniej tysiąc kobiet, czy jedną. Nie miało znaczenia, że - być może - widział w niej tylko ciało, z którego może czerpać rozkosz. Nie dbała, czy on to wszystko robi ze względu na nią, czy Caroline Allston. Pragnęła go.

Siedział nieruchomo, z oczyma w jej oczach. Wiedział... Pierś wznosiła się i opadała w nierównym oddechu.

To koniec. Była zgubiona.

- Dziękuję - powiedział cicho. Odwrócił się od niej i wstał.

- Proszę zrobić z tego bandaż ~ wskazał na oddarty kawał koszuli - i zabandażować mi rękę dość ciasno. Ale nie za ciasno, bo inaczej krew nie będzie krążyć jak należy i ręka mi uschnie. I odpadnie. A to by było, oględnie mówiąc, niezbyt wygodne.

Znowu paplał gładko i potoczyście, jak to on. Napięcie się rozładowało.

A więc naprawdę był dżentelmenem, niech go diabli... Szaleńcze pragnienie powoli słabło, pozostał tylko leciutki trzepot gdzieś w głębi trzewi. Może później będzie mu wdzięczna, ale w tej chwili

czuła wstyd. Nie dlatego, że miała frywolne myśli, lecz dlatego że tak bezwstydnie dawała mu szansę, której pragnął, a on uznał za właściwe z niej nie skorzystać.

Obandażowała mu rękę, tak jak jej polecił, drżącymi nieco dłońmi.

- W domu zastosuję balsam z zieleń świętojańskiego - oświadczyła. - Działa przeciwko gorączce.

A czy istnieje balsam na inny rodzaj gorączki? Całkiem inny...

- Zapamiętam sobie na przyszłość. Przyda się, kiedy znowu mnie ktoś zaatakuje nożem - powiedziała na głos.

- Dostyc - uciął chłodno.

Susanna zamarła. Miała wrażenie, że wymierzył jej policzek.

Kit ze złością wbił ramiona w to, co zostało z koszuli, a potem w rękawy surduta.

- Pora wracać. Pośpieszmy się.

Było już późne popołudnie, kiedy wsiadali z powrotem do powozu, cichsi i jakby lepsi, niż kiedy do niego wsiadali po raz pierwszy. Kit zapewnił ją, że woźnica i lokaje także są uzbrojeni, nie tylko on, i że są w tej chwili zupełnie bezpieczni.

- Czy mam powiedzieć ciotce Frances o... o dzisiejszym dniu?

Kit zwrócił się ku niej skwapliwie.

- A jak pani sądzi?

Susanna pomyślała chwilę.

- Nie powinnam jej martwić. Nie ma potrzeby, żeby się o mnie bała. Nadal będę dla pana pracować.

Pokiwał głową, tak jakby wszelka odpowiedź, jakiej by udzieliła, nie mogła go zadowolić.

A potem cisza i półmrok powozu zaczęły gęstnieć. Susanna poczuła, że myśli jej się płaczą... Zapadała w drzemkę.

- Kiedy miałem siedemnaście lat, pojedynkowałem się o Caroline Allston.

Susanna momentalnie oprzytomniała. Przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu, oceniając jego emocjonalne zaangażowanie.

- Z moim najbliższym przyjacielem - uzupełnił. Głos miał lekko napięty, tak jakby już od jakiegoś czasu przygotowywał sobie w głowie te słowa. Susanna wychwyciła w nich odrobinę wstydu.

- Zabił go pan?

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Nie, jest zdrow i cały. I nadal jest moim najbliższym przyjacielem.

- A czy wie pan, co się stało z Caroline?

- Nie. Nazajutrz po pojedynku zniknęła.

-I ma pan podstawy, aby sądzić, że mogła się znaleźć w Gorringe?

-Tak.

Jakże był lakoniczny, kiedy mówił o czymś, co sprawiało, że się odsłaniał.

- Kochał ją pan? - spytała niemal z obawą.

- Och, myślę, że tak. No, ale miałem wtedy raptem siedemnaście lat - rzucił lekko, tak jakby było pewne, że miłość w tym wieku jest niemożliwa.

Miała ochotę podroczyć się z nim i powiedzieć: ach, więc to jest ten pański skandal? Coś jej jednak podpowiedziało, że lepiej się powstrzymać.

A potem uśmiechnął się chełpliwie i zawadiacko, jak to on, a ona pomyślała, że teraz już wie, skąd ten uśmiech. Doskonale potrafił odkrywać cudze sekrety, to prawda... Ale potrafił też doskonale maskować to, co stanowiło, jak podejrzewała, jego własny sekret: że serce miał równie wrażliwe jak ona. Równie łatwo było je zranić. I kiedyś już mu je złamano.

Uśmiechnęła się także. Nie naciskała, by powiedział więcej. Nie wiadomo skąd wiedziała, że to jedyny sposób, aby powiedział coś jeszcze w przyszłości.

Wkrótce zasnęła.

Kit patrzył na śpiącą Susannę z uczuciem, którego nie potrafiłby nazwać, tak było złożone. Zaledwie skoncentrował się na jednym

jego aspekcie, już domagał się uwagi następny. Zaczynał podejrzewać, że w głębi duszy jest romantykiem, i było to zabawne, i irytujące zarazem. Dość niezwykła to rzecz - szpieg-romantyk... Nikt by nie posądzał człowieka jego profesji o podobną skłonność.

Jakże łatwo mógł dziś to zrobić... Położyć jej dłoń na plecach, przygarnąć do nagiej piersi i w końcu - w końcu! - dotknąć ustami jej ust. Tak miękkich, tak kuszących. Poczuć ich smak. Nie da się ukryć, był o krok od tego. "Widział tętno pulsujące na jej gładkiej szyi i w pewnej chwili, jakże niezwykłej, gotów był ucałować to miejsce. A przedtem usta, rzecz jasna.

Przeklęty album... Przeklęty, przeklęty ojciec... Cały miesiąc bez hrabiny, którą zdobył z takim trudem! Jak można wymagać czegoś podobnego od mężczyzny w kwiecie wieku, jak on?

Susanna była piękną kobietą. Dopiero uczyła się pojmować głębię swej namiętności. Jakież to było ekscytujące - być świadkiem buczącej się zmysłowości... Ale dobrze zdawał sobie sprawę z własnej roli w podsycaniu ognia, jaki widział dzisiaj w jej oczach - i zrezygnował. Kto wie, może wyświadczył jej niedźwiedzią przysługę? Przecież w mieście takiej jak Barnstable nie znajdzie się nikt, kto mógłby zaspokoić to budzące się pragnienie. No, ale dla niego mogłaby stanowić co najwyżej rozkoszne interludium; niczego więcej nie pragnął. Folgując sobie, zraniłby ją tylko, zwłaszcza że najprawdopodobniej była dziewczicą. A on dobrze wiedział, co to znaczy być zranionym...

Lepiej wrócić do hrabiny, która doskonale znała się na miłosnej grze. A dopóki album nie będzie gotowy, utrzymywać dystans między sobą a Susanną. Uprzejmy i pełen galanterii. Postara się wyjaśnić, dlaczego ktoś usiłuje ją zamordować, a potem powróci do swego dawnego życia w Londynie.

A jednak była pewna rzecz, która nie dawała mu spokoju już od jakiegoś czasu. Nie, nie odmówi sobie... Bo właśnie nadarzała się sposobność. Ostrożnie, niemal ukradkiem nachylił się i wierzchem dłoni dotknął policzka Susanny.

I momentalnie tego pożałował. Bo policzek był tak gładki i delikatny, jak to sobie wymarzył.

13

Kiedy Kit dotarł do domu, czekał na niego list od ojca. Był w takim nastroju - ramię bolało, a jakże, balsam świętojański niewiele pomógł - że każde słowo listu brzmiało w jego uszach ironicznie.

Drogi Christopherze!

Ufam, że miło spędzasz czas w Barnstable. Nie mogę się wprost doczekać, by zapoznać się z Twoimi osiągnięciami. Czy byłbyś tak uprzejmy i zechciał przysłać mi pośpieszną pocztą próbki swoich notatek i szkiców?

Pozdrawiam serdecznie,
Twój ojciec

PS Na wszelki wypadek zamówiłem dla Ciebie miejsce na statku. Wypływa w rejs do Egiptu na początku przyszłego miesiąca.

A niech to... Z tej drobnej przyczyny, że ktoś usiłował zamordować Susannę Makepeace, jego osiągnięcia ograniczały się do paru szkiców nornic ogoniastych, paru paproci i równie niewielu drzew. Ach, no i oczywiście był jeszcze przepiękny rysunek jego, Kita, jak stoi nago na pomoście... Zaledwie musnęli dotąd florę i faunę Barnstable. Sam nie wiedział, czy bardziej go bawi, że ojciec zna go tak dobrze, czy złości, że mu ewidentnie nie ufa, czy też wstyd mu, że ten brak zaufania jest w pełni uzasadniony. Spędził przecież dzisiejszy dzień w Gorringe z córką nieżyjącego szpiega, z przyczyn zarówno altruistycznych, jak i egoistycznych. A przez przypadek wszystko to wiązało się z osobą Morleya.

Kolejny dowód, że ojciec dobrze go zna... A on, wiedząc już teraz na pewno, że coś jest nie w porządku - fakt, że ktoś usiłował zasztyletować Susannę, dowodził tego niezbitcie - nie mógł ojcu o tym powiedzieć.

Nie mógł spełnić ojcowskiego polecenia samodzielnie. Duma by mu nie pozwoliła zaprezentować własnych, zaledwie poprawnych rysunków. A poza tym... no cóż, zależało mu, żeby album okazał

się sukcesem, bo jeśli dzięki rysunkom Susanna stanie się sławna, to może nie będzie skazana na życie w Barnstable.

A kobieta taka jak ona zasługiwała na to, aby żyć ciekawie.

Tyle że musiał chronić ją przed zabójcą, żeby mogła w przyszłości ciekawie żyć.

Znowu zostawiła w powozie swój szkicownik. Otworzył go i przejrzał raz jeszcze. Cóż za lekkość kreski, co za precyzja... Wciąż go to odrobinę przerażało, choć tak niewiele rzeczy mogło go na obecnym etapie życia przerazić. Całkiem jakby ktoś, kogo dobrze zna, za pomocą różdżki wyczarował nową rzeczywistość. W rysunkach Susanny czuło się jej temperament i odwagę. Były w nich zawsze, zanim jeszcze sama zdała sobie sprawę, że jest odważna i pełna energii. W tych szkicach była cała ona - i ktokolwiek chciałby ją poznać, tu powinien szukać tropu.

Wtem znieruchomiał. Na jednej ze stron widniał rysunek, którego dotąd nie oglądał.

On?

Ten szkic nie był dziełem sztuki, i on też nie był na nim zbyt przystojny. Poczul leciutkie ukłucie zranionej dumy. A jednak... W zarysie szczęki była moc, w oczach - bystrość i wrażliwość razem. A już usta to było arcydzieło.

Kiedyż ona to narysowała? A co ważniejsze: jak zdołała to w nim zobaczyć? Ten obrazek był w pewnym sensie bardziej intymny, niż kiedy narysowała go nagiego. Więcej odsłaniał - a zarazem odsłaniał i ją.

Tak, podobał mu się. I podobało mu się, że ona tak właśnie go widzi.

Zniżające się ku zachodowi słońce zabarwiło niebo na cytrynowo. Za niespełną godzinę będzie ciemno. Kit pomyślał o Susannie, mającej w tej chwili za całe towarzystwo wyłącznie Frances Perriman, o gałązce pod siodłem, o przerwanym popręgu... I o nieznanym, który z taką maestrią wyłonił się z tłumy z nożem w rękę.

Zgarnął dwa koce, zawinął w nie butelkę brandy, latarnię, pudełko zapalek. Naładował pistolety. Naładował też strzelbę - ostrożności nigdy za wiele. Po paru minutach był już na dole.

- Ależ dopiero co pan przyjechał, sir. - Bullton sprawał wrażeńie nieco skonfundowanego. - I znowu pan wychodzi? Szykuje się jakaś zaba... - Urwał, zauważywszy strój Kita i tobołek w jego ręku. - Może przynajmniej pan coś zje? - dokończył z rezygnacją.

-Wstąpię po drodze do kuchni, Bullton, i zabiorę ze sobą jakiś prowiant. Muszę dziś w nocy... trochę popracować.

Bullton ustąpił. Kit zaszedł do kuchni, gdzie znalazł chleb, ser i kawałek zimnego kurczęcia. Wziął też butelkę wody.

Po chwili był już na zewnątrz i szedł ścieżką ku miasteczku. Wiedział, gdzie założyć obóz, tak by mieć na oku cały domek, a zarazem by sam był dla jego mieszkańek całkowicie niewidoczny. Ból w ramieniu dawał pewność, że nie zaśnie; brandy sprawi, że ból będzie do wytrzymania.

Nikt poza nim nie zbliżył się do Susanny tej nocy.

A jeśli ktokolwiek będzie próbował, to, Bóg świadkiem, gorzko tego pożałuje.

Czekał. Grały świerszcze, jelenie przedzierały się przez leśny gąszcz, zaśpiewał pierwszy ptak. Kiedy świt rozjaśnił niebo, Kit znużony ruszył do stawu. Wykąpał się szybko i przepłukał usta wodą z butelki. Przeciągnął ręką po zaroście. Z goleniem będzie musiał troszkę poczekać.

Stał pod furką pani Perriman, zmięty, znużony. Poczował jednak dziwne zadowolenie, kiedy w drzwiach ukazała się Susanna z koszykiem na ramieniu, wypoczęta i świeża, w jasnej muślinowej sukni w paski. Cóż za przyjemny, dodający otuchy widok... Jak to dobrze, że zdołała wtedy odebrać swoje suknie, grożąc robotnikowi, że ciśnie w niego wazą!

Zobaczyła go i znieruchomiała.

-Wygląda pan, jakby spędził noc na rozpuście - powiedziała lekko. - Oczywiście podkrążone... - Urwała. W jej spojrzeniu pojawiło się coś na kształt troski.

- Skąd pani wie, jak wygląda rozpustnik, panno Makepeace?
- Tak jak przewidywał, zbiło ją to z tropu; konfuzja wyparła troskę.
- Ręka wciąż jeszcze mi się trzyma, choć los się najwyraźniej uwziął,

żeby nas rozdzielić, to jest rękę i mnie. Zobaczymy, co przyniesie dzisiejszy dzień... Czy jest pani gotowa do pracy?

- A pan?

- Nie mam wyboru - odparł posepnie. - Wzywa mnie głos obo-
wiązku. A tu jest pani szkicownik.

- Ojej - zmieszana się. - Znowu o nim zapomniałam.

Mógłby podroczyć się z nią w związku z tamtym rysunkiem, ale
jakoś nie potrafił. Miał wrażenie, że to dla niej rzecz tak intymna,
jak dla niego wyznanie, co go łączyło z Caroline, i poczuł się nieco
skrepowany.

Wzruszył więc ramionami i podał jej szkicownik.

- Jedziemy dziś konno czy idziemy piechotą? - spytała.

- Piechotą. Chciałbym dziś skończyć z ciemiernikiem.

- A ma pan pistolet? - spytała niemal rzeczowo.

- Czy mógłbym się bez niego ruszyć? - odparł bez śladu sarka-
zmu.

- W takim razie idziemy. - Susanna się wyprostowała.

Żołnierz w pasiastym muślinie, pomyślał.

Kit nie był w nastroju do rozmowy. Myśli co prawda kłębiły mu
się w głowie, ale wątpliwe, by zdołał sklecić choć jedno zdanie, tak
był znużony. Panna Makepeace też milczała.

A jednak przysięgłby, że coś knuje. Czuł to.

- Zabierze mnie pan do Londynu?

Aha, to o to chodzi.

- Nie jest pani zbyt przezorna, prawda, panno Makepeace?

- Nie, ale pan jest.

- Chce pani jeszcze zdążyć na końcówkę sezonu? - rzucił przez
ramię i natychmiast pożałował: twarz Susanny pokrył przelotny
cień. Zaklął w duchu. To jasne, że nornice i żmije nie zastąpią jej
Almack's...

- Chciałabym się spotkać z panną Daisy Jones - powiedziała.

On też chciał, skoro już o tym mowa. Chciał ją zabrać do Lon-
dynu. Chciał porozmawiać z Daisy Jones z dwóch powodów: aby

wyjaśnić tajemnicę pochodzenia Susanny Makepeace... i zrozumieć, dlaczego komuś tak zależy, by była martwa.

Ale jeśli ojciec się dowie, że był w Londynie, to nie zobaczy tego miasta przez długi, długi czas. Odpłynie w siną dal na pokładzie statku - i wyląduje w Egipcie czy jakimś innym zakazanym miejscu, gdzie nie będzie żadnych hrabin, żadnych klubów dla dżentelmenów...

- Pomyślę nad tym - mruknął. Minęli dąb, staw i weszli głębiej w las. Tu było nieco chłodniej; gęste listowie chroniło przed słonecznym żarem. W tej chwili nie był w stanie myśleć właściwie o niczym. Gdzieś tu w pobliżu była porośla mchem polana, gdzie powinien rosnać ciemiernik... Bóg świadkiem, że mimo wszystko wciąż pragnął go odnaleźć i właściwie opisać.

I w tej chwili Susanna wydała cichy okrzyk. Kit odwrócił się błyskawicznie. Dziewczyna zachwiała się, straciła równowagę i zanim zdążył ją chwycić, usiadła gwałtownie.

Natychmiast klęknął obok niej. Serce miał w gardle.

- Boże święty... Co się stało?

Zaśmiała się.

-Wszystko w porządku... Po prostu potknęłam się o kamień. Nie jestem ze szkła. Niezgraba ze mnie i to wszystko.

Wcale go to nie rozśmieszyło.

- Proszę mi wybaczyć, panno Makepeace, ale biorąc pod uwagę ostatnie wypadki, mam prawo być trochę przewrażliwiony. - Wyciągnął ku niej rękę, by pomóc jej wstać.

Zignorowała ją. Wsparła się na łokciach i zwróciła twarz ku niebu, jakby zdziwiona, że coś takiego ma nad głową. Kosmyki włosów wymknęły jej się spod spinek, nieco potargane; suknia zadarła się, odsłaniając kawałek smukłej, pięknie wykrojonej łydki i szczupłe kolano, obciążone jasną, lśniąca pończochą. Syrena...

- Widzi pan tę chmurę? - powiedziała nieoczekiwanie, wskazując podbródkiem na niebo.

- Tak? - Kit przykucnął obok, gotów do pomocy, kiedy będzie chciała się podnieść, i zadarł głowę.

- Wygląda jak jednorożec.

Przyjrzał się obłokowi. No tak, ta pionowa spirala to może być róg... a ten strzęp z tyłu to ogon.

-Istotnie.

Pochyliła głowę i spojrzała na niego nieprzyjaźnie. Czuła jego pobłażliwość.

To, co zrobił potem, było całkiem nieoczekiwane, niemal od-ruchowe. Wyciągnął rękę i powiódł lekko palcem wzdłuż jej łydki, w górę, ku kolanu. Trochę dla żartu, a trochę dlatego, iż linia tej łydki była tak kształtna, że wprost się o to prosiła.

Palec znalazł się w zgięciu kolana i znieruchomiał. Kit sam był zdziwiony, że go widzi w tym miejscu.

Gończkowo przerzucał w myśli możliwe usprawiedliwienia: ja-kiś owad szedł pani po nodze, Susanno... Chciałem sprawdzić, czy się pani nie skaleczyła.

-Jeszcze...

To był jej głos. Lekko schrypły, nieobecny.

I to słówko było dla jego zmysłów niczym pożar buszu. Przy-mknął na moment oczy. Kiedy je otworzył, wszystko wokół było inne. Świat ograniczał się do nich dwojga.

Powoli uniósł głowę. W oczach Susanny widział wyzwanie i żar niemal równy jego żarowi... i widział także lęk. Chciała tego albo jej się zdawało, że chce, a zarazem bała się, że on ją znowu odrzuci.

Ale przecież nie wiedział, czy ona zdaje sobie sprawę, na czym polega to, czego pragnie.

Wiedział tylko na pewno, czego sam pragnie.

Lekki wietrzyk, nieświadom znaczenia tej chwili, wesoło zatrze-potał kosmykiem na jej czole.

Tylko troszeczkę... Tak, pokaże jej tylko troszeczkę z tego, czym jest namiętność. Umiejętnie, delikatnie. Niech dziewczyna popró-buje jej smaku. Bo przecież Bóg jeden wie, co się z nią stanie, jakie-mu dostanie się mężczyźnie. Pewien był, że potrafi dać jej rozkosz, a ona na to zasługiwała.

Myśląc tak, równocześnie obserwował siebie samego jakby z dystansu, rozbawiony i zaniepokojony zarazem. Och, jakże sprytnie potrafią ze sobą współdziałać zmysły i rozum, by pragnienie, aby wkraść się Susannie Makepeace pod spódnicę, wyglądało na czyn niemal szlachetny...

Tak, zrobi to!

Powoli powiódł palcem po jej pończosze jeszcze wyżej, wzdłuż uda. Czuł ciepło jej ciała, słyszał, jak wstrzymuje dech z wrażenia, i jej rosnące podniecenie rozpałało i jego. Palec sięgnął podwiązki, zaskakująco prostej, jak na Susannę Makepeace; sama tylko różowa wstążeczka, żadnych atłasowych różyczek. I powiódł palcem wzdłuż podwiązki, raz, drugi, trzeci... Z rozmysłem opóźniał moment, gdy dotknie nagiej skóry, ze względu i na nią, i na siebie samego.

Przymknęła oczy.

- Nie - nakazał cicho. - Otwórz je.

Otworzyła. I zarazem rozchyliła usta. Oddychała coraz ciężej.

Kit powoli rozwarł dłoń i położył ją na okrytym pończochą udzie Susanny, tuż poniżej podwiązki. Niech pozostanie w tym miejscu tak długo, jak długo będą mogli wytrzymać - na progu, za którym jest już tylko naga, niczym nieokryta skóra. Spojrzał jej w oczy i się uśmiechnął. Milcząca deklaracja, że on tu prowadzi - i poprowadzi ją aż do końca.

Wreszcie powiódł dłonią wyżej i dotknął nagiego uda. Jego uśmiech znikł.

Był zgubiony.

Zrozumiał, że się oszukuje, że oszukiwał się od dawna. To ona prowadziła w tej grze. Ona zawładnęła tą chwilą i nim.

Przybliżył twarz do jej twarzy. Ręka Susanny uniosła się powoli, tak jakby powietrze stało się lepkie niczym miód, i przygarnęła jego głowę, tak jakby byli kochankami już od nie wiadomo kiedy. Od zawsze.

Od zawsze... Na zawsze... Poczuł, że pragnie rozciągnąć, utrwalić i zapamiętać każdą tę niezwykłą chwilę. Dotykam jej nagiej skóry... Muskam wargami jej wargi... I musnął, raz, drugi, badając, co

ona wie o całowaniu. A ona instynktownie poszła jego śladem. Delikatnie powiodła wargami po jego wargach, a on poczuł, że nogi drżą mu z pożądania.

- Susanno - szepnął ochryple. Westchnęła cicho, owiewając go ciepłym oddechem, usta w usta, i ujęła za głowę drugą ręką. Czuł jej napięcie i niecierpliwość. I choć zamierzał przedłużyć ten subtelny pocałunek, zanim zawładnie w pełni jej ustami, zaprezentować jej całą finezję sztuki całowania, poczuł, że nie zdoła. Pożądanie stało się trudne do zniesienia. Niecierpliwe rozwarł językiem jej -wargi i z gardłowym pomrukiem wdarł się w jedwabiste, wilgotne wnętrze. Ostrożnie, z wahaniem poruszyła językiem i ona.

- Tak? - szepnęła.

- Och, tak.

Uśmiechnęła się.

- Nie, nie... Żadnych uśmiechów... Całujemy się...

Ich usta poruszały się najpierw powoli, badawczo, potem coraz niecierpliwiej i gwałtowniej. Kit wsparł się na łokciu i pochylił nad nią. Pocałunek pogłębił się. Za mało, za mało... Kit nieświadom był ani ziemi pod sobą, ani powietrza nad sobą; jedyne, co czuł, to słodycz tego złączenia. I jakieś przelotne, odległe zdumienie: nigdy dotąd tak się nie zatracił. Przywarł do niej ciasno biodrami, podniecony do bólu.

- Och, ty... - wymruczał. Zszedł ustami niżej, ku szyi i powiodł po niej językiem. Pierś Susanny wznosiła się i opadała coraz szybciej; przez ciekłą tkaninę sukni przeświecały ciemne, twardniejące brodawki.

- Och, ty... — mruknął raz jeszcze i zszedł ustami ku piersiom. Owionął je oddechem, dotknął językiem. Usłyszał jej stłumione „och!"; ciało wygięło się w łuk. A on tymczasem leciutko, niczym piórkiem, zaczął gładzić palcami wewnętrzną stronę jej uda.

W pierwszej chwili spięła się i zadrżała. Zaraz jednak rozchyliła leciutko nogi. Zapraszała go.

-W pończochach, ale bez pantalonów? - zażartował zdyszonym szeptem. Pociągnął zębami rąbek dekoltu, odsłaniając pierś,

a zarazem powiódł ręką po udzie coraz wyżej, wyżej... aż spoczęła na wilgotnym łonie.

- Za gorąco... na pantalony... ale lubię... podwiązki... - wydyszała i parsknęła krótkim, zduszonym śmiechem. Śmiech urwał się, gdy wziął w usta brodawkę, bladoróżową jak jej usta. Druga pierś wypełniła jego dłoń.

- Kit - wydyszała ochryple. - O Boże...

-Racja - mruknął. - Jestem i tym, i tym... - Usłyszał czy to westchnienie, czy stłumiony śmiech, a może jakieś słowo? Mogło to być „drań”, ale zamilkła, gdy ponownie wziął brodawkę w usta i językiem zaczął zataczać wokół niej kółka. Jęknęła cicho i podała pierś naprzód, ku niemu. Jej palce błędziły w jego włosach. Nie, on tego nie zniesie...

Nie. Musi znieść. Dzisiejszy dzień był dla niej. I innego nie będzie.

Przywarł do niej ciasniej biodrami i stwardniałym do bólu członkiem i błędząc palcami po kędzierzawym łonie, powrócił ustami do jej ust. Chciał widzieć jej oczy, kiedy palec odnajdzie wilgotną szczelinę.

Odnalazł... Susanna gwałtownie chwyciła powietrze. Wyprężyła się.

Wstrzymał ruch dłoni.

- Nie? - spytał cicho.

- Tak... - odszepnęła i dotknęła jego twarzy.

Pocałował ją lekko i znów powiódł palcem, i jeszcze raz, i jeszcze... I nogi rozchyliły się wreszcie w uległym, przyzwalającym geście. Pożądanie chwyciło go w pazury niczym wielki drapieżny ptak. Z trudem dyszał. Zatoczył palcem kółko, potem drugie, najpierw powoli, delikatnie, potem coraz szybciej, wsłuchując się w rytm jej oddechu. Poczul, że palce stają się mokre... Delikatnie, niemal niewinnie muskał ustami jej usta, nie przerywając gry palców, i patrzył z triumfem, jak jej źrenice robią się coraz większe i większe, a wielobarwne tęczyówki matowieją z pożądania.

- Kit? - szepnęła nagle. -Ja... co to...

- Wiem - odszepnął ochryple. - Poruszaj się wraz ze mną.

Zaczęła poruszać biodrami w rytm jego palców, a jej podniecenie udzielało mu się. On też napał łędwiami na jej biodra, instynktownie dążąc do spełnienia, choć wiedział, że dziś będzie musiał go sobie odmówić. Zagarnął ustami jej usta w głębokim, zachłannym pocałunku. Języki się splotyły. Och, jakież ona miała smak... Język i palce poruszały się w jednym rytmie, a ona dyszała coraz ciężiej i coraz gwałtowniej poruszała biodrami. Wiedział, że to już wkrótce.

Oderwała od niego usta, rzuciła głową w bok.

- Proszę...

- Tak, Susanno...

Och, jakżeby chciał towarzyszyć jej w tej podróży.

I w końcu wbiła mu palce w ramię i z krzykiem wygięła się w łuk.

A on odczuł jej rozkosz niemal jak własną

Odetchnął głęboko i jeszcze raz, starając się uspokoić. Czekał, aż opadnie z niego niezaspokojone pożądanie.

Do tej pory, kochając się z kobietą, czerpał przyjemność w dużym stopniu z samej sztuki uwodzenia. Był w niej mistrzem, i to też sprawiało mu satysfakcję.

Ale tym razem przyjemność płynęła skąd indziej. Z oddechu Susanny i ciepła jej karku, gdy leżała bez sił, znużona miłosnym aktem. Z jej rozpalonych policzków i gładkiej, kremowej szyi. Z zapachu jej włosów. Z jej ślicznych oczu, gdy pokrywały się mgłą pożądania. Z jej rąk, gdy błędziła nimi w jego włosach. Z...

- Czy myśmy się kochali? - spytała.

Uśmiechnął się lekko.

- W pewnym sensie.

- Wiem, że dla ciebie... to za mało - powiedziała wstydliwie i z wahaniem nakryła dłonią jego członek. Kit syknął i złapał ją za nadgarstek. Nie... Przewrócił się na plecy, z dala od niej, i zapatrzył w niebo.

Było jakby inne. Chyba cały świat był w tej chwili trochę inny...

- Po prostu... - Zawahał się. Bał się, że te słowa mogą ją zranić.
- Wtedy nie będzie już dla ciebie odwrotu, Susanno.

Ale czy naprawdę właśnie to go niepokoiło? Teraz, gdy minął moment gorączki, owładnęła nim dziwna panika, której nie potrafił określić. Czuł ostrą, wybitnie niedzentełmeńską pokusę, by zerwać się i uciec, gdzie pieprz rośnie.

Przez chwilę leżała obok niego w milczeniu. W ciszy słysząc było tylko ćwierkanie ptaka i szelest poruszanych lekkim powiewem liści.

- A może... może ja nie pragnę odwrotu - powiedziała w końcu. Ależ tak, zranił ją... Słyszał to w jej głosie.

Przewrócił się na bok i patrzył na nią przez długą chwilę.

- Susanno... - mruknął. Obwiodł palcem jej usta, nabrzmiałe od pocałunków, i musnął je lekko wargami. Odgarnął jej z twarzy wilgotne kosmyki, pocałował przelotnie w policzek, w czoło, wyjął listek z włosów, z czułością obciągnął i wygładził zmięty stanik sukni... I przez cały czas unikał jej spojrzenia, a ona patrzyła na niego w milczeniu, w pełni tego świadoma.

W końcu wstał. Ramię pulsowało bólem. Przez ostatnie pół godziny kompletnie zapomniał o jego istnieniu.

- Idziemy. Odprowadzę cię do domu. Boli mnie ramię. - Wyciągnął ku niej rękę. Po chwili wahania ujęła ją i wstała. Strzepnęła liście ze spódnicy i w milczeniu ruszyli z powrotem.

Szli obok siebie, nie dotykając się. Przed furką ciotki pożegnał ją ukłonem. Dziwnie oficjalne było to pożegnanie; widział, że się leciutko wzdrygnęła. A jednak nie wiadomo dlaczego pragnął narzucić ten dystans.

- A zatem jutro na ciemiernik? - spytała pogodnie.

Fałsz. Fałsz. To przez niego... To on narzucił jej głosowi tę sztuczną pogodę i ożywienie. A jednak nic nie mógł na to poradzić. Nie mógł jej dodać pewności, bo nikt na świecie nie czuł się chyba w tej chwili tak niepewnie jak on.

- Moja ręka - powiedział ze skruchą i wzruszył ramionami. - Może by tak odpocząć z jeden dzień?

Tchórz...

Nigdy dotąd nie uciekał się do kłamstwa. Ale też nigdy dotąd się nie zdarzyło, aby obawiał się prawdy.

Dobry nastrój opuścił Susannę.

- W porządku. Mam nadzieję, że wkrótce z ręką będzie lepiej.

- Ja także - rzucił lekko, ale zabrzmiało to fałszywie. Jakże chętnie wymierzyłby sobie kopniaka...

Nie powinienem był jej dotykać, pomyślał.

Zabawne. Raptem pół godziny temu wydawało się oczywiste, że nie ma innego wyboru.

Raz jeszcze skłonił się krótko i odszedł. W ostatniej chwili zdążył zauważyć, że Susanna ma we włosach jeszcze jeden liść.

Susanna stała w otwartej furtce i patrzyła za Kitem. Do jego jasnych, krótko ostrzyżonych włosów przykleił się jakiś zabłąkany listek. Nadawało to odrobinę frywolności temu, co inaczej wyglądałoby na pełen dostojeństwa odwrót. Dostojeństwa i okrucieństwa.

Przypomniało jej się, jak pierwszego dnia w Barnstable poszła przed siebie tą samą ścieżką, którą teraz on podążał. Trochę z lekko-myślności, trochę z rozpaczy, a trochę z pragnienia, by określić granice swego nowego świata. I na końcu ścieżki natknęła się na niego. Stał nagi na pomoście, przeciągając się z rozkoszą, sam pośród żywiołów - wody, powietrza, zieleni. Czy był garnkiem pełnym złotych monet, który odnajduje wędrowiec na drugim końcu tęczy? Nie, raczej skarbem zamkniętym w skrzyni i zatopionym na dnie morza, którego strzegą skorupiaki, morskie węże i inne potwory, jakich nikt jeszcze, być może, nie odkrył i nie nazwał.

Czy żałuje, że poszła wtedy tą ścieżką? Nie wiedziała. Nie potrafiła powiedzieć ani tak, ani nie.

Ala przecież osiągnęła to, czego chciała, prawda?

Na ustach wciąż czuła jego smak; na ubraniu - jego zapach. Całkiem jakby nadal stał tutaj obok niej... Dotknęła palcem warg: były niemal obolałe, obrzmiałe, tkliwe. Po raz pierwszy ktoś zrobił z nich

właściwy użytek... Znow poczwała spazm pożądania. Przymknęła oczy.

Teraz już wiedziała, co potrafią te pięknie wykrojone usta. Potrafiły prowokować, drażnić, kpić. Potrafiły obezwładniać czułość. Potrafiły rozpętać sztorm. Potrafiły brać ją w posiadanie, dopóki sztorm się nie przewalił.

Nie, nie tylko... Potem też. Bo nie mogła sobie wyobrazić, by kiedykolwiek mogła się nim nasycić.

Czy jednak on nie nasycił się już dostatecznie nią? Przetoczył się wtedy na wznak i leżał, zamyślony i milczący. I taki uprzejmy... Właśnie dlatego wiedziała, że coś jest nie tak. Może była zbyt niewinna albo zbyt chętna? A może zbyt nudna dla mężczyzny takiego jak on, który, ledwie odrósł od ziemi, pojedynkował się o kobietę, który przeżył wojnę? I który miał znajomości wśród operowych tancerek. No a ona - cóż, przed Kitem dwukrotnie pocałował ją Douglas, a raz przyparł biodrami, gdy był podniecony. To wszystko. Czyż można ją uznać za kobietę światową?

Ale nie... Przecież widziała! Jego twarz, długa, wąska, dobrze znajoma, była tak cudownie czytelna, kiedy dotykał ustami jej ust. On także wtedy drżał. Byli równi w tym momencie. Tak samo pragnący. .. i tak samo zdumieni.

Założyłaby się o resztki swojej garderoby, że tak właśnie było.

Chciała podarować mu siebie. Ale teraz już wiedziała, że byłby to podarunek dla niej samej. Wiedziała też, co naprawdę powinna mu ofiarować: czas.

By mógł się zastanowić, czego naprawdę od niej oczekuje. O ile w ogóle oczekuje czegokolwiek.

Nie wiadomo czemu było to bardziej ryzykowne i budziło większy lęk, niż gdyby miała ofiarować mu ciało.

Kit zjrzał po drodze do koni. Odkąd wyrzucił chłopców stajennych, sam się musiał nimi zajmować, dopóki nie zatrudni nowych pracowników. Mała klaczka, Susanna, podbiegła, by obwąchać jego dłoń, a on pomyślał: podaruję Susannie Susannę, gdy podrośnie.

Powolna krzątania wśród koni, ich zwierzęca woń, ich obecność trochę go uspokoiły. Wrócił do domu w znacznie lepszej formie.

Skinął Bulltonowi głową na powitanie i ruszył po schodach.

- Za pozwoleniem, sir... Liść się panu przylepił z tyłu głowy

Kit stanął i przeciągnął ręką po włosach; na podłogę sfrunął niewielki klonowy listek. Spojrzał ostro na Bulltona, ale ten, jeśli sobie nic popił, był lokajem do szpiku kości, co oznaczało, że nigdy by sobie nie pozwolił na okazanie rozbawienia, przygany czy czegokolwiek w tym rodzaju.

Kit szybko odzyskał godność i znowu ruszył po schodach na górę. jBullton nachylił się i podniósł liść z podłogi.

- Zielony, sir. Piękny kolor... zielony.

Kit odwrócił się gwałtownie. Twarz Bulltona była nieprzenikniona.

i, Niezły byłby z niego szpieg, pomyślał Kit z uznaniem.

- Przyszedł do pana list, sir.

- O... Dziękuję, Bullton. - Kit wziął list do ręki i zaczął powoli wstępować po schodach, rozłamując po drodze pieczęć.

Szanowny Panie!

Odpowiadając na Pańskie pytanie dotyczące wypadku dylizansu w dniu 23 maja br., informuję, co następuje:

Wzmiankowany pojazd został poddany gruntownemu remontowi. Jak ustalono, przyczyną wypadku była zawlecza osi w przednim kole, różniąca się grubością i długością od pozostałych. Siłą rzeczy spowodowało to, że koło się obluźowało, a w konsekwencji ów niefortunny wypadek na podwórze zajazdu. Sprawdziliśmy wszystkie pozostałe pojazdy, jakimi dysponujemy, i nigdzie poza tym nie stwierdzono żadnych nieprawidłowości, ani dotyczących zawleczek, ani pod żadnym innym względem. Tak więc wypadek był odosobniony.

Niestety, nie jesteśmy w stanie ustalić, jakie jest pochodzenie zawleczy, która stała się przyczyną wypadku, podwoimy jednakże wysiłki, aby się to nigdy więcej nie powtórzyło. Jesteśmy gotowi usunąć pracownika, którego zechce Pan wskazać, o ile uzna

to Pan za niezbędne, jak również pokryć koszty nieodwracalnie zniszczonego zielonego kapelusza. Proszę kupić nowy w takim samym kolorze.

Z poważaniem
M. Rutheford

Kit mimo woli wybuchnął śmiechem. Setny chłop z tego Rutheforda, kimkolwiek tam on był... Nękania przez zepsutego arystokratę urzędnik uspokaja go za pomocą ledwie skrywanej ironii i niewzruszonej niczym stał cierpliwości. Kit bynajmniej nie miał mu za złe tego tonu, nie czuł się też w najmniejszym stopniu zakłopotany. Dzięki temu pisanemu w stanie alkoholowego zamroczenia listu osiągnął dokładnie to, co chciał osiągnąć. Wiedział, że nie odpowiedziano by mu tak szybko, gdyby nie wcielił się w rolę obrażonego paniczka.

Miał więc odpowiedź, na którą czekał, ale i bez niej już wszystko wiedział: skrócona zawlecзка w jednym z kół dyliżansu, który wiozł Susannę Makepeace do Barnstable, oznaczała, że ktoś ją z rozmysłem, sprytnie wymienił.

W furię wprawiała go własna bezradność. Susanna była w błędzie: miała wprost fantastyczne szczęście, biorąc pod uwagę, że ktoś systematycznie usiłował ją zamordować, a wczorajszy wypadek z nożem stanowił dowód, że ów ktoś przestał bawić się w subtelności.

I on, Kit, też miał szczęście: zdołał utrzymać ją przy życiu. Nie wiedział jednak, jak długo to szczęście będzie mu towarzyszyć.

Och, miał rację... Tak rzadko przecież się mylił! Miała talent do miłości, taki sam, jaki miał on, i o mało co nie stracił przez to głowy. No cóż... Wiedział już teraz, że jej cera ma gładkość płątka kwiatu; że usta smakują niczym wino; że dotyk tej różowej, wezbranej brodawki na jego policzku...

No nie... Przeciągnął rękami po twarzy, przetarł oczy. O Boże, przecież się nie golił! Cud, że ta szczecina nie pokaleczyła jej delikatnej cery.

A jednak nie było to pozbawione sensu, że zjednywał sobie względy hrabiny tak uporczywie. Jej też bynajmniej nie brakło ta-

lentu do... no, do tego, do czego ją sobie zjednywał. Kochanki są zdecydowanie pożyteczne. Może zdoła złożyć jej ukradkową wizytę, przypomnieć o swoim istnieniu i położyć kres tej nierozumnej, bałamutnej obsesji na punkcie panny Makepeace.

Jeśli ojciec zobaczy go w Londynie, błyskawicznie znajdzie się w Egipcie. Co do tego nie miał wątpliwości. Ale nawet jeśli istotnie wyląduje w Egipcie, może zdoła przedtem podarować Susannie prawdę o jej przeszłości. I może... zdoła ochronić ją przed siłami, które się sprzysięgły, aby nie miała także przyszłości. Może zdoła doprowadzić do tego, że jej przyszłość będzie niezagrożona.

A więc zrobi to dla Susanny. Dla Susanny zaryzykuje wygnanie do Egiptu. Zabierze ją do Londynu.

14

Susanno! - zawołała melodyjnie ciotka. - Mam dla ciebie niespodziankę!

O Boże, nie, pomyślała odruchowo. A przecież zawsze dotąd lubiła niespodzianki...

Nie spała tej nocy zbyt wiele. Przez cały wieczór wciąż na nowo odtwarzała w myśli zdarzenia minionego dnia, dopóki nie zapadła wreszcie w niespokojną drzemkę. Zła, wygramoliła się z łóżka, podeszła boso ku schodom i spojrzała w dół. I natychmiast cofnęła się przerażona.

W saloniku stał wicehrabia z kapeluszem w ręku, ubrany jak do podróży. Sprawiał wrażenie dżentelmena, który przyszedł z wizytą. Tyle że był kimś zupełnie innym: jej pracodawcą.

Pracodawcą, który zaledwie wczoraj włożył jej rękę między uda...

Nogi się pod nią ugięły. Oblał ją żar. Jej ciało natychmiast sobie przypomniało.

I jak na złość, w tej samej chwili Kit spojrzał w górę i ujrzawszy ją, wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Z bijącym sercem wróciła biegiem do pokoju. Pewna była, że się dziś nie zobaczą, i być może jutro też nie. A może nawet i nigdy, biorąc pod uwagę wczorajsze pożegnanie... Ciotka na dole mówiła coś o skandalu. Pewnie tylko udawała, bo trudno było się na serio gorszyć w obliczu tego uosobienia pogody i beztroski, jakie prezentował dzisiaj wicehrabia.

- Zejdź na dół, Susanno, kiedy będziesz gotowa! - zawołała ciotka. - Wicehrabia Grantham chciałby z tobą porozmawiać.

Głos miała taki, jakby była wręcz zachwycona. To nie jest powieść Jane Austen, ciociu Frances... On tu nie przyszedł po to, żeby zwierzyć się z naszych wczorajszych swawoli i uczynić ze mnie kobietę godną szacunku, pomyślała Susanna.

A może? Przecież ten mężczyzna lubił niespodzianki!

Ubrała się tak szybko, jak pozwoliły jej na to drżące dłonie, i po paru minutach była na dole. Ciotka usiłowała wymusić na gościu filiżankę herbaty. Kiedy zobaczył Susannę, wstał i wykonał stosowny ukłon, niczym najbardziej dystyngowany z dżentelmenów, z jakimi kiedykolwiek miała do czynienia.

- Muszę zaprezentować w Londynie moje przyrodnicze znaleziska, panno Makepeace. Przeszedłem poprosić pani ciotkę o zgodę na to, aby mi pani towarzyszyła. Oczywiście otrzyma pani właściwe wynagrodzenie za czas, jaki mi pani poświęci. I, oczywiście, będzie nam towarzyszyła odpowiednia liczba służących.

Bez wątpienia miało to uspokoić ciotkę Frances co do stosowności tej wyprawy.

Myśli Susanny były jednak w tej chwili jak najdalsze od wszelkiej stosowności. Nic nie mogła na to poradzić, iż słowa „właściwe wynagrodzenie” zrozumiała w sposób wybitnie niestosowny.

Ciotka Frances natomiast z pewnością zinterpretowała sobie to określenie jako jeszcze więcej wołowiny i kiełbasek.

- Cóż, skoro jest panu potrzebna, milordzie - zgodziła się wreszcie - to oczywiście, niech jedzie. Wytrzymam jakoś bez niej dzień czy dwa.

Biedna ciotka Frances... Od przyjazdu Susanny wciąż musiała przeżywać trudne chwile.

Kit skłonił się z powagą.

- Proszę zapakować właściwą liczbę sukien, panno Makepeace. Poczekam. Niedługo pojedzie powóz.

Podróż do Londynu trwała parę godzin. Przez cały czas Kit ograniczał konwersację do nielicznych uwag o jakichś błahostkach. Susanna usiłowała przebić mur jego uprzejmości za pomocą sztucznie swobodnych pytań i spojrzeń rzucanych spod rzęs, ale był niewzruszony. W końcu zamilkła. Resztę podróży Kit strawił na wertowaniu książek, tak jakby naprawdę szło mu wyłącznie o to, aby złożyć ojcu sprawozdanie ze swoich badań.

Powóz, którym jechali, był nienowy - Whitelawowie nie trzymali przecież swoich najlepszych ekwipaży w Różanym Dworku - a cztery wałachy wyglądały na zdziwione, że oto naprawdę znowu coś ciągną. Zdołano w nim jednak umiejętnie ukryć cały arsenał broni. Służba, o której wspomniał ciotce Susanny, składała się ze stangreta i dwóch lokajów.

Podróżował sam na sam z jej bratanicą, która bez wątpienia będzie zaskoczona, kiedy pozna, prawdziwy cel ich podróży. Miał nadzieję, że nie wygada przed ciotką, iż tak naprawdę liczba służących daleka była od właściwej.

Było już późne popołudnie, kiedy znaleźli się na East Endzie. Teatr Biała Lilia bez najmniejszego skrępowania ogłaszał światu swe istnienie: nad wejściem wisiał gigantyczny afisz, na którym, nie żałując farby, namalowano jakiś upiorny kwiat, w żadnym razie niepodobny do lilii. Po obu stronach stały dwie greckie kolumny. Świejące, nowe.

- Sama by pani tego nie namalowała lepiej, Susanno - powiedział Kit, wskazując afisz ruchem podbródka.

Wyglądała na urażoną. Była przecież prawdziwą artystką.

Po chwili uraza zniknęła, a twarz Susanny powoli zaczęła rozświetlać wyraz wdzięczności. Pojęła, po co tu przyjechali... Odwrócił się.

Pchnął drzwi - i natychmiast buchnęła przez nie zwawa, bez troska melodia, wygrywana na fortepianie ręką tyleż ochoczą, co

niewprawną. Pod przeciwległą ścianą widniała ogromna scena; salę zajmowały rzędy krzeseł, wspinające się amfiteatralnie coraz wyżej, ku balkonom i sufitowi. Wszystkie miejsca były puste; na oko mogły pomieścić z parę setek widzów. Architektura sali, z grubsza biorąc, przypominała antyk w jego kwiecistej, przeładowanej wersji: sufit wspierały cztery żłobkowane kolumny, w ścianach widniały nisze z urnami, a scenę osłaniały ciężkie aksamitne kurtyny, podwiązane złotym sznurem. Z sufitu uśmiechały się lubieżnie skrzydlate cherubinki; towarzyszyły im dziewice w togach, odsłaniające piersi.

Przed sceną, twarzą do niej, stał wysoki mężczyzna o bujnej czuprynie. Na scenie płaśał rytmicznie szereg hojnie umalowanych dziewcząt, odzianych w luźne suknie, z grubsza przypominające greckie *peplos*. Mężczyzna wystukiwał rytm laską.

- No, dziewczęta! I raz, i dwa, i hop, i w bok, i cztery, zwrot, i... nie, nie, nie!!!

Trzem ostatnim sylabom towarzyszyło trzykrotne uderzenie laską w podłogę.

- Josephine! - warknął. Fortepian rozbrzmiał jeszcze jednym dysonansem i zamilkł. Mężczyzna westchnął zniecierpliwiony. - Jutro wieczorem mamy premierę, moje panie!

Tancerki, zdeprymowane, przestępowały z nogi na nogę. Mężczyzna stał przez chwilę, wspierając obie dłonie na lasce.

- Generale - powiedział wreszcie - czy zechciałby pan pokazać paniom raz jeszcze, jak to się robi?

Kit teraz dopiero zwrócił uwagę, że w jednym z foteli istotnie siedział jakiś człowiek. Kiedy się podniósł, sięgał Kitowi raptem do pasa. Wyglądało na to, że Generał jest karłem... Twarz miał dość urodziwą - ciemne oczy, mocne krechy brwi, surowy zarys szczęki - i jakiego przyjaciela, najwyraźniej był dandysem: brokatowa kamizelka lśniła purpurą i złotem, a w skomplikowanych fałdach krawata połyskiwała rubinowa szpila.

Generał przeszedł między rzędami krzeseł i dźwignął się na scenę.

- Czy można prosić, Josephine? - zwrócił się wytwornym tonem do pianistki.

Znów rozbrzmiała muzyka. Generał bez cienia ironii złożył dłoń na biodrze, pochylił z gracją głowę i zaczął tańczyć.

-I raz, i dwa, i hop, i w bok, i cztery, zwrot, i hop, hop... dyg...

Z nieskazitelną precyzją przetańczył parę taktów, zatrzymał się, dał znak Josephine, by zamilkła, i zwrócił się ku tancerkom.

- Czy wiedzą już panie, o co chodzi? - Głos miał równie zniecierpliwiony jak jego obdarzony bujną czupryną towarzysz.

- Tak, Generale. Przepraszamy, Generale - rozległy się nieśmiałe kobiece głosy.

Generał zeskoczył ze sceny, przewrócił z irytacją oczyma i ruszył z powrotem na swoje miejsce w tylnym rzędzie. I dopiero wtedy spostrzegł w drzwiach wejściowych Kita i zapatrzoną na scenę Susannę.

- Tom - zwrócił się do towarzysza. - Mamy gości.

Mężczyzna z laską się odwrócił. Kit usłyszał, jak Susanna gwałtownie chwyta powietrze. Trudno było jej się dziwić - był diabelsko przystojny. Nie, właściwie to nie diabelsko - przypominał raczej bożka Pana z tymi szerokimi kośćmi policzkowymi, wąskim podbródkiem i delikatnie wykrojonymi, a jednak niezaprzeczalnie męskimi ustami i nosem. Bujna, modnie potargana rudozłota czupryna spadała mu na oko; w półmroku teatralnej sali jaśniały niemal srebrzyste tęczówki. Ubrany był równie wykwintnie jak Generał, z tym że kamizelka była w srebrne paski. Z całej jego sylwetki promieniowały dobre samopoczucie, jowialność i pogoda.

- Witam państwa! - Zgiął się w ukłonie. - Jestem Tom Shaughnessy, właściciel tego oto przybytku sztuki. Generał - wskazał na towarzysza, który także się skłonił - jest moim partnerem w interesach oraz choreografem. Z kim mam przyjemność?

- White - przedstawił się Kit, odwzajemniając ukłon. Pan Shaughnessy cofnął się o krok i potarł podbródek. - Wygląda mi pan znajomo, panie White.

- Wykluczone - powiedział Kit z naciskiem.

Pan Shaughnessy uniósł brwi.

- No oczywiście, skądże by. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu.
- Pomyliłem się. Z czymże pan dziś przychodzi, panie... White? - Omiótł Susannę uważnym spojrzeniem zawodowca i w jego wzroku błysnęło uznanie. - Zapewniam pana, że dbamy o nasze dziewczęta jak należy. Są całkowicie zdrowe... z wyjątkiem biednej Rose, naturalnie. Ale tylko patrzeć, jak i ona będzie znowu w znakomitej formie, nieprawdaż, Rose? - zwrócił się do jednej z dziewcząt i uśmiechnął się do niej współczująco, z otuchą. - Następnym razem wybierzesz lepiej, tak?

I z powrotem odwrócił się do Susanny i Kita, całkowicie obojętny na fakt, iż twarz dziewczyny przybrała kolor szkarłatu. Koleżanki patrzyły na nią ciekawie.

- Coś ci się przytrafiło, Rosie? - mruknęła jedna z nich.

- Bardzo mi... eee... miło to słyszeć, panie Shaughnessy. Wiele słyszałem o pańskim przybytku. Ale nie przyszedłem po to, by zaprezentować panu moją... - odchrząknął - żonę. Przychodzimy w sprawie osobistej. Chcielibyśmy, jeśli łaska, zamienić parę słów z panną Daisy Jones.

- Ach, z moją Daisy Jones... Daize! - krzyknął gdzieś ku tyłom teatru. - Goście!

Z powrotem zwrócił się do nich:

- Mój Boże, najgoręcej państwa przepraszam. Nie miałem zamiaru państwa obrazić. Serdecznie gratuluję takiej żony, sir. - Wykonał gest, jakby unosił kapelusz. - Z pewnością świetnie by sobie u nas radziła.

- Bynajmniej nie czuję się urażona, sir - zapewniła go Susanna, opuszczając skromnie rzęsy. Pan Shaughnessy uśmiechnął się z uznaniem. Kit miał ochotę się nachmurzyć, ale po chwili mu przeszło. Ten człowiek był tak naiwnie szczerzy, że trudno było się na niego złościć.

- Musisz na mnie wrzeszczeć, Tom, akurat teraz, kiedy... - zahuczał niski kobiecy głos, i urwał. Jego właścicielka, ujrawszy Susannę, chwyciła się teatralnie za serce.

Kit podejrzewał, że gest ten nie był wyreżyserwany. Przyjemna, okrągła twarz kobiety była w tej chwili biała jak ściana, co sprawiało,

że dwie idealnie okrągłe plamy różu na policzkach miały kolor bekonu. Miała na sobie coś w rodzaju togi z pupurowego atłasu; i szata, i włosy przyozdobione były niezliczonymi sztucznymi diamentami, które połyskiwały i dźwięczały przy każdym ruchu. Pewnie szykowała się do przedstawienia, a może po nim odpoczywała.

- W imię Ojca i Syna... - wyszeptała. - Anna, jak żywa...

Wpatrywała się w Susannę jeszcze przez chwilę. Wreszcie się ociekła.

- Lepiej będzie, jak porozmawiamy w moim pokoju - powiedziała z ożywieniem. Przeniosła spojrzenie na Kita i w jej oczach pojawił się zmysłowy ogień. - Nie widziałam pana...

- Nigdy - dokończył szybko. - Nigdy mnie pani nie widziała, panno Jones.

Daisy uniosła brwi i uśmiechnęła się znacząco.

- Proszę pozwolić, że się przedstawię - ciągnął Kit. - Nazywam się White, a to jest moja... moja... przyjaciółka.

- Miło mi pana poznać, panie... White. - Daisy Jones teatralnym gestem wyciągnęła dłoń, a Kit pochylił się nad nią. Panna Jones była swego rodzaju pionierką, a choć nigdy nie korzystał z jej szczególnych wdzięków, niejedną raz oklaskiwał gorąco jej występ, a kiedyś nawet posłał jej kwiaty. Bo trzeba przecież popierać tych, co wytyczają w sztuce nowe kierunki, prawda?

Ruszyli za panną Jones, która, choć kwiat jej wieku już przeminał, wciąż miała nad wyraz kształtną, rozłożystą pupę. Kołysała się niczym pokład okrętu w czasie sztormu i Kit nie mógł oderwać od niej zahipnotyzowanego spojrzenia. Wreszcie, minawszy szereg bokosów, dotarli do drzwi. Panna Jones otworzyła je i gestem zaprosiła ich do środka.

Susanna miała wrażenie, że znaleźli się we wnętrzu ogromnych ust. Ściany pokrywały tapety w kolorze intensywnego różu, we wzór, jakiego Susanna nigdy nie oglądała w żadnym londyńskim domu. W poprzek pokoju stały dwa wyściełane takim samym różowym aksamitem szelongi, przypominające gigantyczne języki; towarzyszyły

im okazała liczba krzeseł, tak jakby panna Jones co wieczór przyjmowała całe hordy gości. Jedną ze ścian niemal w całości pokrywały lustra, a mnóstwo strategicznie rozmieszczonych lamp zalewało pomieszczenie ostrym blaskiem.

- Mam teraz własną garderobę, jak widać. - Panna Jones dumnie zatoczyła ręką. A potem popatrzyła czule na Susannę i ujęła oburącz jej twarz. - Po prostu nie mogę uwierzyć... Ach, co tam... wybacz, ale po prostu muszę... -I przygarnęła ją do swego okazałego, obficie uperfumowanego biustu.

Jedno z piór poślaskotało Susanna w nos. Kiedy w końcu zdołała się wyzwolić z uścisku Daisy, kichnęła ukradkiem, osłaniając nos dłonią.

- Skóra zdjęta z Anny, słowo daję - powiedziała Daisy, wzruszona. - Też była taka ładna. I, rzecz jasna, nie zagrzała tu, w Białej Lilii, zbyt długo miejsca. Od razu ją porwali. Namówiła mnie, żebym trochę odpoczęła i pomieszkała z nią w tej zapadłej dziurze, co to ma nazwę po jednym księciu, który.

- W Gorringe - powiedzieli chórem Kit i Susanna.

-W Gorringe. Tam też byłam szanowana, nie mogę powiedzieć... Tylko że się okropnie nudziłam. Myślałam, że umrę z nudów. Przeważnie siedziałam w gospodzie. I z nudów przyszło mi do głowy, żeby tam zagrać. Tak że nie był to czas całkiem stracony. Bo ta sztuka zrobiła się popularna, wie pan...

Uśmiechnęła się znacząco do Kita, a on odwzajemnił jej uśmiech. Susanna z trudem udawała, że jej to w ogóle nie obchodzi.

Daisy nachyliła się ku niej konfidencjonalnie. ?

- Bo wiesz, złotko - szepnęła - ja byłam pierwsza, która weszła na scenę i pokazała widowni...

- Czy ona naprawdę nazywała się Anna Smith? - przerwał szybko Kit i Susanna się nie dowiedziała, co mianowicie pokazała widowni panna Jones.

- Smith? - zdumiała się Daisy. - Skąd pomysł, że miałyby się nazywać Smith?

- Wiemy to z ksiąg parafialnych w Gorringe - wtrąciła Susanna.
- Została zapisana jako Anna Smith.

- No cóż... Nie chciała rozgłosu i pewnie dlatego podała się za jakąś Smith. Ja ją znałam jako Annę Holt. A która ty jesteś?

Susanna widziała, że Kit zeszczytniał. Zmarszczył brwi.

- Słucham, panno Jones?

- Czy ona to Sylvie, Sabrina czy Susanna?

- Nie rozumiem... - wyjąkała Susanna. I wtedy właśnie zrozumiała. Boże... czyżby?

- Anna miała trzy córki. - Daisy Jones znowu nachyliła się ku niej. Mówiła powoli, tak jakby wyjaśniała jej jakieś arytmetyczne zadanie. - Sylvie, Sabrinę i Susannę. Dlatego pytam, która ty jesteś.

Susanna otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. A potem złapała się za twarz i przyskoczyła do Kita.

- Ja mam siostry! Ja mam siostry! Mam, prawda? - zwróciła się do Daisy, żądając potwierdzenia.

'D a i s y , uśmiechając się od ucha do ucha, kiwnęła głową, a Susanna impulsywnie porwała ją w objęcia.

Jeszcze wczoraj czy przedwczoraj była tylko hieroglifem w księdze czasu. Dziś wiedziała, że ma na imię Susanna, na nazwisko Holt, i że najprawdopodobniej ma dwie siostry!

- Och, moje biedactwo... To ty nie wiedziałas? No tak, to całkiem możliwe. Byłyście takie małe, kiedy Anna wyjechała, i rozdzielili was...

-Ale... jaka była moja mama? Co się z nią stało? Co z moimi siostrami? Z ojcem? Ja jestem Susanna - wyjąkała wreszcie.

Daisy zaśmiała się, widząc jej entuzjazm.

- W takim razie byłeś wtedy dzidziusiem, kochanie. Twoja mama występowała tu, w Białej Lili... dopóki nie zobaczył jej twój tata. I wtedy wszystko się dla niej skończyło: nic innego już nie chciała, tylko żyć z twoim tatą w małym domku na wsi i wychowywać dzieci. Och, jakaż to była miła, zabawna dziewczyna... a temperamencie! Boże święty... I ucziwa do szpiku kości. Czarne to czarne, białe to białe.

Susanna słuchała w milczeniu. Jakie to dziwne - po tylu latach ktoś jej opowiada o matce... Widziały ją teraz. Czuły ją. O tak, czuły ją... Ona musi żyć, pomyślała.

- Tak, to była moja szczerą przyjaciółką - westchnęła Daisy. - Na pewno tego nie zrobiła. Mowy nie ma.

- Czego? - chciała wiedzieć Susanna i natychmiast pożałowała tego pytania. Odpowiedź, jaką usłyszy, to będzie niewątpliwie coś lubieżnego, a więc fascynującego i okropnego zarazem.

- No jakże... Nie zamordowała twojego ojca, dziewczyno.

15

Na widok twarzy Susanny Daisy Jones wyraźnie się wystraszyła.

- To ona nie wiedziała? - zwróciła się szeptem do Kita.

Pokręcił głową. Był dziwnie spięty. Susanna miała wrażenie, że jego wszystkie mięśnie są w pogotowiu, tak jakby w każdej chwili gotów był czmychnąć z tego pokoju.

Daisy odetchnęła głęboko.

- On się nazywał Richard Lockwood - zaczęła. - Piękny mężczyzna... Bardzo kochał twoją mamę i ciebie też, Susanno, i twoje siostry. Był politykiem, bardzo poważanym, bogatym. I tak jak mówiłam... wystarczyło, że rzucił okiem na Annę, tu, w Białej Lili... Nigdy się potem nie ożenił, i z twoją mamą też nie, ale ulokował ją w jednym ze swoich mieszkań, tu, w Londynie. A jak urodziły się twoje dwie siostry, przeprowadził się z rodziną do Gorringe. Bo Anna lubiła wiejskie życie, a on nabił sobie głowę, że Gorringe to zabawna miejscowość, bo ma nazwę po jakimś księciu wierszoklecie... i w ogóle. Miał poczucie humoru, twój tata. - Daisy zamilkła na chwilę. - A potem... - podjęła łagodnym tonem - potem twojego tatę zamordowali. I we wszystkich londyńskich gazetach pisali, że zamordowała go Anna. Zbrodnia w afekcie, pisali. I że byli świadkowie. Ale ja nigdy w to nie wierzyłam i dalej nie wierzę. On był wtedy w Londynie, a Anna w Gorringe, z dziećmi. Z wami, jestem tego pewna. A poza tym ona by nigdy tego nie zrobiła. - Daisy urwała, po czym podjęła na poły marząco, na poły ze smutkiem: - Widziałam,

jak oni się kochali, Susanno... to była prawdziwa miłość. Miłość, a nie tylko pożądanie.

Popatrzyła z troską na dziewczynę.

- Zbladłaś, złotko. Chcesz się położyć? -I zapraszającym gestem poklepała jedną z różowych, przypominających języki sof.

- Dlaczego wszyscy uważają, że muszę zemdleć? - zaprotestowała Susanna, aczkolwiek nieco słabym głosem. Jej matka była tancerką operową, metresą i rzekomą morderczynią. Wyglądało na to, że tragiczna miłość to cecha rodzinna. Jeśli miała kiedykolwiek zemdleć, trudno o lepszy moment niż ten.

Zastanowiło ją, dlaczego Kit jest taki nieruchomy i milczący. Może żałuje, że w ogóle miał z nią do czynienia... Może przeklina cały ten pomysł z ilustracjami do albumu i myśli: przez te diabelne nornice związałem się z córką morderczyny?

Może żałuje, że jej kiedykolwiek dotykał, zbrukanej skandalem, i marzył, aby wypłatać się z całej sprawy, gdy tylko odstawią na miejsce, do domu?

I całkiem inny rodzaj strachu sprawił, że zabrakło jej tchu.

I wtedy Kit się poruszył. Było to tak nieoczekiwane, że Susanna drgnęła. Wziął do ręki dzbanuszek stojący na gotowalni Daisy, powąchał, nalał trochę do szklanki i podał Susannie.

- Wypij - polecił cicho.

To była brandy. Przełknęła. Paliło w gardle, ale już po chwili poczuła się lepiej.

Zdała sobie sprawę, że tak właśnie, bez ostentacji Kit troszczy się o nią od samego początku, odkąd tylko przybyła do Barnstable. Począwszy od walca na zabawie, a na ryzykowaniu w jej obronie własnego życia skończywszy. Może i nie dotknie jej nigdy więcej, ale na pewno nie pozwoli, aby stała się jej krzywda.

[znowu zastygł nieruchomo, niczym stojący na warcie żołnierz. Sprawiał wrażenie niesamowicie skupionego i odległego zarazem. Czuwał. Zadawanie pytań pozostawiał jej.

- Co się stało z moją matką, panno Jones? Wie pani coś o tym? -spytała. Magia brandy działała.

-Właśnie o to chodzi, kochanie. Nikt nic nie wie. Zniknęła natchmiast, jak tylko zamordowali twojego ojca.

-A... mój ojciec... to jest James Makepeace... czy wie pani, jak to się stało, że się u niego znalazłam?

- No cóż... byłam w Londynie, jak podniosła się wrzawa, że twój ojciec nie żyje. Twój prawdziwy ojciec, Richard, był bardzo popularny, młoda damo, a jaki przystojny! A w parę dni po jego śmierci przyjechał do mnie tu, do Białej Lili, James Makepeace, bardzo zdenerwowany. On strasznie lubił teatr, Makepeace znaczy, i przyjaźnił się z Richardem. Powiedział mi, że jesteście u niego, wszystkie trzy. Kazał mi przysiąc, że nikomu nie powiem. No cóż, utrzymać sekret dla Anny... to dla mnie żaden ciężar. No i James wziął ciebie, a ja poszukałam domu dla Sylvie.

-Oddała ją pani jak szczenię?

Dłoń Kita spoczęła na jej ramieniu. Leciutko, prawie jej nie czuła.

- A co ja wtedy wiedziałam o dzieciach, moje złotko? Zresztą wzięłabym was wszystkie, dla Anny, ale byłam wtedy biedna. A poza tym tak było bezpieczniej i dla Anny, i dla was. W gazetach pisali, że Anna zniknęła razem z wami. Gdyby odkryli, że mam trzy małe dziewczynki... albo że James ma trzy małe dziewczynki... Bezpieczniej było was rozdzielić.

Cóż, mogła sobie wyobrazić tamten strach. I tę lojalność, i uczucie, które sprawiły, że sekret jej matki pozostał sekretem.

- Przepraszam panią, Daisy - powiedziała cicho. - Dla pani to także strata.

Oczy Daisy były odrobinę wilgotne. Dotknęła palcem kącika oczu, aby powstrzymać łzę, która zmyłaby róż z policzka.

- No i tak... Utrzymałam to wszystko w tajemnicy. Sylvie wzięła francuska tancerka imieniem Claude i obiecała się nią zająć. Na pewno wychowała ją na Francuzkę, niestety. - Westchnęła.

- A co z Sabriną?

- Nie wiem, złotko. Przykro mi, ale nie wiem. James znał rodzinę jakiegoś pastora. Kto wie, może to oni ją wzięli, ale nie umiem powiedzieć na pewno.

- Miałam mnóstwo szczęścia, biorąc pod uwagę okoliczności - stwierdziła chłodno Susanna, bo nie wiedziała, w co właściwie ma wierzyć ani jak się czuć. To takjakby odpaść ze skały i złapać rzuconą na ratunek linę... tylko po to, aby ujrzyć, że ta lina to wąż.

- Czy dostała pani kiedykolwiek jakąś wiadomość od Anny Holt? - Kit w końcu przemówił. Głos miał dziwny, nieobecny, takjakby przez cały czas analizował w głowie jakiś problem.

- Nigdy, przysięgam. Nikt nie wie, co się z nią stało. Nigdy jej nie odnaleźli. Może umarła? Ale na pewno nie zostawiłaby dzieci z własnej woli. Nigdy! Klnę się na wszystko, co mi drogie... na mój biust - Daisy rzeczowo, bez cienia chętności wypięła pierś, aby zaprezentować swoje walory - i na dom, na który tym biustem zarobiłam. .. że Anna nie zabiła twojego ojca.

- Ja też tak myślę.

To powiedział Kit. Cicho, ze współczuciem, ale zarazem z jakąś ukrytą furią, która sprawiła, że Susanna poczuła dreszcze. Utkwiła w nim zdumione spojrzenie, ale zbyt wiele nowin zważyło się na nią, żeby była w stanie coś powiedzieć. Potrzebowała trochę czasu, aby przetrwać to wszystko, zanim zdoła się jako tako opanować.

- Powiedziała pani, że James często chodził do teatru i że właśnie w ten sposób panią poznał - zwrócił się Kit do Daisy Jones.

- Tak. James uwielbiał... - Daisy zawahała się na moment - kostiumy. I przedstawienia. Ale kostiumy lubił najbardziej.

Wymienili z Kitem znaczące spojrzenia. Susanna poczuła złość.

-I nie domyśla się pani, jak to się mogło stać, że dzieci znalazły się u Jamesa?

- Nie, ale może pan porozmawiać z... - Daisy gwałtownie urwała.

- Z kim, panno Jones?

- No cóż... wie pan, że James był dobrym człowiekiem, panie White... - zaczęła z wahaniem.

- Znałem go - powiedział Kit miękko. - I jestem tego samego zdania. - Zabrzmiało to jak pozwolenie, aby Daisy mówiła dalej.

-W takim razie powinien pan porozmawiać z Edwinem. Edwinem Averym-Finchem. To miły gość. Był... - Znowu milczała chwilę, dobierając starannie właściwe słowo, wyraźnie ze względu na nią, Susannę. A że delikatność nie leżała raczej w naturze Daisy Jones, Susanna poczuła się zaintrygowana. - Był bliskim przyjacielem Jamesa. Zajmuje się sprzedażą antyków. Ma sklep przy Bond Street, po zachodniej stronie. Nie pokazał się w teatrze, odkąd... no, odkąd stało się to z Jamesem.

- Dziękuję, panno Jones.

- Och, drobiazg, panie White. - Teraz, kiedy rozmowa dobiegała końca, Daisy znowu stała się uosobieniem zmysłowości. - Cała przyjemność po mojej stronie. - Mrugnęła do Kita, po czym znów przygarnęła Susannę do swego wyperfumowanego biustu.

- Mam nadzieję, że uda ci się znaleźć Annę, kochanie.

-Ja też, panno Jones. - Głos Susanny był nieco stłumiony, jako że jej twarz ginęła w obfitości cielesnych kształtów Daisy. - Chciałabym doprowadzić do oczyszczenia jej nazwiska.

Daisy wypuściła ją z objęć i Susanna odzyskała dech.

- Czy będziemy mogli porozmawiać z panią raz jeszcze, panno Jones, o ile zajdzie potrzeba? - spytał Kit. - W tej chwili musimy stawić się gdzie indziej.

- Z przyjemnością, panie White.

Niemal ciągnął ją za łokieć, gdy opuszczali Białą Lilię, tak się spieszył. Przemknęli obok przystojnego pana Shaughnessy, Generała i ćwiczących tancerek i błyskawicznie znaleźli się w powozie. Kit uderzył pięścią w sufit, dając znak, by ruszali, i po najwyżej dziesięciu minutach byli już w zajeździe. Gwałtownie, nie zważając na jej protesty i prośby o wyjaśnienie, pociągnął ją do pokoju, zamknął drzwi, przekręcił klucz w zamku i posadził na krześle. Zanim zdążyła otworzyć usta, zaczął:

- Mam pani coś do powiedzenia, Susanno.

- Nigdy bym się tego nie domyśliła.

Zignorował jej ironię. Miała wrażenie, że on przebywa tu z nią tylko ciałem; czy miał nieobecne, tak jakby nadał był zajęty odczytywaniem czegoś we własnej głowie.

- James Makepeace został zamordowany. Myślę, że sprawca zabił także pani ojca, Richarda Lockwooda, a teraz próbuje zabić panią.

I pomyśleć tylko, że rok temu o tej samej porze jedynym jej zmartwieniem był krój sukien...

- Dlaczego pan tak myśli? - spytała. To, że głos Susanny brzmiał tak równo, było wręcz absurdalne, biorąc pod uwagę, że rozmawiali o jej całkiem prawdopodobnej nagłej śmierci.

Kit oddetchnął głęboko. Chwilę milczał, najwyraźniej starając się uporządkować myśli, a ona tymczasem rozejrzała się po pokoju. Jedno wielkie łóżko, nieco wysłużone, sądząc po wkleśnięciu pośrodku materaca. Biurko, za którym umieścił teraz swą długą sylwetkę Kit. Parę lamp. Dosyć czysto. Wszystko to podejrzanie przypominało atmosferę Białej Lili, a Kit najwyraźniej z góry doskonale wiedział, dokąd jada. Susanna nie miała ochoty myśleć o tancerkach operowych, które on, być może, przyciskał do tego wkleśnięcia w materacu. Przyjaciółki - tak o nich mówił. Przyjaźnie, życzliwie.

- Proszę pozwolić, że powiem, co wiem do tej pory - zaczął. - Piętnaście lat temu zamordowano Richarda Lockwooda. Sądzone, że sprawczynią jest jego metresa, i władze zamierzały ją aresztować, ale zniknęła. Nikt się nie zastanawiał, co się stało z jej trzema córeczkami; chyba sądzone, że zdołała uciec wraz z nimi. Ale dziś dowiedzieliśmy się od panny Daisy Jones, że pani matka nie nazywała się Anna Smith. Pani matka to Anna Holt, metresa Richarda Lockwooda. Lockwood był pani ojcem. I ma pani dwie siostry. Z jakiejś przyczyny pani wyładowała pod skrzydłami Jamesa Makepeace'a. A teraz James także nie żyje.

- Ale... dlaczego sądzi pan, że te wszystkie morderstwa mają coś wspólnego ze mną?

- Cóż... Richard Lockwood śledził pewnego polityka nazwiskiem Thaddeus Morley...

- O, pan Morley! Ludzie go bardzo poważają, prawda?

Kit lekko spochmurniał. Otworzył usta, tak jakby chciał coś powiedzieć na ten temat, ale pokręcił głową i wrócił do poprzedniego wątku.

-Richard Lockwood zbierał materiały mające udowodnić, że Morley zbił swoją fortunę na sprzedawaniu informacji Francuzom. Zanim jednak zdołał przedstawić komukolwiek te dowody, został zamordowany. Myślę, że Morleya ktoś ostrzegł.

Susanna spróbowała to sobie wyobrazić. Jej ojciec, polityk, stara się udowodnić winę rzekomego zdrajcy...

Zaraz, zaraz... Chwileczkę!

- A skąd, na Boga, pan to wszystko wie?

Kit przyjrzał się jej, jak gdyby oceniając, czy zdoła udźwignąć tę wiadomość. Westchnął z rezygnacją.

-Jestem szpiegiem.

Czekał na jej odpowiedź z nieodgadnioną twarzą. Błękitne oczy wpatrywały się w nią nieruchomo. Ona też nie spuszczała z niego wzroku.

- Wiedziałam! - powiedziała nagle z triumfem.

Uśmiechnął się leciutko.

- Nie.

- Tak. Zawsze był pan tak doskonale przygotowany na to, że coś się może stać, po zęby uzbrojony, tak irytująco uważny, tak znakomicie potrafił pan zawsze zapobiec nieszczęściu... Tylko szpieg albo kryminalista to potrafią. Wiedziałam, że nie może pan być zwykłym żołnierzem. Zdarzyło mi się parę razy tańczyć z żołnierzami. Żaden z nich nie miał pańskiej...

Zamierzała powiedzieć: pewności siebie. Albo: prezencji. Albo: aury niebezpieczeństwa. Ale to by go prawdopodobnie rozbawiło, a ją zmieszało, więc dała spokój.

A jednak wyraźnie się silił, aby nie okazać, że jest pod wrażeniem.

-Sporo wie pani o szpiegach... Jest pani bardzo spostrzegawcza. Może to w ogóle cecha artystów... Bo ja bardzo się starałem to ukryć.

- To ja jestem artystką? - podchwyciła. Zaczynała się już przyzwyczajać do myśli, że ma talent, ale „artystka” - o, to była całkiem nowa definicja. Nowa i nader wyrazista. Susanna Makepeace-Lockwood-Holt, artystka... Dzielna, pełna temperamentu, skłonna do rozpusty. Zaczynała istnieć jako osoba.

- Tak, i to utalentowaną - potwierdził, a ona wiedziała, że to nie pochlebstwo, bo z pewnością w całym swoim życiu nie powiedział nic wyłącznie dla pochlebstwa. - Nie wygląda na to, żeby specjalnie zaszokowała panią wiadomość, iż jestem szpiegiem - dodał niemal z urazą.

- A co mnie jeszcze może zaszokować? - spytała ze sztuczną bez troską. Kit prychnął, jednak ze wszystkich rewelacji, jakie dziś usłyszała, ta naprawdę wydawała się jej najmniej wstrząsająca. - Ale jak to się stało, że znalazłam się u Jamesa Makepeace'a? I w jaki sposób James dowiedział się o Lockwoodzie, Morleyu, Francuzach, dowodach i w ogóle o wszystkim?

- Nie wiem, jak to się stało, że wylądowała pani u Jamesa, Susanno. Ale to on musiał ostrzec pani matkę. On też był szpiegiem.

Susanna wlepiła w niego oczy.

- To niemożliwe.

Kit uśmiechnął się krzywo.

- Nie każdy szpieg ma za zadanie bronić dziewicę przed niebezpieczeństwem. Tak naprawdę zdarza się to nader rzadko. James był... łącznikiem. Pracowałem z nim parę razy. Stanowił swego rodzaju ogniwo w wielu ważnych sytuacjach, rozpracowywanych przez ministerstwo spraw zagranicznych w kontakcie z Bow Street. I pewnie dzięki temu mógł się dowiedzieć zarówno o morderstwie Richarda, jak i zamiarze aresztowania pani matki na tyle wcześniej, że zdążył ją ostrzec. Ale tamtego wieczoru, kiedy powiedział mi o swoich podejrzeniach co do Morleya, nie wspomniał choćby słowem o pani. Przypuszczam, że to siła nawyku: przez całe życie chronił panią przed prawdą, bo nie chciał pani popsuć przyszłości. Była pani przecież zaręczona z młodzieńcem, który dziedziczył arystokratyczny tytuł, prawda? Nie chciał pani skompromitować.

Jakże inaczej mogło wyglądać całe jej życie, gdyby nie James Makepeace...

- Tyle dla mnie zaryzykował - powiedziała w zamyśleniu. -I dla mojej matki i ojca. Gdyby odkryto, że wychowuje córkę kobiety oskarżonej o morderstwo...

Kit skinął krótko głową, jak gdyby kończąc w myśli to zdanie.

- Mówiłem już pani o tym, Susanno, że uważałem Jamesa za przyjaciela, choć skłamałbym, gdybym powiedział, że go dobrze znałem. James był miłym, szlachetnym człowiekiem... I dzielnym. Nie sądzę, aby to był zbieg okoliczności, że zarówno Richarda Lockwooda, jak i Jamesa Makepeace'a zamordowano w chwili, kiedy jakoby zbierali dowody przeciwko Morleyowi.

-Ale dlaczego oni... -Jakie to dziwne słowo: oni... Kim są ci „oni”? - Dlaczego próbują zabić i mnie?

Kit odepchnął się od biurka, wstał i podszedł do niej.

- Proszę pomyśleć. Może przypadkiem wie pani o czymś ważnym?

Potarł niecierpliwie tył głowy i bieg myśli Susanny na moment uległ zmianie. Można by sądzić, że jego włosy są szorstkie w dotyku, bo były krótko przystrzyżone i lśniły w świetle lampy niemal metalicznym blaskiem, ale ona wiedziała, że to nieprawda: były miękkie, jedwabiste. Pamiętała, jak zaskoczył ją ich dotyk w tamtej chwili, i tak już obfitującej we wrażenia: powiew wiatru na jej nagim, odsłoniętym ciele, potem jego oddech... jego usta... a potem, o Boże, jego język na brodawce... Chwyciła go wtedy za głowę. Włosy były nieoczekiwanie miękkie.

Wszystko w nim było nieoczekiwane.

Poczuła żar na policzkach, a w brzuchu - ostry spazm pożądania.

A wszystko tylko dlatego, że potarł dłońią tył głowy...

Kit musiał coś zobaczyć w wyrazie jej twarzy, gdyż na moment znieruchomiał, a oczy mu zapłonęły. Całkiem jakby czytał w jej myślach.

Po czym odwrócił niedbale głowę i podjął watek, tak jakby ona osobiście nigdy nie robiła na nim najmniejszego wrażenia.

- Może *coś* pani widziała, Susanno, albo coś słyszała? Coś, co by mogło stanowić dowód przeciwko Morleyowi. A może ma pani coś, co według Morleya może stanowić dla niego zagrożenie?

- Nie sądzę, żebym go w ogóle kiedykolwiek spotkała. Rzadko widywałam nawet ojca... to jest, Jamesa Makepeace'a. Jedyna rzecz, jaką udało mi się zachować z dawnego domu, to moje suknie i miniatura matki. To jedyna jej podobizna, jaka istniała w całym domu.

- Mogę zobaczyć tę miniaturę jeszcze raz?

Susanna wpatrywała się w nią dotychczas tak często i intensywnie, że cudem było, iż podobizna nie wytarła się i nie zbladła pod wpływem samej tylko siły jej tęsknoty. Zanim podała miniaturę Kitowi, rzuciła na nią okiem raz jeszcze. Pełna słodyczy twarz, wesoły błysk w jasnych oczach... Nie, ona nie może być morderczynią!

Kit wziął portrecik do ręki.

- „Dla Susanny Faith, jej matka, Anna” - przeczytał na głos. - Może to jakiś kod? A może się otwiera? - Przyjrzał się miniaturze dokładniej i potarł palcem brzegi.

Susanna pisała.

- Proszę uważać! Zniszczy ją pan!

Kit z niejakim wysiłkiem powściągnął swój badawczy zapał i zwrócił miniaturę Susannie. Wzięła ją z czułością do ręki i przyjrzała się twarzy matki raz jeszcze.

- Kit... nawet jeśli... nawet jeśli miniatura może stanowić jakiś klucz, skąd Morley miałby o tym wiedzieć?

- Nie wiem, Susanno. Czy pani ojciec... to jest James Makepeace... wiedział o jej istnieniu?

- Tak. Na krótko przed jego śmiercią widziałam nawet, jak się w nią wpatruje... - Zniżyła głos i urwała, tak jakby coś jej przyszło do głowy. - Powiedział wtedy: „No oczywiście!”

Kit zmarszczył brwi.;

- Słucham?

- Przed paroma tygodniami zastałam go w moim pokoju... trzymał miniaturę w ręce i pilnie się jej przyglądał. - Zaczerwieniła się. 'Jakoś głupio to brzmiało... - Ale patrzył na odwrotną stronę, nie na

twarz mojej matki. Wydało mi się to niewłaściwe. A potem powiedział: „No oczywiście!” Głos miał zadowolony. A właściwie... jakby podekscytowany.

- Być może coś sobie uświadomił. - Kit zamilkł i się zamyślił. Usiadł na krześle i wyciągnął przed siebie długie nogi. - Dlaczego zabrała pani z domu tylko tę miniaturę i suknie, Susanno?

- Bo wszystko inne wynieśli jacyś ludzie. Pewnie cała reszta była niezapłacona.

-A jak wyglądali? Ci ludzie?

-Wszyscy byli bardzo zadowoleni i weseli. Wręcz obraźliwie. I do siebie dosyć podobni. Ten, w którego chciałam rzucić wazą, był krępy, miał tylko jedną brew, niebieskie oczy... Ojej! Właśnie coś sobie uświadomiłam. Ja... ja musiałam odziedziczyć temperament po matce! Panna Jones powiedziała, że moja matka miała „temperamencik”. - Susanna poczuła przewrotne zadowolenie. Miło było wiedzieć, że coś po kimś odziedziczyła.

Kit był jednak nadal zamyślony i posępny.

- Podejrzewam, że ci ludzie przeszukali dom na polecenie Morleya. No, ale... nie wiem, czy zdołałbym to udowodnić.

-Ale mój ojciec był bez grosza, kiedy zmarł... prawnik mi powiedział. I skąd pan Morley miałby wiedzieć, że mój ojciec... coś wie?

-Nie mam pojęcia. - Kit zgarbił się i przetaił twarz dłońmi znużonym i niecierpliwym gestem. Złożył ręce na udach, tak jakby chciał je powstrzymać, żeby nie drgały.

Przyglądała się mu. Nigdy dotąd nie widziała go w takim stanie. Był zły, zmęczony, odarty z blasku.

Chwilę myślał. Nagle się rozjaśnił.

-Ale... jeśli oni czegoś szukali, to nie próbowaliby pani zabić, gdyby znaleźli to, o co im chodzi! Wobec tego nadal mamy szansę.

- Ach tak. A więc się pan cieszy, że nadal będą próbowali mnie zamordować?

- Naturalnie. Bo szalenie lubię ryzykować życie w pani obronie, panno Makepeace.

- Raczej pan musi.

Kącik ust Kita uniósł się odrobinę.

- Inaczej bym tego nie robił.

- Bo trudniej by było zająć się moimi zwłokami niż zapobiec temu, żebym się nimi nie stała, tak? - zadrwiła.

- Dosyć - uciał. Chłodno, ostro, tak jak poprzednim razem. Susanna poczuła, że żar zalewaj jej policzki. Miała ochotę się usprawiedliwić, ale nie wiedziała, jaką granicę przekroczyła.

Kit wstał i zaczął spacerować po pokoju. To też było do niego niepodobne. Nie wyglądał na człowieka, który traciłby energię na darmo. Obserwowała przez chwilę, jak chodzi, tam i z powrotem, tam i z powrotem... Wreszcie stanął i, całkiem rozsądnie, zapalił lampę, potem drugą. Pokój wypełnił się światłem.

- Kit... - zająknęła się. - Dlaczego jest pan taki pewny, że Morley istotnie popełnił te przestępstwa?

- Nie jestem pewny.

- Niech pan nie udaje, proszę. Wygląda na to, że jest pan przekonany o jego winie.

Zawahał się.

- Instykt - rzucił lekko, mimochodem.

Ale ten moment wahania zdradził Susannie, że jej własny instykt się nie mylił: chodziło o coś więcej. Coś dawniejszego, leżącego głębiej... Wolałaby tego nie wiedzieć, a jednak musiała zapytać.

- Czy to ma coś wspólnego z Caroline Allston?

Rzuciła te słowa dość niedbale, tak by nie czuł się przyparty do muru, nie uciekł ani w uparte milczenie, ani w czcze wielosłowie.

Jakaż to subtelna sprawa - kierować mężczyzną...

No, w każdym razie tym mężczyzną.

Kit przerwał swój spacer. Założył ręce na piersi, wsparł się o biurko i popatrzył na nią z wystudiowaną swobodą. Susanna dzielnie wytrzymała to spojrzenie. Uczyła się w ten sposób rozmaitych form dzielności. Cierpliwość - zwłaszcza cierpliwość wobec Kita Whiteława - była jedną z jej odmian.

I w końcu jego usta wygiął łeciutki uśmiech uznania.

Podobało mu się to. Lubił wyzwania. Prawdopodobnie rzadko kiedy stawiano mu wyzwania prawdziwe.

- Nie potrafiłem jej pomóc - powiedział cicho, tak jakby słowa musiały pokonać dystans wielu lat, zanim tu dobiegły. - Jej, Caroline.

- A dlaczego potrzebowała pomocy? - spytała tonem towarzyskiej konwersacji, aby było mu łatwiej.

Znowu minęła długa chwila, zanim odpowiedział.

- Caroline była córką dziedzica Barnstable - zaczął, patrząc na lampę, tak jakby właśnie do niej mówił. - A jej ojciec... no cóż, pił, grał w karty... Caroline starała się go upijać do nieprzytomności, bo wtedy nie był w stanie jej bić. - Kit zaśmiał się niewesoło. - A ręce miał ciężkie; nieraz chodziła posiniaczona. Zacząłem podkradać alkohol mojemu ojcu, tak by miała go czym poić. Dopóki ojciec mnie nie przyłapał i nie wychłostał. Myślał, że kradnę dla siebie... co nie znaczy, że nigdy nie ukradłem dla siebie - dodał, zerknąwszy na nią.

- Niczego innego bym się po panu nie spodziewała - zadrwiła lekko Susanna, choć serce ścisnęło jej się ze współczucia.

Odrobinę się rozluźnił. Rozplótł ręce. Teraz, kiedy zdecydował się już wejść głębiej w tę historię, napięcie i niezręczność zaczęły ustępować.

- Caroline była... cóż, była piękna. Trudno o inne określenie.

- To już słyszałam. - Nie mogła się oprzeć, by tego nie powiedzieć.

Kit uniósł brew, doceniając jak zwykle jej ironię.

- Potrafiła także ludźmi manipulować. Teraz widzę to jasno. Ale wtedy... cóż, John i ja... John Carr, mój najlepszy przyjaciel-wyjaśnił. - No więc obaj z Johnem szaleliśmy za nią, a ona o tym wiedziała. I wykorzystywała to. A jednak było w Caroline coś takiego... coś, co sprawiało, że tak czy owak, chciało się jej bronić, cokolwiek by zrobiła czy nie zrobiła. - Popatrzył Susannie prosto w oczy, niemal wyzywająco. - Chciałem się z nią ożenić.

Zabrzmiało to prawie jak oskarżenie albo obrona.

Skąd ten ton? Gzy spodziewał się, że będzie go osądzać za to, iż nie ożenił się z Caroline? A może myślał, że ona, Susanna Makepeace, też mierzy powyżej swej socjalnej pozycji, podobnie jak tamta?

- I ożeniłbym się, gdybym się odważył. Ale mój ojciec by mnie zabił, no i...

- Miał pan zaledwie siedemnaście lat - przypomniała.

- Można spłodzić dziecko w wieku siedemnastu lat, Susanno - rzekł bez ogródek. - To się zdarza. Wielu ludzi się pobiera w wieku siedemnastu lat. Moi rodzice też się pobrali, mając po siedemnaście lat.

Zarumieniła się lekko.

- Ale był pan także synem księcia.

- I nadal nim jestem - powiedział na poły drwiąco, na poły z goryczą. - Tak więc, krótko mówiąc, mogłem ją uratować, ale nie uratowałem. Bo miałem siedemnaście lat, byłem synem księcia i bałem się ojca.

- A John Carr?

Chwilę milczał.

- Och, on też by się chętnie z nią ożenił. Pragnął tego równie desperacko jak ja. Ale jego ojcu ten pomysł także się nie podobał, podobnie jak mojemu. No i ona wołała mnie. Obaj o tym wiedzieliśmy.

Znowu spojrzął Susannie prosto w oczy. Oceniał jej reakcję.

- Ja jestem synem księcia - powtórzył tytułem wyjaśnienia. - A John jest synem barona.

- Nie - wyrwało się jej niemal bezwiednie. Spojrzął na nią, zaskoczony, więc była zmuszona dokończyć zdanie, choć czuła, że się czerwieni. - To dlatego, że pan... - zająknęła się - to pan.

Najwyraźniej był zdziwiony. A że w tych paru słowach powiedziała niechcący o wiele więcej, niż zamierzała, zmieniła temat.

- No i co było dalej? - ponagliła go.

- Cóż, dopóki żyła moja matka, ojciec co roku organizował przyjęcie tu, w Różanym Dworku, i zapraszał na nie wszystkich

miejscowych obywateli. Tamtego roku był też na nim pan Morley. Przypuszczam, że starał się o elekcję i chciał uzyskać poparcie mojego ojca. Pamiętam ten moment, kiedy po raz pierwszy zobaczył Caroline... - Kit urwał i zaśmiał się krótko, niewesoło. - Ogromnie byłem zazdrosny, że on potrafi zachowywać się tak, jakby nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.

Słuchać tego też nie jest łatwo, pomyślała Susanna.

- Przez cały wieczór Caroline rozmawiała głównie z nim. Było to dosyć niestosowne, no i doskonale wiedziała, jak działa to na mnie. I na Johna. Morley popatrzył na mnie... i... się uśmiechnął. Tak jakby. .. - Kit urwał. - Jakby mnie nienawidził. Nie znał mnie, a jednak nienawidził.

Pomilczał chwilę.

-Wtedy się odwróciłem... a oni wyszli. Caroline i Morley. A John powiedział do mnie... - Kit odwrócił się, tak jakby chciał jej oszczędzić własnego widoku, kiedy będzie wymawiał te słowa - powiedział: „To zwykła dziwka, Grantham”.

Pozwolił, by przez chwilę dźwięczały w powietrzu te brzydkie słowa. W uszach Susanny zabrzmiały tak, jak niewątpliwie musiały wtedy zabrzmieć w jego uszach - dumnego zakochanego młodzieńca, który właśnie miał stracić wszystko, czego pragnął, na rzecz innego mężczyzny. Mężczyzny, z którym nie był w stanie rywalizować - Morleya.

- I, co oczywiste, musiałem wyzwąć Johna na pojedynek. - Ton Kita był drwiący, a jednak słyszała w nim także nutkę zażenowania. - Pomimo że był moim najlepszym przyjacielem. No i pojedynkowi udało się, ja go postrzeliłem, a nasi ojcowie natychmiast wysłali nas do wojska. Od tamtego wieczoru nigdy Caroline nie widziałem. Morley też nazajutrz wyjechał. I to chyba koniec całej historii. Zabrał ją.

-I właśnie dlatego... właśnie dlatego tak pan nie lubi Morleya - powiedziała powoli. Zaczynała rozumieć.

Kit zmarszczył brwi.

- Co pani ma na myśli?

- Zabrał Caroline z Barnstable, a pan nie. Morley ją uratował, a pan nie potrafił.

Kit utkwił w niej nieruchome spojrzenie. Kiedy indziej przestraszyłaby się tego wzroku, ale teraz już nie. Zaczynała się przyzwyczajać.

A po chwili.... dziwne. Wjego wzroku pojawiło się znużenie.

I natychmiast się zerwał.

- Idę na korytarz, a pani się w tym czasie przebierze w nocną koszulę i wejdzie pod kołdrę, panno Makepeace. Rano idziemy złożyć wizytę panu Avery'emu-Finchowi. Ja się prześpię w fotelu.

Odczekał na korytarzu odpowiednio długą chwilę, tak by zdążyła się przebrać. Potem wszedł, pogasił lampy i bez słowa wyciągnął się w fotelu.

Susanna nie potrafiła powiedzieć, ile czasu minęło, ale nie spał ani on, ani ona. Zdarzenia minionego dnia, zdarzenia ostatnich tygodni, niebezpieczeństwo i słodycz, jakie przeżyła, nieoczekiwane odkrycia, wszystko to kotłowało jej się w głowie i rodziło nowe pytania. I jedno ośmieliła się zadać.

Serce zabiło jej mocniej, tak śmiała było to, co zamierzała powiedzieć.

- W fotelu jest panu niewygodnie, Kit. Może położy się pan koło mnie? Obiecuję, że nie będę się rzucać.

Starła się, by zabrzmiało to lekko. Jak rzeczowa, praktyczna sugestia. Miała nadzieję, że dostatecznie ukryła zdrożne pragnienia, które miały maskować te słowa.

Nastała cisza tak gęsta, że Susanna miała wrażenie, iż może nabrać ją w garść.

- Nie, Susanno. Obok pani spałoby mi się jeszcze gorzej.

Ton głosu miał charakterystyczny dla siebie: ironiczny, znaczący i trochę groźny. Równie dobrze mógł wsadzić jej rękę pod koszulę, tak działał na nią jego głos.

- W takim razie dobranoc - powiedziała. Wątpliwe, czy w ogóle będzie spać tej nocy... Dlaczego, na Boga, on tak uporczywie trzyma

się na dystans, skoro i tak już przekroczyli granicę przyzwoitości i honoru? A może istotnie tak jest lepiej? A jednak jej ciało zdawało się mieć własne racje, niemające z rozsądkiem nic wspólnego.

Tak, on chyba ma słuszość, że utrzymuje dystans... Ale wcale nie było jej z tą myślą łatwiej. Starła się przypomnieć sobie samej, iż winna mu jest wdzięczność za to, co jej zapewniał: bezpieczeństwo i odkrycie prawdy o jej przeszłości.

Nie powinna pragnąć niczego więcej.

- Dobranoc, Susanno. Rano idziemy do pana Avery'ego-Fincha. Dziś w nocy na pewno nikt pani nie zamorduje. Nie pozwolę na to.

- To ładnie z pańskiej strony - mruknęła.

Po jakimś czasie oczy przywykły do ciemności. Widział, jak jej pierś wznosi się lekko i opada w miarowym oddechu. Odrzucił kołdrę i patrzył. Czuł się jak nieopierzony młodzieniec. Jak on śmieszny, jak on przejęty.

Wyobraził sobie, że wchodzi do łóżka, kładzie się obok niej, bierze w ramiona, czeka, aż ona się przebudzi. Wyobraził sobie, że dotyka cieniutkiej tkaniny jej nocnej koszuli - z pewnością ciepłej jej ciepłem, wonnej jej zapachem - i że słyszy jej szelest, gdy odgarnia koszulę, odsłaniając nagie ciało. Wyobraził sobie, że przesuwa dłońmi po jej krągłych ramionach i biodrach... po gładkich jak płatek kwiatu piersiach... po jeszcze gładszych, delikatniejszych brodawkach... Wyobraził sobie, jak jej ciało faluje pod jego dotknięciem, gdy odkrywa ją na nowo, w pełni tym razem. Wyobraził sobie, jak odnajduje i smakuje ją wargami, wszystko... wklęsłość brzucha... uda... słysząc westchnienia i jęki w odpowiedzi na pieszczotę... I jak w końcu bierze ją całą, jak porusza się w niej, ciało przy ciele, blisko, najbliżej...

O Boże.

Pożądał jej. Pożądał. Pożądał.

Oddychaj głęboko, nakazał sobie surowo. Wdech, wydech. Jak wtedy, gdy boli,

Z latami stał się czymś w rodzaju zabijaki. Potrafił zrobić właściwy użytek ze swoich rąk i nóg, z szabli i pistoletu, uratować życie własne i cudze, i robił to wielokrotnie w służbie ojczyzny. Wiedział, że świetnie daje sobie radę; był dostatecznie inteligentny, by to zauważyć, i dostatecznie arogancki, by odczuwać dumę. A mimo to nie był niezawodny. Cóż za ironia losu... Znowu rzucił mu w ramiona kobietę, której trzeba bronić przed niebezpieczeństwem. W jego jakże zawodne ramiona.

Uśmiechnął się krzywo. „Morley ją uratował, a pan nie potrafił”.

Powiedziała to tak niedbale. A przecież te słowa były kluczem do ponad dziesięciu lat jego życia.

Ta kobieta go przejrzała. Jak nikt dotychczas. Ku własnemu zaskoczeniu ujawniał przed nią swoje tajemnice, a ona i tak zdawała się znać je z góry. Wiedział, że sama była zaskoczona siłą swej namiętności, tak jak zaskoczony był on. I, o Boże... jakaż była piękna!

Tak, wiedział, że jest mistrzem we władaniu bronią. Wiedział, że nie jest niezawodny. I wiedział, siedząc tu w ciemności, że się boi jak chyba nigdy w życiu. Nie potrafił powiedzieć dlaczego.

Bob wszedł, utykając lekko.

- Ten wielkolud o mało mnie nie zabił. Walczył jak szatan. Wiedziałem, czego się można po nim spodziewać, i faktycznie. To mistrz.

Najwyraźniej był zirytowany. Zapłata, jaką otrzymał, była za mała, skoro spotkał się z oporem przeciwnika. A coś dopiero skutecznym.

-A zatem ona żyje - rzekł Morley beznamiętnie. Minał już ponad tydzień, odkąd widział Boba. Nie spodziewał się w tej sytuacji pomyślniej nowiny.

- Tak - potwierdził Bob bez odrobiny skruchy. -I wiem już, jak się ten jegomość nazywa. Dowiedziałem się w gospodzie w Barnstable. Potąd mam już Barnstable, proszę pana... Jest tam jeden gość, co stale siedzi w gospodzie, Evers. Nudny jak diabeł... Powiedział pan, żeby przyjść, jak będę miał jakieś wiadomości.

- No i? - ponaglił go Morley. - Nazwisko?

- Grantham. Jest wicehrabią.

Morley poczuł, jak serce mu się ściska. Zakaszał.

- Mrrrau? - odezwał się Puszek u jego stóp.

-Wicehrabią - powtórzył Bob, delektując się słowem. Skoro to wicehrabia, to coś dziwnego, że walczył jak szatan.

Morley miał wrażenie, że jego serce zachowuje się jakoś inaczej. Przysiągłby, że na chwilę stanęło. Ale już podjęło pracę i jego umysł tak samo.

Doprawdy, los się na niego uwziął. Wciąż funduje mu przykre niespodzianki. Mógłby dać mu spokój choć na dzień czy dwa...

- Słyszałem w gospodzie - powtórzył raz jeszcze Bob, skoro pryncypał milczał - że jest miejscowym lordem.

Boże święty, co robi Grantham z córką Makepeace'a?

- Sir?

Chyba milczał zbyt długo.

- Interesujące - rzucił niedbale. Tylko po to, by przerwać milczenie. I żeby Bob nie zauważył, że coś jest nie tak.

Może to tylko nieszkodliwe zaloty? Grantham też pochodził z Barnstable i było całkiem możliwe, że ich ścieżki skrzyżowały się przypadkiem. Susanna Makepeace musiała być ładna, skoro wygląda podobno jak kopia Anny Holt. Grantham był kobieciarzem; wiedzieli o tym wszyscy. Może po prostu miło spędzał czas, tak jak to robiłby na jego miejscu każdy inny uwodziciel?

Ale to by był, do czorta, kolejny zbieg okoliczności. A było ich już tak dużo.

No, ale z drugiej strony... cóż, on przecież nie wierzył w zbiegi okoliczności. Po co więc w ogóle zawracać sobie głowę tym określeniem?

Musiał jednak przyznać, że sprawa wygląda coraz gorzej.

Tamtego wieczoru, przed laty, na przyjęciu u księcia Westphall, za pomocą jednego jedyne go uśmiechu sprawił, że Grantham wiedział, co zamierza uczynić. Może to był błąd - pozwolić sobie wówczas na okazanie triumfu. Nienawiści. Pogardy dla tego wszystkiego, co reprezentował sobą ten młodzik, a co dla niego, Morleya, było nie-

dostępne. Zapomniał, że z żółtodziobów wyrastają mężczyźni i że miewają oni dobrą pamięć.

Spróbował ocenić sytuację na szachownicy. Kto bierze udział w tej grze?

I poczuł dreszcz podniecenia. Przyszła mu do głowy śmiała strategia.

Zabić Granthama? Wykluczone. Łatwo sobie wyobrazić rozmiary śledztwa, jakie pociągnęłyby za sobą jego śmierć, a poza tym zbyt trudne byłoby to przedsięwzięcie. Ale może postawić na to, co mu o nim wiadomo: na jego upodobanie do bohaterstwa, honoru i... do kobiet. Do jednej kobiety w szczególności. Mógłby go zgrabnie złapać w pułapkę. Może nawet skompromitować, a w każdym razie odsunąć od Susanny Makepeace na dostatecznie długi czas, by Bob mógł zrobić swoją robotę albo uzyskać od niej nieco informacji.

- Znajdź Caroline - zwrócił się do Boba - i przyprowadź ją tutaj.

- Przyprowadzić ją tutaj? Ależ ona cały czas się teraz wymyka, sir. Nie dam rady.

- Powiedz jej... że to wszystko pomyłka. Ze jej wybaczam.

- Za pozwoleniem, sir... Może i ona nie jest mądra, ale głupia też nie. Niech jej pan sam to powie. Przynajmniej będzie wiedziała, że jej pan nie... - Bob wymownie przeciągnął palcem po gardle.

Bob miał rację. Bez jego, Morleya, udziału nie uda się schwytać Caroline.

Musi się z nią spotkać..

Serce znowu mu się ścisnęło. Ale tym razem nie był to groźny skurcz tylko reakcje na coś nieoczekiwanego.

- Gdzie ją ostatnio widziałeś?

- W zajeździe pod Headley Meade. Parę dni temu.

Headley Mead... Najwyżej godzina drogi od Londynu.

-Jak myślisz, potrafisz ją odnaleźć?

-Jasne, sir. Jestem za...

Morley westchnął ciężko.

-W takim razie zorganizuj nam spotkanie, najszybciej jak się da.

Sklep pana Avery'ego-Fincha sprawiał wrażenie przysypanego pyłem wieków. Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie połyskiwały matowo rozmaite nadzwyczaj kruche przedmioty: wazy, komplety filiżanek, talerze, posągi, figurynki, obrazy, kandelabry, zegary... Inny kupiec, pomyślał Kit, zawiesiłby dzwonek u wejścia, aby ostrzegał, że ktoś wchodzi; pan Avery-Finch zdawał się tylko na to czekać, by potencjalny klient rozbił coś w drobny mak.

Nie wszystko było tu równie wartościowe; przedmioty cenne mieszały się z mniej cennymi, ale tylko wytrawne oko mogło je rozróżnić. Kit był ciekaw, czy to niedbałość, czy zasada, dzięki której kupiec mógł ocenić, na ile klient zna się na antykach i ile pieniędzy da się od niego wyciągnąć.

Susanna najwyraźniej bała się poruszyć w swojej długiej spódnicy. Kit poprowadził ją ścieżką pomiędzy kopią Wenus z Milo a pozłocaną skrzynią, myśląc zarazem, że aby trafić z powrotem do drzwi, będzie im chyba potrzebny kompas.

- Dzień dobry państwu! Czym mogę służyć, sir? - Mężczyzna, który mógł być wyłącznie panem Averym-Finchem, zgiął się w powitalnym ukłonie.

Kiedy się wyprostował, Kit zaniemówił.

To te jego oczy... Poza tym pan Avery-Finch wyglądał jak wielu innych Anglików w średnim wieku: przerzedzone włosy, lekko zaokrąglony podbródek, ubrany porządnie, ale bez ostentacji.

Oczy miał jednak porażające. Ciemne, pełne smutku, tkwiły w głębokich zapadliskach oczodołów, które wyrzeźbić tak brutalnie mógł tylko ból.

- Pan Avery-Finch, jak sądzę? Nazywam się White.

Wymienili ukłony, precyzyjne i ostrożne, by czegoś nie potracić.

- Witam, panie White. Coś dla damy? Mam na zapleczu piękną sofę w stylu Ludwika XVI. Będzie się znakomicie nadawać do którejsz z państwa wiejskich posiadłości.

Kit omal się nie uśmiechnął. Pan Avery-Finch na pierwszy rzut oka ocenił ich trafnie: jako ludzi zamożnych i rozrzutnych. Ale jego jowialny głos stanowił wręcz makabryczny kontrast z tą przejmująco smutną twarzą.

- Panie Avery-Finch - powiedział łagodnie Kit - przysłała nas tu panna Daisy Jones. Podobno był pan w bliskich stosunkach z panem Jamesem Makepeace'em.

Pan Avery-Finch zamarł. Sztuczna wesołość zniknęła z jego twarzy, która była teraz szara i pusta.

- Tak - powiedział schrypłym z emocji głosem. - Byłem.

Kit wiedział, że określenie „przyjaciel” nie oddaje w pełni tego, czym był James Makepeace dla pana Avery'ego-Fincha. I nagle dzięki temu drobnemu handlarzowi antyków James Makepeace ukazał się jego oczom nie jako ktoś anonimowy, ale jako ktoś, kto był kochany.

- Prowadzimy śledztwo w związku z jego śmiercią - wyjaśnił. A w myśli dodał: w związku z jego życiem też.

Pan Avery-Finch milczał. Stał nieruchomo, tak jakby sama wzmianka o Jamesie była ciosem tak silnym, że go ogłuszył.

- Współczuję panu z powodu pańskiej straty - powiedział cicho Kit. - James był moim przyjacielem.

- Czy może... zajmuje się pan tym samym co James? - zaryzykował ostrożne pytanie pan Avery-Finch.

- To znaczy... importem antyków? - podjął równie ostrożnie Kit.

Pan Avery-Finch uśmiechnął się lekko.

- A więc się nie mylę, prawda? - Trafnie odgadł, że to rodzaj kodu, oznaczający działalność szpiegowską.

- A pani...?-Zwrócił spój rzenie na Susannę.

-Jestem jego córka, panie Avery-Finch. Mam na imię Susanna.

Mężczyzna otworzył szeroko oczy, ale nie było w nich zdziwienia. Raczej... namysł. Przyglądał się Susannie, jakby analizował jej rysy. Rozchylił wargi, jakby chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał.

- Może powinniśmy usiąść i porozmawiać w salonie na zapleczu. Powieszę tylko tabliczkę na drzwiach.

Sprawnie i umiejętnie przemknął pomiędzy swymi kruchymi zbiorami i przekręcił klucz w zamku.

- Mogę poczęstować państwa herbatą - rzucił przez ramię. - Czego jak czego, ale filiżanek mi nie brakuje. - Zatoczył ostrożny łuk ręką, wskazując swój wyładowany po brzegi towarem sklep.

Susanna się zaśmiała. Pan Avery-Finch także się uśmiechnął, zadowolony, że ten żarcik zdołał odrobinę rozjaśnić mroczną atmosferę.

- Panna Makepeace wie, że James nie był jej ojcem - powiedział Kit, gdy usiedli z filiżankami dymiącej herbaty w rękach. Nic nie stało na przeszkodzie, by od tego właśnie zacząć rozmowę.

Pan Avery-Finch popatrzył na Kita bacznie, ostrożnie.

- Proszę się nie obawiać, panie Avery-Finch. Cokolwiek pan powie, zostanie między nami. Nie sądzę, aby śmierć Jamesa była przypadkowa, i to jest powód, dla którego się tu znajduję.

- Życzyłbym sobie, żeby do mnie przyszedł, zanim... - Głos mężczyzny się załamał. - Widzi pan, James tonął w długach. Miał słabość do dzieł sztuki i znakomicie potrafił je ocenić, lepiej niż ktokolwiek inny I tak się właśnie poznaliśmy; przyszedł do mojego sklepu prawie dwadzieścia lat temu. - Uśmiechnął się słabo. - Był taki praktyczny we wszystkim, co robił, miał świetną głowę do rachunków... ale nie potrafił się powstrzymać przed kupowaniem rzeczy, na które nie było go stać. Adoptował je, tak jak dzieci. Potrzebował ich. I... cóż, nie miałem pojęcia, w jak rozpaczliwym położeniu się znalazł, jeśli chodzi o finanse.

- W jak rozpaczliwym położeniu się znalazł? - powtórzył pytanie Kit. Powąchał herbatę. Chyba należało ją posłodzić, ale pan Avery-Finch nie pomyślał o cukiernicy. Mimo to Kit pociągnął łyk.

- Powiedział mi przy winie... James uwielbiał czerwone wino. - Pan Avery-Finch uśmiechnął się przelotnie i popatrzył na Susannę i Kita, jak gdyby licząc, że podzieli z nim to wspomnienie. Susanna posłała mu lekki uśmiech zachęty. - Powiedział mi, że napisał do Thaddeusa Morleya.

- Szantaż? - zaryzykował Kit.

- A cóż innego może sprawić, że człowieka zamordują? - odparł zaskakująco szorstko pan Avery~Finch. - Tak właśnie zrobił, przeklęty głupiec... Powinien był zwrócić się do mnie! Nie jestem specjalnie bogaty, ale znalazłbym jakiś sposób... razem byśmy znaleźli... jakiś sposób, jakieś wyjście...

Kit czekał w milczeniu, aż gniew i rozpacz mężczyzny nieco osłabną, i dopiero wtedy zadał następne pytanie.

- Dlaczego szantażował właśnie Morleya?

To pytanie sprawiło, że filizanka, którą trzymał w ręce pan Avery-Finch, najwyraźniej stała się nagle w jego oczach przedmiotem fascynującym. Wpatrywał się w nią, tak jakby sprawdzał liczbę kwiatusków, namalowanych na jej powierzchni.

- Jeśli o czymś panu wiadomo, sir - odezwała się cicho Susanna - byłabym niezwykle wdzięczna, gdyby zechciał nam pan o tym powiedzieć. Bo widzi pan, nie mam w tej chwili żadnych krewnych... nikogo... więc jeśli wie pan cokolwiek na ich temat...

Grymas współczucia przemknął po twarzy antykwariusza. I po chwili skinął głową, tak jakby sam sobie dawał pozwolenie, by mówić.

- James zrobił to dla Richarda. Dla Richarda zajął się panią i pani siostrami.

- Dla Richarda Lockwooda? - wtrącił szybko Kit.

Pan Avery~Finch rzucił Kitowi cierpkie spojrzenie.

- Może będzie lepiej, panie White, jeśli powie mi pan, co już panu wiadomo na temat Richarda i Jamesa, a ja wówczas uzupełnię bym pańskie wiadomości.

Kit uznał, że to rozsądna propozycja.

- Wiemy, że Richard Lockwood i Anna Holt mieli trzy córki i że Susanna jest z nich najmłodsza. Wiemy, że Lockwood został zamordowany i że Annę Holt uznano za winowajczynię, jednak zniknęła, zanim zdążono ją aresztować. Wygląda na to, że nikt nie zastanawiał się nad tym, co się stało z dziećmi; prawdopodobnie zakładano, że uciekła wraz z nimi. A parę tygodni temu, na krótko przed śmiercią,

James mi powiedział, że podejrzewa, iż w morderstwo Richarda Lockwooda zamieszany był Thaddeus Morley. Wczoraj dowiedzieliśmy się od panny Daisy Jones, że to James zajął się losem córeczek Anny.

- Sporo pan wie, panie White - zauważył z niejakim przekąsem gospodarz. Przez chwilę siedział w milczeniu. - Powiem tak: James i Richard byli bliskimi przyjaciółmi. Poznali się na jednym z przedstawień. Obaj lubili teatr, mieli też podobne, absurdalne poczucie humoru. Łączyło ich również upodobanie do antyków. Tak, byli bardzo dobrymi przyjaciółmi... - W głosie mężczyzny pojawiła się nutka zazdrości. - Richard zwierzał się Jamesowi z różnych rzeczy. Wiedział, że James znakomicie potrafi - spojrzął Kitowi niemal wyzywająco w oczy - trzymać sekret.

Czyż mogło być inaczej pomyślał Kit.

- Ale dzielił się tymi sekretami z panem - domyślił się.

- Oczywiście - potwierdził bez wahania pan Avery-Finch. - Byliśmy... - Urwał, spojrzął na Susanne, potem z powrotem na Kita. - Byliśmy z sobą bardzo blisko. - Przelotny uśmiech musnął mu wargi.

- A co z Morleyem? Czy on także był znajomym Richarda?

- Richard był politycznym rywalem Morleya. Nigdy go nie lubił ani mu nie ufał... myślę, że głównie z powodu snobizmu. Richard pochodził z dobrej rodziny, a Morley bynajmniej. A że moje korzenie także są raczej skromne, skłonny byłem darzyć go sympatią. Potem jednak miałem okazję poznać go osobiście i... cóż, sympatia się rozwiązała. Trudno powiedzieć dlaczego. - Spojrzął na Kita, by sprawdzić, czy wie, o co mu chodzi.

- Czasem takie rzeczy są instynktowne.

- Właśnie. - W głosie pana Avery'ego-Fincha słychać było ulgę. - No i James powiedział mi, że Richard podjął prywatne śledztwo w sprawie Morleya i że podobno odkrył coś, co niezbiecnie dowodzi jego winy. Myślę, że miał rację, skoro go zamordowano. Właśnie wtedy James zajął się panią, Susanno, i pani siostrami, tak że władze nie zdążyły wpaść na wasz trop.

- Czy James mówił o tym jeszcze komuś oprócz pana, panie Avery-Finch?

- James był blisko z dwiema osobami, panie White. Jedną z nich ma pan przed sobą. Drugą z tych osób był Richard. James nie powiedział ludziom swoich spraw zbyt łatwo.

- A więc uważał Richarda za kogoś na tyle bliskiego, że zaryzykował własne życie, by ostrzec Annę Holt i zaopiekować się ich córkami?

Pan Avery-Finch spojrzął na niego, zaskoczony.

- Bliskiego? James kochał się w Richardzie.

Zapadła cisza tak absolutna, że słychać było niemal, jak kurz osiada na wypełniającej sklep starej porcelanie.

- Może dolać państwu herbaty? - odezwał się z leciutką ironią pan Avery-Finch i pociągnął łyk z własnej filiżanki. - Przykro mi, moja droga - podjął po chwili, patrząc na Susannę, choć w jego spojrzeniu była raczej figlarność niż skrucha. - Zaszokowałem panią, czy tak?

- Skąd - zaprzeczyła szybko Susanna, ale oczy miała okrągłe z wrażenia.

A to kłamczucha, pomyślał Kit.

- Pani przybrany ojciec, Susanno, był bardzo przystojnym mężczyzną - wyjaśnił pan Avery-Finch. - Ja także go lubiłem, ale nigdy nie dopuścił mnie do takiej zażyłości, jaka łączyła go z Richardem. Tak, muszę przyznać, że byłem odrobinę zazdrosny o tę ich przyjaźń, ale... cóż, James większość czasu spędzał ze mną, tak że koniec końców nie miałem mu za złe... no a Richard namiętnie kochał pani matkę, panno Makepeace. Powinna pani to wiedzieć. Z Jamesem się tylko przyjaźnił. Ale James był w nim zakochany. Szalenie.

Pan Avery-Finch zamilkł na chwilę, jak gdyby znudzony wagą tego, co wyznał. A potem przez długą chwilę patrzył na Susanna, tak jakby była oknem, przez które widział przeszłość. Susanna się zmieszała.

- Jest pani żywą kopią swej matki, moja droga - oświadczył wreszcie pan Avery-Finch. - Z jednym wyjątkiem... - I ku zaskoczeniu Susanny, wyciągnął rękę i ujął jej podbródek. - Taki sam jak u Richarda... Kwadratowy.

W oczach Susanny błysnęło zdumienie, a potem zajaśniała cicha radość. I kiedy pan Avery-Finch cofnął dłoń, sama dotknęła swego podbródka, podejrzliwie i ciekawie, a Kit znowu poczuł, że serce jakoś dziwnie podskoczyło mu w piersi. Takjakby biło do rytmu z jej sercem.

Gospodarz odchrząknął.

- Proszę mi wybaczyć. To nie ma związku ze sprawą. Tak więc... James zajął się panią, Susanno, ze względu na Richarda. Ze względu na Richarda znalazł zastępcze domy dla pani sióstr. Ze względu na Richarda ostrzegł Annę i pomógł jej w ucieczce. I ze względu na Richarda milczał przez te wszystkie lata. No i... również dla waszego dobra. Bo liczył, że uda mu się odnaleźć Annę, albo że Anna powróci. Ale nie powróciła.

-I nie ma pan żadnych podejrzeń, co się z nią mogło stać? - spytał Kit. -I z dziewczynkami?

- Przykro mi, ale nie mam najmniejszego pojęcia. Mogę sobie wyobrazić, co przeżyła... stracić wszystko, co kochała... w jednej chwili...

Głos mu się jednak tym razem nie załamał, drgnął tylko. Mimo wszystko Anglicy są na ogół twardzi, pomyślał Kit. I ci na polu walki, i ci zajmujący się sprzedażą starej porcelany.

Pan Avery-Finch odetchnął głęboko i upił z filizanki kolejny łyk.

- Ludwik XVI - poinformował swych gości, wskazując czajniczek. - Oddam go państwu po bardzo korzystnej cenie, jeśli się wam podoba.

-Dziękujemy, panie Avery-Finch. Zastanowię się nad tym - obiecał z powagą Kit.

-Wiem - podjął gospodarz, gdy dzięki herbacie odzyskał panowanie nad sobą - że gdyby pojawiła się jakakolwiek szansa, by dochodzić sprawiedliwości w sprawie Richarda, James by ją podjął. Myślę jednak, że w realizacji planów przeszkadzały mu długi. To mu mieszało jasność myślenia. Choć jego zawód wymagał... powiedzmy, szczególnego rodzaju dyskrecji, to nieuczciwość nie przychodziła mu łatwo, i kiedy spróbował upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, to znaczy, wyjaśnić sprawę zabójstwa Richarda i zdobyć środki na po

krycie długów, wówczas poniósł śmierć... - Posępny uśmiech wygiął mu wargi. - Chyba zaczął z niewłaściwej strony, prawda? Najpierw zastosował szantaż, a dopiero potem zaczął szukać dowodów.

- Szkoda, że w Oksfordzie nie uczą techniki szantażu - zażartował niewesoło Kit.

- Prawda? - mruknął antykwariusz i znowu pociągnął łyk herbaty.

-Panie Avery-Finch... Czy James nie mówił panu o naturze dowodów, jakie zgromadził? Czy nie wspominał o chrześcijańskich cnotach?

- O chrześcijańskich cnotach? - Pan Avery-Finch uniósł ironicznie brwi. - Nie. Obawiam się, że James i ja niewiele czasu poświęciliśmy rozważaniu chrześcijańskich cnót. Czy mają one jakieś znaczenie dla tej sprawy?

-James powiedział mi, że Richard bardzo sprytnie schował do wody winy Morleya. Podobno to miejsce ma coś wspólnego z chrześcijańskimi cnotami.

- Cóż, to podobne do Richarda. Lubił tego typu zabawy... Chciałbym móc panu coś podpowiedzieć, sir, ale nie potrafię. Niewykluczono, że James świadomie chronił mnie przed tym, bym nie wiedział za dużo. Kto wie, może i tak powinienem obawiać się o swoje życie, biorąc pod uwagę, że coś jednak wiem? Ale ostatnio niespecjalnie dbam o to, co się ze mną stanie, tak że wszystko mi jedno.

Kit nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie mógł poklepać tego człowieka po ramieniu, a słowa są przecież bezsilne, gdy ktoś jest w żałobie.

- Doprowadzimy do tego, by sprawiedliwości stało się zadość, drogi panie. Zarówno w sprawie Jamesa, jak i Richarda i Anny. Zrobię też, co w mojej mocy, aby zapewnić panu bezpieczeństwo.

Pan Avery-Finch wzruszył tylko leciutko ramionami.

Tyle nowin naraz... Dla każdego byłoby to trudne do udźwignięcia.

- Dobrze się pani czuje? - zwrócił się do Susanny.

Przez chwilę nie odpowiadała.

-Jakie to smutne... prawda? - odezwała się w końcu. - Ale chyba dobrze, że się tego wszystkiego dowiedziałam. Nawet jeśli James Makepeace nie kochał mnie, kochał mojego ojca... A oni byli kochankami, prawda? James i pan Avery-Finch.

Inna odpowiedź niż szczerza nie wchodziła w rachubę. ;

- Tak. Myślę, że istotnie nimi byli.

Znowu nastąpiła chwila milczenia.

- Chyba... chyba się cieszę, że ktoś go jednak kochał. Mojego ojca. To jest, Jamesa Makepeace'a. I że ktoś go naprawdę znał. I że tęskni za nim... całym sercem.

Całym sercem... Każdego dnia Kit odkrywał kolejne dowody na to, jaka jest wyjątkowa.

-Ja też się cieszę - powiedział cicho.

Wyciągnął ku niej zgięte ramię, a ona wsunęła pod nie dłoń. Spojrzył na ulicę bacznie, fachowo, gotów w razie potrzeby natychmiast zrobić unik czy zwód. Od powozu dzieliło ich zaledwie parę metrów, ale było to groźne parę metrów, biorąc pod uwagę, że ktoś czyhał na życie Susanny, a jego ojciec z rozkoszą wysłałby go do Egiptu, jeśli ktokolwiek by mu doniósł, że widział jego syna w Londynie.

- Rodzice panią kochali, Susanno - powiedział trochę szorstko, bo nie przychodziło mu łatwo mówić takie rzeczy na głos. Chciał jednak, by uwierzyła, że i ją ktoś kiedyś kochał całym sercem

Susanna uśmiechnęła się tylko leciutko i raz jeszcze dotknęła dłonią podbródka.

I właśnie wtedy Kit zobaczył, jak z naprzeciwka zbliża się ku nim znajoma, wysoka postać.

-Witam, panie White. -John Carr, mijając Kita, grzecznie uchylił kapelusza. Wyraźnie zmierzał do sklepu pana Avery'ego-Fincha.

- Witam, panie Carson - równie uprzejmie odparł Kit.

- Słyszałem, że Egipt jest przepiękny o tej porze roku - rzucił John.

- Nie ośmielisz się.

John roześmiał się krótko, nie przerywając marszu.

- Panie Carson! - zawołał ostro Kit.

John Carr przystanął. Obejrzał się i rzucił okiem na Susanę. W jego oku błysnęło uznanie. Popatrzył na Kita pytająco, z lekkim rozbawieniem.

Kit nie odpowiedział na to milczące pytanie. Ruchem podbródka wskazał sklep pana Avery'ego-Fincha.

- Zadbasz o jego bezpieczeństwo, dobrze? Postawisz tu strażnika?

Twarz Johna sposepniała. Skinął krótko głową, zrobił zwrot i ruszył w swoją stronę.

Susanna stała z otwartą buzią.

..- Któż to jest, na Boga?

- ~~Ktoś~~ do kogo dawno temu strzelałem.

-I chybiłeś - rzucił przez ramię John i wszedł do sklepu pana Avery'ego-Fincha. Najwyraźniej zamierzał przepytać go na własną rękę.

Kit patrzył za nim. Czuł, jak narasta w nim nieuniknione, choć bezsensowne, poczucie rywalizacji.

- Potem pójdzie do panny Daisy Jones, żeby ją spytać o miniatury, a następnie wróci do Barnstable.

Susanna nie odrywała oczu od drzwi antykwarium.

- Czy to John Carr? Pański najlepszy przyjaciel?

- Tak. Przystojny, prawda? Może się podobać.

- Czyżby? Nie zauważyłam.

- Marna z pani kłamczucha, panno Makepeace.

Roześmiała się, a jego zalała fala wielkiej, nierozumnej radości.

Kiedy Kit i Susanna weszli do teatru Biała Lilia, Daisy Jones, Tom Shaughnessy i Generał znajdowali się na scenie i spierali się o coś gwałtownie, żywo gestykulując. Daisy, w kostiumie syreny, siedziała na huśtawce i ilekroć chciała podkreślić coś, co mówiła, waliła gwałtownie ogonem o podłogę. Ogon był wspaniały, purpurowy, pokryty czymś w rodzaju połyskującej siatki, co prawdopodobnie miało udawać rybią łuskę. Na głowie miała perukę; bujne rude loki okalały twarz Daisy i spływały na... cóż... na jej naturalne wdzięki. Co za wspaniały pomysł: w rytm tańca te rude loki będą to odsłaniać... to zasłaniać...

O nieba... Jakże cudownie byłoby pozostać w Londynie i móc to zobaczyć!

Wreszcie General, zde gustowany, wznosił ręce ku niebu, zeskoczył ze sceny i ruszył przejściem między krzesłami, mamrocząc coś gniewnie.

- To nie Szekspir, na litość boską... Myśli, psiakrew, że jest jakąś Nell Gwynn, czy co...

Na widok Kita i Susanny przystanął gwałtownie. Skłonił się nisko i zwrócił z powrotem ku scenie.

- Madame Jones! - zawołał z ironią. - Ma pani gości!

I ruszył ku swemu miejscu w tylnym rzędzie, nadal mamrocząc pod nosem.

- Tłusta rozpieszczona syrena, psiakrew - dobiegło uszu Kita.

Tom Shaughnessy, który zdawał się w tej chwili uspokajać Daisy, podniósł wzrok.

- Kogóż to mamy szczęście oglądać... Pan White i jego czarująca towarzyszka, pani White! -I zgrabnie zeskoczył ze sceny.

Dziś miał na sobie płowej barwy spodnie i kamizelkę w odcieniu butelkowej zieleni. Rudozłota czupryna to był majstersztyk pozor-nego, a w rzeczywistości starannie wypracowanego bezładu.

- Czy pomoże mi pan, panie White, zjąć ze sceny naszą wspa-niałą syrenę?

Daisy zeskoczyła z huśtawki i połyskując ogonem, podeszła do krawędzi podium. Tom Shaughnessy i Kit wyciągnęli ramiona i ujawszy ją pod pachy, jednym ruchem postawili na podłodze. Rude loki pozostały jednak na miejscu. Może za sprawą jakiegoś kleju?

- Mamy tylko jedno krótkie pytanie, panno Jones, o ile zechce nam pani poświęcić trochę czasu - rzekł Kit. - Przykro nam, że prze-szkadzamy w pracy.

- Przyda nam się chwila przerwy, panie White - odparł gładko Tom Shaughnessy. - Wobec tego oddałem się z wdziękiem, dobrze? Aby umożliwić państwu swobodną rozmowę na osobności. - Skłonił się nisko, przy czym udało mu się ten prosty gest uczynić nieco zalotnym, Kit był pewien, iż ze względu na Susannę, i odszedł. Susanna patrzyła za nim z uśmiechem.

Odchrząknął. Susanna oderwała oczy od pięknego właściciela teatru i spojrzała na Kita niemal ze skruchą.

- Tylko jedno pytanie, panno Jones, i będzie pani mogła wrócić do swoich zajęć - zwrócił się Kit do Daisy-syreny. - Może wiadomo pani przypadkiem, czy pozostałe córki Anny Holt, siostry Susanny, także miały ze sobą miniatury matki, kiedy James przywiózł je do pani?

- Miniatury? - Rude brwi panny Jones zbiegły się w wyrazie namysłu. - Tak... teraz, kiedy pan o tym wspomniał, przypominam sobie... każda miała miniaturę Anny i tobołek z rzeczami. Nawet pomyślałam sobie wtedy, jak to miło, że każda ma podobiznę swojej mamy... i jakie to może być dla nich niebezpieczne, jeśli ktoś te podobizny odkryje.

- A czy na odwrocie miniatur było coś napisane, nie przypomina sobie pani?

- Widziałam tylko miniaturę Sylvie, panie White, ale tak... było napisane... już wiem: „Dla Sylvie Hope - od jej matki, Anny”.

- Sylvie Hope? - powtórzył Kit. Nie wiedział, czy ma to jakieś znaczenie, ale dołączył tę informację do tych, którymi już dysponował. Sprawdzi później.

- Bardzo dziękujemy, panno Jones.

- Nie ma za co. Zawsze jestem do usług, jak tylko będzie trzeba. - Daisy porwała Susannę w syrenie objęcia i wyciągnęła rękę do Kita, by ją ucałował. A potem zdecydowanym ruchem zwróciła się ku scenie.

- Tom! Generale! - wrzasnęła. -Jeszcze nie skończyliśmy!

- Baczość, załoga! - ryknął w odpowiedzi Generał. - Powiedz im, psiakrew, żeby przynieśli sieć na wieloryby!

Lata minęły, odkąd składał wizytę w takim miejscu. A jednak, dziwne, wcale nie czuł się tu nieswojo.

Odrobinę nieswojo poczuł się dopiero wtedy, gdy sobie to uświadomił.

Było ciemno. Ta ciemność opierała się światłu lamp. Pochodziła z podłogi, która przez wieki wchłaniała w siebie rozlane trunki, żywność, kałuże krwi. Z sufitu, niskiego i przesiąkniętego tytoniowym

dymem. Powietrze też było gęste od woni warzonych potraw, dymu i niemytych ciał gości, z których żaden chyba nie miał wszystkich zębów w komplecie. Morley był pewien, że niektórych zna osobiście. Z paroma biegał nawet swego czasu po ulicach St. Giles.

To Bob wybrał tę gospodę na miejsce spotkania. Zdołał jakoś doręczyć liścik Caroline.

Nie było to bezpieczne miejsce dla kobiety. No, ale Caroline nie była kobietą zwyczajną. Miała talent zarówno do popadania w kłopoty, jak i do wywikływania się z nich, zręcznie niby kot. I jak kot umiała się bronić. Nie troskał się o nią, a jednak nie mógł zaprzeczyć: tak, czuł leciutki dreszczyk oczekiwania. I nie był to dreszczyk nieprzyjemny.

Wyłoniła się z cienia.

- Witaj, Thaddeusie. Próbowaleś mnie zabić. - Wyciągnęła ku niemu dłoń.

- Witaj, Caroline. - Pocałował ją w rękę. - Próbowaleś mnie szantażować. Podniósłbym się, ale sama wiesz, moja noga...

Cmoknęła ze współczuciem.

- Może usiądziesz? - Wysunął krzesło. Caroline przyjrzała mu się podejrzliwie; wyraźnie nie wyglądało w jej oczach zachęcająco. W końcu jednak z rezygnacją usiadła.

- Potrzebowałam pieniędzy, Thaddeusie.

Bynajmniej nie brzmiało to jak usprawiedliwienie. O mało się nie uśmiechnął.

- Mogłaś mnie zwyczajnie poprosić.

- Czyżby? Mam dziwne wrażenie, że nie okazałbyś się skłonny do filantropii - powiedziała z ironią. - A ja naprawdę potrzebowałam pieniędzy.

Z pewnością. Jeśli ktoś porzuca kochankę, nie osądza jej rozstania za pomocą złota, chyba że jest głupio sentymentalny. On nie był.

- A co się stało z amerykańskim kupcem? - zagadnął.

- Czy to pułapka? - spytała, zamiast odpowiedzieć. - Z twoją jakże pociągającą osobą w charakterze przynęty? Czy za chwilę twój człowiek nie wsadzi mi noża między łopatki?

Nie odpowiedział.

- Napijesz się czegoś, Caroline?

- Tutaj? Raczej nie. Można złapać wszelkie możliwe choroby. Zwykle miałeś wyższe wymagania, Thaddeusie.

- Za to tu mamy zapewnioną dyskrecję.

Cała w czerni, Caroline byłaby niemal niewidzialna, gdyby nie lśnienie jasnej, nieskazitelnej cery. I w oczach miała ten sam blask; były niczym wody jeziora o północy, tajemnicze i niezgłębione. Cóż to była za szaleńcza rozkosz - kochać się z nią, tak nieuchwytną... Całkiem jakby kochać się z księżycem.

Gdyby księżyc miał równie wyrafinowany erotyczny smak, rzecz jasna.

- Dlaczego ode mnie odeszłaś? - Nie mógł się powstrzymać, aby nie zadać tego pytania.

Wzruszyła ramionami.

Cóż, była to całkiem zrozumiała odpowiedź. Na tyle, na ile mógł się po niej spodziewać szczerości. Trochę ją rozumiał: pierwsze lata jej życia to była nieustanna wrzawa, zgiełk, zamieszanie. Tylko w takim otoczeniu czuła się pewnie.

On jednak w miarę upływu lat polubił trwałość i spokój. Bynajmniej nie cieszył go zdarzenia z ostatnich paru tygodni; znużony był tym, że musi zabijać.

- Nie mogę pozwolić na to, żebyś mi groziła, Caroline.

- Tak, teraz już to wiem - powiedziała lekko. - Twój człowiek z nożem wyjaśnił mi to dosyć przekonująco. Dlaczego ci zależało, żeby się dziś ze mną zobaczyć, Thaddeusie? Chciałeś mi po prostu powiedzieć, że nie możesz pozwolić, abym ci groziła? - przedrzeźniła jego wyniosły ton.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Potrzebuję twojej pomocy, Caroline.

Roześmiała się.

- No cóż, wreszcie zaczynasz być sobą. Powinnaś była wiedzieć, że nie zamierzasz mnie błagać, abym do ciebie wróciła.

A wróciłaś? - przemknęła mu przez głowę szalona myśl. Nie, nie będzie jej błagał. Właściwie nie był nawet pewien, czy naprawdę

by chciał, aby do niego wróciła. Pomimo że ze wszystkich ludzi, z jakimi miał w życiu do czynienia... tak, ona rozumiała go najlepiej. Ale wiązało się z tym zarówno poczucie bezpieczeństwa, jak i zagrożenie. Jedno i drugie równie wielkie.

- Sprawa jest prosta - rzekł. - Chciałbym, żebyś uwiodła wicehrabiego Grantham i ustaliła, co robi z córką Makepeace'a. I czy ma to coś wspólnego ze mną. A potem przyjedziesz tu raz jeszcze i opowiesz mi, co udało ci się ustalić, tak żebym mógł zdecydować, co dalej.

- Wicehrabiego Grantham? To znaczy Kita Whitelawa? - Była zaskoczona.

Skinął głową.

Twarz Caroline przez chwilę nie wyrażała nic poza zdziwieniem. Jak gdyby zastygła w tym wyrazie.

- Kit - powtórzyła cicho. Milczała przez chwilę, wpatrując się nieobecnyimi oczyma w jakiś odległy punkt. - Dlaczego sądzisz, że mogłabym to zrobić, Thaddeusie?

- On mnie przez cały czas nienawidzi, Caroline. Z twojego powodu.

Ucieszyło ją to. W mroku błysnęły w uśmiechującej drobne białe zęby.

- Naprawdę tak myślisz? Ale to już dojrzały mężczyzna.

- Tak. Dojrzały mężczyzna, który ma słabość do kobiet i który raczej nie potrafi ci się oprzeć.

Skinęła głową. Zresztą niemal o każdym dojrzałym mężczyźnie można było powiedzieć to samo.

- Nie ożenił się?

- Nie.

- A kto to jest Susanna Makepeace?

- Myślę, że to jedna z córek Richarda Lockwooda i Anny Holt. Caroline cofnęła się gwałtownie.

- Ona i Kit? - szepnęła. - Ale dlaczego?

- Nie wiem, Caroline - powiedział niecierpliwie Morley. - I właśnie dlatego cię potrzebuję: żeby to ustalić. Tylko że on jest teraz szpiegiem. Nie jest... - szukał przez chwilę właściwego słowa

- człowiekiem miękkim. Ani łatwym. W gruncie rzeczy jest człowiekiem przebiegłym i niebezpiecznym.

W tym momencie Caroline pojęła, że zadanie nie będzie tak łatwe i przyjemne, jak jej się z początku wydawało. Zastanawiała się. Bawiła się przez chwilę rękawiczkami, rozejrzała się po wnętrzu gospody, skrzywiła na widok wypełniającej ją klienteli. W końcu powróciła wzrokiem do Morleya.

- Jak miałabym to zrobić? Uzyskać wiadomości, jakie są ci potrzebne?

- Powiedz mu, że się mnie boisz. Że potrzebujesz jego pomocy. Wtedy ci nie odmówi.

- Przystaniesz czyhać na moje życie, jeśli się zgodzę ci pomóc?

- A przestaniesz dawać mi powody, abym czyhał na twoje życie?

- spytał niemal frywolnie.

Uśmiechnęła się lekko, ale nie odpowiedziała. Uznała to za zgodę.

- Jak twoja noga ostatnimi czasy? - spytała po chwili.

- Boli. Odzywa się zwłaszcza podczas posiedzeń parlamentu. A raczej się drze. Zagłusza co nudniej szych mówców.

Zaśmiała się.

- To przez tę wilgoć. Być może kąpiele u wód...

- Pojadę, jak skończy się sesja Izby Gmin.

Skinęła głową.

- Powinieneś. Kiedyś przecież pomogło, prawda?

Jak dobrze go znała... Nagle poczuł, że trudno mu mówić. Skinął tylko głową.

- W porządku, Thaddeusie. Zrobię to.

Odchrząknął.

- Gdzie będziesz dziś spała?

- Może u ciebie? - zaproponowała lekko.

Wziął ją za rękę. Ich palce splotły się w znajomym, boleśnie słodkim geście.

- Stary jestem, Caroline.

- Zobaczymy - mruknęła.

Susanna?

Susanna stała przy oknie i wpatrywała się w kwitnące pod nim róże. Większość zaczynała już więdnąć, pokonana przez upał. Mniej więcej takjakiej duch.

Przez całą długą drogę do domu Kit podtrzymywał błahą konwersację o wszystkim i niczym. Kiedy w końcu przyjechali na miejsce, podał jej dłoń i pomógł wysiąść z powozu, dżentelmen w każdym calu. Pomógł także wnieść kuferek z rzeczami. A potem skłonił się, dotknął kapelusza, uśmiechnął się miło i odszedł. Dżentelmen, dżentelmen, dżentelmen.

Czuła się osaczona przez maniery. Co się z nim dzieje, na Boga?
- Susanna?

Maniery były nienaganne, lśniące niczym zbroja, jak zbroja nieprzezniknione i jak zbroja niezachęcające. Przywdział tę zbroję od pierwszej chwili, gdy przybyli do Londynu, i dzięki temu trzymał ją na dystans. Tylko w ciemności potrafiła go skłonić, by mówić o sobie. Tak jakby to, co zostało powiedziane po ciemku, w ogóle się nie liczyło. Był jak dziecko, które zakrywa twarz rączkami i myśli, że jest niewidzialne.

I nawet jej nie dotknął. Spał w fotelu.

Dlaczego, na Boga? Czy chodzi o jej status społeczny i dość niezwykłą przeszłość? O to, że był wicehrabią i nie zamierzał poślubić kobiety niższego stanu? Czy o to, że straciła dla niego wszelki powab z chwilą, gdy raz jej dotknął?

Straciła powab? Nie, to wykluczone. Tego przynajmniej była pewna.

Zależało mu na niej, wiedziała. Pragnął jej, to także wiedziała. Wiedziała z taką samą pewnością jak to, że samice żmii są płochliwe, że nornice ogoniaste to rzadkość w tym regionie i że w środku klacz jest ciepła i wilgotna.

A jednak nie zachowywał się szczerze i otwarcie. Całkiem jak nie on... Co mogło oznaczać tylko jedno: że albo nie wiedział, co z nią

dalej zrobić, albo wiedział, że prawda o jego uczuciach byłaby dla niej druzgocąca i chciał jej oszczędzić cierpienia.

Dziwne, ale nie czuła, by chronił ją w ten sposób przed cierpieniem. Czuła się za to zawiedziona, zraniona.

Może on się po prostu boi?

Boi? Kit Whitelaw? Czego?

- Susanno!

Powoli zwróciła głowę ku ciotce.

- Hm?

- Czy wiesz, że wołam cię już trzeci raz, kochanie? - spytała łagodnie ciotka.

- Naprawdę? Bardzo ciocię przepraszam.

- Czy coś się stało? Wyglądasz na nieobecną. Nieprzyjemnie było w Londynie? A może tęsknisz za przyjaciółkami?

Susanna zdała sobie nagle sprawę, że podczas wizyty w Londynie nie poświęciła swym „przyjaciółkom” ani jednej myśli.

Ciekawe, jak zareagowałyby ciotka Frances, gdyby powiedziała: Ach, ciociu Frances, stało się, i to jeszcze jak... Zakochałam się w wicehrabim, a on mnie nawet nie dotknie, choć przedwczoraj dotykał mnie wszędzie, dłońmi, ustami, a mnie się to tak ogromnie podobało...

- Nie - powiedziała cicho. - Wszystko jest w porządku.

Ciotka zmarszczyła lekko brwi, podeszła do okna i usiadła obok niej.

- Czy przypadkiem wicehrabia... czy nie... - Zawiesiła głos, dając Susannie możliwość, by dokończyła zdanie, jak chce. Twarz miała zatroskaną.

- Nie - odparła szybko Susanna zaskoczona, bo usłyszała rozczarowanie we własnym głosie.

Ciotka Frances wybuchnęła wesołym śmiechem.

- Och, no dobrze... Skoro wszystko jest w porządku... - W tych słowach kryła się leciutka ironia. - A co ci przyłgnęło do spódnicy?

- Zdjęła coś dwoma palcami. - Błyszczycy.

Susanna spojrziała.

- Tb chyba łuska syreny - mruknęła. I zmarszczywszy lekko brwi, znów zaczęła wyglądać przez okno, tak pochłonięta własnymi myślami, że zapomniała o obecności ciotki.

-Wiem coś niecoś o kłopotach sercowych - powiedziała nieśmiało ciotka. - Na wypadek, gdybyś miała jakieś pytania, kochanie.

Ledwie dotarł do niej ten głos poprzez nieustanną gonitwę myśli zakończoną powzięciem decyzji.

Kit bał się, że ktoś ją zabije. Sam by ją pewnie zabił, gdyby wyszła bez ochrony z domu. To właśnie jej powiedział na odchodnym: „Proszę nie wychodzić z domu”.

Ale wreszcie wiedziała, co ma zrobić. Wstała i wzięła do ręki szki-cownik.

- Susanno!

Ciotka powiedziała to tak ostro, że dziewczyna gwałtownie znie-ruchomiała. Obejrzała się.

Ciotka przyglądała się jej przez chwilę, zanim przemówiła.

-Wiem, kochanie, że nie jestem twoją rodzoną ciotką... ale na-prawdę nie chciałabym, żeby cię ktoś zranił.

Susanna milczała chwilę, zmieszana.

- Och, ciociu Frances - powiedziała impulsywnie.- dziękuję, że się ciocia o mnie troszczy. Przepraszam. Obiecuję... nie, uroczyste przyrzekam... że zrobię wszystko, aby cioci nie zawieść i nie przy-nieść wstydu.

- Wcale się o to nie martwię, kochanie - odparła ciotka łagodnie. -Jestem pewna, że nie przyniesiesz mi wstydu. Niemniej dziękuję ci za uroczyste przyrzeczenie.

Ależ ta ciotka była uszczypliwa... Susanna uśmiechnęła się le-ciutko.

- Ale ja się o to martwię - stwierdziła. - Niemniej będę się starała dotrzynać przyrzeczenia.

Ciotka przyglądała się jej przez chwilę, ściągawszy z namysłem brwi. Wyraźnie szukała właściwych słów.

- Kiedy powiedziałam, że nie chciałabym, aby cię ktoś zranił - za-częła - to nie chodziło mi o to, żebyś nigdy... nie podejmowała ryzyka. A ryzyko nie byłoby ryzykiem, gdyby nie istniała możliwość zranie-

nia. Nic, co ma w życiu wartość, nie przychodzi łatwo, Susanno. I... a zresztą, to nieważne. Młoda jesteś jeszcze, ale i rozsądna, więc mogę sobie darować wszystkie te banały. No i mam przecież twoje solenne przyrzeczenie. Miłego szkicowania... Ale wróć na kolację, jeśli łaska.

- Myśli ciocia, że jestem rozsądna? - Nie wiadomo dlaczego, Susannę zdziwiło to stwierdzenie.

- Tak. - Ciotkę najwyraźniej zdumiało zdziwienie dziewczyny.
- Oczywiście że jesteś.

No i co? Oprócz innych rzeczy, jakich się o sobie dowiedziała, wiedziała teraz także, że jest... rozsądna.

Uśmiechnęła się do ciotki, pchnęła drzwi i choć było gorąco, ruszyła pośpiesznie przed siebie.

Wiedziała, gdzie może go teraz zastać.

Stał na pomoście i zdecydowanymi ruchami wycierał ręcznikiem nagi tors. Włożył już spodnie, ale nadal był bosy. Niskie popołudniowe słońce ozłacało górną część sylwetki; reszta ciała pozostawała w cieniu.

Przez całą drogę zastanawiała się, jak mu to powiedzieć, jak sformułować pytanie, jak się zachować, jeśli odpowiedź złamie jej serce. Kiedy jednak odwrócił się i ją zobaczył, tak nieoczekiwanie, jego twarz powiedziała wszystko. Nie zdążył przywdziać swojej zbroi. Nie musiała więc o nic pytać.

-Wszystko jest dobrze, Kit - powiedziała cicho. - Ja też pana kocham.

Przez chwilę wpatrywał się w nią, złapany w pułapkę. A potem roześmiał się krótko. Bez wątpienia śmiech miał oznaczać: „A kto by o to dbał”, ale mu to nie wyszło.

Ruszyła ku niemu powoli, tak jakby był jeleniem lub wiewiórką. Cały czas nie spuszczał z niej oczu. Zatrzymała się, gdy dzieliła ich odległość tak niewielka, że czuła promieniujące od niego ciepło. Mogłaby go dotknąć, gdyby chciała.

I dotknęła. Powoli, leciutko złożyła dłoń na jego nagiej piersi.

- Naprawdę - dodała łagodnie. - I nigdzie nie wyjadę. Obiecuję.

Czuła, jak łomocze mu serce, do rytmu z jej własnym. Pierś wznosiła się i opadała, w miarę jak oddech mężczyzny stawał się coraz szybszy. Powoli podniósł rękę i powiodł wierzchem dłoni po jej policzku, po wargach... Pocałowała jego palce. Tęczyłki mu pociemniały.

- Znowu mam gorszą pozycję, panno Makepeace - mruknął.
- Ubrany jestem tylko do połowy.

- W takim razie... - I nie spuszczać oczu z jego twarzy, choć wcale nie czuła się taka odważna, sięgnęła ręką do karku, by rozsznurować suknię.

- Nie! - wykrzyknął.

Jej serce zamarło.

- To znaczy - dodał szybko - ja chcę mieć tę przyjemność, Susanno. Tak żeby mogła pani później winić mnie, a nie siebie.

Serce wróciło do życia. Podniosła na niego oczy.

Uśmiechał się, ale w tym uśmiechu były smutek i tęsknota. Twarz miał spiętą, zdeterminowaną. Nigdy go takim nie widziała.

Szybkim ruchem, zanim zdążyła się zastanowić, sięgnął do jej szyi i poluzował sznurówkę. Uśmiechnęła się nieznacznie. Poczowała na plecach leciutki, zamierający wietrzyk.

Wsunął jej ręce pod suknię, dotknął nagiego ciała i westchnął, jakby z ulgą. Powiodł dłońmi po jej plecach, wzdłuż łopatek. Susanna miała wrażenie, że skóra zmienia jej się w rozżarzony popiół. Nogi się pod nią ugięły. Zamknęła oczy. Dotyk jego rąk... Cała była tylko czuciem.

- Susanno - tchnął jej w ucho ciepłym oddechem, i ten dźwięk, równie zmysłowy jak dotyk, rozpalił w niej pożar. Dysząc, rozpostarła dłonie na jego piersi i - nareszcie, nareszcie - napawała się jej ciepłem, jej siłą, jej pięknem. Twarde płaszczyzny mięśni pokrywała skóra o gładkości ałtasu... i to zespolenie przeciwieństw, delikatności i twardości, wrażliwości i siły, to był on - Kit.

- O tak... - tchnął jej w szyję, bo tam zawędrowały jego usta, i przywarł do niej wilgotnymi, gorącymi wargami. - Proszę mnie dotykać... wszędzie, gdzie pani chce.

- Skoro pan nalega... - Miało to zabrzmieć lekko i dowcipnie, ale z jej gardła wydobył się pisk.

A on się roześmiał.

Tyle czasu za tym tęskniła... Obwiodła palcem zarys mięśni na jego piersi, kreśląc kształt ósemki, a potem zeszła w dół, wzdłuż linii zarostu, ku twardej wyniosłości w jego kroczu. Zatrzymała się na chwilę w tym miejscu i z radością usłyszała, jak on gwałtownie chwyta dech. A potem rozwarła dłonie i złożywszy je w pasie, powoli powiodła nimi w dół i ujęła twarde, zwarte pośladki. Mruknął coś niezrozumiale, akceptująco.

- Uważa pan, że to w porządku - zdołała powiedzieć, wyginając szyję do tyłu, by mógł wycisnąć na niej kolejny pocałunek - że ja widziałam pana w całego, a pan mnie w ogóle...

- Racja, panno Makepeace. Ma być sprawiedliwie. - Pozostawił jej szyję i chwyciwszy za rękawy, zaczął ściągać z niej suknię.

- Nie! - powstrzymała go.

Znieruchomiał. Wyraz oczu miał taki, że prawie żałowała swojego okrzyku.

-Ja chcę to zrobić. Tak żebym mogła później winić tylko siebie.

Patrząc na nią uważnie, powoli zszedł dłońmi w dół, aż spoczęły na jej talii. Uszanował jej potrzebę, by sama podjęła decyzję.

I nie spuszczać z niego wzroku, drżącymi dłońmi zaczęła obciągać stanik coraz niżej. Lekki powiew chłodził odstaniające się ciało. .. Kit patrzył jej w oczy. Dodawał odwagi, prowokował ją. Wzięła głęboki, drżący oddech - i zdecydowanym ruchem obciągnęła stanik aż do talii.

Patrzyła, jak powoli zszedł oczami ku jej ustom, szyi... a potem...

- Boże! - mruknął zachwycony.

O mało się nie roześmiała, on jednak znowu odnalazł ustami jej usta i ujął dłońmi jej nagajuż teraz talię. Dręcząco powoli ręce powędrowały coraz wyżej, wyżej... aż spoczęły na jej piersiach. Jakże czuły był dotyk tych rąk, tych warg... Kolana jej osłabły; mało brakowało, a osunęłyby się na nie. Obwiodł kciukami brodawki, aż stwardniały,

a ona poczuła, że musi oderwać usta od jego ust, by zejść niżej, ku piersi. Powiodła po niej wargami... Zadrżała.

Ujął dłonią jej głowę, by pocałować ją raz jeszcze, a drugą dłonią przygarnął do siebie, blisko, jak najbliższej. Jego pierś ocierająca się o twarde z pragnienia brodawki... chyba i w niebie nie zaznałyby większej rozkoszy. Zeszła rękami w dół, znalazła jego twarde, wzniesiony członek i przeciągnęła po nim dłonią. Mruknął coś jakby „och, tak”, więc zrobiła to ponownie, i jeszcze raz, aż nie mogąc się pohamować, chwycił jej pośladki i przycisnął do siebie, ostro, brutalnie. A ona objęła go za szyję i przywarła jeszcze mocniej.

Gdyby mogła, Weszłaby w niego, wniknęła do głębi, znikła w nim...

Kit poruszył biodrami, z ustami na jej ustach.

- Kochać się z tobą, Susanno - mruknął - to będzie rzadki zaszczyt i rzadka przyjemność.

- Chcę się z tobą kochać - wydyszała.

- A wiesz, co to naprawdę oznacza? - Zsunął dłonie pod suknię jeszcze niżej i objął jej pośladki.

-Tak.

- Na pewno? Wiesz, że będę wewnątrz ciebie... - Pocałował ją, powoli tym razem, leniwie, głęboko. - Ze będę się w tobie poruszał. .. - znowu ją pocałował, tak jak poprzednio, a z jej głowy zniknął wszelki strzęp myśli - dopóki oboje nie oszalejemy z rozkoszy?

- Chcę, żebyś był we mnie - niemal załkała.

Porwał ją na ręce, zszedł z pomostu i poniósł ją ku stojącej nieopodal małej chatce z drewnianych bali. Pchnął drzwi i postawił ją na ziemi. I błyskawicznie, jak to on, bez skrupowania, jak to on, odstąpił o krok i zdjął spodnie. Zobaczyła jego wzniesioną męskość, twarde kontury ud, całe to obezwładniająco męskie ciało górujące nad nią nie dalej niż na wyciągnięcie ręki, i pomyślała z drżeniem: tak, to się dzieje naprawdę.

I naśladowując jego śmiałość, licząc na to, że okaże się zaraźliwa, ściągnęła suknię przez głowę. I oto stała przed nim naga, gotowa... a jednak niepewna, onieśmielona, drżąca. On zaś zgarnął ich ubrania, robiąc z nich pośłanie, i to także było szokująco realne.

- Chodź - szepnął. Podeszła, a on zagarnął ją w ramiona i mocno przytulił. W jego objęciach nie czuła się naga. Nieśmiałość zniknęła.

Czule, uważnie błędził ustami po jej twarzy. Jakże wiedzące były to usta... Ich dotyk ją rozbrajał, gdy chciała być silna; chciała wierzyć, że to jej własny wybór, gdy w rzeczywistości nie miała żadnego. Językiem, wargami smakował jej szyję, skronie, kark... A kiedy znowu powrócił do ust, przyjęła je z ulgą, zachłannie. Języki się splotły.

Umiejętnie zaczął wędrować rękami po jej ciele, teraz już nie po to, aby ją uspokajać, lecz aby rozpalać. Te ręce wiedziały, jak ją pieścić, jak wydobyć z niej jęk, a potem błaganie. Odnalazły krągłość piersi, twarde brodawki, wewnętrzną stronę ud... aż wreszcie, bez tchu, przywarła do niego całym ciałem, niemal wpełzła na niego, bezwstydną niczym dziewica.

Sekundy mijały... Nie rozłączając ust, osunęli się na kolana. On wsunął palce w jej włosy, wyjął szpilki, by je rozpuścić, odchylił jej głowę do tyłu i błędząc palcami we włosach, zagarnął jej usta jeszcze zachłanniej. Czule, ostrożnie dotknęła jego piersi, pokrytej sińcami, zranionego nożem ramienia... Zamknął oczy, tak jakby nie wierzył, że cud się spełnia. A potem objął ją mocno i opadł na wznak, pociągając ją na siebie.

- Teraz - ponaglił ochryple, z ustami w jej ustach. - Pragnę cię, Susanno. Teraz. Proszę...

- Tak - szepnęła ledwie dosłyszalnie.

Przetoczył się z nią w ramionach i nakrył ją sobą. Oplotła go nogami. Uniósł nieco tors, i wśliznął się w jej wilgotne, gorące, spragnione wnętrze. Poczuła przelotne ukłucie bólu; zagryzła wargę, by stłumić jęk. Ale zaraz przyszło cudowne uczucie wypełnienia. Widziała, jak przymknął oczy, gdy w nią zapadł, tak jakby intensywność tego doznania graniczyła z bólem.

Przez chwilę trwali nieruchomo, chłonąc cud złączenia, na które czekali tak długo. Otworzył oczy. Jakie niebieskie... Uśmiechnął się, i były w tym uśmiechu zdumienie, oczarowanie, tęsknota. Wycofał się i znowu pchnął. Musnął jej wargi. Drżał; widziała, jak na ramionach i piersi lśnią kropelki potu.

- Chciałbym powoli, dla ciebie - szepnął ochryple. - Boże, chciałbym... Ale nie wiem, czy.

- Óóóó... Jest dobrze. - Położyła mu palec na ustach. - Wszystko dobrze.

Westchnął i zaczął poruszać się w niej miarowo, zdecydowanie. Wygięła biodra ku górze, by wchłonać go w siebie głęboko, jeszcze głębiej... Jakże cudownie było dawać mu tę rozkosz, którą widziała w jego pociemniałych źrenicach, patrzeć, jak się zatracą. Odwrócił głowę i poruszał biodrami coraz szybciej, coraz bardziej gorączkowo. Gdy z powrotem zwrócił twarz ku niej, widziała po jego oczach, słyszała po oddechu, że to już niedługo. Wbiła mu palce w ramiona.

- O Boże... Susanno... O Boże...

Zesztywniał. Wstrząsnął nim dreszcz spełnienia. I natychmiast przyszedł spokój. Susanna poczuła, jak zalewają czułość i wdzięczność tak wielką, że niemal trudną do wytrzymania. Pocałowała go leciutko w usta. On musnął wargami jej palce.

- Dziękuję - wyszeptał. Piers wciążyła mu się i opadała w chrapliwym oddechu. Susanna dotknęła kropelki potu, spływającej mu po żebrach. Polizała palec. Ten słony smak to on.

- Nie ma za co - mruknęła.

Parsknął śmiechem. Stoczył się z niej, położył obok i objął ją luźno ramieniem, drugie zarzucił nad głowę. Westchnął głęboko, syty, odprężony.

Przez chwilę leżeli w milczeniu. Pot stygł na ich ciałach.

- W razie gdybyś nie wiedziała - odezwał się po chwili leniwie - to właśnie przed chwilą się kochaliśmy.

- Ach tak? - Uniosła głowę i przyglądała mu się przez moment. Oczy miał przymknięte, lekki uśmiech na ustach. - Masz bardzo ładną pachę.

Roześmiał się.

- Tylko artysta może tak powiedzieć.

- Kiedy naprawdę jest ładna... Ta linia, te mięśnie, ten zarost w zagłębieniu... - Powiodła po nich palcem i coś jej przyszło do głowy.

Usiadła, wzięła do ręki blok i zaczęła szybko szkicować. Zarzucone nad głowę ramię, naga pierś, długie nogi, zwieszona ze znużenia męskość pośród kędzierzawego owłosienia... I ta rozluźniona, pogodna twarz.

- Doskonały z ciebie model - pochwaliła go. - Nawet nie drgniesz.

- Nawet gdybyś mierzyła do mnie z pistoletu, nie wiem, czybym drgnął - wymruczał.

Ucałowała znamię w kształcie mewy na nadgarstku. Pochyliła się i ucałowała jego brodawki, obwiodła je językiem, próbując jego smaku, tak jak robił to on. Przeciągnął ręką po jej plecach, a gdzieś w dole - tak, nie myliła się! - coś drgnęło.

- O - zauważyła - coś się rusza.

Parsknął krótkim, nieobecnym śmiechem, wyraźnie pochłonięty doznaniem.

- Syrena - mruknął.

- Chyba cię trochę podręcę - wymamrotała. Zeszła językiem w dół piersi, aż dosięgła budzącego się do życia członka. Skubnęła go wargami - i znowu wyprężył się, w pełni gotowy.

- Albo ja ciebie - odszepnął. Usiadł nagle, posadził ją sobie okrakiem na udach i tchnął jej w ucho ciepłym oddechem. Obwiodł językiem zarys małżowiny. Dreszcz nią wstrząsnął.

- Lubisz to? - mruknął.

- Nie wiem - wydyszała. - To tak jakoś... dziwnie...

Przeciągnął palcem po jej szyi, obojczykach, aż zszedł ku sterczącym brodawkom.

- Oto dowód, że lubisz - szepnął pożądliwie.

Zaśmiała się i natychmiast przestała. Musiała skupić całą uwagę na tym, co robił Kit.

Ucichli. Jakby łączyło ich milczące porozumienie, pieścili się nawzajem leciutko, subtelnie. Koniuszkami palców, słabym jak oddech dotykiem warg, oddechem samym... Jak gdyby wydobywając melodię z najdelikatniejszej harfy, umiejętnie błędził palcami po jej ciele. Plecy, brzuch, kędzierzawe łono, szyja, piersi... Aż w końcu każda komórkaj ciała wibrowała pragnieniem. Nie mogła już dłużej go pieścić... Poddała się. Objęła go za szyję i przywarła do niego, myśląc już tylko o sobie.

Wiedział o tyle więcej niż ona! Ale była gotowa się tego nauczyć. O, tak.

- Kit - wydyszała nagle gdzieś w jego szyję. Niechże wreszcie nasyci to narastające w niej pragnienie... Gotowa była go o to błagać!

Nie musiała.

- Dobrze - mruknął. - W porządku. - I ujawszy ją za pośladki, uniósł lekko i z westchnieniem, powoli opuścił na swój twarde, sterzający członek. Ich oczy się spotkały. Znow był w niej.

Otarła się piersiami o jego pierś i uniosła w górę, instynktownie wiedząc, co robić. Uśmiechnął się słabo, ujął ją za biodra, nacisnął w dół... i znow zobaczyła, jak jego tęczywki robią się niemal czarne z pożądania. Zalała ją fala radosnego uniesienia. Cudowne to było - obdarzać i brać, wymieniać się nawzajem swą siłą i bezbronnością.

-W środku masz takie miejsce, Susanno... - powiedział ochryple. - Będiesz wiedziała... poczujesz je.

Więc znowu się uniosła... i przysiadła... och, tak, miał rację. To było to miejsce.

Zaczęła się poruszać miarowo, z pożądlwym uśmiechem na ustach, pochłonięta doznaniem, czując, jak narasta w niej to tajemnicze pragnienie. Spróbuje je kontrolować, tak długo jak potrafi... Ale nie potrafiła zbyt długo. Ciało wzięło górę, znalazło potrzebny rytm. Zaczęła go ujeżdżać coraz szybciej i szybciej, a on ruchem bioder wychodził na spotkanie każdemu jej ruchowi.

Świat ograniczył się do ich chrapliwego dyszenia, jęków, z trudem wyrzucanych ponagleń. Susanna miała wrażenie, że bliskie spełnienie rozpięra ją od środka, że rwie przez żyły niczym wezbrana rzeka... aż wreszcie wylało się z niej jak powódź i eksplodowało krzykiem uniesienia. Nieznana rozkosz wstrząsnęła jej ciałem, i jeszcze raz, i jeszcze...

W chwilę później krzyknął ochryple i on, a ona poczuła, jak wypełnia ją jego nasienie. Dyszał ciężko w jej szyję. Pierś falowała tuż przy jej piersi.

W chwilę potem padł na plecy, pociągając ją za sobą. Objął ją lekko ramieniem. Oboje dyszeli. Przesunął ją odrobinę, tak by mu było wygodniej. Po chwili ich oddechy uspokoiły się nieco i wyrównały.

- Będziesz moją żoną - powiedział cicho. Tak jakby znalazł rozwiązanie jakiegoś problemu.

- Dobrze - mruknęła. Nasycona, spokojna.

Nastała długa chwila milczenia. Leżymy na ubraniach - przemknęło jej sennie przez głowę.

- Mój ojciec cię polubi - rzekł w zamyśleniu.

- Ja też zamierzam go polubić.

- Nie spodoba mu się, że jesteś bez grosza...

- A komu by się podobało - odparła bez troski.

- Ale ty mu się spodobasz.

- Jasne.

Zaśmiał się.

- „Bo to takie łatwe” - zacytował jej słowa, wypowiedziane tamtego wieczoru na zabawie w Barnstable, kiedy rozmawiali ze sobą po raz pierwszy. Udało mu się nawet dość dobrze podchwycić jej sopran. Wymierzyła mu lekkiego klapsa.

- Bo to naprawdę jest łatwe. Przeważnie... Ty też mnie wyraźnie lubisz.

Znowu parsknął śmiechem.

- Czy możemy zamieszkać w Londynie? - spytała.

- Naturalnie. No, chyba że będziesz wołała zostać tutaj, pośród żmij i nornic.

Zerwała się gwałtownie, sztywna z wrażeń. Kit się roześmiał.

- Nie ma tu w tej chwili żadnych żmij, najdroższa.

Znowu dała mu klapsa i opadła z powrotem na jego ramię. Gdy stęknął, wsparła głowę na drugim, zdrowym.

- A ciocia Frances?

- Może zamieszkać z nami, jeśli zechce.

- A będziemy mieli znajomych i przyjaciół? - drażyła. - W Londynie?

- Jestem wicehrabią. Mogę ci kupić przyjaciół, ile dusza zapagnie. Ilu byś chciała?

Znowu się roześmiała. Przygarnął ją ramieniem i lekko uściśnął. Oczy miał półprzymknięte, senne, ałe ciało napięte. Dziwnie

kontrastowało z wyrazem spokoju i nasycenia, jaki malował się na jego twarzy.

Uniosła głowę i przyglądała mu się przez chwilę. Jej włosy musnęły mu policzek. Powiodła palcem po jego wargach, policzkach, podbródku. Od tej pory są jej. Może ich dotykać, kiedy zechce.

- Nic mi się nie stanie - powiedziała cicho.

Bo wiedziała, że właśnie to go martwi. I to sprawiło, że tak na nią warknął, kiedy zażartowała na temat własnej śmierci. Zdumiewający mężczyzna o miękkim, wrażliwym sercu.

Otworzył szerzej oczy, zaskoczony jej przenikliwością. Wpatrywał się w nią przez chwilę tymi jaskrawobłękitnymi tęczówkami. Chłonał ją. Ale nie powiedział ani słowa.

- Nic mi się nie stanie - powtórzyła. - Przy tobie?

Jakże pewny czuje się człowiek, jeśli przed chwilą spełnił się w miłosnym akcie...

Uśmiechnął się lekko, ale nadal milczał. Powiódł jednak powoli ręką po jej pośladkach, plecach, przegarnął włosy palcami, bardziej władczy niż pieśczośliwym gestem. Upewniał się, że jest. Zapisywał ją w pamięci.

Kocham go, pomyślała.

On nie powiedział dotąd, że ją kocha, ale z pewnością tak było. Wszystko, co robił, świadczyło o miłości tak wielkiej, że to słowo, lub jego brak, doprawdy nie miało znaczenia.

A ona, o tak, kochała go. Było to piękne i groźne zarazem. Budziło otuchę i przerażało. To, co czuła wobec Douglasa, było niczym w porównaniu z żywiołem terazniejszego uczucia.

Przestał błądzić rękami po jej ciele. Podniósł głowę i spojrzał na nią, tak jakby przyszło mu coś do głowy, co pilnie domagało się odpowiedzi. Susanna uzbroiła się wewnątrz.

- Jak myślisz, czy jestem przystojny? - spytał z troską.

O mało się nie roześmiała. Nie, nie sądziła, aby był przystojny.

- Myślę, że jesteś piękny - powiedziała zgodnie z tym, co czuła.

Wyglądało na to, że zadowolili go ta odpowiedź. Znow się położył.

Leżeli w milczeniu. Uszu Susanny dobiegał szelest poruszanych lekkim powiewem gałęzi i było to niemal tak naturalne jak oddychanie. Woń zbutwiałych zeszłorocznych liści, szmer wiatru, odgłosy krzątający jakichś niewidocznych stworzeń, dla których ten las był mieszkaniem.... wszystko to, czuła, będzie dla niej nieodłącznie związane z Kitem. Jak jego zapach, jak jego dotyk.

- Ale możemy też przyjeżdżać do Barnstable, prawda? - spytała nagle. - I to często.

- A chciałaś?

Z zaskoczeniem poczuła, że to, co ma zamiar powiedzieć, jest prawdą.

- Myślę, że tak.

- W takim razie ja też. - W jego głosie również było zdziwienie.

Kit zdążył odprowadzić Susannę do domu na kolację. Uparł się, że oficjalnie poprosi ciotkę o jej rękę, a ciotka znakomicie odegrała zaskoczenie i zdumienie tą nowiną. Nieudawane były jednak jej zachwyty i ulga, które ujawniła, gdy Kit był już w drodze do domu.

- Będziesz księżną! - rozpływała się. - Będziesz księżną, moje złotko! Już niedługo!

- I żoną! - Susanna znacznie bardziej zachwycała ta perspektywa.

- Żoną Kita!

- Ach, Kita? - zadrwiła ciotka. - No cóż, to dobry chłopak. Wiedziałam, że uczyni z ciebie kobietę godną szacunku, Susanno.

Susannę rozbawiło, że Kit miałby być „dobrym chłopcem”. Po-tem jednak usłyszała drugą część zdania. Czy ciotka się domyśla, jak rozwiązała i wyuzdana była przed chwilą?

Ciotka wyczytała to milczące pytanie z jej twarzy.

- Liście masz we włosach, kochanie.

Susanna poczuła, że rumieniec zalewa jej policzki.

- Ciociu Frances! Ciocia pewnie myśli...

- Myślę, że upłynęło już trochę czasu, odkąd ja miewałam liście we włosach, ale zapewniam cię, że miewałam, Susanno. O wiele bardziej bym się martwiła, gdybyś wróciła do domu z liśćmi we

włosach, ale nie towarzyszyłby ci żaden wicehrabia, aby się o ciebie oświadczyć.

- Pewnie niedługo znowu zaczną ciocię odwiedzać sąsiedzi, cio-ciu Frances.

- Och, nie zamierzam na nich czekać, Susanno. Sama złożę parę wizyt i rozpowiem nowinę, moja droga. Może zechciałabyś mi towarzyszyć?

- Czemu nie.

Ciekawe, jak będą mnie przyjmować, kiedy nie będę się starać o ich przychylność, pomyślała. I poczuła, że cieszy ją, iż może zacząć od nowa.

Kit gnał do domu jak na skrzydłach. Zabierze tylko latarnię, brandy, trochę herbaty, koc i coś do przegryzienia. I wróci, żeby stać na straży.

Chciał ją mieć w łóżku dziś, jutro i zawsze, ale chyba powinien przynajmniej udawać, że liczy się z wymogami etykiety. I tak poślubi ją w trybie przyspieszonym, gdy tylko otrzyma specjalne pozwolenie. A do tego czasu będzie stale tuż obok niej.

Był szczęśliwy. Nie było to łatwe szczęście, biorąc pod uwagę fakty z jego przeszłości, hrabinę, która na pewno wydmie z urazą usta, kiedy ją porzuci dla żony (jakże uwielbiał to słowo!), niezadowolone ojca oraz całą tę niepewność i zagrożenie, jakie towarzyszyły ich związkowi. W pewnym sensie jednak to właśnie sprawiało, że szczęście było tak cenne, tak pełne. Gdyby nie to wszystko, pewnie nie pozwoliłby, aby Susanna poznała go takiego, jaki jest naprawdę. Gdyby nie to wszystko, Susanna nie byłaby tą osobą, którą jest obecnie. Poślubiłaby tego nieszczęsnego młodego bufona Douglasa i nigdy by nie poznała rozmiarów własnej siły, głębi własnej namiętności. A on nadal sypiałby z zamężną hrabiną, nadużywał trunków i nigdy więcej by nie pozwolił, aby ktoś zajrzał mu w głąb duszy.

Wiedział, że różne są oblicza strachu. Człowiek boi się tylko przed i po bitwie, nigdy podczas niej. Podczas bitwy robi się po prostu, co trzeba. Dopiero potem przychodzi ból. A wcześniej boli samo czekanie.

I to także była miłość.

Rozejrzał się wokół. Wszystko, co sprawiło, że był tym, kim był, zaczęło się tutaj, w tych lasach, gdy podpatrywał żmije, nornice i tym podobne stworzenia. Tu wykształcił w sobie umiejętność dostrzegania związków i wyprowadzania konkluzji. Tu ćwiczył swą cierpliwość, zwinność, precyzję. Tu nauczył się widzieć złożoność w pozornie prostych, zwodniczo prostych sprawach.

I tu po raz pierwszy poznał smak namiętności. Tu nauczył się kochać.

Podniósł wzrok ku górze. Przesączaający się przez gałęzie blask późnego słońca przywiódł mu na myśl witraże w Gorringe. „Wiani, nadzieja, miłosierdzie...” Największą cnotą jest miłość, powiada Pismo. Niektórzy mówią, że miłość i miłosierdzie to jedno i to samo.

Ale wszystko to...

O, do diabła. A wszystko razem to chrześcijańskie cnoty!

Przystanął gwałtownie. Parsknął śmiechem. Chyba nie zdarzyło się dotąd, aby ktoś wypowiedział czy pomyślał te słowa - „do diabła” i „chrześcijańskie cnoty” -jednym tchem, tak jak on.

Witraże i grobowiec w Gorringe ufundował hojny dobroczyńca. Dałby sobie rękę uciąć - lewą, zranioną - że tym hojnym dobroczyńcą był Richard Lockwood.

Elementy układanki wskoczyły na miejsce.

„No jasne” - tak powiedział James, patrząc na odwrotną stronę miniatury z podobizną Anny Holt.

A co było napisane na odwrotnej stronie miniatury? „Dla Susanny Faith”. Faith, wiara, to jedna z chrześcijańskich cnót. A Sylwie miała na drugie imię Hope - nadzieja.

Założyłyby się, że Sabrina miała na drugie Charity. Co oznacza miłosierdzie.

Każda z miniatur to był trop. Lubiący bawić się słowem Richard Lockwood wykorzystał imiona córek jako znaki, wskazujące drogę do miejsca, gdzie ukrył dowody.

Jutro. Pójdzie tam jutro. Musi pójść. Dla Susanny.

I... no cóż...

Na honor, miał ochotę przyłożyć za to Johnowi.

W wieczór minął spokojnie i cicho. Zaczęty z ciotką Frances czytać kolejną powieść, tym razem niesamowitą, i Susanna dość długo nie mogła zasnąć, choć prawdę mówiąc, przeszkadzały jej w tym nie tylko powieściowe duchy, lecz i wspomnienie tego, co przeżyła z Kitem. Obudziła się jednak o zwykłej porze. A gdy o równie zwykłej porze wyszła na dwór ze szkicownikiem pod pachą, okazało się, że przed furtką czeka na nią wicehrabia.

Jej narzeczony...

Stanąła i przez chwilę po prostu na niego patrzyła. Jakie to szczęście, że on istnieje. Jak cudowna jest radość, która ogarniają na jego widok. Która sprawia, że niebo nad głową i grunt pod stopami zdają się jednym i tym samym.

Podeszła do niego, a on wyciągnął rękę i ją przygarnął. Uniosła twarz, a on pocałował ją w usta, słodko i zwyczajnie. Od tej pory będą przecież mogli się całować, ile zechcą i jak zechcą: i słodko, zwyczajnie, i zachłannie, namiętnie...

Twarz miał chłodną, tak jakby już dosyć długo przebywał na dworze. Usta leciutko pachniały herbatą, ale też były chłodne. A oczy znowu miał podkrążone. I nie był ogolony.

Przyjrzała mu się krytycznie... I zrozumiała.

- Pilnowałeś mnie - powiedziała z bijącym sercem. - Przez całą noc... To dlatego wyglądasz tak...

- Przystojnie? - dokończył.

Susannę ogarnęły wdzięczność i uwielbienie tak wielkie, że serce, zdawało się, nie zdoła ich pomieścić. Ukryła jednak te uczucia. Inaczej ten wrażliwy, rycerski mężczyzna poczułby się niezręcznie.

- Dzisiaj - zdecydowała - kiedy ciocia Frances się położy, wpuszczę cię do mojego pokoju. Skoro naprawdę musisz mnie pilnować, będziesz spał w fotelu. Wyjdiesz, zanim ciotka wstanie. Nie pozwolę, żebyś w ogóle nie spał.

Pomyślał przez chwilę i skinął głową. Chyba mu się spodobało, że ktoś mu rozkazuje. Podał jej ramię i poprowadził wysadzoną drzewami drogą, tym razem jednak nie do lasu, lecz w kierunku przeciwnym, do Różanego Dworku. Susanna rozejrzała się po ogrodzie.

- Nie sądziłam, że rośnie tu coś tak pospolitego jak róże - zażartowała.

Nie roześmiał się. Odwrócił się do niej. Ich usta spotkały się w pół drogi. Jęknął gardłowo i przygarnął ją ciasno, tak jakby chciał wchłonąć ją w siebie i uchronić w ten sposób przed niebezpieczeństwem, a ona powiodła dłońmi po jego piersi i objęła go za szyję. Całowali się głęboko, zachłannie. Tak właśnie chciał ją pocałować na powitanie, ale pod domem ciotki Frances wydało mu się to niestosowne.

Oderwał od niej usta i podniósł głowę, by złapać powietrze.

- Chciałbym ci coś powiedzieć, Susanno. Dzisiaj...

Urwał. Od strony domu ktoś się zbliżał. Okazało się, że to Bullton, zaczerwieniony z wysiłku i gorąca. Nic dziwnego, lokaj większość czasu spędza we wnętrzu domu.

- Coś się stało, Bullton?

- Sir... - wydyszał. - Ma pan... gościa, sir.

Któż mógł do tego stopnia go wzburzyć?

Do kroćset... To musi być ojciec!

Kit zapomniał, że miał mu wysłać jakieś notatki...

Zebrał się w sobie i zaczął prędko układać w głowie jakieś usprawiedliwienie, dlaczego zbiory są na razie tak skromne, dlaczego jeździł do Gorringe... Podniósł oczy.

Nieopodal, w ogrodzie, stała niewysoka, szczupła kobieta, od stóp do głowy spowita w żałobną czerń. Na głowie miała wielki czarny kapelusz z woalką; na szyi spoczywał ciężki węzeł włosów. Powoli podniosła okryte czarnymi rękawiczkami dłonie i zwróciwszy twarz ku niemu, uniosła woalkę.

Kit zamarł. Bo cóż innego można zrobić, kiedy się widzi ducha...

Bezwiednie puścił rękę Susanny. Duch zaczął iść ku niemu. Z każdym jego krokiem zmniejszał się dystans lat, które minęły.

Wyciągnęła ku niemu dłoń na powitanie, a Kit ujął ją niemal od-ruchowo. Zanim jednak zdążył musnąć dłoń pocałunkiem, Caroline Allston złapała go za rękę i odwróciła ją do góry. Popatrzyła na nią uważnie i się uśmiechnęła.

- Och, Kit - mruknęła. - To naprawdę ty.

I ucałowała znamię w kształcie mewy na jego nadgarstku.

Może i nie wyrwał jej ręki, ale w każdym razie cofnął ją dosyć szybko. Caroline zawsze miała skłonność do dramatycznych gestów i łatwo było wpaść w tę pułapkę.

Opanował się i spojrzał na Susannę, kobietę, którą przed chwilą całował. Przypatrywała się Caroline z takim samym podziwem i taką samą czułością, jakie miała zarezerwowane dla zmij.

Pomimo upływu lat, Caroline nie straciła nic ze swej urody. Wciąż te same duże, ciemne oczy, łagodne i głębokie, te same delikatne niczym u dziecka brwi. Te same naturalnie czerwone wargi, które tak go fascynowały, gdy miał siedemnaście lat. Namiętna, zmysłowa twarz. A pomimo to... delikatna, wrażliwa. Sprawiała, że natychmiast chciało się stawać w jej obronie, gdy tak naprawdę należało bronić się przed nią.

-Caroline...

-Allston - uzupełniła. - Tak jak dawniej, Allston. - Bez słowa wyjaśnienia, skąd ta żałobna suknia i kapelusz.

-Witaj, Caroline. Pozwól, że przedstawię ci moją narzeczoną, pannę Susannę Makepeace.

Gestem właściciela ujął dłoń Susanny i włożył ją sobie pod ramię. Dziewczyna jednak sprawiała wrażenie sztywnej jak trup. Spojrzał na nią, by dodać jej otuchy, ale ona z rozmysłem unikała jego spojrzenia. Oczy miała utkwione w Caroline, takjakby siłą swego spojrzenia mogła sprawić, że ta kobieta rozwieje się w powietrzu jak zjawą.

Caroline także wpatrywała się w Susannę.

- Gratulacje z okazji zaręczyn. - Zdołała nadać tym słowom ironiczne brzmienie.

- Dziękujemy. Ileż to lat minęło? - Kit silił się najowialny ton. Nie był pewien, jak się zwracać do dawnej kochanki, dziś domnianej zdrajczyni.

- Siedemnaście - odparła Caroline. - A wydaje się, jakby to było... wczoraj.

Powiedziała to tak sugestywnie i znacząco, że istotnie można było odnieść wrażenie, iż wszystko działo się zaledwie wczoraj. A przecież, o Boże... czegoż to oni wówczas nie robili!

Jakie to do niej podobne... Tak samo postępowała siedemnaście lat temu. Równie sugestywnie i subtelnie prowokowała jego i Johna, tylko po to, by obserwować, jak będą się czubić niczym dwa koguty. Czy to możliwe, by w ogóle się nie zmieniła przez siedemnaście lat? A może to w nim jest coś, co sprawia, że Caroline powraca do swoich gier?

- Czemu zawdzięczam przyjemność, że mogę cię znowu oglądać, Caroline? - Teraz, gdy zdołał się opanować, głos miał zdecydowanie chłodniejszy.

Twarz Caroline skurczyła się nieco, a on zobaczył w niej tamtą dziewczynę sprzed lat, która starała się być dzielna, ale знаła tylko jeden sposób obrony. I natychmiast odruchowo zapragnął podejść do niej i ją osłonić, udzielić jej pomocy, której nie udało mu się zapewnić w przeszłości.

- Mam kłopoty, Kit. Naprawdę. Nie mam nikogo, do kogo mógłbym się zwrócić, przysięgam. A ty zawsze... zawsze starałeś się mi pomóc.

„Starałeś się”... Te słowa od lat tkwiły w nim jak cierni. Tak, starał się. Starał się jej pomóc - i nie potrafił.

Musiała zauważyć, że rysy twarzy mu zmiękły. Jej głos odzyskał godność i pewność siebie.

- Proszę cię o chwilę rozmowy, Kit. Proszę mi wybaczyć, panno Makepeace - dodała grzecznie - że zakłócam państwu te niewątpliwie bardzo szczęśliwe chwile. Jest mi nad wyraz przykro.

Kit spojrział na Susanne: szczyrzyła zęby w sztucznym uśmiechu. Znowu spróbowała cofnąć rękę; przycisnął ją mocno ramieniem. Nigdzie nie pójdziesz, Susanno, pomyślał. W pewnym sensie była jego talizmanem.

Nie wiedział, czy może i czy powinien ufać Caroline. Udręka, jaka malowała się na jej twarzy, sprawiała wrażenie prawdziwej, i tak jak przed laty budziła w nim coś, co sprawiało, że gotów był zrobić wszystko, byle tylko jej ulżyć.

Oprócz tego jednak był zwyczajnie ciekawy. Co też ma mu do powiedzenia Caroline? Była integralną częścią tajemnicy, którą starał się rozwikłać, i w pewnym sensie wydawało się nieuniknione i naturalne, iż się tu pojawiała.

- Cokolwiek chciałabyś mi powiedzieć, możesz to zrobić w obecności mojej narzeczonej. - Złagodził odrobinę ton, aczkolwiek nadal był nieubłagany uprzejmy.

- Kit... - Caroline sprawiała wrażenie zdesperowanej. - Może... może nie chciałabyś, aby panna Makepeace słyszała, co mam ci do powiedzenia. Chodzi mi tylko o jej dobro.

Coraz gorzej... Ale całkiem niewykluczone, że Caroline miała rację. Nie chciał, by Susanna miała coś wspólnego z domniemaną zdrajczynią. Ciekawe, czy jest tu gdzieś w pobliżu John Carr... Czyżby Caroline udało się przyjechać niepostrzeżenie? Cały ten żałobny strój... welon, żałobna suknia... cóż, podejrzewał, że to przebranie.

Przez jedną szaloną chwilę przemknęło mu przez myśl, czy to przypadkiem nie John Carr odnalazł Caroline i przysłał ją do niego. Czy przypadkiem królewska straż nie zbliżyła się właśnie do Barnstable, aby go aresztować za konszachty ze zdrajczynią.

W ten sposób John Carr w końcu by wygrał.

Ta myśl wzbudziła w nim furię. Był wściekły na Caroline. Uświadomił sobie bowiem, jak głęboko tkwi w nim to wszystko, *co* związane jest z Caroline. Przed laty odkryła przyjaźń, jaka łączyła jego i Johna, i postanowiła ją zniszczyć - tylko dlatego, że mogła. Tylko dlatego, że uroda dawała jej taką moc. Być może jedyną moc, jaką miała.

- Kit... on mnie chce zabić - powiedziała cicho. - Morley.

Ach tak. Padło to magiczne słowo: Morley.

Czekał.

-Wiem, że... że niektóre moje decyzje były... nierozważne - ciągnęła, uśmiechając się nerwowo. - Ale przysięgam, że nigdy nie chciałam nikogo skrzywdzić, a już z pewnością nie ciebie. Jestem zmęczona... zmęczona tą ciągłą ucieczką. Boję się, Kit.

Milczał. Jakaś jego część wciąż nie wierzyła, że Caroline Allston znajduje się w jego ogrodzie. A inna, ta dziecięca, naiwna część cieszyła się, że do niego przyszła.

- Dostałeś mój list? - spytała, gdy wciąż się nie odzywał.

Kit poczuł, jak Susanna sztywnieje.

Który list Caroline ma na myśli? Ten, który przechwyił John Carr, czy ten napisany wiele lat temu, o treści: „Przepraszam”?

Wszystkojedno... Skinął głową.

-Kit... przez pamięć na to, co nas kiedyś łączyło... pomożesz mi?

Susanna - rzuciło się w oczy - była zraniona, oszołomiona, niepełna. Jakże chętnie ukryłby ją gdzieś, żeby nie musiała zajmować się przeszłością, jego ani własną. Ale to by nic nie dało. Najwyraźniej jego przeszłość była spleciona z przeszłością Susanny, i zanim uczynią krok naprzód, we wspólną przyszłość, trzeba powoli i metodycznie rozplatać wszystkie supły.

-Susanno...

- Idę do domu - powiedziała szybko, sztucznie ożywionym tonem. - Do ciotki Frances. Będziecie mogli bez przeszkód odnowić dawną znajomość.

- Nigdzie nie pójdziesz.

- Idę do ciotki i...

- Nie - zaprotestował. - Zostaniesz tutaj, w tym domu. Jest to również twój dom. Wejdziemy do środka. Ja porozmawiam z panną Allston na osobności, a ty poczekaś na mnie.

- Chcę wrócić do ciotki Frances - powtórzyła chłodno. Na policzkach wystąpiły jej dwie czerwone plamy.

Kit spojrział na Susannę. Unikała jego wzroku; patrzyła w bok, na róże. Ujął jej sztywną, oporną dłoń i podniósł do ust. Caroline śledziła wzrokiem ten gest z nieprzeniknioną twarzą.

- Wszystko będzie dobrze, Susanno - powiedział cicho.

Wyraz jej twarzy dowodził, że mu nie wierzy. Nie wyrwała wprawdzie ręki, ale nie było wątpliwości, że nie chce, by jej dotykał. Równie dobrze mógł ścisnąć kamienny posąg Marka Aureliusza, tak przyjazna była jej dłoń.

- Oczywiście, że będzie dobrze - powiedziała. - Bo ty zawsze starasz się być w porządku, prawda?

Ciężka niczym żelazny drąg była ta ironia i tak samo finezyjna, ale Kat nie miał czasu, by uspokajać teraz Susannę. W osobie Caroline stała przed nimi potencjalna katastrofa. Potencjalne odpowiedzi. Potencjalna prawda.

- Dziękuję, że mnie rozumiesz. - To jej musiało na razie wystarczyć. - Wejdziemy do środka?

I tak oto, tkwiąc między swoją przeszłością a przyszłością Kit wprowadził dwie powabne damy do domu.

Wystarczyło, że spojrział na tę kobietę... i zrobił się biały niczym karta w jej szkicowniku. Tak jak wtedy, gdy przygniótł go koń. I puścił jej rękę, tak jakby nie był w stanie dotykać jej i zarazem patrzeć na Caroline Allston.

Była piękna, to prawda... Jej uroda była bujna, fascynująca, budząca onieśmienie. A ona sama skomplikowana. A to, co skomplikowane, przemawiało Kitowi do wyobraźni. Trudna do zapomnienia? Susanna parsknęła krótkim, gorzkim śmiechem. To określenie ani w połowie nie oddawało tego, czym była Caroline Allston.

A Kit - mężczyzna, który posiadał jej serce - siedział teraz z Caroline Allston w bibliotece. A ona miała wrażenie, że wyjęto jej to serce z piersi, a w miejscu, gdzie się dotąd znajdowało, wieje zimny wiatr.

Siedziała w salonie, zastawionym wspaniałymi meblami. Przed oczami miała ogromne malowidło przedstawiające rodzinę White-lawów. Piękna matka Kita, jego przystojny ojciec, dwie małe dziew-

czynki, szczęśliwie podobne raczej do matki niż do ojca; minki miały skromne, ale oczy lśniły figlarnym błyskiem. Mały Kit, w przybytnym koronkami ubranku, prezentował światu ponurą, zaciętą twarz., Susanna uśmiechnęła się lekko.

Dotknęła ręką jego podobizny. Jakżeby chciała go wtedy znać... Jakżeby chciała znać go zawsze! Być tą, o którą pojedynkował się z najlepszym przyjacielem. Której imię wyciął w korze dębu. Znać go wówczas, gdy dopiero uczył się kochać. Wtedy mogłaby być naprawdę pewna, że jest przez niego kochana.

Kocha mnie, myślała tak jeszcze wczoraj. Kocha mnie, myślała zaledwie przed godziną, gdy całował ją w różanym ogrodzie. Tak, kocha! Nie miała wówczas co do tego Wątpliwości.

Ale co ona tak naprawdę wiedziała o jasnych i ciemnych stronach miłości? Ta piękna kobieta, z którą siedział w tej chwili o parę pokojów dalej, była jego pierwszą miłością. I potrzebowała go teraz. Być może Kit skorzysta z tej możliwości, by spłacić jakiś dług, który wobec niej zaciągnął?

No cóż... Ale ona, Susanna, go kocha. I to musi na razie wystarczyć, dopóki on nie powie jej tego samego. O ile w ogóle kiedyś powie.

Utkwiła spojrzenie w obrazie i nakazała sobie spokój.

Kit wprowadził Caroline do biblioteki, wskazał krzesło i poczekał, aż pani Davies, ta o oczach spaniela, postawi na stoliku tacę z herbatą. Pani Davies umiała ukrywać uczucia równie skutecznie jak Bullton. Dopiero wychodząc z pokoju, spojrzała wymownie na Kita. Jej dezapropata była wręcz namacalna.

Patrzył, jak Caroline ściąga rękawiczki, palec po palcu, i ściska je w dłoni. Zdjęła kapelusz, wielki i ciężki od piór i żałobnego welonu, i położyła obok na sofie. Wyglądał jak żywa istota, zadomowiona w tym wnętrzu. Włosy, tworzące luźny węzeł na smukłym karku, wciąż były czarne i lśniące. Pamiętał ich miękkość... Wydawały się w dotyku niczym dym i jedwab, kiedy miał siedemnaście lat.

-Jest mi naprawdę bardzo przykro - powiedziała cicho Caroline.

I przez moment poczuł się tak, jakby znów miał siedemnaście lat - i złamane serce.

A ona? Czy cierpiała wówczas choć trochę? Czy uciekła, żeby go ukarać, czy żeby uratować siebie samą? Czuł się wtedy tak udręczony, tak dotknięty, iż cudem jest, że może dzisiaj patrzeć na nią wyłącznie jak na dzieło sztuki. Serce pozostawało niewzruszone.

- Tamtego wieczoru... wysłaś z Morleyem?

Jakie to dziwne, że za chwilę będzie to wiedział na pewno. Po tylu latach...

Caroline zawahała się, po czym powoli pokiwała głową.

- Czy on się do ciebie dobierał... czy cię zmuszał... - Poczuł, że budzi się w nim dawna wściekłość.

- Sama mu to zaproponowałam, Kit.

Przyjął to do wiadomości. Pamiętał nieprzeniknioną twarz Morleya i pogardę, która wзираła spod maski. I ten uśmiech, który mu wtenczas posłał... Dlaczego miałby nie zaakceptować propozycji Caroline? Mało który mężczyzna by się jej wtedy oparł. Osiemnastoletnia Caroline była zjawiskiem.

- Może nie miałaś wyboru. - Obudziła się w nim duma. I poczucie winy.

- To był mój wybór. - Caroline patrzyła mu prosto w oczy.

Co oznaczało: to był mój wybór, ponieważ ty nie chciałeś lub nie mogłeś się ze mną ożenić. Choć jakże chętnie się do mnie dobierałeś.

- I... tak, owszem... Morley dobierał się do mnie. Tego wieczoru... i później. Mnóstwo razy. Na wiele, wiele różnych sposobów.'

Mówiła powoli, przeciągając słowa, tak by mógł sobie wszystko dokładnie wyobrazić. Uśmiechała się przy tym leciutko, napawając się jego zmieszaniem. Jakież to do niej podobne... Męska zazdrość to był jej żywioł. Spokojne wody, błękitne niebo nigdy jej nie zadowalały. Lubiła wzbudzać ciemne, mętne pragnienia.

Milczał.

- Byłam wtedy bardzo młoda, Kit. A dwa lata temu...dwa lata temu odeszłam od Thaddeusa.

- Od Thaddeusa - powtórzył Kit beznamiętnie. Mówiła jak żona.

- Tak właśnie ma na imię - powiedziała z ironią. - A kiedy od niego odeszłam...

- Dlaczego od niego odeszłaś?

Wzruszyła leciutko ramionami.

I to lekkie wzruszenie ramion było nad wyraz okrutne. Ciekawe, czy Morley także ją kochał. I czy miało to coś wspólnego z tym, że chciał ją zabić. Kit niemal mu współczuł.

- Rzuciłaś go dla kaprysu, Caroline?

Spojrzała na niego, zdziwiona. Spojrzenie mówiło: przecież mnie znasz, prawda? Caroline składała się przede wszystkim z kaprysów.

- Kiedy od niego odeszłam, zaczęły się dla mnie trudne czasy, Kit. No więc napisałam do Thaddeusa i poprosiłam go o pieniądze. Myślałam, że mi pomoże. A on mnie teraz chce zabić.

- Czyżby, Caroline? - spytał ironicznie Kit. - Zwykła prośba o pieniądze... i w znanym polityku budzi się nagle żądza mordu? Dziwne, ale Morley nigdy nie wydawał mi się kimś nierozumnym. Wręcz przeciwnie. Udało mu się utrzymać stanowisko przez wicie lat i w ciągu tego czasu zabił, owszem, parę osób, ale ze względów czysto praktycznych. Parę osób, o których wiem. Być może ty wiesz więcej?

Caroline drgnęła. Widział, jak napięta się delikatna skóra wokół jej oczu, gdy starała się ukryć bardziej wyraziste uczucie. Może było jej przykro, że stać go na tak chłodną odpowiedź? Spuściła oczy, niczym skarcone dziecko, i utkwiała je w złożonych na podołku rękach.

- Może mu czymś groziłaś, Caroline? - podsunął z lekką ironią. - Masz okazję mi o tym powiedzieć.

Podniosła głowę i uśmiechnęła się zalotnie.

- No cóż, wtedy wydawało mi się, że to dobry pomysł. Wiesz, że mój sąd zawsze był dość powierzchowny.

Westchnął.

-A czym dokładnie groziłaś mu, Caroline? Czy wiesz o czymś, co go obciąża?

Milczała.

- Zmusił mnie, żebym mu pomogła, Kit.

Jakoś nie potrafił sobie wyobrazić, by ktokolwiek mógł zmusić do czegoś Caroline, nawet Morley. Cokolwiek uczyniła, z pewnością traktowała to jak przygodę.

- Żebyś mu pomogła w czym?

Pokręciła gwałtownie głową.

- Żebyś mu pomogła w czym, Caroline? - powtórzył nieubłaganie. - I jak cię do tego zmusił?

Niemal widział, jak gorączkowo pracuje jej umysł, choć oczy pozostawały bez wyrazu.

- Proszę, nie zmuszaj mnie, żebym ci o tym mówiła - wyznała cicho. - Kit... ja po prostu... jestem zmęczona ucieczką. Boję się. Proszę... - Nachyliła się i położyła mu dłoń na kolanie. - Proszę, pomóż mi.

Spojrzał na tę spoczywającą na jego kolanie dłoń, a potem na jej twarz. Była w niej obietnica, która z pewnością by sprawiła, że ugięłyby się pod nim kolana, gdyby miał siedemnaście lat. Co tam kolana... Z pewnością miałby już rozpięte spodnie. Nawet teraz nie był na tę pokusę całkiem odporny: przecież był mężczyzną, a ona miała kilkanaście lat na doprowadzenie do perfekcji tych spojrzeń i gestów. Owszem, pochlebiali jego męskości, ale poza tym czuł tylko ciekawość. Patrzył na nią tak, jak patrzyłby na dziecięcą układankę. Rodzaj komplikacji, jaki się z nią wiązał, stracił dla niego wszelki powab, bez względu na atrakcyjność opakowania.

Delikatnie zdjął rękę z kolana i złożył z powrotem na jej podołku. I tym gestem jak gdyby zwracał jej całą swą przeszłość, wszelkie uczucia, jakie niegdyś dla niej żywił.

Na twarzy Caroline pojawił się szok. Szok, że ktoś ją może odrzucić. I panika: oprócz tych spojrzeń i kilku podobnych sztuczek nie miała przecież nic.

- Nie mogę ci pomóc, dopóki mi nie powiesz, dlaczego twoim zdaniem on próbuje cię zabić - rzekł łagodnie. - I, Caroline, nawet jeśli on cię zmusił do pomocy, to i tak masz swój udział w tym, co

zrobił. I możesz za to odpowiadać. Chyba że mi powiesz. Wówczas, być może... może znajdzie jakiś sposób, aby cię obronić.

Spróbowała raz jeszcze: rozchyliła lekko wargi i popatrzyła na niego wzrokiem, który mógł sprawić, że nawet pastor zdarłby z siebie szaty i rzucił się na nią. Dobrze wiedziała, że mężczyźni to na ogół prostaczkowie i że jej moc jest potężna.

Kit przeczekał to. Potrafił czekać, jeśli wymagała tego od niej strategia.

Caroline zmarszczyła lekko brwi i uciekła spojrzeniem w bok. Czuła się niezręcznie. W końcu... W końcu zaczynała sobie uświadamiać, że jej kłopoty są naprawdę poważne i że Kit nie jest już siedemnastoletnim chłopaczkiem, opętanym miłością i pożądaniem. Westchnął i próbował wykorzystać element zaskoczenia.

- Chodzą słuchy, Caroline, że Morley sprzedawał informacje Francuzom. Wiesz coś na ten temat?

- A więc prowadzi się śledztwo w tej sprawie? - podchwyciła żywo. - Masz jakieś dowody?

Interesująca gotowość. Interesujące pytanie.

Klik... Kit poczuł, że kolejny element układanki wskoczył na swoje miejsce.

Wiele go kosztowało, by nie dać po sobie poznać, że właśnie uświadomił sobie coś ważnego.

- Co robiłaś w Gorringe, Caroline? - spytał na pozór od niechcienia.

- W Gorringe? - Sprawiała wrażenie prawdziwie zaskoczonej.

- List. Ten, w którym napisałaś: „Przepraszam”. Wysłałaś go z Gorringe. Wiele lat temu. W jakiś rok od chwili, gdy wyszłaś z przyjacią z Morleyem.

- Och... - rzuciła lekko. - Zapomniałam.

W uszach Kita zabrzmiało to jak słowny ekwiwalent wzruszenia ramionami. Zapomniała!

W rzeczywistości był pewien, że doskonale pamięta, co robiła przed laty w Gorringe. „Zmusił mnie, żebym mu pomogła” - powiedziała... Nie, z pewnością ze strony Morleya nie było żadnej

przemocy. Caroline zawsze lubiła płatać figle i cała sprawa bez wątplenia wydawała jej się niezwykle ekscytująca.

Pomyśleć tylko, że Caroline była szpiegiem na długo przedtem, zanim on został szpiegiem. Co za ironia!

Patrzył na nią bez wyrazu; miał doskonale wytrenowane takie spojrzenie. I widział, jak Caroline gorączkowo usiłuje odczytać coś z jego nieprzeniknionej twarzy, rozpoznać, co on myśli, co czuje.

A on myślał i czuł tylko tyle: że Caroline pomogła zrujnować życie i szczęście dwojga ludzi. Ze pozbawiła Susannę rodziny. I że współuczestniczyła w zdradzie. A poza tym zaczynało się w nim rodzić przekonanie, że była także współsprawczynią morderstwa, popełnionego niemal dwadzieścia lat temu.

Caroline miała trudne dzieciństwo i młodość, ale to jej własne postęпки sprawiły, że jej życie pozostało trudne. I całkiem możliwe, uświadomił sobie w końcu, że nie jest w stanie jej pomóc, choćby nie wiem jak usilnie się starał.

Odchrząknęła.

- Chyba powinnam już iść. Wybacz, że zawracałam ci głowę.

- Nie. - Łagodnym, ale zdecydowanym ruchem położyła jej rękę na ramieniu. - Zostań. Zrobię wszystko, aby ci pomóc, Caroline.

Było to kłamstwo. Ale nie miał zamiaru jej teraz puścić.

Susanna nie odwróciła się, kiedy w godzinę później wszedł do salonu. Był jednak pewien, że słyszała jego wejście: widział, jak nagłe zeszywniała.

Usiadł obok niej na sofie i przez chwilę milczał. Poszedł za jej wzrokiem.

- Jak ci się podoba mój portret? - spytał tonem towarzyskiej konwersacji.

Zastanowiła się.

- Nie wyglądasz na szczęśliwego.

- Ten obraz to był pomysł mojego ojca. Pamiętam to pozowanie.

- Uśmiechnął się smętnie. - Ojciec zawsze zmuszał mnie, żebym

robił coś, na co nie miałem ochoty. Nie miałem ochoty... a potem byłem z tego zadowolony.

Jak ten przekłęty album. I, zirytowany i rozbawiony zarazem, zdał sobie sprawę, że ojciec jest prawdopodobnie mądrzejszy od niego.

No cóż... Skoro już ktoś musi być od niego mądrzejszy, to lepiej żeby to był ojciec.

- Ty też masz dwie siostry - powiedziała cicho. - Żyją?

-Tak.

Nie miał zamiaru racyć Susanny szczegółami na temat tego, jak wyglądają prawdziwe stosunki między rodzeństwem. Jeśli uda im się odnaleźć jej siostry, wówczas sama się będzie mogła przekonać, że to i słodycz, i gorycz zarazem.

- Może powinniśmy rozesłać listy w poszukiwaniu moich sióstr. Daisy Jones powiedziała, że Sylvie wyjechała do Francji. Sabrina, kto wie, może nadal być w Anglii. A może i moja matka... - Głos jej się leciutko załamał.

- Wkrótce się do tego zabierzemy - obiecał.

Uśmiechnęła się blado.

Wziął ją za rękę. Była chłodna, ale rozluźniona, nie stawiała oporu. Uniósł ją do ust, przytrzymał, potem odwrócił i pocałował wnętrze dłoni. Zacisnął pałce na pocałunku.

- Muszę gdzieś pojechać, Susanno. Zamierzałem powiedzieć ci o tym wcześniej.

-Z nią?

- Nie.

Na jej twarzy pojawiła się ulga. Naprawdę myślała, że ją zostawi?

- A gdzie będzie ona, kiedy ty wyjedziesz? - spytała.

- Pojedziecie ze mną obie. I ty, i ona. - Uznał, że to jedyne wyjście.

-Wspaniale. Pojedziemy we troje. Sielanka.

Uśmiechnął się. Nie miał jednak zamiaru zostawiać Susanny samej. Nie chciał także, żeby Caroline opuściła Różany Dworek, skoro już tu przyjechała. A nie mógł przecież dać Bulltonowi bronii do ręki

i kazać pilnować mu Caroline, ani nie byłoby w porządku, gdyby powierzył mu ochronę Susanny.

Wyście, choć mało zadowolające, było tylko jedno: zabrać obie kobiety do Gorringe. I to szybko.

Gdzie się podziewa ten przekłety John Carr? Teraz, kiedy go naprawdę potrzebuje?

- Posłuchaj mnie, Susanno. Czy chcesz, żeby się to wszystko skończyło? Chcesz być wreszcie bezpieczna?

- Nie. Szalenie mi się podoba życie w poczuciu zagrożenia i nieustanne zastanawianie się, kiedy znowu dostaniesz nożem w mojej obronie. Albo kiedy przygniecie cię koń.

Uśmiechnął się znowu. Zawsze lubił jej sarkazm.

- Jak możesz się uśmiechać? - spytała z irytacją.

- Zapominasz, kochanie, że niebezpieczeństwo jest związane z moją profesją.

Zastanowiła się nad tym.

- A nie wolałbyś być przyrodnikiem? - spytała bez przekonania.

Nie odpowiedział, patrzył tylko na nią przez długą chwilę. A potem nachylił się i musnął jej usta pocałunkiem.

Z początku twarde i odporne, jej wargi po chwili zmiękły i się rozwarły. Sięgnęła dłonią i ujęła jego policzek. Uwielbiał to... Przez krótką, szaloną chwilę całowali się zachłannie, z czułością, napawając się słodczą pocałunków.

Kiedy przestali, Susanna spuściła głowę. Oblizwała wargi, smakując jego smak. Odetchnęła głęboko. Wiedział, że kręci jej się w głowie tak samo jak jemu.

- A dokąd pojedziemy? - spytała, gdy odzyskała panowanie nad sobą.

- Pamiętasz, jak ci powiedziałem, że są jakieś papiery, które stanowią dowód winy Morleya? Chyba już wiem, gdzie ich szukać.

- Gdzie?

- Przypominasz sobie witraże w kościele w Gorringe? Pastor powiedział, że nie są oryginalne: ufundował je jakiś „hojny dobroczyńca”. I grobowiec też.

- Wiara, nadzieja i miłosierdzie - powiedziała w zamyśleniu Susanna i nagle otworzyła szeroko oczy. - Ojej! Wiem! Te okna to „chrześcijańskie cnoty”! To ma coś wspólnego z tymi witrażami!

- Tak. I myślę, że tym hojnym dobroczyńcą był twój ojciec. Richard Lockwood.

- Boże. - Susanna zaniemówiła na chwilę z wrażenia. - Jaki on był mądry...

- Trochę za mądry. I chyba zanadto lubił słowne gry. Mógł oczywiście być mniej sprytny, i wszyscy byśmy to docenili, ale gdzie byłaby wtedy uciecha? - zadrwił Kit. - Przypuszczam, że dokumenty, jakie udało mu się zebrać, o ile w ogóle istnieją, są schowane w grobowcu w Gorringe.

- Ale gdyby był mniej sprytny - stanęła w obronie nieznanego ojca Susanna - wówczas pan Morley sam mógłby je do tej pory odnaleźć. I zniszczyć.

- Jaka ty jesteś mądra - powiedział z przekąsem Kit.

- Chyba mam to po ojcu.

- Niewątpliwie - rzekł z pobłażaniem. - Ale oczywiście masz rację co do Morleya. To, że usiłuje cię zabić... myślę, że to oznacza, iż nie znalazł jeszcze tych papierów. Prawdopodobnie James najpierw napisał do niego, że wie o ich istnieniu, a dopiero potem zaczął ich szukać. Ajak powiedział pan Avery-Finch, szantażować należy w odwrotnej kolejności.

- I dlatego pan Morley przeszukał mój dom. Szukał ich, ale nie znalazł.

Kit skinął głową.

- Prawdopodobnie uznał, że dość łatwo będzie cię wyeliminować, na wypadek gdybyś miała te dokumenty i zamierzała je wykorzystać. Był však przekonany, że nie masz żadnych innych źródeł dochodu. Najwyraźniej nie brał pod uwagę mnie.

- Myślę, że i dla innych ludzi bywasz niespodzianką.

Wzruszył skromnie ramionami.

- Z drugiej strony, te papiery mogą nie istnieć. No, ale miejmy nadzieję, że uda nam się doprowadzić do tego, iż sprawiedliwości stanie się zadość.

- A jeśli się mylisz? To znaczy co do grobowca i całej reszty?
- Rzadko się myślę - powiedział i uśmiechnął się zrozumiale.
Susanna przewróciła oczami.

-Ale musimy poszukać tych dokumentów zaraz. Dziś, Bo jeśli naprawdę są dowodem zdrady, to można będzie aresztować Morleya. Wtedy ustaną ciągłe zamachy na twoje życie, co dla nas obojga stanowi, powiedzmy, pewną niewygodę.

-I oczyścić nazwisko mojej matki?

-I oczyścić nazwisko twojej matki. Mam nadzieję.

-I uratować w jakiś sposób Caroline - powiedziała beznamietnie. - Bo oczywiście musisz ją uratować.

Kit się zawahał. Nie wiedział, jak jej powiedzieć o swoich podejrzeniach. Może lepiej na razie w ogóle jej nie mówić? Tak, lepiej żeby była teraz w miarę spokojna i życzliwa dla Caroline.

- Być może - rzekł.

Susanna przez chwilę milczała.

-Jest bardzo ładna.

- Tak - przyznał po prostu.

Susanna odwróciła głowę i znowu na chwilę zapatrzyła się w wiszący na ścianie portret. Sprawiała wrażenie, jakby walczyła z jakąś pokusą.

-Jak opisałbyś mnie, Kit? - spytała w końcu.

- Proszę? - Może nie była to ostatnia rzecz, jaką spodziewał się usłyszeć, ale prawie.

-Jak byś mnie opisał? Po prostu nigdy tego nie słyszałam z twoich ust. Słyszałam, jak mówisz o Caroline: „trudno ją zapomnieć”. Ciemne włosy, ciemne oczy... A ja? Jaka jestem w twoich oczach?

Powiedziała to z naciskiem, nagłaco. Tak jakby nie była w stanie zaistnieć, dopóki nie określi jej za pomocą słów.

Zaskoczyła go ta prośba. Mógł opisać nornicę, żmiję, paproć, konia. Znał dotyczące ich fakty: kształt, kolor, zwyczaje, związki, które je łączą.

Ale jak opisać Susannę? Spróbował coś wymyślić, ale obrazy i uczucia mieszały się ze sobą i opierały słowom: skomplikowany kolor oczu, zielony kapelusz, piękne piersi.

Nie wiadomo dlaczego tylko jeden z tych obrazów pozostał dłużej w jego umyśle: obraz Susanny z ręką aż po łokieć we wnętrzu klaczy. Chyba musiał być ważny ten obraz.

Kit zdał sobie sprawę, że nie potrafi opisać Susanny, tak samo jak nie potrafiłby opisać własnego wnętrza. Ona była w nim. W środku.

- Nie umiem - powiedział cicho, jak gdyby do siebie. - Nie umiem cię opisać.

Na twarzy Susanny pojawiło się rozczarowanie. Widział, jak stara się je ukryć.

Wstał, dziwnie poruszony.

- Jak ja mogę, Susanno, opisać - zatoczył wokół ręką. - wszystko? Bo właśnie tym jesteś. Jesteś wszystkim.

Patrzyła na niego, zdumiona.

- Czy cię to satysfakcjonuje? - spytał cicho.

Wiedział, że nie. Czuł się zażenowany nieadekwatnością tego określenia. A jednak nie potrafił się zmusić, by powiedzieć coś więcej.

- Pójdę polecić, by podstawiono powóz.

I wyszedł szybkim krokiem, tak jakby ogrom miłości, który widział w jej oczach, i ogrom tego, co sam czuł, wyrzuciły go z pokoju niczym pocisk.

19

Kiedy weszli do kościoła w Gorringe, Kit zawołał: „Halo!” Nie doczekał się jednak żadnej odpowiedzi. Widać pastor odsypiał swój obiadowy kieliszek wina, a może dwa lub trzy.

Doskonale. W takim razie poradzą sobie sami.

Poprowadził Susannę i Caroline na tyły kościelnej posesji.

Grobowiec nietrudno było znaleźć. Marmurowy blok jaśniał bielą w blasku słońca; wejścia strzegł kamienny anioł, dmący w trąbę. Kit poczuł lekkie rozbawienie. Choć niezbyt wielki, grobowiec był tak ostentacyjny i tak doskonale widoczny, że zakrawało to na

drwinę. Może to kolejny dowód na sławetne poczucie humoru Richarda Lockwooda? A może Lockwood naprawdę chciał, aby go tu kiedyś pochowano, a w przyszłości i innych członków rodziny, i założyło mu, by grobowiec był stylowy?

No cóż... Tak to bywa z planami. Człowiek strzela, pan Bóg kule nosi.

Grobowiec był zamknięty. Kit przygotował się na tę ewentualność. Pogrzebał w walizeczce, wyjął długi drut i chwilę manipulował nim w zamku. Schował ten prymitywny klucz do kieszeni, jako że nie chciał, aby ktoś zamknął ich w grobowcu, po czym lekko pchnął drzwi. Ustąpiły, wzbijając tuman wiekowego pyłu.

Kit zakaszał. Pomachał ręką, usiłując rozpedzić pył.

Dzień był jasny i słoneczny, ale wewnątrz grobowca panował mrok. Kit wyjął lampę - oczywiście przygotował się jak należy - zapalił, poczekał, aż płomień się rozjarzy, i spróbował zajrzeć w nieprzeniknione wnętrze. Nic szczególnego nie zauważył. Przepuścił kobiety przodem; weszły ostrożnie, z wahaniem. Kiedy były już w środku, wyjął zza pazuchy pistolet.

Wahał się, czy zostawić drzwi grobowca otwarte, ale wolał nie zwracać uwagi, że wewnątrz ktoś jest. Wybrał kompromis: wetknął w drzwi hubkę i krzesiwo. Wszedł, uniósł lampę i zatoczył nią krag.

Tak jest: we wnęce stała skrzynia. Szarpnął ją i wyciągnął na środek. Susanna i Caroline z piskiem uskoczyły w bok.

- Tu nie ma zwłok - uspokoił je. - Nikogo dotąd nie złożono w tym grobowcu na wieczny spoczynek.

Wieka skrzyni strzegł potężny zamek. Kit manipulował przy nim, klnąc przez parę minut, zanim wreszcie zapadka szczęknęła i ustąpiła.

Z wnętrza sejfu, niczym dżin z butelki, wydobył się obłok kurzu. Gdy opadł, oczom Kita ukazał się plik dokumentów. Postawił latarnię we wnęce i ostrożnie, by nie uszkodzić zetłatego przez lata papieru, zaczął je wertować.

Pierwszym był list wysłany do francuskiego agenta, którego nazwisko rozpoznał - aresztowali go przed laty. List napisany był szwajcarskim, który Kit także rozpoznał. Jak, na Boga, Lockwood zdołał go

zdobyć? Przekupstwo? Istotnie, nader ryzykowną prowadził grę biorąc pod uwagę, że podjął to śledztwo w pojedynkę.- Drugi dokument to był napisany po francusku list, w którym wyrażano zgodę na spotkanie z panem Morleyem, w gospodzie w pobliżu londyńskich doków. Sam w sobie nie był szczególnie obciążający, ale mógł się przydać jako element całości. Parę arkuszy pod nim okazało się listą okrętów. Rozpoznał ich nazwy.

Dalej były rysunki działań. I listy z opisem spotkań.

- Jasny piorun - mruknął. A więc to prawda! Morley był zdrajcą, a on miał w rękach dostatecznie obciążające materiały, aby doprowadzić do jego egzekucji.

I w tym momencie ciszę grobowca przerwał tak dobrze znany mu dźwięk: szczęk cyngla. Tuż za jego plecami.

Odwrócił się. Caroline Allston mierzyła z pistoletu w skroń Sn-sanny.

- Daj mi te dokumenty, Kit.

Jednym spojrzeniem ocenił sytuację. Bez trudu wyrwałby tę zabawkę z delikatnej ręki Garoline, gdyby nie...

- To pistolet do pojedynku. Tknij mnie choćby, a będzie tak.,,
- Caroline gwałtownie rozpostarła palce.

Właśnie. Gdyby nie to.

- Gdyby tak było, to nie zrobiłabyś tak. - Susanna powtórzyła gest Caroline. Głos jej drżał, ale raczej chyba ze złości niż ze strachu.

- Susanno - powiedział cicho Kit - ona ma rację. Nie ruszaj się.

Susanna posłusznie umilkła. Kit mógłby zgnieść tę pukawkę w dwu palcach, tak wielka była w tej chwili jego furia. Również na siebie samego.

Wiedział, że Caroline jest kapryśna, lekomyślna, uparta. Do głowy mu jednak nie przyszło, że może być groźna.

Tojogo uprzedzenia, jego poczucie honoru zaciemniały mu osad. I oto Caroline celowała teraz z pistoletu do Susanny.

- Odłóż pistolet, Caroline - odezwał się delikatnie, łagodnie,
- Wiem, że nie chcesz tego zrobić.

- Nie? - W głosie Caroline było rozbawienie. - Ty wcale nie zamierzasz mi pomóc, Kit. Przypuszczam, że chcesz doprowadzić do tego, żeby mnie powiesili.

- Dlaczego uważasz, że miałbym pragnąć twojej śmierci? - Wciąż mówił głosem łagodnym jak tchnienie wiatru. Tak by nie rozdrażnić jej jeszcze bardziej.

Caroline w odpowiedzi przewróciła tylko oczami.

- Och, nie musisz do mnie mówić aż tak łagodnie, Kit. Nie jestem szalona. Jestem całkowicie przy zdrowych zmysłach.

- Caroline, daj mi ten pistolet, a...

Prychnęła. Nie poruszyła się. Kit także. Powietrze zdawało się krzepnąć.

- Ona była miła, Susanno - szepnęła Caroline. - Twoja matka.

Susanna prześliznęła się wzrokiem po twarzy Caroline. Kit widział, jak nagle coś zaświtało jej w głowie. Zaczynała sobie uświadamiać to, co on uświadomił sobie wczoraj w bibliotece.

Caroline uśmiechnęła się leciutko.

- Mało kto jest naprawdę miły - ciągnęła. - Ludzie starają się, udają, bo myślą, że tak trzeba. Ale twoja matka była naprawdę miła. A ja byłam okropną służącą.

- Skąd znałaś moją matkę? - spytała ochryple Susanna.

Piękna twarz Caroline pozostała beznamietna, ale w oczach nieoczekiwanie błysnął bezbrzeżny smutek.

- Przykro mi - powiedziała.

Susanna głośno przełknęła ślinę.

- To byłaś ty... tamtego wieczoru... twoje włosy... Tak, to musiałas być ty.

- Byłam służącą w waszym domu w Gorringe. Morley miał podejrzenia co do pana Lockwooda, a wiedział, że Anna Holt poszukuje służących do swego wiejskiego domu, więc się postarał, żeby zatrudniła i mnie. A potem wystarczyło słuchać... nikt przecież nie zwraca uwagi na służącą. Równie dobrze mogłabym być pchłą. Twój ojciec opowiedział o wszystkim twojej matce. Ja to słyszałam i potwierdziłam podejrzenia Thaddeusa. A on, jak przypuszczam... zrobił resztę.

Czyli zamordował Richarda Lockwooda i skierował podejrzenia na Annę Holt.

Caroline zwróciła spojrzenie na Kita.

-Właśnie dlatego myślę, że zamierzasz doprowadzić do mojej egzekucji, Kit. Dziś, kiedy nie pozwoliłeś mi wyjechać, domyśliłam się, że prawdopodobnie o wszystkim już wiesz. A ty zawsze byłeś taki okropnie lojalny wobec tych, których kochasz. Tak strasznie ci zawsze zależało, żeby wszystko było jak trzeba. Ale mnie nigdy nie kochałeś, Kit... to były tylko rycerskość i honor. I to twoje przeklęte poczucie tego, co słuszne, a co nie. Dlatego chciałeś się ze mną ożenić, dlatego chciałeś mi pomóc. A Susannę kochasz. I dlatego nie pozwoliłeś mi odejść dziś rano. Bo to by było niesłuszne.

Kit milczał. Caroline świetnie zna się na miłości, pomyślał z ironią.

A jednak miała rację.

-Zniszczyłaś ich życie, Caroline - powiedział cicho. - Życie trzech małych dziewczynek. Ich matki i ojca. Szpiegowałaś na rzecz Morleya. Byłaś wtedy bardzo młoda, ale jestem pewien, że wiedziałaś, co robisz.

-Wtedy traktowałam to jak przygodę. A poza tym nie zastanawiałam się nad tym specjalnie. Ale teraz jest mi przykro, naprawdę. Co nie znaczy, że zamierzam dać się powiesić, na litość boską... Więc bądź tak uprzejmy i daj mi te dokumenty. Spalę je.

- Caroline... nawet gdybym ci je dał, gdybyś je spaliła, nie unikniesz kary. Zadbam o to.

Słyszał przyspieszony oddech Susanny. Nawet w ciepłym świetle latarni jej twarz była biała jak ta marmurowa ściana. Chciałby wyciągnąć rękę, dotknąć jej, dodać otuchy, ale się nie odważył. Spojrzał jej tylko z miłością w oczy, a ona uśmiechnęła się leciuteńko, przelotnie. Tak jakby to ona dodawała mu otuchy. Wielu mężczyzn mogłoby uczyć się od niej dzielności, pomyślał.

A może zbyt wielkie pokłada w nim nadzieje? Tak się składa, że pod dłuższego czasu wciąż ratuje jej życie...

- A jak zamierzasz sobie poradzić? - zwrócił się do Caroline tonem niemal towarzyskiej konwersacji. - Masz w pistolecie tylko

jeden nabój, o ile w ogóle jest naładowany. Nie zabijesz jednym strzałem nas obojga.

- Och, jest ktoś, kto nas śledzi. Człowiek Morleya. Niedługo się tu pojawi, tak sądzę. Więc lepiej żebyś dał mi te dokumenty. Im wcześniej, tym lepiej.

W tym momencie rozległ się jakiś szelest. Caroline i Kit odwrócili się gwałtownie. To Susanna poruszyła leciutko czubkiem buta.

- Okropnie mi przykro, ale... chyba zemdleję - wyszeptała.

Kit omal się ku niej nie rzucił. A jednak...

Nie. Jeśli nie zemdleła przy żmii, przy oszalałym koniu, przy człowieku z nożem, to na pewno nie zemdleje i teraz.

Czekał. Wszystkie zmysły miał w pogotowiu, napięte jak struny.

Caroline poruszyła się, trochę niezręcznie, i lufa pistoletu wpiła się mocniej w skroń Susanny. Kit miał wrażenie, że to jego własna skroń.

- Naprawdę - wyszeptała Susanna rozpaczliwie. - I chyba zaraz zwymiotu...

Caroline odruchowo cofnęła się o krok, a Kit w tym momencie błyskawicznie chwycił ją za przegub i wykręcił w górę. Kula gruchnęła w sufit.

Posypał się deszcz marmurowych odłamków. Kit odepchnął Susanę w bok. Jedną ręką ścisnął obie dłonie Caroline i wykręcił do tyłu.

- Susanno, wyciągnij sznurek z mojego kufierka. Jest tam i nóż... utnij kawałek.

Jak na kogoś, komu przed chwilą celowano w skroń, Susanna zrobiła to nad podziw zręcznie. Kit skrępował ręce Caroline.

- Za to, że celowałaś z pistoletu do Susanny, dopilnuję, żebyś wisiła, Caroline.

W tym momencie skrzypnęły wejściowe drzwi. Wszyscy troje odwrócili się gwałtownie. Oślepił ich blask latarni. Kit wycelował w drzwi.

- Nie ruszaj się, bo...

- Och, daruj sobie, Kit. To tylko ja.

W drzwiach stał John Carr z latarnią w ręce. W drugiej miał pistolet, a na ramionach plecak.

Kit opuścił broń.

- No, nareszcie, John.

John Carr, wciąż w drzwiach, rozejrzał się szybko. Zarejestrował wzrokiem dziurę w suficie, odłamki marmuru na podłodze, otwarty sejf.

- Do diaska... Znowu mnie uprzedziłeś, Gratham.

- Po prostu jestem lepszy, John. To wszystko.

John pokręcił głową i zaklął cicho. Kit się roześmiał.

-A więc znalazłeś te dokumenty? - spytał John. - Istnieją, tak? W każdym razie tu prowadzi ślad.

- Są tam. - Kit wskazał podbródkiem sejf. - Ale zobacz, kto mnie znalazł.

- Witaj, John - odezwała się miłym głosem Caroline. - Dawno się nie widzieliśmy, prawda?

John zwrócił się ku niej gwałtownie - i znieruchomiał. Stał jak skamieniały i patrzył na Caroline. Twarz miał nieodgadioną

Jeszcze chwila, a Kit zaczęłyby się o niego martwić, tak niesamowite były ten bezruch i to milczenie. I wtedy John się odezwał.

- Czy dokumenty obciążają Morleya? - spytał, odwracając spojrzenie od Caroline.

- Sam zobacz.

John minął skrepowaną Caroline i milczącą Susannę i nie patrząc na żadną z nich, podszedł do sejfu. W miarę jak przerzucał papiery, twarz poważniała mu coraz bardziej.

-Wpadłem po drodze na takiego jednego... Bob mu na imię... związałem go - mówił nieobecny głosem, wciąż czytając dokumenty. - Myślę, że się przyda, kiedy przyjdzie do udowodnienia Morleyowi winy. Może zechcesz kogoś po niego posłać? - Nie przerywał czytania.

- Myślę, że to, co tu mamy, wystarczy, żeby wisiał - powiedział Kit. - To znaczy, Morley, rzecz jasna. Plus zeznania pana Avery'ego-Fincha, o ile zgodzi się wystąpić jako świadek.

- Tak... rzeczywiście na to wygląda - mruknął John, odkładając ostatni dokument. - Czemu więc nie puścisz Caroline?

Kit miał wrażenie, że się przesłyszał.

- Proszę?

- Masz tu dosyć dowodów, żeby Morleya powiesili za zdradę
- powiedział spokojnie John. - Pozwól więc Caroline odejść.

Kit wpatrywał się w urodziwą twarz Johna i miał wrażenie, że mówi to ktoś inny, nie on.

- John, czyś ty oszalał? Żartujesz sobie, prawda? Przecież ona w tym wszystkim brała udział. Ona pomogła zamordować ojca Susanny, zniszczyć jej rodzinę... a teraz przystawiła jej pistolet do skroni, jeśli cię dziwi, dlaczego ją związałem. To dzięki niej zostały zdobyte wszystkie te informacje, które trzymasz w ręce. Ona jest zdrażczynią, John. Zdradziła swój kraj, tak samo jak Morley.

Caroline uniosła lekko brwi, słysząc tę charakterystykę, ale milczała.

John także milczał. Wpatrywał się w Kita.

I wtedy przyszło zrozumienie. Świat Kita przewrócił się do góry nogami.

- Ty wcale nie śledziłeś Morleya, prawda? - powiedział cicho.
- Przez cały czas... szukałeś Caroline. Prawda?

John nadal patrzył mu w oczy, nie mówiąc ani słowa.

W końcu jednak opuścił powieki. Zaciśnął je. Gdy znowu otworzył oczy, była w nich duma i prośba o zrozumienie.

- Chciałbym ci to wyjaśnić, Kit, ale nie wiem, czy zrozumiesz. Ja nie umiałem o niej zapomnieć. Wciąż o niej myślałem. Bez przerwy Wstyd mi było, skoro już musisz wiedzieć. Zdawałem sobie sprawę, że to obsesja, a mimo to... Tak że w końcu się poddałem i zacząłem jej szukać. Najpierw u Morleya. Przejmowałem jego pocztę.

- Nikt ci tego nie zlecił - na poły stwierdził, na poły spytał Kit.

- Nikt.

- Gdyby ktokolwiek poza mną się o tym dowiedział...

Ryzyko było kolosalne. Skutki mogły być katastrofalne dla Johna.

- Wiem. - John się skrzywił. - Zaczynasz rozumieć? Chciałem podjąć to ryzyko. Dla niej.

Kit otworzył usta, by coś powiedzieć. John czekał. Ale z, ust przyjaciela nie wyszło ani jedno słowo.

-A potem... skoro już zacząłem z Morleyem, to zacząłem śledzić i ciebie, Kit. Nie spodziewam się, że mi wybaczysz, ale nie potrafię ci tego wytłumaczyć. Nie sądzę, żebyś zrozumiał. Ja sam nie do końca siebie rozumiem. Ale wiedziałem, że ona do ciebie wróci. Bo zawsze liczyłeś się tylko ty. -John zaśmiał się krótko, na poły gorzko, na poły zdumieniem. -I pomyślałem, że jeśli jej pomogę, to może wówczas będzie wołała mnie. Nie mogłem pozwolić, żebyście znowu byli razem. Boże... chciałem mieć szansę. -John był wyraźnie zmieszany. -Większość twojej korespondencji to same nudy - spróbował zażartować.

- Przykro mi, że cię zanudzałem - powiedział sucho Kit.

- I rzeczywiście cię odnalazła. Miałem rację. -John roześmiał się niewesoło.

- Pewnie twój szpiegowski instynkt ci podpowiedział.

- Myślałem sobie... po tym, jak powiedziałaś mi o Makepeasie, że może uda mi się znaleźć te papiery przed tobą... i jeśli byłoby w nich coś, co świadczyłoby o udziale Caroline, zniszczyłbym to, a zostawiłbym tyle, ile trzeba, żeby powiesić Morleya. A potem... może... gdyby udało mi się ją odnaleźć...

Podniósł wzrok na Caroline. Patrzyła na niego ze zdumieniem.

-Wyjechałbym z nią, tak by nikt nie mógł jej więcej skrzywdzić.

- Powiedział to spokojnie, z niezłomnym przekonaniem.

Ponownie spojrzął na Kita.

- A tymczasem ona... wróciła do ciebie, Kit - dokończył rozbitwiony.

-Ależ John... - zająknął się Kit. - Ona nie jest...

Chciał powiedzieć: ona nie jest tego warta. To właśnie powiedział mu John tamtego ranka przed siedemnastu laty, kiedy mierzył do siebie z pistoletów. Gorycz była w tych słowach, teraz to widział. Gorycz - i próba samoobrony. Utrata Caroline była wówczas cięższa dla Johna. Zawsze była dla niego cięższa.

A poza tym Kit czuł, że nie potrafi tak powiedzieć o jakiegokolwiek kobiecie.

- Nie mogę ci na to pozwolić, John. Nie mogę ci pozwolić, żebyś z nią wyjechał. Ona pomogła zamordować człowieka. Dwóch ludzi, wliczając to, co się stało z Makepeace'em. Niewykluczone, że przez nią ginęli angielscy żołnierze. Niemożliwe, żeby to nie miało dla ciebie znaczenia.

- Nie dbam o to, Kit. - John wyglądał na zmęczonego, oszołomionego i lekko zawstydzonego własnymi wyznaniem. - Przykro mi z tego powodu, naprawdę, ale jeśli chodzi o Caroline, to nie dbam o nic. Liczy się tylko ona.

-John...

John mu przerwał. Mówił teraz dobitnie, z pasją.

- Kit, to jedyna rzecz, na jakiej mi kiedykolwiek zależało, więc pomóż mi, proszę. Nie wiem, czy będę z nią szczęśliwy, czy nie. I nawet nie jestem pewien, czy ma to dla mnie jakieś znaczenie. - Roześmiał się krótko. - Pewien jestem tylko jednego: że pragnę Caroline. Wiedz o tym, że kocham cię jak brata. Zdaję sobie sprawę, że to, co zrobiłem, jest niewybaczalne, ale jeśli i ty mnie kiedykolwiek kochałeś, pozwól mi, na Boga, być górą. Ten jeden jedyny raz.

Z sufitu spadł jeszcze jeden odłamek. Nikt się nie poruszył.

- Nie rzucaj wszystkiego, John - poprosił cicho Kit.

John Carr milczał.

- Ona cię nie kocha, John. - Słyszał nutę rezygnacji we własnym głosie. John także ją wychwycił. Na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech.

- Och, pokocha... któregoś dnia. To znaczy... popatrz na mnie.

Kit mimo woli też się uśmiechnął. A jednak w głębi serca czuł ból. Ileż to odmian miłości można spotkać na tym świecie? Okazuje się, że miłość i jej przejawy ciągłe potrafią człowieka zaskakiwać.

Wtedy odezwała się Susanna.

- Kit... - rozległ się w napiętej ciszy jej głos. — Myślę, że powinienś pozwolić jej odejść.

Kit rzucił się ku niej,

- Susanno... ta kobieta.., to, co wyrządziła twojej rodzinie...

-Wiem, co wyrządziła, ale nic już nie jest w stanie tego naprawić.

To, że ją powieszają, nie przywróci życia mojemu ojcu ani Jamesowi Makepeace'owi. Morley... przecież to on jest tak naprawdę winien. Czy nie mamy dość dowodów, które go obciążają?

Wszystko w Kicie - poczucie sprawiedliwości, patriotyzm, potrzeba jasnego rozróżnienia między dobrem a złem - toczyło walkę z tym, co nic podlegało żadnemu prawu. Przypomniały mu się słowa Pascala: „Serce ma swoje własne racje, o których umysł nie wie nic”.

- Nie wiem, czy to słuszne, Susanno - szepnęła desperacko.

- Może nie wszystko należy oceniać jako słuszne lub nie. Może czasem trzeba po prostu wybrać.

I w chwilę potem wybrał. Zrobił to z miłości, nie z patriotyzmu. Wiedział, że cokolwiek wybierze, John Carr jest dla niego stracony.

- Chcesz z nim iść? - mruknął, zwracając się do Caroline.

- Hm. - Caroline popatrzyła w sufit. - Szubienica albo przystojny John Carr... Chwileczkę, niech się zastanowię.

Kit westchnął i wskazał jej podbródkiem Johna. Caroline podeszła do niego, a John szybko uwolnił skępowane przeguby Caroline.

- Porządny węzeł - mruknął pod nosem.

Kit się nie odezwał.

Caroline popatrzyła na Johna. On odwzajemnił spojrzenie. Żadne z nich nie powiedziało ani słowa.

W końcu Caroline oderwała wzrok od Johna i zwróciła się do Susanny.

-Twoja matka... twoi rodzice często rozmawiali o Włoszech, Nie wiem, dokąd mogła pojechać tamtej nocy, ale myślę, że mogła spróbować właśnie do Włoch.

Susanna skinęła lekko głową. To był symboliczny gest podziękii.

Kit popatrzył na Johna. Swego przyjaciela od najdawniejszego dzieciństwa, brata z wyboru, rywala. Przystojnego Johna Carra.

- Lepiej już idźcie, John. Zanim zmienię zdanie.

John uniósł dłoń na pożegnanie. Uśmiechnął się. A potem się odwrócił i pchnął drzwi grobowca. I odszedł na zawsze.

Caroline ruszyła za nim, ale w drzwiach się zatrzymała. Spojrzała niepewnie na Kita, tak jakby się zastanawiała, czy ma to powiedzieć, czy nie.

- Thaddeus miał... - zająknęła się - kota. Dopilnujesz, żeby ktoś go wiał?

I uniosła wyzywająco podbródek. Licząc się z tym, że z niej zadrwi. Wciąż jednak nie spuszczała z niego oczu. Czekwała na odpowiedź.

I Kit też nie spuszczał z niej oczu. Był zdumiony. Coś takiego... Więc ona jednak... kochała Morleya!

Ale nie zawracała sobie przy tym głowy czymś takim jak honor. Żyła chwilą. Dla niej liczyło się tylko jedno: przetrwać. Takiej miłości Kit nie rozumiał.

Skinął krótko głową.

- W takim razie żegnaj. Życzę szczęścia wam obojgu. - Caroline dygnęła z ironią i odwróciła się, by odejść.

- Caroline! - zawołał Kit ostro.

Przystanęła i obejrzała się, unosząc pytająco brwi.

- Postaraj się na niego zasłużyć.

Roześmiała się, tak jakby powiedział coś niezwykle dowcipnego. Pokręciła głową.

I poszła.

Podczas powrotu do domu milczeli. W milczeniu minęli służbę i w milczeniu wprowadził ją na górę, do swoich pokoi, gdzie nigdy dotąd nie była. Przysiadł na brzegu łóżka. Był do cna znużony. Widziała to.

- Przykro mi z powodu Johna - powiedziała.

- Chodź tutaj - szepnął zamiast odpowiedzi.

Podeszła i stanęła między jego kolanami. Objął ją i popatrzył jej w oczy. Widziała jego twarz, śmiały łuk nosa, błękit oczu ocienionych tymi złocistymi, ciemniejszymi na końcu rzęsami.

- Kocham cię, Susanno.

- Wiem.

Nie wydawało się już ważne, by słyszeć, jak wypowiada na głos te słowa. Wiedziała, że on żyje tą miłością.

- Powiniennem powiedzieć ci o tym wcześniej. Kiedy Caroline mierzyła do ciebie z pistoletu.

Urwał gwałtownie i odwrócił głowę.

- Ćśśś... - Susanna ujęła w dłoń jego twarz i pocałowała go w czubek głowy. - Wszystko jest w porządku.

- Nie, nie wszystko jest w porządku. - W jego głosie była irytacja. - Powiniennem...

- Może nie byłeś pewien, czy mnie kochasz, i musiałeś się...

- Susanno - przerwał jej rozbawiony i zniecierpliwiony zarazem.

- Przestań, proszę, bronić mnie przede mną. Nie o to chodzi... chodzi o to, że... - Urwał, poszukując słów, które oddałyby jego nieokreślony, wymykający się definicji lęk. - Wydawało mi się, że znikniesz, jeśli wypowiem te słowa na głos. Nie potrafiłem sobie z tym poradzić. Nie potrafiłem znieść myśli, że tak cię kocham i miałbym cię nagle stracić.

Mówił tak, jakby się wstydził. Tak jakby wszelki strach był dla niego uczuciem zakazanym.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Milczała.

- Krótko mówiąc - rzekł z gryzącą autoironią - jestem śmierzdzącym tchórzem. I kocham cię.

- Interesujące wyznanie. - Głos Susanny był cichy, lekko schrypnięty. - Interesujące wyznanie z ust mężczyzny, który w mojej obronie ryzykował życie. Został zraniony nożem, przygniótł go koń. A wcześniej strzelali do niego Francuzi i Bóg wie kto tam jeszcze... No, ale dość tych wyznań. Ja też cię kocham, Kit.

- Wiem - powiedział z westchnieniem. Jego ręce powędrowały niżej. Objął ją ramionami za uda, przyciągnął do siebie.

Oczy miał teraz na poziomie jej piersi. Przygarnął ją ciałniej i przywarł ustami do jednej z nich. Dłonie wśliznęły się pod jej suknię i odnalazły jedwabiste wnętrze ud. Opadł na plecy, pociągając ją za sobą.

- Cicho - szepnął. - Leż spokojnie.

Położył ją na łóżku, uklękął obok niej i powoli, delikatnie rozsznurował jej suknię. Zdjął przez głowę i położył obok. Potem to samo zrobił z bielizną - rozsznurował, zdjął, delikatnie złożył obok sukni, zrolował pończochy... Poddawała się temu w milczeniu.

A kiedy była zupełnie naga, westchnął i położył się koło niej. Delikatnie, miękko pocałował ją w usta. Potem odnalazł wargami brwi, skronie, pulsujące miejsce u podstawy szyi. Wyjął jej szpilki z włosów, rozgarnął je palcami, aż rozsypały się po poduszce.

I tak właśnie zaczęli się kochać, z bolesną niemal czułością. Każde jego dotknięcie więcej i dobitniej mówiło o jego miłości niż jakiegokolwiek słowa. Susanna zamknęła oczy i poddała się błogości tego dotyku. Tylko raz wyszeptała jego imię. Jego ręce były wszędzie, wiedzące, pewne, a zarazem niewypowiedzianie subtelne i delikatne: wędrowały z ramion na piersi, brzuch... Cała zatraciła się w tej pieszczocie. Straciła świadomość, że istnieje.

A on wtedy zszedł ustami niżej, rozchylił jej kolana i zaczął smakować językiem to najdelikatniejsze, najwrażliwsze miejsce. Wbiła palce w kołdrę. Język krażył, krażył... aż załkała z rozkoszy i rozprysnęła się w bryzgi światła.

I dopiero wtedy się rozebrał. Na moment jego urodziwe ciało zawisło nad nią - i już zagarnęła go w ramiona, oplótła nogami i wchłonęła w siebie. To cielesne złączenie zawsze było dla niej za krótkie, bo nigdy nie nasyci się nim dostatecznie, ale skończoność tego aktu sprawiała, że był tym słodszy. Zaczął poruszać się w niej powoli, z oczami w jej oczach... Aż wydyszał jej imię i opadł na nią, wstrząsany spazmem.

Pocałował ją. Przewrócił się na plecy, nie wypuszczając jej z ramion. Patrzyli sobie w oczy.

- Kocham cię, Susanno - szepnął.

Leżeli przez jakiś czas. W końcu Kit przypomniał sobie, że ciotka Frances będzie się martwić. Ubrali się więc pospiesznie, nie dbając, by ubrania leżały jak należy, i zeszli po schodach na dół.

Bullton znowu wybiegł mu na spotkanie. Zaczynało to już być irytujące.

- Sir... - zaczął desperacko.

Nie musiał mówić nic więcej. Z salonu, tego z portretem, dobiegło jakże znajome chrząknięcie.

- Sir, on ma... on właśnie... - szepnął rozpaczliwie Bullton i dał spokój wszelkim wyjaśnieniom. - Lepiej niech pan do niego idzie, sir - powiedział z rezygnacją. - Sam pan zobaczy, co i jak.

Istotnie, trudno było sobie wyobrazić coś gorszego. Księżę stał pośrodku pokoju i trzymał w ręku szkicownik Susanny, najwyraźniej pozostawiony przez nią w salonie.

Wyglądało na to, że jego wzrok przykuła jedna ze stronic. Wpatrywał się w nią nieruchomo.

W końcu podniósł powoli głowę. Wyraz twarzy miał. nie do opisanania.

Kit czuł przemożne pragnienie, by zamknąć oczy. Któż chciałby, aby ojciec oglądał jego twarz w chwilę po tym, jak kochał się z kobietą? A ten właśnie moment został utrwalony na tej stronie.

Spojrzał na Susannę, którą usiłował schować za sobą. Włosy, upięte byle jak, wymykały jej się z jednej strony. Wyglądała pięknie i, niestety, nadzwyczaj zmysłowo.

Gorączkowo myślał, co mógłby powiedzieć ojcu. W myśli już pakował podróżne kufy. Miał nadzieję, że Susanna nie będzie bardzo rozczarowana, jeśli przyjdzie jej żyć pośród egipskich piachów, a nie przy placu Grosvenor.

- Czy to jest ta artystka? - Ojciec uniósł brwi i wskazał wzrokiem Susannę.

- Tak - potwierdził Kit.

Zapadła cisza, pałaca jak pustynie Egiptu. Ojciec wpatrywał się w nich w milczeniu.

- Zamierzamy się pobrać - powiedział Kit z wahaniem.

- Mogłem się tego spodziewać - odparł książę. - Kim ona jest?
Kit znowu zaniemówił.

- Tak? - ponaglił książę, znowu unosząc brwi.

Kit odzyskał panowanie nad sobą, a przynajmniej jego ślad.

-Pozwól, ojcze, że przedstawię ci pannę Susannę Makepeace, moją narzeczoną. Susanno, to mój ojciec, książę Westphall.

Susanna zamarła na moment, a potem - cóż innego można zrobić w tych okolicznościach? - dygnęła. Kit omal się nie roześmiał.

- Makepeace, tak? Córka Jamesa?

Zawahała się, ale najwyraźniej uznała, że z prezentacją prawdziwego życiorysu może poczekać.

- Tak, sir - odparła równym głosem.

-I to pani jest autorką tych szkiców?

Twarz Susanny zalała się szkarłatem, ale ona sama zachowała godne podziwu opanowanie.

- Tak, sir.

Patrzył na nich przez jakiś czas, najwyraźniej miotany różnymi sprzecznymi uczuciami. Sądząc po twarzy, były wśród nich i rozbawienie, i zgroza.

Wreszcie odchrząknął.

- Są naprawdę niezłe.

Kit poczuł bezgraniczny podziw. Spośród tylu rzeczy, które ojciec mógł czy chciał powiedzieć, wybrać tę? To dopiero dyplomata! Naprawdę, powinien się od niego uczyć.

- Ona ma talent, ojcze.

I dopiero gdy te słowa padły, zdał sobie sprawę, jak zabrzmiały - biorąc pod uwagę, który z rysunków ojciec bez wątpienia oglądał. O mało nie palnął się w czoło.

Książę westchnął tylko.

- Miło mi było panią poznać, panno Makepeace. Chciałbym teraz porozmawiać z synem na osobności.

Susanna rzuciła Kitowi współczujące spojrzenie i z wyraźną ulgą wyszła. Kit poczuł gwałtowną pokusę, aby pociągnąć ją za łokieć z powrotem.

- Przykro mi z powodu tego albumu, ojciec - zaczął szybko Kit, - Dokończę go, obiecuję. Tymczasem wydarzyło się kilka spraw, które mogą być interesujące i dla ciebie.

- Widziano cię w Londynie, Kit.

- Kto mnie widział? - spytał szybko. Przekląty John.

- Panna Daisy Jones powiedziała, że był u niej niejaki pan White i zadał jej parę pytań. Od razu wiedziałem, że to ty.

- Prowadzisz własne śledztwo?

A więc ojciec nie miał go za obłąkanego, kiedy wspomniał mu wówczas o Jamesie. Kit nieco zmięknął.

Chwileczkę! A może...

- Skąd znasz pannę Daisy Jones, ojciec?

Ojciec uśmiechnął się zagadkowo.

- Znalazłeś to, czego szukałeś, Kit? Czy raczej, powinienem powiedzieć, to, czego nie powinienesz być szukać?

- Tak, sir. I wszystko, co mówił Makepeace, okazało się prawdą. Pokażę ci, ojciec, te dokumenty, jeśli chcesz. Korespondencja, listy okrętów... i wymienione jest nazwisko Morleya, czarno na białym. Lockwood zebrał pełnowartościowy materiał dowodowy. Żle to wygląda dla Morleya, ojciec. Rozmawiałem też z handlarzem antyków, którego, być może, udałoby się skłonić, żeby zeznawał w tej sprawie.

Książę siedział nieruchomo. Po chwili na jego twarzy pojawił się głęboki smutek.

- Co za wstyd! To niezły polityk. Inteligentny człowiek. Co za strata. Szkoda. Morderca.

-I zdrajca, sir.

- To było niebezpieczne, Kit. Działałeś w pojedynkę. Mogłeś zginąć.

- Mogłem zginąć już wiele razy w moim życiu, sir. - Kit uśmiechnął się krzywo. - To dla mnie nic nowego.

- Ale przecież powiedziałem ci wyraźnie, że masz się nie pokazywać w Londynie. - Ton ojca był taki, że Kitowi zamajaczył w głowie obraz egipskich piramid.

- Przysięgam, sir, że dokończę ten album. Ja... - Urwał, bo zdał sobie sprawę, że to, co zamierza powiedzieć, jest prawdą. - Ja chcę wykonać to zlecenie.

Księżę znowu westchnął.

- Nie było żadnego zlecenia, Kit.

Zapadła cisza.

- Słucham? - spytał Kit bezbarwnym głosem.

- Nie było żadnego zlecenia. Po prostu... - Księżę odwrócił się i przeszedł po salonie. Stał przed ogromnym rodzinnym portretem i zapatrzył się na niego. Uśmiechnął się lekko, być może przypominając sobie tamto pozowanie. - Martwiłem się o ciebie, synu. Sprawiałeś wrażenie... - Urwał. - Zagubionego. Brałeś udział w rozmaitych rozrywkach, ale wyraźnie nie znajdowałeś w nich prawdziwej przyjemności. Zachowywałeś się zbyt lekkomyślnie. Byłeś nieszczęśliwy, choć o tym nie wiedziałeś. Zbyt długo to trwało. Ojciec zauważa takie rzeczy.

Kit zdawał sobie sprawę, że powinien być wzruszony. Ale.. .o

I dlatego zagroziłeś mi wysłaniem do Egiptu?

Księżę spojrzał na niego pogodnie.

- Uważałem, że dobrze ci zrobi, jeśli spędzisz trochę czasu z dala od miejskich rozrywek. Może nawet odkryjesz na nowo swoją dawną, mniej niebezpieczną pasję. A wiedziałem, że nie wyjedziesz, jeśli powiem to ot tak, po prostu. No więc wymyśliłem zlecenie. I... - Znowu urwał. - Również i pod tym względem przerosłeś moje oczekiwania - powiedział z niejakim podziwem. - No, ale ty niczego nie robisz połowicznie.

Uśmiechnął się, jak to on, promiennie i diabolicznie zarazem. Uśmiech mówił: zawsze będę od ciebie mądrzejszy, dopóki będę twoim ojcem.

Kit zaniemówił. Przeklęty ojciec wyprowadził go w pole...

Nie wiedział, czy ma go udusić, czy paść przed nim na kolana i dziękować w pokorze.

- To dobra robota, Christopherze. Czy twoje notatki są rów niedoskonałe jak rysunki?

- A jak myślisz? - spytał Kit arogancko.

Ojciec się uśmiechnął.

- Cóż, w takim razie rzeczywiście powinieneś dokończyć ten album. Rysunki są tak znakomite, że zasługują na publikację. Oczywiście parę usuniemy.

- Masz na myśli rysunki nornic? - spytał niewinnie Kit.

Wreszcie ojciec się roześmiał. Spojrzał na rysunek, potem na syna i powoli pokręcił głową. Kit musiał użyć całej siły woli, żeby się nie zaczerwienić. A nie przypominał sobie, żeby się kiedykolwiek zaczerwienił w całym swoim życiu.

- Jaka ona jest? Susanna?

A niech to... Nie cierpiał takich pytań. Ilekroć myślał o Susanie, słowa uciekały mu z głowy. Pomyślał - i...

Ale ojciec musiał wyczytać odpowiedź w jego twarzy. Roześmiał się.

- Nieważne, synu. Szkice mówią same za siebie. I za was oboje ,. Nawet nie wiesz, jak się cieszę.

Epilog

Usuwała zwiędłe kwiaty z krzaków róż, kiedy z północy powiał lekki wiatr. Przymknęła oczy. Całkiem jak wilgotny jedwabny szal... "wcześnie przyszło tej jesieni sirocco! Ten wilgotny wietrzyk przypominał jej, że nie jest stąd i że nigdy nie poczuje się tutejsza. Choć minęło już siedemnaście lat. Pogoda, jaką nosiła w sobie, była angielska.

Włochy były piękne. Zapewniały jej bezpieczeństwo i anonimowość. A jednak jeśli jakieś miejsce nie jest domem, człowiek zawsze będzie je traktował jako więzienie.

W miarę upływu lat ból stępsiał. Towarzyszył jej bez przerwy gdzieś w tle, ale przyzwyczaiła się do niego. Znowu potrafiła się śmiać, potrafiła nawet poczuć czasem lekki dreszcz podniecenia. Gdy szła, nadal odwracały się za nią męskie głowy, choć miała już swoje lata. Niewielkie grono przyjaciół znało ją wyłącznie jako wdowę, żyjącą wspomnieniami o zmarłym mężu.

Przed laty zaryzykowała i dwukrotnie wysłała list. Z egoizmu. Nie podpisała żadnego z nich, ale i tak wiedziała, że naraża w ten sposób na śmiertelne niebezpieczeństwo Jamesa - lub siebie samą. Ale ból i tęsknota były chwilami tak straszne, że miała wrażenie, iż chętnie poświęciłaby własne życie, życie Jamesa czy czyjekolwiek inne za strzęp wiadomości o córkach. James odpisał tylko raz: „Są bezpieczne”. Miał oczywiście rację, zniechęcając ją do pisania. Bez

wątpienia wiele go kosztowało, że nie ulżył jej cierpieniu. Ale chronił jej córki i o nie dbał.

Lata mijały, a nadzieja to rozkwitała, to więdła, tak jak te róże, które zbierała teraz z krzaków, by mogły rozkwitnąć wiosną na nowo. Kiedyś ujrzy swoje córki, kiedyś wyjdzie najaw cała prawda. Ta nadzieja trzymała Annę Holt przy życiu.

Podziękowania

Proszę o przyjęcie wyrazów wdzięczności Melanie Murray, która jest redaktorką tak doskonałą, że nie zawahałam się zabić dla niej żony (powieściowej), byle tylko sprawić jej przyjemność (to żart, M.); Dianę Luger i Mitni Bark za kolejną rewelacyjną okładkę; Geoffa Hancocka, dzięki któremu od jakiegoś czasu mogę codziennie patrzeć na kolibry i róże, co działała cudownie na moją pogodę ducha; Dwasa (www.jogcitydivas.com) za życzliwość, uśmiech i dobre rady na temat, powiedzmy, pewnych subtelności związanych z nadawaniem książek, niemających nic wspólnego z pisaniem; Elizabeth Pomadę, główtiie za to, że mnie skłoniła, abym się wybrała w tę podniecającą podróż; Kena, Kevina, Melisę i Karen, za to, że istnieją, i tak fantastycznie potrafią mnie wspierać; i wszystkie Czytelniczki i Czytelników, którzy piszą do mnie ciepłe, zabawne, wzruszające listy i którzy pozdrawiają mnie podczas promocji książek. To, że się Wam podobają, to dla mnie wielka radość i zaszczyt. Mam nadzieję, że nadal będą się Wam podobać.